

De. II 1.
TOM CCLXXXII. -

ROK 71.

ZESZYT 844.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

K W I E C I E Ń.

1911.

TOM II.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1911.


TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. NA ROZDROŻU,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	1
2. PRZED PÓŁ WIEKIEM,—przez <i>d-ra B. Dybowskię</i>	44
3. IDEA I ARTYZYM W POEZJI KONOPNICKIEJ, — przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	68
4. O IGNACYM PRĄDZYŃSKIM,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	104
5. TARGOWISKO CYWILIZACYI,—przez <i>Władysława Jabłonowskiego</i> .	132
6. SZKOŁY POD BRONIA, —przez <i>Bronisława Bouffałła</i>	151
7. PIŚMIENNICTWO:	
JÓZEF TRETIAK: „Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego 1802—1831,“—przez <i>d-ra E. Kucharskiego</i>	164
JÓZEF BIELIŃSKI: „Szubrawcy w Wilnie (1817—1822),“—przez <i>Henryka Mościckiego</i>	167
ALEKSANDER WÓYCICKI: „Związek chłopski w Belgii i Holandyi,“—przez <i>W. D.</i>	178
„O kościół w Opolu,“—przez <i>W. D.</i>	179
„Generał Zamoyski 1803—1868,“—przez <i>Stanisława Szpotkańskiego</i> . .	179
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
19 lutego 1861 r.—Znaczenie reformy włościańskiej.—Stanowisko opinii polskiej ówczesnej.—Z powodu <i>Mercuryusza</i> o prasie polskiej i obcej słów kilka. — Sprawy polskie w Izbie.—Zabójstwa policyantów a podróż Nakonecznego. — Deklaracya Kola. — Memorial posła Grabskiego.—Związek stowarzyszeń współdzielczych.	183
9. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Józef Montwiłł i ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki,—przez <i>L. W.</i>	197
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	201

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

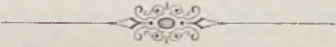
Ogólnego zbioru Tom 282.



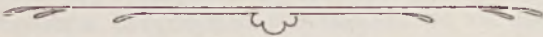
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1911.—Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1911.



De. II 1

NA ROZDROŻU

1812—1813.

IX.

Rzecz główna tymczasem ciągle była w toku i zawieszeniu. To było: ubicie ostateczne tajnego z Aleksandrem względem Polski układu, a tem samem, kardynałny ku temu warunek, zyskanie uprzedniej na to zgody wodza broni polskiej, ks. Józefa.

„Powtarzam Ci, — pisała do ks. Adama matka, księżna Izabela, która w Tarnowie miała sposobność ściągnąć informacje dokładne o rzeczywistym stanie rzeczy w Krakowie,¹⁾—mało żywię nadziei. *Mąż siostry* (Anieli z Radziwiłłów Czartoryskiej) *Klematyda* (Antoniego Radziwiłła), to jest *Br(onzowej) Fù(gury=* ks. Adama) *piękny brat* (t. j. Konstanty Czartoryski) stchórzył.²⁾ *Bankier* (ks. Józef) nie nakłania się całkiem. Chybaby trzeba coś osobliwszego, żeby go zdeterminować. Z drugiej strony A(leksander) podobno niebardzo o nas dba. Dowód tego, że tak długo nie odpisuje *Br(onzowej) Fù(gurze=* ks. Adamowi). O mój panie Adamie, kiedyż będziem przynajmniej spokojni? bo co szczęśliwi, to podobno nigdy. Żebyś to przedstawił (Aleksandrowi), że już tyle lat cierpimy, żeśmy chcieli wszystko dla niego uczynić, że nas odrzucił (t. j. w 1805 r.), że bieda i rozpacz nas przerzuciła na inną stronę (t. j. Napoleona). Niechże będzie, raz nakoniec, Boga dla nas obrazem, a niech klęski, które z jego kraju na nas się

¹⁾ Ks. Izabela do Ad. Czartoryskiego, le 24 mars 1813 (Arch. rodzinne ks. Czartoryskich).

²⁾ T. j. odsunął się od czynnego popierania akcji rosyjskiej.

wywarły od tylu lat, swoim własnem uszczęśliwieniem zakończy, bóle ukoi, rany uleczy. Ty wiesz bez tego, co i jak mówić. Wybacz, mój kochany panie Adamie, że Ci tu dyktuję słowa, ale żebyś wiedział, jak tu jestem strapiona i smutna, tobyś się nie dziwił. Życie ucieka, a tu cieszyć się niem niepodobna, samą tylko troską i smutkiem karmić się przychodzi. To światelko mnie ucieszyło, co piszesz, że *pan Zamorski* (Jerzy III) za nami...“

Równocześnie dochodziły ks. Adama nowe, mało zadowalające wieści wprost z Krakowa. Posyłał je w dalszym ciągu, po części razem z Zamoyskim, sam niestrudzony Mostowski, który, ubezpieczywszy się najpoufniej od strony francuskiej, dalej prowadził równie najpoufniejszą robotę od strony rosyjskiej, i który w tej samej chwili, kiedy Bignonowi składał wynurzenia ustne przeznaczone dla Napoleona, posyłał Czartoryskiemu wynurzenia listowne przeznaczone dla Aleksandra.

„Jest rzeczą bardzo ważną,—donosili Mostowski i Zamoyski z Krakowa pod koniec marca 1813 r. Czartoryskiemu¹⁾— ażeby nie pomylić się względem *bankiera* (ks. Józefa) i nie przedsięwziąć jakich targów o *pieniądze* (wojsko polskie), do którychby on potem nie przystąpił. Dlatego *Karol* (?) powtarza, iż póki *bankier* (ks. Józef) nie zobaczy rzeczy *jasnych* i *pewnych*, *gotowizny* swej (wojska) nie użyczy; trzymać ją będzie cicho, póki będzie mógł bez narażenia jej; ale gdy przyjdzie rozkaz bądź wynosić się, bądź użyć jej podawnemu, a *p. Ignacy* (Aleksander) nie zapewni uroczyste całości i bezpieczeństwa *Perneta* (Polski), wtedy *bankier* (ks. Józef) słuchać będzie *starszych* (Francuzów) i *pieniądze* (wojsko) ruszy. Wypada więc potrzeba starać się ile możności wstrzymywać w spokojności tę *gotowiznę* (wojsko) do czasu, w którym okoliczności dozwolą *p. Ignacemu* (Aleksandrowi) znieść się i ułożyć wyraźnie o *Perneta* (Polskę), bo wtenczas dostałby tej *gotowizny* (wojska).

²⁾ „Z drugiej jednak strony dobrze byłoby postarać się ile możności, aby można było razem i nagle *Szońskiego* (?) ³⁾ z *Wie-*

¹⁾ Mostowski (i Zamoyski) do Czartoryskiego (Kraków) 25 marca 1813 zmienionem lecz własnoręcznem pismem Mostowskiego. [nadpis: „Odebrany 26 kwietnia przez Dowiakowskiego“].

²⁾ Przy tym ustępie dopisek: „To się przemazało po rozmowie nowej z *bankierem* (ks. Józefem) i wytlómaczy się w dodatku.“

³⁾ Należy zaznaczyć, że co do dokładności pierwotnego klucza, a zwłaszcza co do tego, o ile nie ulegał on w następstwie zmianom, nastręczają się poważne wątpliwości. Tak więc w odniesieniu do niniejszego oraz następnych

kowymi (Radą konfederacką) tudzież *kompanią Karolową* (Radą ministrów) gdzieindziej przenieść, bo tak, jak są otoczeni, trudno co zrobić; łatwiej poszłoby, gdyby byli bezpieczniejsi i mniej trwożni. *Bilon piemontcki* (wicekról Eugeniusz) i *bilety* (armia francuska) coraz spadają; ale nasławszy hurmem i zmienacka *gotowizny* (wojska) od strony obcej i wolnej, toby się *potrzebne rzeczy* (t. j. Rady konfederacka i ministrów) zabrały i wyniosły.

„Z tem wszystkiem kredyt oczywiście zawisł od tego, jak się zrazu *Ignacemu* (Aleksandrowi) z *Joachimem* (Napoleonem) powiedzie. Tego się boją; bo choć dotąd cicho z powodu zajętych dokumentów (t. j. papierów Kluczewskiego) siedzi (t. j. Napoleon), pewnie z niemi za pierwszą chwilą pomyślną bryknie a tem kredyt zupełnie popsuje. Teraz nikt się dobrowolnie sam nie stawi, bo to ze wszechmiar niczemu nie dogodziłoby: lecz wszyscyby radzi poniewolnie poszli. A gdyby udało się raz dobrze oprzeć się poniewolnie w sądach terażniejszych opodal za *Wegrowem* (Poznaniem), wtenczas natychmiast ułożywszy się choć z samym *Wojciechowskim* (Fryderykiem-Wilhelmem III), trzebaaby zaraz zawrzeć i ogłosić ugodę z *Pernetami* (Polakami) wraz z *intercyzą* (konstytucją) od nich żadaną, tudzież wezwać ich do zbierania nowej *gotowizny* (wojska), ściągnąć i zawołać wszystkich interesowanych: i takby rzecz obławą poszła. Najbardziej strzedz należy, aby dokumentów których nie zgubić i w przesyłaniu onych ostrożnym być jaknajmocniej, bo to wszystkoby już popsulo.“

„Donieść prosimy—dodawał nazajutrz Mostowski ¹⁾—czy dokumenta odpowiednie, w trzech sztukach pozawczoraj posłane, doszły całe i nietykane? ²⁾ Gdyby się *p. Ignacy* (Aleksander) zdecydował ogłosić ugodę z *Pernetami* (Polakami) wraz z *intercyzą* (konstytucją) i warunkami podanemi, trzebaaby nam takowe ogłoszenie (t. j. proklamacyę) przesłać, nimby w gazetach obwieszczono zostało, lecz już zupełnie tak, jakby w nich zupełnie być mia-

pism zdawałoby się z treści wynikać, iż tutaj „Karol“ oznacza Mostowskiego a „Szoński“—Zamoyskiego (przyczem ten ostatni kryptonim mógłby odpowiadać kombinacji inicjałów SZO = Stanisław Zamoyski Ordynat); por. zresztą uwagi przy dalszych listach, jak niżej.

¹⁾ Mostowski do ks. Adama, (Kraków) 26 marca 1813.

²⁾ Mowa tu zapewne o 2 listach—poufny i ostentacyjnym Zamoyskiego do Czartoryskiego, 15 marca 1813 r. i dołączonem do nich *Résumé et marche proposée*, j. w., 433 sq., które, po nieudanych może próbach wcześniejszych, wysłane zostały wreszcie z Krakowa 23 marca przez bezpieczną okazję, por. niżej, i 25 marca oddane w Warszawie Czartoryskiemu.

ło: a to, abyśmy je zaraz innym tu będącym stronom tudzież *bankierowi* (ks. Józefowi) pokazali i z niemi dalszy tok postępowania umówili. Trzebaby zaraz *bankiera* (ks. Józefa) bez głoszenia tego przy *kasie ogólnej* (dowództwie naczelnem) potwierdzić; a to, co tu *Karol* (?) o *bankierze* (ks. Józefie) mówi¹⁾, zupełnie przy sobie zachować, bo to się tylko między czterema oczami wie. Jeszcze więc raz: nic się nie da zrobić bez przyjęcia warunków *pernetowych* (polskich) i ogłoszenia ich; gdy to nastąpi, pewnie i otwarcie wszystko się ułoży. Miałby wtedy *p. Ignacy* (Aleksander) i całą *gotowiznę* (wojsko) będącą, i ze dwa razy tyle wkrótce przybyłyby. Niech nad tem pomyśli, bo to zda się warte zastanowienia. Czy pisał też do *Gorayskiego* (Franciszka I) względem bezpieczeństwa przyjaciół po zajętych dokumentach (t. j. papierach Kluczewskiego) i czy ten co odpisał lub obiecał? O *Szczepańskim* (Matuszewiczu) żadnej wiadomości dotąd niema; jednak *musztarda* (Senfft) pisze do *Karola* (?) jakoby (t. j. Matuszewicz) dojechał na miejsce (t. j. do Paryża), dokąd mniej potrzebnie się wybrał i śpieszył. Donosiłem wczoraj, że *Juliana* (Niemcewicz?) posłać (t. j. do Anglii) nie udało się; jednakże trzebaby kogoś znaleźć i wyprawić, gdyby można. Jeżeliby *Ignacy* (Aleksander) zezwolił na przyjęcie i ogłoszenie warunków posłanych od *Pernetów* (Polaków) i *interczyzy* (konstytucyi), obeszłoby się bez zwoływania wprzód *Wiekowych* (Rady konfederackiej), którzyby równie jak *bankier* (ks. Józef) po odebraniu takiego ogłoszenia zaraz się za nim oświadczyli i do dalszego traktowania zjechali, gdzieby trzeba. Idzie więc o upatrzenie pory pomyślnej i o redakcyę ogłoszenia.“

Do powyższego listu dołączoną była kartka, pismem jakby kobiecem, przypominającym charakter pani Stanisławowej Zamoyskiej, nakreślona. Dokument ten mógłby posiadać znaczenie wyjątkowe, albowiem, jak z treści jego zdawałoby się wynikać, bez względu na użyte dla ostrożności cudze pióro, autorem albo raczej inspiratorem mógłby być sam prezes Rady Stanu i ministrów, Stanisław Potocki. Nadzwyczaj oględny we wszelkich dotykanych objawach swojego w całej niniejszej akcji osobistego udziału, tym jednak razem mógłby on uznać za niezbędną, w tej przynajmniej formie, własną swoją interwencyę.

„Rozmówiwszy się z *bankierem* (ks. Józefem) jeszcze raz,— pisał albo raczej dyktował korespondent krakowski, którym mógł

¹⁾ Kartka (pani Zamoyskiej?), pochodząca od „Karola“ t. j. zapewne Mostowskiego, jak niżej; por. potwierdzenie wtórne pochodzenia tej kartki od „Karola“ w późniejszym liście Mostowskiego 6 kwietnia 1813, jak niżej.

być, ale zapewne w rzeczywistości nie był wcale Potocki, dostrzegalny tu wprawdzie gdzieś za kulisami, lecz w dyskretnym, niepochwytym dla oka półcieniu, współwiedzący raczej niż współdziałający,¹⁾ — wypada, że gdyby mógł się spuścić na słowo i obietnicę *p. Ignacego* (Aleksandra), zatrzymałby spokojnie te 12 do 15,000 *gotowizny* (wojska), które tu z sobą ma, a mybyśmy *Gorayskich* (Austryaków), którzy jej mają 30,000, poprosili, żeby sobie w większej części z nią pojechali, bo ich wyżywić wszystkich nie zdołanoby. Wiemy nawet, że ci na takie oświadczenie czekają, aby prawie całkiem wyjść. Lecz *bankier* (ks. Józef) boi się, iż gdyby wyszli, toby *Ignacowi* (Rosyanie) słowa nie dotrzymali i *gotowiznę* (wojsko) zabrali, którejby wtenczas przed nimi uchronić nie można. Nie mógłby się oprzeć i musiałby uchodzić. Z drugiej strony wszystkiego utrzymać tu długo żadną miarą nie można. Przeto niema sposobu na to, jak w przyjęciu i ogłoszeniu przez *p. Ignacego* (Aleksandra) ugody i *intercyzy* (konstytucyi) z *Pernetami* (Polakami), poczem wszystko się ułoży. Widzę więc, że tę ile możności, potrzebaby pośpieszyć i nakłonić go do tego: bo z dwojga złego lepiej mniejsze wybrać i raczej pośpieszyć się, niż rozejść się w odwłóce. *Karol* (2) przeprasza za omyłki i poprawki w tym liście, lecz śpieszy się i niema czasu porządniej go ułożyć i przepisać. *Bankier* (ks. Józef) nie wie dotąd o przypadku zajętych dokumentów (t. j. papierów Kluczewskiego) i staram się, żeby o nim nie wiedział, bo toby go próżno zmieszało, niespokojnym uczyniło i jeszcze mniejby się chciał wciągnąć do rzeczy.“

W słowach powyższych można jasno rozeznąć najrdzenniejszą istotę najgłówniejszych wtedy wysiłków, a wraz mimowolnych czy też rozmyślnych złudzeń statystów polskich w Krakowie w stosunku do ks. Józefa Poniatowskiego. Chcieli go oni dla swojej koncepcyi polsko-rosyjskiej pozyskać za wszelką cenę, gdyż pojmowali wybornie, iż pozyskanie jego a razem z nim wojska polskiego stanowiło naczelną rację bytu onej koncepcyi, stanowiło bowiem dla Aleksandra naczelną pobudkę realną, *conditio sine qua non*, przyjęcia ofiarowanych sobie warunków i otwartego wdania się w całą akcyę. Chcieli więc zgody ks. Józefa jaknajmocniej, jaknajrychlej; i dlatego bądź sami poczęści łudzili się, iż on dziś jutro, za chwilę, do niej się przychyli, bądź też usiłowali wywołać

¹⁾ Kartka pismem kobiecem bez podpisu (=najpewniej Mostowskiego) do Czartoryskiego b. m. i d. (=Kraków, 26 marca 1813).

take wrażenie w Czartoryskim a przez niego w Aleksandrze, aby z góry spowodować cesarza do publicznego za tamtą koncepcją polsko-rosyjską zdeklarowania się. W rzeczywistości jednak ks. Józef, choć nie mógł ani nawet nie miał powodu unikać wdawania się z kolegami swymi w rządzie w poufne rozstrząsania ich planów i widoków, o ile mu takowe przez nich komunikowane były, zachowywał sobie przecie w zupełności swobodę działania. Jak dalece w tym względzie oni łudzili się lub też łudzić się uznawali za stosowne, o tem charakterystyczne świadectwo daje liścik powyższy. Zawiera on, między innymi, twierdzenie, jakoby ks. Józef nie miał jeszcze zgola pojęcia o wypadku z Kluczewskim, o wpadnięciu wiadomych papierów, kompromitującej epistoły Aleksandra do Czartoryskiego, w ręce Austryaków. Tymczasem z relacji Bignona, a mianowicie z jego szczegółowego wywodu wypadków krakowskich wynika z zupełną oczywistością: iż ks. Józef był jaknajdokładniej powiadomiony o całej tej aferze przez posła francuskiego; iż miał sobie okazaną przez niego otrzymaną w drodze anonimowej kopię listu Aleksandra i potwierdził posłowi jej autentyczność i zgodność z oryginałem przywiezionym do Krakowa przez Konstantego Czartoryskiego; iż sam wreszcie w tej sprawie napisał od siebie stosowne wyjaśnienie do Paryża, do francuskiego ministra spraw zagranicznych ks. Bassano.¹⁾ W każdym więc razie, jakkolwiek, mimowolne czy umyślne pobudki wchodziły tu w grę ze strony Potockiego czy też Mostowskiego, tyle przecie niezawodna, iż udzielane przez nich, posyłane Czartoryskiemu a przeznaczone dla Aleksandra informacje o tem, co wiedział, co robił, czego chciał Poniatowski, nie odpowiadały bynajmniej rzeczywistości i bynajmniej też za dobrą monetę brane być nie mogą.

¹⁾ Zapiska Bignona, № 74: „...la lettre ci-jointe écrite par ce ministre (Mostowski) à S. M. l'Empereur et Roi (t. j. list Mostowskiego do Napoleona, 20 mars 1813, j. w.) et celle adressée par le pce Poniatowski à S. E. le duc de Bassano, ont fourni l'exposé de ces faits... L'authenticité de cette pièce remarquable (t. j. interceptowanego listu Aleksandra do Czartoryskiego, 13—15 janv. 1813) ne saurait être révoquée en doute, car le pce Poniatowski a déclaré à mr. Bignon que la copie envoyée à l'ambassade était en tout conforme à la lettre originale qu'il avait eue entre les mains...” (Arch. d. aff. étrang., Paris). Ten operat Bignona jest bez daty; ze wzmianki o „dołączonym liście“ Mostowskiego wypadalaby data odpowiedniej depechy Bignona z 21 marca j. w.; ale z końcowych uwag operatu o „zawieszającej“ uchwale Rady konfederackiej z 30 kwietnia 1813 r. wynika data późniejsza, zapewne już za pobytu w Dreźnie.

Rzecz godna uwagi, iż najwidoczniej Mostowski, choć już co najmniej od 17 marca 1813 r. był zdecydował się na wydanie tajnych rokowań polsko-rosyjskich przed rządem francuskim, choć tegoż już dnia był rozpoczął swoje „wyznania“ przed Bignonem, jednakowoż ciągle jeszcze, przez czas dłuższy, utrzymywał te nadzwyczaj drażliwe kroki swoje w ścisłym przed kolegami a współuczestnikami ukryciu, aż do chwili, kiedy sam poseł francuski z otrzymanymi rewelacyami otwarcie wystąpić nie uznał za stosowne. Tymczasem, wciąż przemilczając swoją rolę odegraną wobec Bignona, pisał Mostowski własnoręcznie do Czartoryskiego, rozwijając w słowach następujących plan pożądaney akcyi dalszej ze strony Aleksandra¹⁾:

„Treść najprościejszego toku postępowania podanego do rozważy: *P. Ignacy* (Aleksander) zostawi docześnie *bankiera* (ks. Józefa) z *gotowizną* (wojskiem) koło *Orońska* (Krakowa) a *Gorayskich* (Austryaków) postara się wyprosić. Zbierze 60,000 do 80,000 *gotowizny* (wojska) we włościach *Młynowskich* (rosyjskich) pod *Pernetami Gorayskimi* (Galicyą), także około 30,000 we włościach *Wojciechowskich* (pruskich) i *Pernetowych* (Księstwa Warszawskiego) niedaleko *Orońska* (Krakowa). Zniósłszy się natychmiast z pp. *Antonim* (Jerzym III) i *Wojciechem* (Fryderykiem-Wilhelmem III), ogłosi przyjęcie warunków, podanych sobie od *Pernetów* (Polaków) i *intercyzę* (konstytucyę) dla nich, a to we włościach tak jak były po *lustracyi* (rozbiorze) 1772 r. i pod *zareęczeniem* (gwarancyą) *Antoniego* (Jerzego III) i *Wojciecha* (Fryderyka-Wilhelma III): w czem projekt *wstępu* (proklamacyi) przyłączony. Wezwie zatem *Pernetów* (Polaków), *Wiekowych* (Radę konfederacką), *kolegów Karola* (ministrów), *bankiera* (ks. Józefa) z *gotowizną* (wojskiem), aby do ugody bez zwłoki przystępowali, a *Wiekowi* (Rada konfederacka) i inni aby się do *Samogoszczy* (Warszawy) udali. Wymierzy kary i konfiskaty na tych, którzyby przed 15 kwietnia nie przystąpili do rzeczy. *P. Antoni* (Jerzy III) da 500,000 funtów swoich *towarów* (t. j. funtów szterlingów), za które *Pernetcy* (Polacy) przystąpią niezwłocznie w *gotowiznie* (wojsku) 50,000; a gdy drugie 500,000 da, drugie 50,000 *gotowizny* (wojska) dostarczą. Gdyby zatem *Gorayscy* (Austriacy) nie chcieli wynieść się od *Pernetów* (Polaków), włości tychże u *Gorayskich* (Austryaków, t. j. Galicyę) zajędzie. Wkrótce po dojściu i oznajmieniu dostatecznym tych proklamacyi, *Ignacowi* (Rosyanie) na chwilę zajmą *Orońsk*

¹⁾ Mostowski do Czartoryskiego, (Kraków) 27 marca (1813).

(Kraków), aby zaraz *Wiekowi* (Rada konfederacka) mogli wydać deklarację, w której się przed wszystkimi wytlómaczą, dlaczego przystępują do ugody, której dozgonnie *Pernetę* (Polacy) przed wszystkimi napaściami bronić będą. *Koledzy Karola* (ministrowie) swoje obowiązki terażniejsze złożą i do rzeczy przystąpią, równie jak *bankier* (ks. Józef) z *gotowizną* (wojskiem). Zaczem *Ignacy* (Aleksander) wolnym się stanie z tyłu i z boków, równie jak nie będzie potrzebował używać *pieniędzy* (wojska) na rozmaite manewra, *bankiera* (ks. Józefa) przytem mianować będzie na czele wszystkich *kas* (wojsk) w całym kraju i to mu w grzecznym liście wyrazi.“

„Projekt *wstępu do ogłoszenia* (proklamacyi): Gdy smutne i długie doświadczenie dostatecznie nauczyło, iż podział *włości Pernetów i Mikołajowskich* (Polski i Litwy) był dotąd nieustannym źródłem *procesów* (niepokojów) i nieszczęść, umyśliliśmy w chęci zapobieżenia onym nadal i zapewnienia stronom stałego pokoju zjednoczyć i przywrócić *klucze Pernetów i Mikołajów* (ziemie Polski i Litwy) pod zarządzeniem Naszem, a to w granicach, jakie miały teraz *majątności Samogoszcy* (Księstwo Warszawskie) tudzież wszelkie *włości Pernetów i Mikołajów* (Polski i Litwy) po *lustracyi* (rozbiorze) 1772 r., i nadając onym za pośrednictwem i *zaręczeniem* (gwarancją) p.p. *Antonięgo* (Jerzego III) i *Wojciecha* (Fryderyka-Wilhelma III) przywileje i administrację według *intercyzy* (konstytucyi) 3 maja 1791, która jednak w rozmaitych częściach swoich, stosownie do położenia i światła terażniejszego przez *Radę Wiekowych* (Konfederacyi) poprawiona, a potem na *zgromadzeniu ogólnem wszystkich Pernetów* (Sejmie walnym) przyjętą i postanowioną zostanie. Przytem obiecujemy i stanowimy: tu *punkta i warunki od Pernetów* (Polaków) *podane*, do których przydać wolność spławów tudzież zapewnienie, iż Statut przejrzany i poprawiony niezwłocznie zostanie.“

Zrozumieć łatwo, że Mostowski, w nadzwyczaj drażliwym położeniu swoim, pomiędzy młotem rosyjskim a kowadłem francuskim, na gwałt parł do ostatecznego uskutecznienia owej napoczętej w Warszawie a wciąż przeciągającej się, wciąż w powietrzu zawieszanej „ugody“ z Aleksandrem. W tym całkiem zrozumiałym z jego strony, natarczywym pośpiechu dochodził on, coprawda, jak okazuje się z powyższego listu, do niektórych postulatów bardzo daleko idących, bardzo przykrych w ustach ministra warszawskiego, jak mianowicie żądanie represyi i konfiskaty przeciw współrodakom, którzyby w oznaczonym terminie do owej „ugody“ przystępować nie chcieli. Co więcej, ta gorączkowa natar-

czywość Mostowskiego poczyniała ogarniać i innych członków rządu, a nawet możnaby mniemać,—choć istniejące w tym względzie poszlaki bardzo poważnemu podpadają powątpiewaniu,—jakoby dotyczyło to samego prezesa, tak ostrożnego i wstrzemięźliwego Stanisława Potockiego. Byłoby mianowicie mogło, tak przynajmniej pewne, bardzo zresztą podejrzone wskazywałyby pozory, jakoby przy jego to, Potockiego udziale równocześnie z pismem poprzedniem wyprawione zostały do Czartoryskiego ponowne przynagłania następujące: „Lubo pasztet tutejszy jest wielki i niesmaczny — tak pod tą samą datą Czartoryskiemu pisano z Krakowa ¹⁾—z przyczyny tylu stron różnych i uważających się wzajemnie, jednakże trzebaby w nim módz dotrwać dla *gotowizny* (wojska) naszej, któraby pewnie się rozsypała, gdyby poszła zagranicę, a tu codzien choć potrochu i kapaniną się pomnaża. Jednakże *Ignacowi* (Rosyanie) coraz bardziej na nas nalegają i naciskają, a tym sposobem jak postępują, aniby nas z *Wiekowymi* (Radą konfederacką) nie zajęli, i wszystkim wraz z *gotowizną* (wojskiem) umykać przyszloby. Przeto z dwojga złego już lepiej się postarać, aby raczej nas nie zajmowali, gdy to nagle dla wojsk tu namnożonych uczynić się nie da, i zostawili nas docześnie w utrapionym pasztecie, a przynajmniej *gotowizna* (wojsko) by tu spokojnie zachowała się. A gdyby obiecali nam dać cicho siedzieć i *Gorayskich* (Austryaków) wyprosili, toby najlepiej było: bo nie trzeba z uwagi spuszczać, że póki *Gorayscy* (Austryacy) tu są, *bankier* (ks. Józef) nie byłby w stanie tak czynić jakby chciał, a gdyby ci kiedy ruszyli naprzód, on poniewolnie musiałby iść za nimi. Do tego utrzymać wszystkich więcej, jak dwa tygodnie jeszcze, niemożna; trzeba więc, aby w tym przeciągu czasu coś się ułożyło. Niema zatem środka: jeżeli interes ma pójść dobrze, trzeba albo *Gorayskich* (Austryaków) wyprosić i *bankiera* (ks. Józefa) do czasu na słowie tu w pokoju zostawić, albo już prosto *Ignacego* (Aleksandra) nakłonić do przyjęcia warunków i *interczyzy* (konstytucyi) z *Pernetami* (Polakami), z obostrzeniem poszukiwania i karaniania tych, którzyby do tej ugody nie przystąpili natychmiast, a takim sposobem mógłby *bankier* (ks. Józef) z *gotowizną* (wojskiem), z *Wiekowymi* (Radą konfederacką) i z nami (t. j. Radą ministrów) przystąpić do przyjęcia ugody i zawarcia komplanacyi.

¹⁾ „Karol“ (ręka kobieca, t. j. najpewniej również Mostowski) do Czartoryskiego, (Kraków) 27 marca (1813) [nadpis: „odebrany 29 kwietnia 1813 r. przez Reutersa“].

Gotowizna (wojsko) bez zwłoki pomnażałaby się i reszta czynności odbyła. Jeżeli zaś *Ignacy* (Aleksander) woli czekać jakiego skutku ważnego i szczęśliwego odsądzenia kategorii pierwszej w procesie sądzonym opodal za *Węgrowem* (Poznaniem)¹⁾, nim do ogłoszenia układu z *Pernetami* (Polakami) przystąpi, co w samej rzeczy z pewnych miar roztropniej niby byłoby, wtenczas pierwszego środka docześnie trzymałby się wypadało; tembardziej, że w przypadku oddalenia się zagranicę rozkazano wszystkim nam (t. j. ministrom) i *Wiekowym* (Radzie konfederackiej) udać się do Ratysbony, gdzie także rząd Księstwa (t. j. Fryderyk-August) przenieść się ma. Czekamy więc tęskliwie na determinacye *Ignacego* (Aleksandra) w tej mierze i dlatego tak często toż samo piszę i powtarzam, bo od nich całe dalsze postępowanie i cała przyszłość nasza zawisły.

„*Plpt Joachima* (poseł Napoleona, t. j. Bignon) bardzo tu jest niespokojny i przykry, bo i z natury nie słodki; podwaja uwagi i poszukiwania, wielu pociąga, wielu się boi; mało się doprawdy za nim pali; a byle *Ignacy* (Aleksander) się zdecydował, to się rzecz ta łatwo i prędko ukartuje; póki zaś będzie majaczył i w ogólnościach zamykał, nikt ani uwierzy, ani się zaciągnie. Przyznałem, że z wielu powodów wstrzymanie przyjęcia i ogłoszenia ugody z *Pernetami* (Polakami) przez *Ignacego* (Aleksandra) do czasu pewnego, roztropniejszem, jak tu wielu chce i sądzi, byłoby. Jednakże przeczyć nie można, że równie silne a może i ważniejsze są przyczyny do uczynienia tego natychmiast. Bo jeżeli *Ignacy* (Aleksander) wygra pierwsze i ważne *kategorie w trybunale*,²⁾ może mu się potem tej ugody z *Pernetami* (Polakami) odechce; jeżeli przegra, ci się będą obzierać i ociągać. Gdyby zaś teraz ta ugoda nastąpiła i ogłosiła się, bardzo wielu poszłoby za nią a wkrótce wszyscy; jużby potem cofnąć się nikt nie mógł; a gdyby zatem *p. Antoni* (Jerzy III) zaraz dał *towaru* (subwencyi) swego, z jakie 500,000 funtów, mybyśmy za to we trzy miesiące z 50,000 *gotowizny* (wojska) z całego kraju zebrali i przysposobili, a dwa razy tyle, jeśliby dwa razy więcej dał *towaru* (subwencyi).

¹⁾ Jestto zapewne aluzya bądź do dokonanych już układów wrocławsko-kaliskich między Aleksandrem a Fryderykiem-Wilhelmem, bądź też raczej do oczekiwanych starć wojennych z Francuzami.

²⁾ Aluzya do starć zbrojnych w Saksonii z wicekrólem Eugeniuszem, poprzedzających walną kampanię wiosenną.

„Po przesłaniu dokumentów odpowiednich¹⁾ już to trzeci list *Karol* (?)²⁾ pisze, bo nie mógł wytrzymać, aby w tak ważnej sprawie nie doniósł o stanie rzeczy. Ale też to będzie długo ostatni, bo największych ostrożności potrzeba. Dlatego prosimy oznajmić o dojściu tak dokumentów odpowiednich, jak i tych trzech listów w całości i nietykanych. Odpisy rzadkie w ważnych tylko wypadkach przesyłać przez pewnych ludzi na ręce *Szońskiego* (? *Zamoyskiego*) należy, pod jego lub p. Ludwika *Poryckiego* zawsze w jego domu adresem. Wzywać teraz *Wiekowych* (Radę konfederacką), jak było umówione w dokumentach odpowiednich, na miejsce sąsiedzkie i wolne nie wypada już, bo takiego wolnego miejsca już niema i stąd nie wypuszczają nikogo w bliską granicę, a do tego żaden by podobno teraz nie pojechał, chyba gdyby pierwej przyjęcie i ogłoszenie ugody z *Pernetami* (Polakami) nastąpiło przez *Ignacego* (Aleksandra), bo toby wszystkim jak do świętej powinności pociągnęło.

„Od *Szczepańskiego* (Matuszewicza) są wiadomości z miejsca (t. j. Paryża) pod datą 8 (marca). Miał dwugodzinną rozmowę z *Joachimem* (Napoleonem), który od tego zaczął, że dokumenta z propozycjami i odpowiedzią zajęto³⁾; wyłuszczył w treści, co w nich było: lecz mówił, że propozycje bez podpisu były i *Karola* (?) nie wspomniał. *Marcin* (Bassano) zaś dodał, że wszystkie sztuki ujęte mają za zmyśnione, dodając, że omijają i inne zarzuty przeciw tym propozycjom czynić się mogące, (które) tem naprzód upadają, że są w egzekucyi niepodobne. Zresztą *Joachim* (Napoleon) powiadał, że ciągle o *Pernetach* (Polakach) myśli i że ich nie wypuści z opieki. *Szczepański* (Matuszewicz) w ogólności z wielką ostrożnością pisze; widać że się wyparł wszystkiego i dobrze zrobił, zwłaszcza gdy od tego czasu *Karol* (?)⁴⁾ na siebie wszystko przyjął i złożył, co tak(że) na pi-

¹⁾ T. j. listów z 15 marca 1813 r., j. w.

²⁾ Z tego mianowicie kryptonimu możnaby mniemać, jakoby autorem niniejszego listu był Potocki, który wedle pierwotnego klucza figurował jako „Karol“; jednakowoż z dalszego ustępu, ob. niżej, wynika, iż naprawdę mogłoby tu chodzić jedynie o Mostowskiego.

³⁾ T. j. list Aleksandra do Czartoryskiego 13—15 stycznia 1813 wraz z propozycjami Mostowskiego 3 grud. 1812 (2 stycz. 1813) schwytaane przy Kluczewskim przez Austryaków.

⁴⁾ Tutaj „Karol“ może oznaczać faktycznie jedynie Mostowskiego; byłoby to najpierwsze z jego strony, nadzwyczaj zresztą lakonicznie, jakby od niechcenia bąknięte przyznanie się do czynionych przed Bignonem rewelacyj,

śmie wytlómaczył. Jednak lękać się należy, aby mimo wszystkiego starania tutejszy *plpłt Joachima* (poseł Napoleona, t. j. Bignon) nie narobił plotek i oskarżeń różnych. Łatwo z tego wniesć, jak położenie *Karola* (? Mostowskiego) jest delikatne i jak mało powinien się narażać na dalsze wypadki. Zdaje się oczywistą rzeczą, że gdyby *Ignacy* (Aleksander) zebrał teraz z 80,000 *gotowizny* (wojska) z dóbr *Młynowskich* (rosyjskich) i miał je tam obok *Gorayskich* (Austriaków), mógłby śmiało ogłosić warunki i ugodę z *Pernetami* (Polakami), bo z tych dostałby za pomocą *towarów Antoniego* (subwencji angielskiej) wielką posługę, a *Gorayscy* (Austriacy) lękaliby się o swoich *Pernetów* (Polaków galicyjskich) i cichoby siedzieli, a gdyby się poruszyli, toby pewnie swych *Pernetów* (Galicyan) stracili. Tembardziej to podobne do prawdy, że i *cugi* (zaciągi) zbierające się po lewej stronie *Orońska* (Krakowa) i nasze własne wspólnieby się z *Młynowską gotowizną* (wojskiem rosyjskiem) w jednym celu użyć mogły. Szkodaby zaniechać tak dobrej chwili, i będzie to słabość nieprzebaczona w *Ignacym* (Aleksandrze), jeżeli jej nie użyje. Bo można śmiało wierzyć, że gdyby się to tak uskutečniło, *Gorayscy* (Austriacy) by się od *Pernetów* (Polaków) wynieśli i jużby z tej strony *Ignacemu* (Aleksandrowi) nie zagrażali, która w dalszych sprawach jest dla niego najniebezpieczniejsza, gdyż łatwo tędy wziąć mu tyły i prosto do *Samogoszcy* (Warszawy) trafić a potem dalej. Warte to jest wielkiego zastanowienia. Lubo nasze *cugi* (zaciągi) teraz nieliczne są, jednak znaczną bardzo odmianę przynieść mogą w rzeczach, jeżeli będą dla tej lub owej strony użyte. Ale jeszcze raz powtarzam, ani myśleć aby ich dostać, bez wyraźnej determinacyi i ogłoszenia *intercyyzy* ¹⁾ z *Pernetami* (Polakami).

„Od *Michalskiego* (Antoniego Radziwiłła) nic nie mamy po pierwszym uwiadomieniu z *Samogoszcy* (Warszawy): dlatego to wzmiankuję, aby wzajemnie uważać, czyli wszystko dochodzi i czyli co w drodze nie ginie. Adresować odtąd do niego będziemy pod kopertą *Dowiakowskiego*, *Borysławskiego* lub innych à *mr. Louis Michalski*, a zatem listy pod tym adresem odsyłać sobie każe. Dobrzeby kazać potajemnie obwieścić na tantych przednich strażach, ²⁾ aby wszelkie listy i posłańców stąd, mają-

gdyż o niczem podobnem ze strony *Potockiego* niema żadnej zgola wzmianki w korespondencyi *Bignona*.

¹⁾ Zazwyczaj w znaczeniu „konstytucyi“; tutaj wogóle—„ugody“.

²⁾ T. j. forpocztach rosyjskich.

cych zaświadczenie z podpisem p. Ludwika Poryckiego, przepuszczali, przyjmowali, wzięli w opiekę i do p. *L. Michalskiego* (Radziwiłła)¹⁾ prosto przesyłali; także gdyby w przyszłych wypadkach bądź *Karol* (? Mostowski), bądź który z jego *kolegów* (ministrów), bądź który z *Wiekowych* (Rady konfederackiej) miał potrzebę ujeżdżać do *zajętych Pernetów*²⁾, ażeby ich dobrze przyjmowano i pomoc im dawano. Posłańcy stamtąd zaś (t. j. z Warszawy) do *Orońska* (Krakowa) mają się sprawić jaknajciszej, nikomu się nie zwierzać; a byle *Gorayskich* (Austryaków) uniknęli, co nietrudno, spokojnie do miejsca dojadą, a tam, zwłaszcza bez użycia języka, sprawić się mają. Zataić nie można i nie należy, że *kolcący Karola* (ministrowie) i większa część *Wiekowych* (Rady konfederackiej) są bardzo uczciwi ludzie, lecz znacznie podlegli trwożliwości; dlatego, chcąc ich pociągnąć do czynnego działania, trzeba, ile możności, uprzętać powody do bojaźni.“

X.

Listy powyższe nie zastały już w Warszawie Czartoryskiego i miały dojść rąk jego ze znacznem, poczęści miesięcznem z górą opóźnieniem. Wybierał się on bowiem podówczas do kwatery głównej Aleksandra. W Krakowie o tem byli uprzedzeni i dlatego właśnie, na wypadek jego nieobecności, część korespondencji tajnej kierowano na ręce „Michalskiego“, t. j. Antoniego Radziwiłła, do Nieborowa pod Warszawą. W rzeczy samej Czartoryski wyjechał z Warszawy 28 marca, przybył do kwatery głównej Aleksandra w Kaliszu 30 marca, siedział tam do 8 kwietnia 1813 r. Czekwały go tutaj ciężkie rozczarowania. Aleksander dalekim był od decyzji prostej i stanowczej podania dłoni Polsce, podniesienia Królestwa Polskiego złączonego z Litwą, pod berłem własnem a tem mniej W. Księcia Michała, decyzji z takim upragnieniem wyczekiwanej przez statystów krakowskich. Liczył się on jeszcze z czekającą go ciężką przeprawą zbrojną z Napoleonem, liczył się bardzo ze świeżym swoim sojusznikiem, Prusami, i zaproszonym dopiero a mocno jeszcze niepewnym sojusznikiem, Austryą, liczył się wreszcie nienajmniej z żywiołową

¹⁾ T. j. do Nieborowa.

²⁾ T. j. do okupowanego przez Rosyan Księstwa Warszawskiego.

do Polski nienawiścią, istniejącą w samejże Rosyi, a obecnie, po świeżych sukcesach, bardziej niż kiedykolwiek spotęgowaną i obostrzoną w nacyonalistycznych kołach wojskowych i biurokratycznych rosyjskich. Z tem wszystkiem oczywiście cesarz Polaków nie chciał wypuścić z garści, chciał ich Napoleonowi odebrać i do swojej mieć dyspozycji: lecz co do sposobu i formy ostatecznego nimi zarządzenia pragnął jaknajdłużej jaknajpełniejszą zachować sobie swobodę. W takim też bardzo niejasnym i dwulicowym duchu utrzymał się on podczas przyjęcia Czartoryskiego w Kaliszu i odbytych z nim konferencyj; nie pozwolił mu przy sobie pozostać i odesłał go z powrotem do Warszawy. Z ciężkiem sercem opuszczając Kalisz, ks. Adam po drodze, 9 kwietnia wieczorem zatrzymał się w Nieborowie; podczas ówczesnej jego z Antonim Rądziwiłłem narady, jak się zdaje, wobec niebezpiecznej rezerwy Aleksandra, wypłynęła nawet na chwilę myśl o „braterstwie niemieckiem,” t. j. o widokach polskich domu Hohenzollernów. Nazajutrz, 10 kwietnia 1813 r., Czartoryski stanął z powrotem w Warszawie, na swej wyprawie kaliskiej niewiele zyskawszy światła, niewiele więcej niż przed tą wyprawą będąc w stanie ulżyć troski i rozproszyć zwątpienia swoich korespondentów krakowskich.¹⁾

A tam w odciętym od Polski i świata Krakowie coraz większy panował rozgardyasz. Z jednej strony brakło tam wciąż oczekiwanych napróžno konkretnych, stanowczych wiadomości od Aleksandra. Z drugiej — nadchodziły coraz wyraźniejsze wiadomości o potężnych zbrojeniach się Napoleona. Pomnażała ciemności dwuznaczna a nieprzenikniona postawa Austrii, o której ciągle zgoła przesądzać nie było podobna, czyli w ostatniej chwili do francuskich czyli też do koalicyjnych przymknie szeregow. Wszystkie te czynniki jaknajgorzej na zmiennych krakowskich odbijały się nastrojach. „Otrzymałam znów świeżo — pisała z końcem marca księżna Izabela do syna, ks. Adama²⁾ — nowiny w sprawach naszych. *Bankier* (ks. Józef) wraz z wieloma kolegami swymi w niesłychanych trwa perpleksyach. W podobnem są położeniu naczelnicy *interesów Wysocka* (Rady konfederackiej). Nie odbierając bowiem wieści żadnej ani od *Br(onzowej) Fi(gury=ks. Adama)*, ani też tem samem od *wierzycieli* (Rosyan), obawiają się, iż będąc naciska-

¹⁾ Polska a Europa, Dziennik Czartoryskiego 30 marca—10 kwiet. 1813, „Bibl. Warsz.,” j. w.; szczegóły bliższe wraz z korespondencją Czartoryskiego ogłoszone będą na innem miejscu.

²⁾ Ks. Izabela do ks. Adama (Puławy) 30 (marca) 1813.

ni z jednej strony od tych *wierzycieli* (Rosyan), a mając w sąsiedztwie *Reutera* (Francuzów?), w najokrutniejszym znajdują się ambasasie. Co jeszcze gorsza, *lokaje i służba Kitthela* (władze i wojska austriackie) pragną zająć ich miejsce i czynią co tylko możliwe, aby ich spowodować do usunięcia się i opanować stanowisko (t. j. Kraków), gdzie znajduje się *bankier* (ks. Józef) i jego ludzie.“

Niemal jednocześnie donosił Mostowski wprost z Krakowa¹⁾: „Rozchodzi się tu coraz szerzej wieść, że *Goaryscy* (Austriacy) za kilka dni wyjdą do siebie; przynajmniej oni sami to powszechnie głoszą; dodają, że naszej *gotowizny* (wojska) za rzekę²⁾ nie przepuszczą. Jeżeli wyjście pierwszych potwierdzi się, gdy zawsze przekonany jestem, iż bardzo wiele na tem zależy, aby *koledzy Karola* (Rada ministrów) i *Wiekowi* (Rada konfederacka) nie byli przymuszeni wyjechać zagranicę, czy nie chciałby p. *Ignacy* (Aleksander) przysłać w takim razie do Rady i do *bankiera* (ks. Józefa) propozycje: 1) Iż *koledzy Karola* (Rada ministrów) i *Wiekowi* (Rada konfederacka) zostaną spokojnie i bezpiecznie w *Orońsku* (Krakowie) do dalszego czasu lub do pokoju. 2) Iż *bankier* (ks. Józef) z *gotowizną* (wojskiem) również spokojnie trzymać się ma w *Orońsku* (Krakowie) i okolicach wszelkich, dotąd przez *Ignacowych* (Rosyan) nie zajętych, zapewniając wzajemne z obu stron bezpieczeństwo. 3) Iż gdyby te warunki nie miały być przyjęte, wtedy *Ignacowi* (Rosyanie) w 48 godzin zajmą *Orońsk* (Kraków) i resztę kraju wraz z *gotowizną* (wojskiem) naszą. Ten warunek potrzebny jest dla usprawiedliwienia wszystkich, którzy tu zostaną: dlatego sędzę, iż dobrze zrazu nie o *kawiarzu Joachima* (pośle Napoleona, t. j. Bignonie) nie wspominać, aby za nim *Wiekowi* (Rada konfederacka) nie musieli wyjechać; lecz po ugodzeniu i przyjęciu powyższej konwencji, w kilka dni możnaby przysłać od *Ignacego* (Aleksandra) rekwizycję: „gdy przekonano się, iż *kawiarz* (Bignon) tam zawsze wysyła szpiegów, gdzie mieszka *Ignacy* (Aleksander, t. j. do Rosyi), ażeby zatem tenże *kawiarz* (Bignon) ze swoimi wyjechał natychmiast, bo inaczej *Ignacy* (Aleksander) po niego przyśle żołnierza.“ Tak się ułożywszy i postanowiwszy rzeczy wzajemnie, wkrótce, jeżeli p. *Ignacy* (Aleksander) zechce przystąpić do ogłoszenia ugody i *interczyzy* (konstytucyi) z *Pernetami* (Polakami), cała rzecz się zakończy i *gotowizna* (wojsko) tujejsza byłaby dla niego.“

¹⁾ Mostowski do Czartoryskiego (Kraków), 31 marca (1813).

²⁾ T. j. za Wisłę.

Dni najbliższe, zamiast urzeczywistnienia tych życzeń pobożnych od strony rosyjskiej, przyniosły coraz jaśniej precyzującą się groźbę od strony austriackiej. W Wiedniu, właśnie ze względu na wiadome tam od chwili odkryć klekotowskich widoki polsko-rosyjskie, żadną miarą nie życzo no sobie utrwalenia się siły zbrojnej polskiej w Krakowie. Zmierzając do pokojowego wyparcia rządu a zwłaszcza wojska polskiego z Krakowa, rząd austriacki napozór dogadzał i Aleksandrowi, z którym równocześnie tajną w tej materii zawierał konwencyę, i Napoleonowi, z którym ciągle w rzekomo lojalnym charakterze sprzymierzeńczym rokował; napozór zabezpieczał pierwszego od offensywnego nawrotu polskiego do Księstwa a drugiego od zdrady polskiej: — w rzeczywistości zaś swoje własne posuwał interesa, pozbywał się broni polskiej, jednakowo, choćby ze względu na Galicyę, niewygodnej w Krakowie, czy to jako awangarda rosyjska, czy to jako aryergarda francuska. O tej ubocznej a krzyżującej wszelkie zamysły krakowskie interwencyi austriackiej już w dniach najbliższych poszło alarmujące z Krakowa doniesienie, tym razem znowuż pismem kobiecem, nie przez wystraszonego Mostowskiego, lecz widocznie przy jego skreślone udziale:¹⁾

„Nowe rozkazy przybyłe *Gorayskim* (Austriakom) zdają się oddalać ich wyjście; przynajmniej wczoraj ich *przełożony* (generał Frimont) *bankierowi* (ks. Józefowi) oświadczenia wielkie czynił tudzież nam wszystkim. Jednakże nie taję, gdyby naszym *cugom* (wojsku) trzeba było przechodzić przez *Pernetów Gorayskich* (Galicyę), nie mogłoby inaczej to się dziać, jak *rozebrany* (rozbrojony), a *szory* (broń) osobno na wozach przewozićby musiano. Zdaje się tembardziej rzeczą niewątpliwą, iż gdyby p. *Ignacy* (Aleksander) chciał teraz ogłosić ugodę z *Pernetami* (Polakami), zyskałby niebawem *gotowiznę* (wojsko) naszą a *Gorayscy* (Austriacy) przez obawę postradania swoich *Pernetów* (Galicyan) cichoby siedzieli. Za rozkazem *Piotra* (Fryderyka-Augusta) dziś ponawianym *Karol* (?) z kolegami w przypadku opuszczenia *Orońska* (Krakowa) mają mianować tymczasową administracyę ogólną w *Samogoszcy* (Warszawie) a sami jechać do niego. Sądzę zawsze, że tego uniknąć koniecznieby trzeba; bo pewnie za nimi *Wiekowi* (Rada konfederacka), *Mikołajowscy* (Litwini) tu będący, takżeby pojechali, a ten przykład wielu by pomiędzy *Pernetami* (Polakami) od przystąpienia do ugody z p. *Ignacy*

¹⁾ (Pani Zamoyska?=Mostowski) do Czartoryskiego, (Kraków), 4 kwietnia (1813).

cym (Aleksandrem) wstrzymał. Gdy zaś pierwsi będą mogli do niej przystąpić, nie będzie pozoru dla innych do ociągania się. Znajduję tę rzecz tak ważną, iż tak dla jej ułożenia, jak dla reszty uwag i doniesień w tym liście zawartych, wysłać go przez umyślnego przedsięwziętem, którego zatrzymawszy póki trzeba na miejscu, z odpowiedzią tu nazad odesłać proszę, adresując ją tylko à mr. Louis Porycki; tenże umyślny ma rozkaz gonić p. *Michalskiego* (Antoniego Radziwiłła), gdzie będzie, a wszędzie milczeć. *Szoński* (? Zamoyski) pisać tą razą niechce, bo niechce pomnażać podejrzeń *kawiarza* (Bignona) tutejszego, który nas i tak pilnie strzeże; lecz *Szoński* (? Zamoyski) donosi, iż wszyscy swoi tu i u *Pernetów Gorayskich* (w Galicyi) są zdrowi.⁴

„Gdy umyślny jutro dopiero może wyjechać—pisała ta sama ręka kobieca nazajutrz ¹⁾—mam czas jeszcze przydać, iż *Gorayscy* (Austriacy) w niepewnych poruszeniach i zamiarach swoich trwają, codziennie inne wieści i sprzeczne puszczając. Zdaje się, iż czas jest ażeby już coś wyraźnego postanowić i przedsięwziąć i ze strony p. *Ignacego* (Aleksandra), do czego tu by się stosować można; bo powtórzyć należy, iż równie jak wszystkich *Pernetów* (Polaków) obiecać mu pewnie wolno, gdy ugodę i *intercyzę* (konstytucyę) z nimi przyjmie i ogłosi, tak uwodzilibyśmy go, czyniąc mu jakiegokolwiek przyrzeczenia od nich bez tej ugody; teraz zaś podobno najdogodniejsza jest pora ku wzięciu decyzji, a zapewne wpływy i namowy *kawiarzów Antoniego* ²⁾ w tym celu p. *Michalski* (Radziwiłł) użyje: wszakże to dla terażniejszego *Antoniego* (Jerzego III) jest jedyna chwila i okoliczność, któremi imię swoje w dziejach niestarte i wiecznie pamiętne unieść i zachować potomnym potrafi. Onby się pewnie o taką okoliczność dobijał; a ona sama mu się złożyła i przyszła. Jeśliby zatem kiedyś w tych czasach miało być coś dogodnego i wyraźnego postawionem przez p. *Ignacego* (Aleksandra) a p. *Michalski* (Radziwiłł) chciał w tym celu rozmówić się wtedy z *bankierem* (ks. Józefem) lub z którymi z nas, możnaby takie zjechanie się ułożyć tajemnie na dzień i godzinę umówioną w Krzeszowicach u *podprefekta* ³⁾,

¹⁾ (Pani Zamoyska ?=Mostowski) do Czartoryskiego (Kraków), 5 (kwietnia 1813).

²⁾ T. j. przedstawicieli Anglii; zapewne mowa tu o generale Wilsonie, lordzie Cathcart i t. d.

³⁾ Rogowskiego (wedle Kalend. polit. 1813, 235, podprefektura krzeszowska *vacat*). Ustęp ważny: początek misji krakowskiej Radziwiłła; por. niżej.

gdzieby p. *Michalski* (Radziwiłł) pod tem imieniem zjechał, lecz to wtenczas tylko uczynić wypadu, gdy już rzeczy ukartowane, dojrzałe i blizkie końca okażą się. Trudno zrozumieć, dlaczego bieg poczt i listów z *Samogoszcy* (Warszawy) do *Orońska* (Krakowa), tudzież gazet berlińskich i wrocławskich zatamowano. Zdawałoby się owszem, iż te ostatnie zwłaszcza teraz ogłaszać i rozsyłać wypadu. W tym momencie odbieram ostrzeżenie, iż żonie *Karola* (Mostowskiego)¹⁾ sekwestrem w dobrach tykocińskich pod Białostokiem zagrożono. Tłómaczenie z jej strony mam honor tu dołączyć z prośbą, ażeby toż, jeżeli zagrożenie sekwestrami trwa jeszcze, przełożone i użyte w miejscu pierwotnem być mogło. NB. Dołączę one przez inną okazyę. Upraszam odpis, przez posłańca spodziewany, dla większej pewności zakopertować pod adresem L. Poryckiego, do p. Rogowskiego, podprefekta krzeszowickiego, przez którego dalsze komunikacye załatwione będą, jak mam nadzieję. Dobry sługa. Ponawiam, że to trzeci list piszę po przesłaniu dokumentów odpowiednich, których także było 3 sztuki.²⁾ Prosimy nie zapomnieć donieść nam o dojściu wszystkiego.“

Już nazajutrz nowy, coraz dobitniejszy przyszedł alarm austriacki: otwarte już wezwanie ks. Józefa przez dowódcę otaczających Kraków wojsk austriackich, generała Frimonta, do ustąpienia z miasta i wycofania się ku Zachodowi przez Galicyę z rozbrojonem wojskiem polskiem. Obszerne z tego powodu doniesienie następujące, pisane również, jak się zdaje, ręką pani Stanisławowej Zamoyskiej, posłane zostało przez panią Zuzannę z Bielińskich Karolową Jezierską do Warszawy, lecz po drodze schwytane przez kozaków i oddane do rąk prefekta departamentu warszawskiego, Franciszka Nakwaskiego, skąd po kilkotygodniowej dopiero zwłoce doszło rąk właściwego adresata, Czartoryskie-

¹⁾ W tem miejscu „Karol“ oznaczać może tylko Mostowskiego a nie Potockiego. Chodzić tu bowiem może jedynie o Maryannę z Potockich starościankę kaniowską Tadeuszową Mostowską, będącą razem z braćmi Janem i Feliksem Potockimi, po ojcu swym Janie Potockim, a właściwie po dziadku macierzystym Joachimie Potockim, współsukcesorką przekazanych temu ostatniemu przez J. Kl. Branickiego dóbr białostockich i tykocińskich, z których pierwsze, mocą kontraktu zawartego z kamerą białostocką pruską 23 lut. 1802 oraz tranzakcyi sprzedażnej z senatorem Theylsem, wielkorządcą białostockim rosyjskim, 20 lut. 1809 przeszły na rząd rosyjski, drugie zaś w rękę współsukcesorów pozostały.

²⁾ Pisma z 15 marca, j. w.

go.¹⁾ „*Gorayscy* (Austriacy)—tak w tem ciekawem a tak niefortunnie skierowanem piśmie informowano ks. Adama²⁾—oświadczyli *bankierowi* (ks. Józefowi), iż mają rozkazy do wyjścia i do ustąpienia *Ignacowym* (Rosyanom); żądali przytem, aby on wprzód wychodził przez *włości ich Pernetów* (Galicyę), prowadząc *cugi* (wojsko) w małych kupkach i bez *szorów* (broni), które osobno za nimi wiezione być mają. *Bankier* (ks. Józef) odpowiedział, iż on rozkazów do wyjścia nie ma, że zatem bez nich wyjść ani przodem nie może, chyba przymuszony. Ta jest krótka treść długich rozmów. Chcą tu wiedzieć zapewne, iż *Gorayscy* (Austriacy) mają rozkaz naszą *gotowiznę* (wojsko) wyprowadzić, potem sami zając *Orońsk* (Kraków) z okolicą i w nich 8000 *gotowizny* (wojska) swojej zachować. Takie jest położenie rzeczy terazniejszej: *kawiarz* (Bignon) sturbowany wyprawia dziś umyślnego do *Joachina* (Napoleona) z uwiadomieniem o tem i żądając rozkazów dla *bankiera* (ks. Józefa). Ale czy powrotu doczekać dadzą, to wcale niepewna. W tym składzie jest pora zupełnie dojrzała dla p. *Ignacego* (Aleksandra); i czy zechce wezwać *Wiekowych* (Radę konfederacką) do układu; czy ogłosić natychmiast przyjęcia ugody i *interczyzy* (konstytucyi) z *Pernetami* (Polakami);—co najkrócej i najlepiej byłoby; czy naostatek ofiarować dla naszych, wyprosiwszy *Gorayskich* (Austriaków) tymczasowie, rozejm, każda z tych propozycji teraz uczyniona, jak w przeszłych listach pisaliśmy, natychmiast przyjęta i wykonana przez wszystkich *Pernetów* (Polaków) zostanie. Szczegóły i powody są wyłuszczone w poprzednich pismach, mianowicie, w ostatnim zawczoraj przez umyślnego stąd wysłanym do p. *Michalskiego* (Radziwiłła) pod kopertą zastępcy prefekta w Kaliszu³⁾; dlatego tu ich nie będziemy powtarzać. Jeżeli więc p. *Ignacy* (Aleksander) teraz nic nie postanowi i nie przedsięweźmie, znać że nas niechce. Co tu mówię o *Pernetach* (Polakach) i o nas, mówię i o *bankierze* (ks. Józefie), który do każdej rzeczy *jasnej i pewnej*, jak pisałem, przystąpi. Siostra owdowiała p. *Ignacego* (Aleksandra)⁴⁾ miała

¹⁾ Por. ks. Józef Poniatowski, 313 sq., gdzie ułamki z tego i następnych listów podane wedle odpisu; tu całość z oryginałów.

²⁾ (Pani Zamoyska?) do Czartoryskiego, (Kraków) 6 kwietnia (1813) [nadpis: „odebrane od Dowiakowskiego d. 22 maja 1813“].

³⁾ Podprefekta kaliskiego, Józefa Żychlińskiego.

⁴⁾ T. j. Katarzyna Pawłówna, wdowa po W. Księciu Oldenburskim. Por. Bibl. Warsz., Dzienn. Czartoryskiego, lipiec 1814, gdzie ślad wcześniejszych tajnych propozycyj regencyjnych Mostowskiego dla W. Księżnej.

wczoraj przejeżdżać przez Tarnów do wód a raczej do stolicy *Gorayskich* (t. j. do Wiednia).

„Odebraliśmy od p. *Michalskiego* (Radziwiłła) listy 19 i 26 (marca) z *Samogoszczy* (Warszawy) pisane. Czekając więc tęskliwie na dalsze i bliższe wiadomości od niego, tymczasem na niektóre artykuły, wymagające odpowiedzi, uważamy; iż oprócz pierwszego odpisu z Tarnowa, o którego odebraniu wzmiankuje, przesłaliśmy stąd do *Samogoszczy* (Warszawy): a) trzy dokumenty odpowiednie przez niejakiego Maciejowskiego z Komisji Eskontowej, który z niemi stąd 23 marca wyjechał;¹⁾ b) później, t. j. 24 pisał *Karol* (?) pod kopertą p. Borysławskiego do p. *Michalskiego* (Radziwiłła); c) znowu 26 tenże i *Szoński* (Mostowski i Zamoyński?) pisali pod kopertą Dowiakowskiego;²⁾ d) naostatek 5 kwietnia *Karol* (?) pisał do p. *Michalskiego* (Radziwiłła), jak wyżej, przez umyślnego, na którego powrót z Kal(isza) czekają. Prosimy o doniesienie, iż te wszystkie ekspedycje go doszły. Tak, jak *plpt* (ks. Adam) myśli, i my także czynić chcemy, aby póki stopa nasza może stać na ziemi *Pernetów* (polskiej), onej się trzymać; i tego dopełniny, ile słaba zdolność nasza dozwoli. Ale bez pomocy i wdania się wyraźnego p. *Ignacego* (Aleksandra), długo oprzeć się nie zdołamy, gdy slysze, że w tym momencie, co piszę, znowu przyjechali od *Gorayskich* (Austryaków) naglić *bankiera* (ks. Józefa), aby wychodził. Niech p. *Ignacy* (Aleksander) pomyśli, że doprawdy może, wzięwszy determinacyę, dać sobie natychmiast 18 do 20,000 czystej *gotowizny* naszej (wojska) tudzież wszystkich teraz *Pernetów* (Polaków), którzy za tem na dalszą *gotowiznę* (wojsko) do ostatkaby się ciągnęli: inaczej to straci nazawsze co jest, a później nowe procesa i kłótnie pozyszcze.

„Pisanie p. *Dindonneau* (?) nie z tego nie zrobiło, prócz małego pasztetu, który się szczęściem naprawił, wstrzymał i zatarł; bo *Dindonneau* (?), równie uczciwy jak gadatliwy, poszedł to wszystko *kawiarzowi* (Bignonowi) wypaplać; lecz potem to obrócił inaczej. Zresztą tak on, jak wszyscy *koledzy Karola* (ministrowie) są uprzedzeni i nasi, wyjąwszy *sprawiedliwego* (Łubieńskiego), któremu przed czasem zwierzać się nie wypada. *Wiekowych* (radców konfederackich) kilku lepszych jest także przygotowanych; reszta się znajdzie w porze dojrzałej. *Karolowa*³⁾ pisała pod datą 19

¹⁾ Por. wyżej, 3.

²⁾ Por. wyżej, *ibid.*

³⁾ Tu widocznie Mostowska, z Paryża.

marca: *Szczepański* (Matuszewicz) już był od *Karola*¹⁾ ostrzeżony o fatalnem *zajęciu* (t. j. aferze Kluczewskiego) i rzeczy tam szły spokojnie i dobrze, mimo odgrzązań tutejszego *kawiarza* (Bignona), który zawsze się chwali, iż 5 (marca) posłał tam jakieś²⁾ dokumenta bardzo zachwiewające *Szczepańskiego* (Matuszewicza), *Karola* i *Szońskiego*³⁾, o których jednak my wcale nie wiemy i które chyba skomponował. Przeciąganie rzeczy, jak w liście *plpta* (Czartoryskiego) uważać można, niepodoba mu się: już też i my w przeszłym naszym tudzież w niniejszym wytłómaczyliśmy, iż sądzimy, że teraz nadeszła godzina, w której dojrzałe można przystąpić do rzeczy i natychmiast, przyjąwszy, ogłosić, zapewniając, iż od *Pernetów* (Polaków) i tu bardzo dobrze przyjętą będzie. Powtarzam, iż *bankier* (ks. Józef) już się nie waha, lecz mało wierzy: zawsze jednak do rzeczy *jasnej i pewnej*, tudzież do rozegnu *pewnego i uczciwego* przystąpi. Dotąd z Kalisza nic nie mamy, co nas dziwi i martwi; lecz przez posłańca *Karola* (?) przynajmniej spodziewamy się czegoś jasnego, bo tego bardzo dla dalszego kierunku potrzebujemy. Komisji rządzącej nie można było w *Samogoszcy* (Warszawie) zostawić, bo *kawiarz* (Bignon) nie chciał; i inne były przyczyny ważne przeciw temu. Teraz król (Fryderyk-August) kazał, aby Rada, gdy będzie musiała ustąpić z kraju, mianowała wtenczas taką Komisję. Najkrócej byłoby, gdyby p. *Ignacy* (Aleksander) się udecydował, ugodę z *Pernetami* (Polakami) przyjął i ogłosił, a wtenczas wszyscyby do *Samogoszcy* (Warszawy) powrócili. Żywność dla *gotowizny* (wojska) naszej choć z biedą dalej wyklepiemy, byle ją tu zostawiono.“

Nacisk austriacki wzrastał teraz już nie co dnia, lecz omal co godzina. „*Gorayscy* (Austriacy) koniecznie nalegają na *bankiera* (ks. Józefa),—brzmiały dalsze trwożliwe skargi z Krakowa⁴⁾—aby się z *gotowizną* wynosił. Już mu obiecują, że *cugi* (wojsko) z *szorami* (bronią) i *brykami* (działami) przez ich włości przepuszczają, że żywność i wszelkie przewozy darmo dadzą: ale nagle jaknajśpieszniej, wystawując w tem nieodbitą potrzebę z jednej a wielkie i blizkie niebezpieczeństwo z drugiej strony. Niechcą zaś, aby *wodę* (Wisłę) pod *Orońskiem* (Krakowem) przebywał, lecz w in-

1) Tu: Mostowskiego?

2) Por. depeszę Bignona do Bassana 5 mars 1813, j. w.

3) Tutaj widocznie należy pod „Karolem“ rozumieć Mostowskiego, a pod „Szońskim“—Zamoyskiego.

4) (Mostowski) do Czartoryskiego, (Kraków) 7 kwiet. (1813).

nem miejscu. *Bankier* (ks. Józef) stale odpowiada, iż bez rozkazów wyższych ruszyć nie może i nie ruszy. Ale najdalej za kilkanaście dni te rozkazy pewnie przyjdą, bo równie wypada *Joa-chimowi* (Napoleonowi) mieć taki zawiązek *cugów* (wojska) naszych nadal, jakby wypadać powinno *Ignacemu* (Aleksandrowi) postarać się zachować onych dla i u siebie. Jest to zatem ostatnia chwila, w której ten może coś dobrego, rozsądnego i zgodnego z *Pernetami* (Polakami) przedsięwziąć i postanowić; bo zataić nie można, iż gdy raz *bankier* (ks. Józef) z *gotowizną* (wojskiem) do *Joachima* (Napoleona) się przeniesie, przywiązania, wspomnienia i duch narodowy im towarzyszyć, z nimi wędrować i przebywać będą. Jużby potem *Pernetę* (Polacy) jednogłośnie chcieć ani czynić nie zdołali. Oczywiście przytem, iż za *cugami* (wojskiem) wszystko, co czuje i myśli, z *Orońska* (Krakowa) pójdzie, a zatem cóżby do zgody zostało? Niech p. *Ignacy* (Aleksander) zechce nad tem położeniem rzeczy bez uprzedzenia rozmyślać; ujrzy, iż takiej pory, jak terazniejsza, dla poddania sobie umysłów i serc *Pernetów* (Polaków) nazawsze, mieć więcej nigdy nie będzie, i niech przeto wymówi i ogłosi żadaną z nimi ugodę; na co tęskliwie i niecierpliwie czekać będziemy. Dziesięć dni czasu przed nami wszystko tu, źle lub dobrze, na długie lata tak dla *Pernetów* (Polaków), jak dla *Ignacowych* (Rosyan) postanowią. Ażeby nikogo płonnie nie uwodzić, starałem się pisać i postępować stopniami, stosownie do wzmagającej się opinii. Tym sposobem listy moje coraz natarczywszemi stawać się musiały, aż wybiła godzina, w której jeśli p. *Ignacy* (Aleksander) zechce prosto przyjąć i ogłosić warunki podane od *Pernetów* (Polaków), mieć ich wszystkich wraz z *gotowizną* (wojskiem) nieodzownie za sobą będzie a im i swoim wiecznej spokojności i szczęścia nabędzie. Ale ta postać rzeczy za 10 lub 12 dni gwałtownie odmienić się może. Gdy *cugi* (wojsko) wyjdą, rząd i *Wiekowi* (Rada konfederacka) i wszyscy znaczniejsi tu zgromadzeni za nimi rozpięzchną się; a niezliczone przychylności osobiste i powszechnie wszystkimi granicami z narodu uchodźcie, śledzić ich, i z nimi przemieszkować będą. Postrzegam, iż ciągle powtarzam się i toż samo prawię: lecz okoliczności i zamysł równym są płodem brzemienne a w samej rzeczy i oczywiście jest *periculum in mora*. Dlatego jeszcze raz jutro umyślnego wyprawiam z tem: niech szuka, niech goni *plpła* (Czartoryskiego), a ten niech szczęśliwie dociera, jeśli dotrzeć można; lub nam wręcz i prędko donosi, że rzecz niepodobną stała się, abyśmy naprózno dalej nie tonęli, już i tak do połowy zabrnąwszy.“

Nazajutrz nowe, coraz natarczywsze naglenia pobiegły do Warszawy do bezradnego, bezsilnego ks. Adama ¹⁾: „Dowiadujemy się z kilku stron, iż *plpt* (Czartoryski) miał do *Samogoszczy* (Warszawy) powrócić, a przeto niniejszy list do niej przesłać umyśliliśmy. Wszystko to nie na rękę się wie dzie, jak zwyczajnie w sprawie *Pernetów* (polskiej). Bo list, przez umyślnego do prefekta kaliskiego ²⁾ wyprawiony, Bóg wie zatem kiedy i jak dojdzie, a nawet poprzedzające rozminąć się łatwo w drodze z *plptem* (Czartoryskim) mogły. Niech o nie p. *Michalski* (Radziwiłł) raczy się upomnieć, aby przynajmniej nie zginęły lub w cudze ręce nie przeszły, a względem wyjść przymuszanego *bankiera* (ks. Józefa) z *gotowizną* (wojskiem), a przeto i z nami, niech środki ratujące przedsięwzię jaknajpilniej. Jeśliby żadną miarą przyjęcie i ogłoszenie ugody z *Pernetami* (Polakami) teraz dotrzeć się nie dało, niechby więc przynajmniej p. *Ignacy* (Aleksander) postarał się *Gorayskich* (Austryaków) stąd wyprosić a nas i naszych za rozejmem tu z miesiąc lub dwa tak jak jesteśmy zostawić. Takby mu się nie rozpierschło to, co mu w czasie istotnie przydatnem i potrzebnem być może. My, byle *Gorayscy* (Austryacy) poszli, postaramy się nasze *cugi* (wojsko) wyżywić w tym kącie choćby do żniw. Prosimy nam w tem jaknajśpieszniejsze dać oświecenie i rezolucyę. *Kawiarz* (Bignon) tutejszy przed swymi zaufanymi ciągle chełpi się, iż 5 marca miał *Joachimowi* (Napoleonowi) przesłać jakieś dwa listy i projekt przez *Szczepańskiego* (Matuszewicza) pisane, co pewnie nie jest i być nie może, ale coś wszelako w tem być musi, czego się nie uniemy domyśleć, ani bliżej od *kawiarza* (Bignona) wywiedzieć. Mówi także, iż ma trzy listy od p. *Ignacego* (Aleksandra) do *Michalskiego* (Radziwiłła), co pewnie bajka, bo prócz jednego i pierwszego, o żadnych innych przejętych nie wiemy. List z Płocka komunikowany doszedł był nas dobrze.

„Mianowanie Rady N(ajwyższej Tymczasowej) w *Samogoszczy* (Warszawie) niekoniecznie się podoba u nas ani *Pernetom* (Polakom); jednakże druga połowa ratuje pierwszą.” Zresztą można to uważać jeszcze jak tymczasowe postanowienie: a nie chcemy wcześniej smucić się dostrzeganiem w tym pierwszym kroku jakoby odstąpienia podanych zasad i uczynionych przyrze-

¹⁾ J. w. 8 kwietnia (1813).

²⁾ Antoniego Garczyńskiego.

³⁾ T. j. że do Rady Najwyższej Tymczasowej, obok Rosyan Łanskoja Nowosilcowa i Prusaka Colomba, weszli też Polacy Wawrzecki i Lubecki.

czeń ogólnych. Niech *plpt* (Czartoryski) przełoży, że tak, jak tu są rzeczy i gdyby *cugi* (wojsko) nasze wyjść musiały, żadnej poczciwej i usprawiedliwiającej przyczyny do zostania nie mielibyśmy; bo na taki postępek trzeba przynajmniej dowodu jasnego, że to dla krajuby się uczyniło, a przeto nie nas do tego uczciwie pociągać nie może, chyba ogłoszenie ugody z *Pernetami* (Polakami). Za rozejmem siedzieć nie możemy, bo mamy rozkaz trwać tu z krajem. *Gorayscy* (Austriacy) teraz, kiedy *bankiera* (ks. Józefa) do wyjścia skłonić nie mogą, sami także wychodzić nie myślą; owszem zaczynają przeciwnie przebąkiwać; lecz na utrzymanie ich i naszych *cugów* (wojska) kraj wystarczyłby nie zdołał. *Kawiarz* (Bignon) chce *Wiekowych* (Radę konfederacką) nakłonić, aby jakieś ogłoszenie tegie zrobili z powodu nowego rządu postanowionego w *Samogoszcy* (Warszawie); a że wielu tchórzy a kilku się pali, może tego dokaże. *Gorayskich* (Austriaków) jest 40,000 tutejszej *gotowizny* (wojska) teraz.“¹⁾

XI.

W tem miejscu nowy, niezwykły przypadek incydens, nowy, niepowszedni aktor ukazał się na widowni krakowskiej. Był to działacz, o którym w dotychczasowej korespondencji tajnej pełno, prawie tyle, co o Czartoryskim, było wzmianek, na którym tyleż prawie, co na Czartoryskim, pokładano nadziei: Antoni ks. Radziwiłł.

Dobry z gruntu człowiek i gorący Polak, Antoni Radziwiłł od lat młodych był przecie pod ciśnieniem fatalnem osobistego swego położenia i stosunków rodzinnych. Małżonka, księżna Luiza, osoba szlachetna, ale Hohenzollernówna, wiązała go z domem królewskim i polityką pruską. Rodzice, Michał wojewoda wileński i Helena z Przeździeckich, wiązali go z interesami młodszej, nieborowskiej linii radziwiłłowskiej.

Sprawą dla tych interesów kapitalną, a wraz wysokiej wagi dla tamtego stanowiska małżonka księżniczki pruskiej, była wielka,

¹⁾ Jeszcze po tygodniu złudzenia co do ks. Józefa utrzymywane były, jak świadczy następujące pismo ks. Izabeli do ks. Adama, (Puławy) 15 avril (1813): „J'ai eu une lettre du *Hofrath* (?). Voici ce qu'il me dit au sujet de nos *affaires d'argent* et des *contrats*. *Bankier* (ks. Józef) pono robi się łatwiejszym i hyleby mu pokój zostawili, to *pieniędzy* (wojska) nie będzie wynosił. Nawet mówi w takim sposobie, że możnaby z nim układ zrobić.“

icie królewska sukcesya po głównej linii starszej, t. j. po żyjącym jeszcze, lecz już na zgubę i śmierć skazanym Dominiku Radziwille, ordynacie nieświeskim i ołyckim. Oddany dzieckiem, z woli Katarzyny II, pod okropną, rabunkową „opiekę“ ks. Michała; potem, po śmierci matki (1800 r.), wzięty pod zacną obronę Czar-toryskich, chowany w Puławach; po dojściu ośmnastego roku życia (1804 r.) objąwszy rządy majątkowe, i znów odąd przez podziemne, machiawelowe kierowany wpływy; teraz (1812 r.), jako pułkownik gwardyi napoleońskiej, zmuszony z kraju uchodzić, ks. Dominik był predestynowaną ofiarą niemiłosiernej familijnej rachuby. Po ograbieniu Nieświeża przez generałów Knorringa i Tuczkowa (listopad 1812 r.), nastąpił sekwestr wszystkich majątków w myśl manifestu, wzywającego do powrotu w terminie dwumiesięcznym (grudzień t. r.), dalej konfiskata (maj 1813 r.), wreszcie zgon ks. Dominika (listopad t. r.). Wedle tradycyi, w sam dzień śmierci ks. Dominika runąć miał orzeł żelazny herbu radziwiłłowskiego na baszcie skarbcowej nieświeskiej: tyle niezawodna, iż był on zdawna w dół ściągany planową nieborowską robotą. Dominik z drugiej żony, Teofili z Morawskich Józefowej Starzeńskiej, miał syna przedślubnego Aleksandra i córkę Stefanię. Wobec nieuprawnienia syna, chodziło nasampierw o przeniesienie obu ordynacyi, nieświeskiej i ołyckiej, i to nie na najstarszego syna ks. Michała, Ludwika, lecz na właściwą głowę młodszej generacyi, Antoniego; chodziło także o nałożenie ręki na ogromne allodya; chodziło wreszcie o możliwie najzyskowniejsze rozmotanie nie-słychanie zawiłych komplikacyj, wynikających ze sprzężenia aktywów i pasywów własności ordynackiej a dziedzicznej. Olbrzymia ta, arcyrealna sprawa prywatna, pośrodku rozgrywających się przepraw publicznych, całkowicie pochłaniała opanowane prywatą głowy przemyślnych starych Michałostwa Radziwiłłów i przez nich zwaloną została niemal całkowicie na głowę syna, Antoniego. Że zaś wyrokowanie w tej sprawie było teraz wyłącznie w ręku Aleksandra, wynikała stąd konieczność udzielenia cesarzowi rosyjskiemu stosownych swojej gorliwości dowodów. Rezultat pożądaný, przynajmniej po części, choć jeszcze nie w myśl zakrojonych aż nazbyt szeroko widoków ks. Michałostwa, w końcu osiągnięty będzie: ukaz cesarski wydany w Chaumont obiedwie ordynacye na ks. Antoniego przekaże; inne zarządzenia Komisję radziwiłłowską oraz opiekę nad księżniczką Stefanią ustanowią. Co więcej, ks. Antoni Radziwiłł przeznaczony będzie w następstwie na senatora wojewodę Królestwa Polskiego, zaszczycony pierwszym orderem Orła Białego i w ostatniej dopiero

godzinie, jako Namiestnik poznański, do pierwotnych swoich stosunków pruskich powrócony zostanie.¹⁾

W chwili obecnej, wiosną 1813 r., gorliwość okazać, znacząco przede wszystkim współdziałać napoczętej akcji polsko-rosyjskiej, której kierunek leżał w ręku ks. Adama Czartoryskiego a której punkt ciężkości spoczywał przy ks. Józefie Poniatowskim. Ks. Antoni Radziwiłł z obudwoma oddawna był w stosunkach zażyłych. Z ks. Adamem miał sposobność współpracować poniekąd podczas poprzedniego ciężkiego przesilenia wojenno-politycznego 1806—7 r. Wprawdzie były tam dysonanse utajone a głębokie: gdzież ich nie było, gdzież ich niema pomiędzy magnateryą naszą? Był tajny rozdzźwięk rywalizacyjny między Puławami a Nieborowem, jeszcze bodaj aż z dawnych Repnina i Stackelberga datujący się czasów, obostrzony rzetelnem wdaniem się Czartoryskich do „opiekuńczego“ rabunku, nie usunięty nawet przez węzły powinowactwa między obu domami. Ale to przeważnie, choć nietylko, starszej dotyczyło generacji; młodsza, w osobie ks. Adama i ks. Antoniego, mogła współpracować razem w sprawie publicznej, aczkolwiek, w gruncie rzeczy, napozór tylko zgodnie, w konkluzji—rozbieżnie. Co się tycze ks. Józefa, to swego czasu, za pruskich w Warszawie rządów, za ówczesnych jego kłopotów osobistych i sukcesorskich, z poczciwą pomocą przyjacielską przez wpływy swoje u dworu berlińskiego przychodził mu ks. Antoni; coprawda też zarazem, na ówczesnem rozdrożu politycznem 1806—7 r., starał się przeciągnąć go na stronę pruską, kiedy obecnie, na rozdrożu 1812—13 r., chodziło o przeciągnięcie go na rosyjską. W każdym razie w obecnej chwili przełomowej, kiedy o opór ks. Józefa rozbijały się wszelkie usiłowania ugodowo-kapitulacyjne polsko-rosyjskie, powziął ks. Antoni mniemanie, iż on jeden po przyjacielsku ów opór przełamać i opornego wodza wraz

¹⁾ Ukaz w Chaumont 24 lut. 1814; w Komisji radziwiłłowskiej wnet pierwsze skrzypce grał, jak wiadomo, Nowosilcow; w opiece zasiedli Czartoryski, Wawrzecki, Walenty i Konstanty Radziwiłłowie. Tekst pierwotny nadania orderu, Warszawa, 1 grud. 1815, brzmiał: „Chcąc okazaną nam wierność i przychyłność, równie jak i gorliwość dla państwa Naszego Królestwa Polskiego usługi księcia Antoniego Radziwiłła nowym dowodem Łaski Naszej uświetnić, ozdobiliśmy i ozdabiamy niniejszem tegoż księcia Antoniego Radziwiłła orderem Orła Białego“; ustępy kursywą później przekreślone w minucie dekretu a natomiast ręką Ign. Sobolewskiego wpisane: „dać dowód życzliwości i przychyłności... (księciu) (Antonie)mu (Radziwiłł)owi Namiestnikowi Króla J-mci Pruskiego w W. Ks. Poznańskiem“ (Akta Sekretaryatu Stanu Król. P., w Arch. Rady Państwa, Petersburg).

z wojskiem polskiem na stronę rosyjską i koalicyjną przeciagnąć potrafi, przez co oczywiście największą u Aleksandra położyłby sobie zasługę. Gdy zaś nadomiar w podobnej myśli był wzywany przez swych przyjaciół krakowskich, powziął tedy śmiałą decyzję tajnej w tym celu wyprawy osobistej do Krakowa.¹⁾

Radziwiłł, po szczegółowych z Czartoryskim w Warszawie naradach, wzięwszy szereg listów jego do działaczy krakowskich, zjechał do Krakowa 20 kwietnia 1813 r. Przybył w największym niby sekrecie, lecz przez niezgrabstwo własne sam natychmiast się wydał. Natychmiast też wyparli się go trwożliwi współuczestnicy, przedewszystkiem oczywiście Mostowski, który sam potajemnie go był wzywał a teraz w te pędy skoczył do Bignona, donosząc o przyjeździe księcia i unywając ręce od współdziału. Radziwiłł biegał do pałacu pod Baranami, do Stanisława Potockiego, do Zamoyskiego, Mostowskiego, schował się na strychu u księżnej Aleksandrowej Sapieżyny, wreszcie internowany został w oberży przez przysłanych od Bignona żandarmów. Rzecz mogła się skończyć dość poważnie, gdyby nie wdanie się Poniatowskiego. Ten, rozmówiwszy się z Radziwiłłem, rozwiązał jego złudzenia i dał mu odprawę; równocześnie, całą winę biorąc na siebie, uzyskał dla niego uwolnienie od Bignona. Wystraszony Radziwiłł, niczego nie dokazawszy, czemp prędzej opuścił Kraków i nie oparł się aż w Berlinie.

Oto w jakich wyrazach o tragikomicznej tej aferze donoszono Czartoryskiemu, listem niepodpisanym, zapewne przez wyjeżdżającą z Krakowa siostrę, księżną Wirtemberską²⁾: „Listy 15 i 16 odebrano³⁾, tudzież kopię 6, której oryginał spalony zo-

¹⁾ O współdziałaniu Ant. Radziwiłła z ks. Adamem 1806—7 bliższe wskazówki na innym miejscu podane będą; Ant. Radziwiłł do Czartoryskiego, Königsberg, 24 avr. 1807, 15 juin 1808 (w P.S.: „veuillez me rappeler au souvenir de mr. Nowosilcow“) i t. d. O stosunku do ks. Józefa, por. Ks. J. Poniatowski, 81, 94, 114, 263 sq. Upřednie wezwanie Radziwiłła przez Mostowskiego do Krakowa w piśmie 5 kwiet. 1813, j. w. O samym pobycie Radziwiłła w Krakowie por. Ks. J. Poniatowski, 224, 317 sq; Wawrzakowicz, ks. J. Poniatowski i ks. A. Radziwiłł w 1813, Kwart. Hist., XXIV, 247 sq.

²⁾ (Mostowski) do Czartoryskiego, (Kraków) 23 kwietnia (1813) [nadpis: „odebrany 29 kwietnia przez Reutera“; por. Dziennik Czartoryskiego, 28 kwiet. 1813: „Reuter przyjeżdża z listami od 23 kwietnia z Krakowa“].

³⁾ T. j. listy Czartoryskiego do ks. Józefa oraz dwa listy tegoż do Zamoyskiego, Varsovie, 15 avril 1813, które na innym miejscu ogłoszone będą, przesłane przez Radziwiłła, z końcową uwagą: „le porteur (Radziwiłł) vous dira ce que je n'ai pas le temps d'écrire; nous en avons causé tout au long,

stał ¹⁾ na granicy *Gorayskich* (austriackiej) przez tego, co go wiozł (t. j. Radziwiłła), z bojaźni, aby ci mu go nie zabrali. Tenże *wędroownik* (Radziwiłł) z Mogilan nieuważnie przez sztafetę do *bankiera* (ks. Józefa), nie zapisawszy „do rąk własnych“, przesłał list z oznajmieniem o swoim przybyciu, w którym on, p. *Michalski* (Radziwiłł), *bankier* (ks. Józef), przyjaciółka tegoż²⁾, *Karol* (Mo-

nous avons passé en revue les différents modes, manières, nuances qui peuvent conduire au but.“

¹⁾ Czartoryski do Zamoyskiego, Kalisz, 6 avril 1813 (Arch. rodzinne Czartoryskich).

²⁾ Najpewniej mowa tu o pani Vauban, która przebywała wówczas w Jablonie i Warszawie, komunikowała się z Czartoryskim i wtedy właśnie, jak się zdaje, usiłowała oddziaływać listownie na ks. Józefa; por. Dziennik Czartoryskiego, 17 kwietnia 1813: „Listy od pani Vauban i pani Stanisławowej (Potockiej) inną okazją.“ Że mowa tu o pani Vauban a nie o innej przyjaciółce ks. Józefa (Zofii z Potockich Czosnowskiej), wynika między innymi z następującego listu ks. Izabelli do ks. Adama, (Puławy) le 27 (avril 1813): „Ma fille (księżna Wirtemberska) est arrivée cette nuit. Elle a apporté ce que je joins ici (zapewne pismo powyższe Mostowskiego 23 kwiet.). Je n'ajoute rien de plus parceque je voudrais que cela vous parvienne au plus tôt. *Le fils de la dame de Nieborów* (t. j. księżnej Heleny=Antoni Radziwiłł) est venu à Cracovie, a dit beaucoup de choses. On l'avait arrêté, ensuite on l'a relâché. Vous savez sans doute ce qu'il a pu dire. A présent on vous prie que vous tachiez d'engager *l'ancienne amie du banquier*, celle qui est si maigre (owóż to może odnosić się tylko do pani Vauban, gdyż pani Czosnowska była bardzo dobrze zbudowana, raczej obfita, a zresztą interesowała się nietyle polityczną, ile osobistą stroną ks. Józefa), de lui écrire et de lui donner le conseil de s'arranger avec les *créanciers* (Rosyanami). Elle a une fois écrit au *banquier* (ks. Józefa) et cela a fait un très bon effet. Si elle écrivait encore, on serait bien aise. En second lieu on vous prie de tâcher que l'on écrive au *banquier* (ks. Józefa) tout droit et qu'on lui dise à lui personnellement que de telle manière que les choses tournent, il gardera sa place et sa prépondérance. En troisième lieu, que l'on fasse dire quelque chose de décisif pour qu'on ait à quoi s'accrocher. En quatrième, que si on pouvait décider *Jaworski* (Fryderyka-Augusta?) à s'accrocher aux *créanciers* (Rosyan), alors cela mettrait tout le monde d'accord. *Les gens de Kithel* (Austriacy) sont les plus mauvais. Tout ce qu'ils peuvent faire de mal aux *vaches* (Polakom?), ils le font.“ Zachował się również krótki, pod świeżem jeszcze wrażeniem przepraw krakowskich, liścik Ant. Radziwiłła do Czartoryskiego, Berlin, 1 mai 1813, un samedi: „Vous aurez reçu, cher pce, ma lettre du 16 avril et appris par des sources bien différentes le court séjour que j'ai fait depuis à Cracovie. Je repars d'ici dans 2 jours et compte être le jeudi prochain pour dîner à Nieborów; veuillez y venir; j'ai des choses bien intéressantes à vous communiquer et que je désirerais que vous sachiez avant mon arrivée à Varsovie“ [por. Dzienn. Czartoryskiego: „Odbieram list od ks. Anto-

stowski?) i wszystko było. Ten list został w sztabie głównym otwarty, czytany i tak *bankierowi* (ks. Józefowi) przyniesiony, który zatem już nie mógł co innego uczynić, jak również jasną przez sztab dać odpowiedź. Lecz przed odesłaniem tej *Karol* (Mostowski?), zniósłszy się z *bankierem* (ks. Józefem), pchnął do *wędrownika* (Radziwiłła) ostrzeżenie o tem, co się było stało, o odpisie, jaki odbierze, i z wezwaniem, aby nie do *Orońska* (Krakowa), lecz w pewne miejsce wyznaczone zjechał dla rozmowy poprzedniczej. *Wędrownik* (Radziwiłł), lubo to wcześniej odebrał, nie usłuchał rady, ale prosto do *Orońska* (Krakowa) spadł i do *Karola* (?) zjechał. ¹⁾ *Kawiarz* (Bignon), dowiedziawszy się o tem, tegoż wieczora napisał do policyi wezwanie, aby *wędrownika* (Radziwiłła) przytrzymała. Ten, wcześniej o tem ostrzeżony, kilka godzin zmarudził, mogąc i mając wyjechać, aż nakoniec o 11 w nocy jeszcze chciał koniecznie do kwatery swej w austeryi zjechać, gdzie policyjanci go w samej rzeczy zatrzymali. *Karol* (Mostowski?), uwiadomiony o tem, ledwie o wpół do drugiej w nocy doczekał się powrotu *bankiera* (ks. Józefa), który o niczem nie wiedział. Ten natychmiast dał wezwanie do policyi, aby *wędrownika* (Radziwiłła) uwolniono, które zaraz poszło. Lecz *kawiarz* (Bignon) był tak rzeczy ułożył, iż to uwolnienie nastąpić nie mogło prędzej aż nazajutrz rano, po wytłómaczeniu się z *bankierem* (ks. Józefem) i po zwołaniu sesyi kolegów *Karola* (Rady ministrów), gdzie przynajmniej to nadal ułożono jednogłośnie, iż odtąd w podobnych przypadkach *kawiarz* (Bignon) rekwizycye takie jednogłośnie do *prezesa* (Stanisława Potockiego) zanosić ma, który zaraz kolegów zwoła i ci zdecydują, co dalej czynić wypadnie.

niego i jadę 7 (maja) do Nieborowa z Walusiem (Radziwiłłem)... Antoni zdaje sprawę ze swojej bytności w głównej kwaterze i w Krakowie... Antoni przyjeżdża (do Warszawy); rozmaite naradzanie się“]; Nieborów, 15 mai 1813: „je pars demain de bon matin,“ t. j. do armii koalicyjnej [por. Dzienn. Czartoryskiego, 16 maja: „odbieram list od Antoniego“; wpłynęło to na wyjazd Czartoryskiego śladem Radziwiłła w początku czerwca t. r.].

¹⁾ Tu trudno określić czy pod „Karolem“ należy rozumieć w istocie Mostowskiego czy Stanisława Potockiego. Podług relacji Bignona do Bassana, Cracovie, 21 avril 1813: „hier au soir vers 9 heures on m'apprit que le pce Antoine Radziwiłł... venait d'arriver à Cracovie. Presque au même moment mr. Mostowski me confirma le fait en ajoutant que le pce Antoine s'était, il y avait un instant, présenté chez le cte Stanislas Potocki... et que de là le pce avait été le voir, lui Mostowski... Le but de mr. Mostowski, en se hâtant me faire cette confidence, était d'écarter tout soupçon d'intelligence de sa part avec le pce Radziwiłł...“ (Arch. d. aff. étr., Paris); por. Ks. J. Poniatowski,

Wędrownik (Radziwiłł), rozmówiwszy się przez parę godzin z *bankierem* (ks. Józefem), wyjechał i sam zapewne rzecz całą opowie, tak jak ja tu wiernie wypisałem.

„To, co nam powiedział, wzmaga nadzieje nasze i wdzięczność *Ignacemu* (Aleksandrowi) za intencje jego zapewnia; lecz co do sposobów wykonania, które *wędrownik* (Radziwiłł) nam podawał, widać oczywiście, iż z tamtej strony niewiadome było położenie nasze, lub że zapomniano, że między wami i nami trwa ciągle ściana żelazna i nieprzebyta (t. j. kordon wojskowy austriacki), która wszelkim komunikacyom zagraadza, wszelkich wędrujących od tygodnia wstrzymuje i zwraca, wszelkie pisma otwiera i przejmuje a zatem nigdzie łatwego zniesienia się, tem mniej wolnego działania nie dozwala. Uważać zwłaszcza przytem i spuścić z pamięci nie należy, iż ciż *Gorayscy* (Austriacy), którzy nas otaczają i ściśle pilnują, mają dotąd wyraźne rozkazy, aby *cugi* (wojsko) nasze koniecznie wyprawili naprzód i póty z *Orońska* (Krakowa) i okolic sami nie wyszli, póki do ostatniego konia naszego nie wyprowadzą. Gdy zaś w dniu 11 b. m. *naczelnik Ignacowych* (generał Sacken) wypowiedział *Gorayskim* (Austriakom) rozejm urzędownie „z powodu,“ jak wyraża się, „iż naszych *cugów* (wojska) tu znieść nie może,“ które jego pismo również *bankierowi* (ks. Józefowi) przez *Gorayskich* (Austriaków) przesłane zostało, cóż temu, w zupełnem i długim waszem milczeniu, czynić zostawało, jak starać się przynajmniej zyskiwać na czasie i oświadczyć, iż póty wyjść nie może, póki rozkazów od *Joachima* (Napoleona), po które posłał, nie odbierze. Tym więc tylko sposobem jeszcze tu jesteśmy; a gdy w tym przeciągu czasu *Pan Gorayskich* (Franciszek I) pisał do *Ignacego* (Aleksandra) z wezwaniem o przedłużenie rozejmu, to gdy, jak spodziewamy się, nastąpi, zostaniemy i dłużej. Lecz w takim przypadku i podczas trwania tego drugiego rozejmu postarajcie się koniecznie z waszej strony, aby *Gorayscy* (Austriacy) sami wyszli a nas tu zostawili; bo inaczej zapewne niedostatek żywności, który już strasznie dokucza, ich i nas wypędziłby. Wtedy dopiero znosić się i umawiać nam wolno będzie.

„Miałem powód już kilkakrotnie powtórzyć, jak *bankier* (ks. Józef) mówi, iż honoru swego nie splami i do niczego nie przystąpi, co nie będzie *jasne* i *pewne* i coby zaręczeniem zwrotu Ojczyzny podejrzenia zmienności nie usprawiedliwiło. Dodałem, iż żadnego

j. w. Byłby więc Radziwiłł zajeżdżał nasamprzód do Potockiego: lecz niebardzo polegać tu można na Mostowskim, który przed Bignonem wołał oczywiście honor pierwszej wizyty Radziwiłła odstąpić Potockiemu.

uczciwego powodu nikt z nas do przychylenia się nie znajdzie; czasu więc rozejmowego na dotarcie tego celu pilnie użyć należy. Projekt proklamacyi, przez *wędrownika* (Radziwiłła) tu przywieziony, nikomu dogodnym ani użytecznym nie wydał się. Zawiera z jednej strony czcze słowa, które nikogo nie wzruszą; z drugiej, szkodliwie wzmiankuje władze i osoby, które tego nie polecily i które całkiem napróżno skompromitowane byłyby. Prosilismy zatem i tę prośbę ponawiamy, aby takową proklamacyę wstrzymać i teraz zwłaszcza nie ogłaszać. Że *Gorayscy* (Austriacy) na dwóch stołkach siedzą, o tem nie wątpimy: lecz żeby mieli być tak blizkimi oświadczyć się na stronę *Ignacego* (Aleksandra), o tem nasze uwiadomienia z drugiej strony ani też ich czynność nie przekonywają. Cała więc nadzieja pozostania tu naszego wraz z *cugami* (wojskiem) zależy na odpowiedzi, jaką *Ignacy* (Aleksander) da na wezwanie Jemu od *Pana Gorayskich* (Franciszka I) przesłane o przedłużeniu rozejmu, bo tak, jak rzeczy teraz stoją, posłać nawet do generała Sackena stąd *bankier* (ks. Józef) nie mógłby, gdyż się z nim nigdzie nie przytyka, rozdzielony przez *Gorayskich* (Austriaków), którzyby nie przepuścili nic a rzecz na próżno i ze szkodą by rozgłosili. Lubo już od ostatniego listu mego więcej dwunastu dni zapowiedzianych minęło i rzeczy znacznie i koniecznie się pogorszyły z przyczyny przygotowań do wycho-
du poczynionych, układów w tej mierze z przymusu z *Gorayskimi* (Austriakami) zawartych, dni z nimi na każde operacye wyznaczonych, czego oni w egzekucyi pilnują i tę naglą, jednakże jeszcze nadzieje nie upadły, choć *bankier* (ks. Józef), wziawszy już dotąd determinacyę wyjścia, trudniej od niej odstąpić zechce; i jeszcze, jak wtedy wyrażałem, jeżeli nie ogłoszenie ugody i *intercyyi* (konstytucyi) z *Pernetami* (Polakami), gdy ta nastąpić, jak widać, teraz nie może, to przynajmniej zezwolenie na dalszy przeciąg rozejmu, skoro je p. *Ignacy* (Aleksander) przyśle, z ochotą to przyjęte będzie; lecz wtenczas na miłość Ojczyzny starajcie się, aby *Gorayscy* (Austriacy) wyszli a nas samych zostawili, bo inaczej wszystko się zepsuje i upadnie. Po ich wyjściu przedłużenie rozejmu z naszymi łatwo się układać i postanowić da. Póki zaś *Gorayscy* (Austriacy) tu stoją, nie spodziewajcie się po nas niczego, bo mamy ręce zupełnie związane, bo oni żadną miarą nie chcą i nie ścierpią, abyśmy z wami zwąchać się mogli, tego strzegą i tego się boją. Zezwolenie p. *Ignacego* (Aleksandra) na dłuższy rozejm jutro powinno stanąć w kwaterze głównej *Gorayskich* (Austriaków). List przyłączony stary i już nie wiele wart teraz, zwrócił się tu z Kalisza, gdzie go umyślny dowiózł, a skąd go dalej posłać nie chciano: odwieziony zatem tu nazad, lubo co

do gruntu rzeczy już mało znaczy, jednak, gdy w nim są uboczne wiadomości tudzież wzmianka o *Szczepańskim* (Matuszewiczu), który ciągle i spokojnie jest w miejscu swoim (t. j. Paryżu), dołącza się przy niniejszem. Z tem wszystkiem prosimy zawsze o uwiadomienie, co z pięciu ekspedycyi naszych, wyprawionych stąd a w ostatnich listach wyłuszczonych,—teraźniejsza jest szósta,—doszło lub nie? Bardzo zadziwieni jesteśmy, iż w listach do 17 o żadnej z nich odebranej wzmianki niema.“

Nazajutrz własnem już pismem dodał Mostowski¹⁾: „Cesarz Napoleon 14 wyjechał z Paryża, 16 był w Moguncyi, 18 może być w Erfurt. Rozkazy Jego względem wojska polskiego spodziewane są w Krakowie około 30. Tegoż dnia *cugi* (wojsko) nasze idą na Podgórze, gdzie za Wisłą w dwóch milach obwodu naszego stać mają przez 8 lub 10 dni, póki nie wyjdą lub się nie wrócą. Jeżeli zaś wprzód przyjdzie przedłużenie rozejmu lub rozkaz zostania w kraju, nie pójdą wcale; około więc 2 maja o losie dalszym pewniej wiedzieć będziemy, do tego bowiem dnia *Gorayscy* (Austriacy) zająć mają *Orońsk* (Kraków) i w nim stać, pilnując wychodu *cugów* (wojsk) naszych, a dopiero po zupełnem wyprątaniu koni i panów sami precz odejść obiecują. Jak się to wszystko obróci, później doniesionem będzie.“

Równocześnie niemal z Radziwiłłem przybył z Warszawy do Krakowa inny jeszcze wysłaniec tajny, dużo wprawdzie skromniejszy, lecz na swój sposób w tym związku wcale ciekawy. Był nim Jan Kalasanty Szaniawski, były zagorzalec enigracyjny i zjadły wróg Rosyi, teraz już przytulający się do Czartoryskiego, aby i jego z kolei zdradzić i koniec końcem z dawnego jakóbina przedzierzgnąć się na denuncyanta, cenzora, kreaturę Nowosilcowa. „*Kancista* (Szaniawski) nasz—pisał Mostowski wnet po ulotnieniu się Radziwiłła²⁾—stał przed dwoma dniami. Zostanie tu jeszcze, bo niema z czem jechać, a nareszcie, boby mu trudno było wrócić. Nie wielka podobno nadzieja namówić *bankiera* (ks. Józefa), w tej chwili jednak niepodobno byłoby mu co robić. *Żonka*³⁾ jego może wiele nad nim a jeżeli zobaczy, że stan jego przez to polepszyłyby się, to niewątpliwie będzie za nami: ta uwaga wielki ma wpływ, jesteśmy ludźmi. *Kancista* (Szaniawski) się zda, żeby donieść o skończonej komedyi, jak zostanie wygrana. Szkoda

1) Mostowski do Czartoryskiego, (Kraków) 24 (kwietnia 1813); list ten podznaczone literami „T. M.“; na adresie: „Monsieur Louis.“

2) (Mostowski) do Czartoryskiego, *Orońsk* (Kraków) b. d. (=między 23 a 30 kwiet. 1813); pismo zmienione; lecz widocznie własnor. Mostowskiego.

3) Pani Vauban?

będzie tak dobrych komedyantów, ale jeżeli trupa będzie musiała wyjść, to wielu pojedynczo wróci. *Michalskiemu* (Radziwiłłowi) niechaj Bóg błogosławi.“

XI.

„Komedia“ dobiegała końca. Lecz epilog nie miał wypaść bynajmniej wedle myśli reżyserów krakowskich. Powtórzyła się jota w jotę ta sama gra, co równo przed trzema miesiącami, na schyłku stycznia 1813 r. w Warszawie. Wtedy oni, pragnąc w Warszawie pozostać, pod sam koniec wtajemniczywszy ks. Józefa, łudzili siebie i innych, że on w ostatniej chwili ulegnie, pozostanie, aż wreszcie zupełnego doznali zawodu.¹⁾ Teraz, na schyłku kwietnia t. r. w Krakowie zupełnie tak samo najgłówniej zależało im na tem, aby w Krakowie pozostać, Rosyan się doczekać, Aleksandrowi się poddać. Tymczasem ks. Józef, mimo wywieranego nań zewsząd nacisku, mimo wymowy przyjacielskiej Radziwiłła, czułych zaklęć listownych „żonki“, pani Vauban, mimo próśb, obietnic, strachów, postanowił z Krakowa wyjść, dotrzeć do Francuzów, stawić się Napoleonowi. Dla zapobieżenia temu w ostatniej jeszcze chwili, za jego nieobecności, na sesyi Rady ministrów

¹⁾ Oprócz podanych powyżej, 221 sq., dwóch listów, Matuszewicza i Mostowskiego, Warszawa, 31 stycz. 1813, zachował się trzeci, bez daty, miejsca, podpisu ani adresu, lecz ręką Mostowskiego, widocznie z Warszawy tegoż dnia po tamtych, być może do Radziwiłła pisany: (Mostowski, Warszawa, 31 stycz. 1813 do?): „Zapomniałem donieść, że *bankier* nasz pierwszy (ks. Józef) miał sobie wszystko przełożone i czytane. Nie sprzeciwiał się niczemu; pochwalił owszem rzecz całą, wyjąwszy, iż nieco trwożył się, aby strona przeciwna (t. j. Aleksander) kiedyś, a zwłaszcza przy targach przyszłych, nie chciała pochełpić lub popisać się z dokumentami (t. j. ofertą 2 stycz. 1813), które ma w ręku, co by w samej rzeczy położenie dwóch imion zawikłanych (t. j. Matuszewicza i Mostowskiego) we włościach, do których mają dążyć (t. j. w Dreźnie, dokąd wybierał się wtedy Matuszewicz, i w Paryżu, dokąd wtedy dążył Mostowski) uczyniło nieprzyjemnem. Zresztą *bankier* (ks. Józef) nie wierzy żadnej stronie, mało nadziei dla sprawy ogólnej pokłada w przyszłości, lecz rozumie, że dokumenta i *plyt* (Czartoryski) może się na co przydadzą przy układach i zgodzie powszechnej...“; w tymże liście jest już mowa o planowanej misyi do „p. *Jana*“, t. j. do Anglii w sprawie polskiej; w podobnym duchu pisał Mostowski 2 lut. 1813.

29 kwietnia 1813 r. powzięto jednomyślną uchwałę pozostania w Krakowie. Ale ks. Józef, nadbiegłszy na sesyę, przeciw tej uchwale sprzeciw stanowczy założył i odwołanie jej przeparał. Że tak, nieinaczej, rzecz się odbyła, wynika najoczywiściej z dochowanego protokołu sesyjnego.¹⁾ Ten fakt przykry złagodzić i upiększyć, odporną stałość ks. Józefa w przyćmionem, optymistycznym, niemal wręcz przeciwnem, ugodowem wystawić światło, własną natomiast usłużną dobitnie podkreślić i policzyć sobie gorliwość,— te wszystkie subtelne odcienia dobrze dają się rozeznąć w następującem charakterystycznym doniesieniu: ²⁾

„Rzeczy stoją dotąd, jak w ostatnim liście naszym wyrażono. *Bankier* (ks. Józef) trwa w przedsięwzięciu przenieść się z *gotowizną* (wojskiem) na Podgórze, gdzie w samej istocie dziś idą. *Gorayscy* (Austriacy) równie dziś do *Orońska* (Krakowa) wkraczają, w którym tylko do 2 (maja) stać mają, poczem *Ignacowych* (Rosyan) wpuszczają, lecz przeprawy im na tamtą stronę (Wisły) dalej bronić będą. *Bankier* (ks. Józef) 10 lub 12 dni za rzeką wytrwa, póki zapasów nie zjedzą; poczem na długą wędrówkę puszczać się zamyśla. Tak rzecz ułożona z *Gorayskimi* (Austriakami). Mimo to, wczoraj na sesyi Rady wnieśliśmy, iż lubo kierowanie *gotowizną* (wojskiem) zupełnie od *bankiera* (ks. Józefa) zawisło, jednakże w tak ważnem i nadzwyczajnem położeniu winniśmy sobie, obecnym i przyszłości oświadczyć zdanie nasze, które jednogłośnie i bez wyjątku było, aby zostać z *gotowizną* (wojskiem) w kraju, i tak w protokóle zapisane zostało. *Bankier* (ks. Józef) sam utrzymywał, iż tego ze względów *skarbowych* (wojskowych) uczynić nie może, przekładał swoje powody, które, przyznać należy, iż są dosyć silne, skoro i póki dla zawad, w przeszłym liście wyrażonych, o rozejm traktować nie można. Obaczymy więc, czyli te jeszcze dziesięć dni pobytu naszego za rzeką nie przyniosą jakiej odmiany nadal; lecz *plpłt* (Czartoryski) zważy i przełoży, iż lubo w każdym wypadku strata *gotowizny* (wojska) ostatniej jest dla nas wielkiem nieszczęściem, jednakże, gdy ta od nas nie zależy, a głośna i jednomyślna deliberacya w protokóle zapisana świadczy, iż pierwsza władza była za utrzymaniem i zachowaniem onej w kraju w każdym przypadku; przeto wyprowadzenie tejże *gotowizny* (wojska), wbrew opinii rządowej i publicznej, dowodzi owszem,

¹⁾ Protokół sesyi Rady ministrów. Kraków, 29 kwiet. 1813, Ks. J. Poniatowski, 226, 318 sq.

²⁾ (Mostowski) do Czartoryskiego, (Kraków), 30 kwietnia (1813).

iz myśli i chęci powszechnie inny zupełnie kierunek mają, niż władza *skarbową* (wojskowa), która bądź dla zawaad rzeczywistych, bądź dla podległości *skarbowej* (wojskowej), inaczejby działać przyniewoloną się rozumiała. Zresztą Lin(owski), za trzy dni stąd do *Samogoszczy* (Warszawy) wracający, dokładniej wszystko opowie, równie jak to, co dalej się stanie, jeżeli co nowego lub odmiennego jeszcze wskórać potrafimy. W terażniejszym więc składzie, co się da w innych szczegółach sprostować, to się uczyni. I tak *Wiekowi* (Rada konfederacka) zalimitują się i w kraju lub nad granicą do pierwszego zwołania, gdy tego potrzeba wypadnie, zostaną. M(inistrowie, jako słudzy przysięgli *Piotra* (Fryderyka-Augusta), do niego pojadą; a tam, złożywszy w czasie przyzwoitym swoje obowiązki, do *Samogoszczy* (Warszawy) powrócą, skoro tam potrzebnymi ich osądzicie. *Szczepański* (Matuszewicz) jeszcze kilka tygodni ma, jak pisze, na miejscu (t. j. w Paryżu) zabawić; grzecznie i niby z ufnością go tam przyjmowano i durzono; lecz to do czasu: *manet alta mente repostum* ¹⁾. Nie wiem, czy p. *Michalskiemu* (Radziwiłłowi) oddano tłumaczenie od *Karolowej* (Mostowskiej) względem zagrożonego jej dobrom sekwestru ²⁾; ona nikomu nie przewiniła, i dlatego przyłączam tu jeszcze kopię tego tłumaczenia, łaskawej opiece jego ją poruczając. Dziwna rzecz, że *Szoński* (Zamoyski) i *Karol* (Mostowski) wyjeżdżają, bynajmniej dotąd nie wiedząc, czyli ich ekspedycye — ta jest siódma — doszły czy nie p. *Michalskiego* (Radziwiłła), a mianowicie dokumenta odpowiednie w trzech sztukach nie pod kluczem pisane i przesłane, które gdyby jeszcze przypadkiem do *Joachima* (Napoleona) zamiast do *Samogoszczy* (Warszawy) trafiły, trzeba przynajmniej, aby o tem ostrzeżeni zostali.“ ³⁾

¹⁾ O dalszych przeprowadkach Matuszewicza informuje bardzo ciekawy, anonimowy, lecz własnoręczny list jego do Czartoryskiego (Prague) 26 mai 1813: „je profite d'une occasion qui semble sûre pour vous donner des nouvelles d'un ami qui vous intéresse et que je viens de voir, du père de Sophie“ — t. j. o samym piszącym; wzmiankuje tu o swym pobycie w Dreźnie, Paryżu i Pradze, o oskarżeniu go przez Bignona, obawie powrotu do Drezna („ce serait livrer volontairement, pour ne pas dire bêtement, sa personne, et qui plus est, sa réputation“), zamiarze ucieczki do Rosyan i t. d. Por. wzmiankę u Ostrowskiego, II, 338, o umiesieniu Napoleona na Matuszewicza, „iż jakoby stołkiem na niego cisnął“.

²⁾ Mowa o dobrach tykocińskich, j. w.

³⁾ Dopisek: „Zresztą to uważać trzeba, iż lepiej teraz, aby *gotonczina* (wojsko) wywiezioną została, aniżeli żeby ją tu, jak *kawiarz* (Bignon) chciał

Tegoż samego dnia dokonany został akt, w piśmie powyższem zapowiedziany a poza obrębem kompetencji ks. Józefa będący: zalimitowanie Konfederacyi. Wśród obecnych w Krakowie członków Rady konfederackiej, Zamoyski, przydujący w zastępstwie marszałka, teścia swego starego ks. Czartoryskiego, przy pomocy powolniejszych a starszeństwem najwyższych członków, Jana Gołaszewskiego biskupa wigierskiego, a zwłaszcza przybyłego w tym celu Aleksandra Linowskiego radcy stanu, oraz sekretarza generalnego Kajetana Koźmiana, łatwo uzyskał większość naprzeciw gorącej, lecz nielicznej opozycyi, złożonej z trzech tylko członków Rady a posłów sejmowych, Antoniego Ostrowskiego posła powiatu brzezińskiego, Franciszka Weżyka posła bialskiego, i księdza Karola Skórkowskiego deputowanego miasta Krakowa. Wbrew tedy uroczystej protestacyi tych trzech ostatnich, zapadła uchwała, iż „Rada Generalna Konfederacyi Generalnej Królestwa Polskiego... widzi się być przymuszoną zawiesić zwyczajne posiedzenia i zostawić każdemu ze swych członków wolność rozporządzenia na czas samym sobą podług możności i dogodności każdego.“¹⁾

Tegoż dnia Mostowski pośpieszył otworzyć raz jeszcze fikcyjne widoki na pożądaną zmianę postawy ks. Józefa. „W tym momencie—donosił²⁾—po rozmowie z *bankierem* (ks. Józefem) nie tracę jeszcze nadziei, iż za kilka dni z Podgórze, skoro będzie mógł otrząsnąć się z rąk *Gorayskich* (Austryaków), wyśle z żądaniem rozejmu i zatem z *gotowizną* (wojskiem) zostanie w spokojności do dalszych wypadków. Ale trzebaby postarać się, aby i w takim przypadku ten rozejm przyjęty i kawał kraju choćby już zajętego dla *gotowizny* (wojska) uprzątuniony być mógł. W samej rzeczy pozycja jego nie jest łatwa; a lubo może człowiek

koniecznie, źle użyto.“ Owóż Bignon pierwotnie na owej sesyi 29 kwietnia 1813 chciał offensywnego powrotu do Księstwa, o co pozornie upominali się i inni ministrowie; ze słów powyższych jasnie wynika, jak dalece dla nich był to jedynie pretekst.

¹⁾ Uchwała Rady konfeder.; protestacya Ostrowskiego, Weżyka, Skórkowskiego, 30 kwiet. 1813, Ostrowski, II, 340 sq.; zapiska Bignona: „mr. le cte Zamoyski... aidé des conseils de mr. Linowski... a su entraîner deux membres du Conseil (de confédération) faibles de caractère: l'évêque de Wigry et mr. le maître des requêtes Koźmian... la majorité a proclamé la séparation du Conseil et l'ajournement... et c'est ainsi que le Conseil a terminé ses opérations par une résolution qui a excité l'indignation générale“ (Arch. d. Aff. étr. Paris).

²⁾ Mostowski do Czartoryskiego, (Kraków) 30 kwietnia (1813).

z niewątpliwą determinacją z niej by się skorzej wydobył, jednakże są trudności rzeczywiste z przyczyny oczywistej niechęci *Gorayskich* (Austryaków). Szkoda także, że mu dotąd nie grzecznego nie powiedziano ani obiecano od p. *Ignacego* (Aleksandra), ani też propozycji rozejmowych nie przesłano z ostrożnościami. Mocny nie uniża się, gdy ofiaruje: słaby upadła się, kiedy prosi; i dlatego zwłoczy, bo czuje wstręt i odrazę. Jeszczeby dobrze było coś grzecznego uczynić dla *bankiera* (ks. Józefa).“

Jakże łatwo, jak słomę od ziarna, wytrząsnąć, wyosobnić tu można puste i kręte złudy Mostowskiego od jędrnej i prostej mowy ks. Józefa. Mostowskiego oczywiście własne są słowa żalose o „wątpliwej determinacji“ księcia, o zdolnych jeszcze odmienić go „grzecznościach“ rosyjskich. Poniatowskiego natomiast samorodny, z głębi sumienia bijący, dźwięczy głos przedśmiertny „czuciem wstrętu i odrazy“ i owem, nietylko pięknem, lecz, co więcej, po wszystkie czasy arcyprawdziwem, arcymądrem, lapidarnem całej rzeczy ujęciem a wraz całej tej, od półroku snowanej, rzeczy potępieniem: „*Mocny nie uniża się, gdy ofiaruje: słaby upadła się, kiedy prosi.*“¹⁾

Złudy przysły, prawda górę wzięła. Ks. Józef z wojskiem i rządem wyszedł z Krakowa do Podgórza. Czekał tu wiadomości i rozkazów od Fryderyka-Augusta a zwłaszcza od Napoleona, który właśnie otwierał kampanię saską zwycięstwem pod Lützen. Ale politycy, pokładający wszystkie swoje widoki na Rosyi, nie tracili jeszcze nadziei. Liczyli teraz głównie na dojsście oddzielnego rozejmu między ks. Józefem a dowódcą korpusu rosyjskiego, otaczającego Kraków, generałem Sackenem. W rzeczywistości chodziło tu ze strony rosyjskiej o zwyczajną pułapkę. Chodziło poprostu, pod pozorem rokowań rozejmowych, o opanowanie, rozbrojenie, zniesienie wojska polskiego. Generał dywizyi Fabian von der Osten-Sacken był jakby stworzony do podobnego zada-

¹⁾ Wyrazy te musiały silnie uderzyć ks. Adama, skoro niemal żywcem powtórzone zostały przez niego Aleksandrowi: Czartoryski do Aleksandra, Varsovie, 5 mai 1813: „... Daignez faire dire directement au pce Poniatowski un mot flatteur, obligeant, rassurant sur son avenir... Le vainqueur n'agit pas contre sa dignité en tendant la main au vaincu. C'est le faible qui se déshonore en prenant le ton et l'allure d'un suppliant“ [ustęp ten opuszczony w ulamkowej wersji tego listu u Smolki, II, 559; cała odpowiednia korespondencya Czartoryskiego z Aleksandrem w autentycznym i pełnym brzmieniu ogł. będzie na innem miejscu].

nia. Stary wyga, wyszkolony na najpodstępniejszych tradycjach doby Katarzyny II, w samej nawet ówczesnej armii rosyjskiej osławiony był jako niebezpieczny intrygant i karyerowiec bez czci i wiary. Podczas kampanii 1807 r., chcąc zgubić własnego wodza naczelnego, Bennigsen, i zająć jego miejsce, w bitwie pod Guttstadtem w czerwcu t. r., wbrew otrzymanym rozkazom, rozmyślnie wstrzymał swoją dywizję, za co oddany był wtedy pod sąd wojenny i skazany na wydalenie z armii i pozbawienie orderów; i dopiero w 1812 r. został przez Aleksandra przywrócony do służby czynnej z surowym napomnieniem, aby starał się rehabilitować za dawne grzechy. Na dobitkę Sacken był wcieleniem szczególniejszej przeciw Polsce i Polakom zjadłości, cechującej pewien gatunek Niemców w służbie rosyjskiej, a miał też powiekleć, od młodości aż do sędziwego wieku, najlepsze w tym kierunku okazy. Zaczął od gromienia konfederatów barskich w 1771 r., kontynuował pod Suworowem w walce z powstaniem Kościuszki w 1794 r. i z legionistami Dąbrowskiego w 1799 r., ucierał się z młodą organizacją wielkopolską w 1807 r., będzie uderzał na zdziesiątkowany korpus polski pod Lipskiem w 1813 r., i jeszcze po wielu latach będzie kierował z Kijowa w 1831 r. zwyciężeniem tamecznych usiłowań wojennych rewolucyi listopadowej. Owóż ten to był oficer suworowowski a przyszły mikołajowski feldmarszałek, obecnie, pośrodku swojej kariery, wiosną 1813 r., nazajutrz po otrzymaniu wstęgi Aleksandra Newskiego za wzięcie Częstochowy, przeznaczony został przez Aleksandra do „negocjacyi“ o rozejm z Poniatowskim a naprawdę do zgubienia ostatka broni polskiej, wyratowanej jeszcze z katastrofy moskiewskiej.¹⁾ Ale ks. Józef zanadto troskliwie nad temi, powierzone mi sobie przez naród, ostatnimi szczątkami zbrojuemi, nad ich i własnym swoim honorem czuwał, a zanadto też dobrze znał rokującą z nin stroną przeciwną, aby istotnie miał wpaść w zastawione nań sidła. Wyszedł z Krakowa, stanął z wojskiem w Podgórzu, wyczekując hasła do marszu na Zachód.

¹⁾ Michajłowski—Danilewskij, 298; Lettow—Vorbeck, IV, 306; Bennigsen, Mémoires, II, 151 sq.; Langeron, Mémoires, 16 sq., słowa Aleksandra do Sackena w 1812: „voilà votre condamnation... allez servir et réparez vos fautes“; Ukaz o nadaniu mu Aleksandra Newskiego za Częstochowę, Krotoszyn, 10 kwiet. 1813, Sborn. mater. Wł. J. C. M. Kancelaryi, III, № 102 i t. d. Por. natomiast odmiennie Smolka, II, 564: „Warto zaznaczyć, że Sacken zażywał wyjątkowego pomiędzy rosyjskimi generałami poważania u Aleksandra.“

„Nie mając komunikacyi bezpośredniej — tak w ciekawem, lecz swoistem oczywiście, skroś subiektywnem i odpowiednio też zabarwionem oświetleniu przedstawiał te perypetye końcowe Mostowski¹⁾ — *bankier* (ks. Józef) z *dowódcą Ignacowym* (Sackenem) a chcąc ją pozyskać, żądał od niego przez *Gorayskich* (Austriaków), aby zajął dziś *Orońsk* (Kraków) a *bankiera* (ks. Józefa) zostawił przez 6 dni w spokojności z tej strony rzeki. Przytem *Karol* (Mostowski) z namowy z *bankierem* (ks. Józefem) wyprawił unyślnego z listem od *Szońskiej* (pani Zamoyskiej), która temuz dowódcy (t. j. Sackenowi) tłumaczyła, że tym sposobem zniesienie się bezpośrednio między wodzami i *gotowizną* (wojskiem) na dwóch brzegach nastąpi, a z tego dalsze umowy i układy wyniknąć mogą. Odpisał (t. j. Sacken) Tej grzecznie, lecz na żądanie *bankiera* (ks. Józefa) nie zezwolił; przysłał do niego wraz z wysłańcem *Gorayskich* (Austriaków) swego sztabowego; ale gdy *Gorayski* (Austriak) oświadczył *bankierowi* (ks. Józefowi), iż propozycya na tem się kończy, aby on *gotowiznę* (wojsko) swoją rozsypał i wypuścił, ten zatem nie chciał sztabowego widzieć. *Gorayscy* (Austriacy) więc znowu do 7 (maja) okrywać będą *bankiera* (ks. Józefa) z *cugami* (wojskiem), poczem tenże na wędrówkę się puszcza. Nie cieszyliśmy się, iż *bankier* (ks. Józef) dla powodów nam obcych nie chciał osobiście ze sztabowym mówić; lecz z drugiej strony znać, że *Ignacowy* (t. j. Sacken) nie miał chęci ani rozkazu coś dogodnego wspólnym sprawom uczynić, gdy nie chciał zezwolić na tak proste żądania i tak krótki rozejm. *Szońska* (pani Zamoyska) powie za obaczeniem, iż my czyniliśmy wszystko, co w możności naszej było, aby rzeczom inny dać obrót, lecz przeznaczenie inaczej, jak my, chciało. Austriacy dziś zajmują Kraków, Podgórze i prawy brzeg Wisły. Wojsko polskie pójdzie powoli na Czechy, gdzie dalsze rozkazy od króla z Pragi odbierze. Oddawca niniejszego, p. Augustyn Karski, komisarz ministerii spraw wewnętrznych, szczegóły rozmaite tego, co tu się działo, opowie. Służył on ciągle i pilnie w biurze wewnętrznem, zna i obejmuje pamięcią wszelkie interesa, które tamże przechodziły, i życzę i rekomenduję szczerze, aby go dalej w miejscu swoim użyto. Przypominam łaskawej pamięci interes *Karolowej* (Mostowskiej); do powodów, wyrażonych w tłumaczeniu od niej przesłanem, przydać należy, iż żona, za mężem idąca i jemu towarzyszyć winna, nie może, gdy ten żadnej posiadłości w krajach rosyjskich niema, mieszkać w nich.“

¹⁾ (Mostowski) do Czarторыckiego, Podgórze, 4 maja 1813.

Jeszcze dni parę, a już o gotującym się zwolna odmar-szu wypadło donosić¹⁾: „Gdy *Gorayscy* (Austriacy) z *Orońska* (Krakowa) nie wypuszczają i ten list zatem pójść nie mógł, przy-dajemy, iż jutro pierwszy transport *gotowizny* (wojska) naszej wychodzi, i tak codzień jeden w pięciu dniach do 11 (maja) wyjdzie. Ostatni wedle marszruty, którą mi *bankier* (ks. Józef) po-kazywał, stanie dopiero 7 czerwca w Neuhaus, w Czechach, za Budwitz, skąd dalsze przeznaczenia według rozkazów, tam odebrać się mających, wskazane mu być ma. Nim zatem dojdzie do miejsca użycia onej, upłynie ze 6 tygodni przynajmniej, przez który czasu przeciąg rzeczy się też wyjaśnić a może i zdecydować muszą. *Cugi* (wojsko) zaś do owego czasu, ile możliwości, całe na dalsze wypadki zostaną. Gdy więc rzeczy inaczej ułożyć się nie dały, jest to dobrze przynajmniej, że tym sposobem nikomu szkodzić nie będziemy, choć *bankier* (ks. Józef) mógłby, gdyby chciał; bo *kawiarz* (Bignon), po odebranych wczoraj wiadomościach o blizkiem czynności *Joachima* (Napoleona) rozpoczęciu, koniecznie *bankiera* (ks. Józefa) namawiał, aby konwencyę z *Gorayskimi* (Austriakami) zerwał i sam zaraz na *Ignacowych* (Rosyan) wracał się, zaręczając, iż niebawem takowy rozkaz od *Joachima* (Napoleona) odbierze. Lecz *bankier* (ks. Józef), na to nie uważając, jutro rusza w kraje *Gorayskich* (austriackie). Zechce *plpt* (Czartoryski) tej okoliczności użyć i ją p. *Ignacemu* (Aleksandrowi) wystawić, aby ten wiedział, iż mu szkodzić unikamy ile możliwości; a rzeczywiście, gdyby *cugi* (wojsko) teraz choć same na *Ignacowych* (Rosyan) tu niemocnych poszły, zabruździłyby im niemało. Jasną też jest rzeczą, iż p. *Michalskiego* (Radziwiłła) uwodzone obietnicą łatwego rozejmu, gdy oczywiście *dowódca Ignacowych* (Sacken) nie chciał go nawet na 6 dni prosto dopuścić, i to, prócz relacy wysłańca *Gorayskich* (Austriaków), sam w odpowiedzi swej do *Szońskiej* (pani Zamoyskiej) wyraził. Mógł zaś to, gdyby był chciał, łatwo uczynić, gdy teraz, skoro *Gorayscy* (Austriacy) w *Orońsku* (Krakowie) stanęli, aż 12 (maja) dopiero, po zupełnem stąd wyjściu *cugów* (wojska) naszych, on do tegoż *Orońska* (Kraków) wejść ma. Jest w tem więc, jak zawsze bywało, pełno uwodzenia, które przynajmniej nas od niechęci i podejrzeń bronić powinno. Teraz, kiedy król saski przeniósł się do krajów austriackich i zatem w zgodzie z Austryą być musi, spodziewać się można, iż wojsko warszawskie bezpiecznie i w całości przejdzie i do króla dojdzie; a może zatem kiedyś i powróci.“

¹⁾ (Mostowski) do Czartoryskiego, (Podgórze) 6 maja (1813).

Po kilku godzinach tonem żalosej rezygnacyi dodawał Mostowski ¹⁾: „Odbieramy w tym momencie list 29 kwietnia i kilka słów w odpowiedzi na niego dodajemy. Już to dawniej przeżyliśmy, że *Goracy* (Austriacy) daleko i w dwójnasób mocniejsi a zatem kłócić się z nimi nie wypadało, i jak zagrali, tańcować trzeba było. W najlepszym zawsze stosunku byliśmy z *Ignacowymi* (Rosyanami) a doświadczenie powyżej wypisane przekonało, że ci rozejmu z *Pernetami* (Polakami) prosto nie chcieli. Przeto w takim położeniu, gdy nasza *gotowizna* (wojsko) w kraju spokojnie zostać nie mogła, lepiej, że pójdzie wreszcie na wędrownkę, jeżeli tam przez kilka tygodni ocaleje a nikomu nie zaszkodzi. Już tu i *żonka bankiera* (ks. Józefa, t. j. pani Vauban) nic nie poradzi a przeznaczenie dopełnione być musi. *Brat p. Michalskiego* (Antoniego, t. j. generał Michał Radziwiłł) otrzymał od *bankiera* (ks. Józefa) zezwolenie jechania na miesiąc do domu i ten list zabiera. Dziękuję za obiecaną pomoc w obronie *Karolowej* (Mostowskiej) dóbr od sekwestru. *Kancista* (Szaniawski) zawiózł kopię tego, co na jej obronę da się mówić. Trudno wytłómaczyć, dlaczego listy od *plyta* (Czartoryskiego) tak późno podochodziły, chyba przez urok, co się we wszystkim naszej sprawy trzyma. Nie możemy i tak z wykonotowanej specyfikacyi dorachować się,

¹⁾ Mostowski do Czartoryskiego, (Podgórze) 6 maja (1813), o 5 po południu. Po przerwie kilkodniowej donosił Mostowski do tegoż, Podgórze 12 maja, już o dokonywającym się wymarszu, wyjeździe Zamoyskiego do Pragi i t. d.; 13 maja 1813 pisał: „Wyjeżdżamy wszyscy dziś do Pragi. Rosyanie wchodzi do Krakowa o 10 zrana. ...ks. Józef wczoraj wyjechał, *kawiarz* (Bignon) tej nocy... Teraz i my i *gotowizna* (wojsko) do p. *Piotra* (Fryderyka-Augusta) idziemy... jednak uczyni się wszystko, aby *gotowizna* (wojsko) nasza ocalała i w czasie wróciła.“ O dalszych usiłowaniach wprost u Aleksandra dostarczają pewnych wskazówek listy Radziwiłła, pisane jednak w kryptonimach, do których brak klucza, które przeto tylko domyślnie dają się rozwiązać: (Ant. Radziwiłł) do Czartoryskiego, Francfort sur l'Oder, 19 mai, samedi, 5 heures du matin; Breslau, 28 mai 1813: „...*Marie* (?) est avec *Thècle* (Aleksandrem?) depuis le 22: ...*Thècle* (Aleksander) trouve tout cela trop long et se fâche contre le *beaufrère de Casimir* (ks. Adama? t. j. na Zamoyskiego?) et quelques autres employés de *Mystakow* (Księstwa Warszawskiego?)... Elle a été mécontente aussi que *Casimir* (ks. Adam?) perdait espoir et courage dans sa lettre. *Marie* a insisté sur une décision; on l'a remise à celle de *Jean* (Jerzego III?) Au fond je me suis aperçu que *Thècle* (Aleksander) craint plus *les siens* (Rosyan?) que toute autre chose i stąd pochodzi konstypacya z *Marie*... (cyfra) Les Anglais, a tych tu wiele, popierać nas będą; to od nich samych wiem...“

czy wszystkie ekspedycje nasze doszły. Ta, od z Tarnowa wysłanej, ósma.“

Tegoż dnia z goryczą największą, będącą dobitnym wyrazem zupełnego zamięszania pojęć a dającą się tylko tłómaczyć jako wybuch rozpaczony na widok ruiny wszystkich podjętych usiłowań a tem samem, jak się zdawało, doszczętnej ruiny kraju, pisał do Warszawy Zamoyski¹⁾: „Nad wszelkie wypowiedzenie mieliśmy zmartwienia. Wcale nie dzielię *Karola* (Mostowskiego) opinii, że *bankier* (ks. Józef) nie mógł; ja znajduję oczywiste dowody, że nie chciał *pieniędzy* (wojska) inaczej użyć, bo poprostu zdaje mu się, że tak dla jego osoby korzystniej; a i w tem nawet gruby błąd popełnia. Zachowaj to dla siebie, ale tak a nie inaczej jest. Dawno to postrzegałem i mówiłem a teraz o tem wątpić nie mogę. Tak złe użycie *pieniędzy* (wojska) chwalić nie mogę, bo w każdym przypadku będzie przeciw dobru biednych *Pernetów* (Polaków). Zostawały w ręku *bankiera* (ks. Józefa) środki przeswiadczenia się, czyli go ludzi *plenipotent* (Czartoryski), ale gdy onych nie chciał użyć i tylko zbywał czczemi słowy, nic go usprawiedliwić nie może. B.... to wielki, mimo innych jego przymiotów; dowiódł, że tylko jest zdolnym być porucznikiem, który całą swą stałość użyć umie na wykonanie odebranych rozkazów a sam myśleć przez się nie umie albo źle robi.

„Z wiadomości donoszę, że wszyscy do Pragi jadą do króla saskiego. Odpis *Szońskiej* (pani Zamoyskiej) dany²⁾ dowodził, że życzą się zbliżyć i w tym celu wysłano osobę, której *bankier* (ks. Józef) widzieć nie chciał, bo przez *Gorayskich* (Austryaków) z nią się rozprawiał i dogodniej mu było tak ją zbyć, niż co rozsądnego przedsięwziąć. *Michalskiemu* (Antoniemu Radziwiłłowi) oddaję nasze interesa; jemu można wierzyć, bo to człowiek, co o sobie nie myśli i nie sądzi się być związanym za jakie dziecinne odebrane względy do takiego stopnia, żeby to kiedykolwiek mogło mu być przeszkodą w pełnieniu wrodzonych obowiązków, które kaźden w krwi, która w nim płynie, czuć powinien. Jestem chory i nad wszelki wyraz zmartwiony.“³⁾

¹⁾ (Zamoyski) do Czartoryskiego (pismem zmienionem, lecz własnor.), pod *Orońskiem* (t. j. w Podgórzu), 6 m(a)ja 1813.

²⁾ T. j. odpowiedź Sackena.

³⁾ Dopisek: „*Szoński* (t. j. piszący, Zamoyski) donosi, że zniszczył klucz dawny i nowego używać będzie. Zresztą mało będzie miał do pisania i o swoim zdrowiu myśli... gdzie w jakim kącie, w którym pozwolą mu siedzieć.“

XII.

Nie winić, nie potępiać tych ludzi. Na prostej drodze niezawisłego publicznego żywota, po jakiej wolne chadzają narody, oni niechybnie z całą poczciwością swego obywatelskiego dopełniliby obowiązku. Postawieni na obłądnym nad wszelki wyraz rozdrożu, niedość silni, choć w dobrej naogół intencji, zboczyli doraźnie, zmylili, potknęli się. Lepiej od nich prawdę pojął i ujął właściwy ich przewodnik, lecz nierównie wyższy, odrębny od nich wszystkich, Czartoryski. „Ks. Czartoryski—są słowa zadziwionego Francuza¹⁾—choć poddany i minister cesarza rosyjskiego, okazał się lepszym poniekąd Polakiem, niż (pewni) ministrowie Księstwa Warszawskiego.“ Stawiał on od początku żądania najpełniejsze, całości żądał, z żadnej nie rezygnował rzeczy, z głową podniesioną do Aleksandra się obrócił i tak nadal pozostanie. Na inny sposób, zgodnie ze stanowiskiem swoim, prawdę wyczuł i w czyn górny wcielił Poniatowski. On z matni samorzutnym wydarł się odruchem, z głową podniesioną na śmierć poszedł, śmiercią swoją stanowiąc zakład przyszłego życia narodu. Dobrze się stało, że wśród tamtych słabszych przedstawicieli wielkich nazwisk polskich ci dwaj, ks. Józef i ks. Adam, znaleźli się miary najwyższej, którzy obadwaj, mimo odmiennych punktów wyjścia, przecie wspólnego celownika nie stracili z oczu. I dobrze będzie, wspominając z umiarkowaniem błęd jednych, z wdzięcznością prawdę drugich, spożytkować to wspomnienie na dobro sprawy publicznej, której nie skończyło się odtąd i bodaj długo jeszcze trwać będzie ciężkie tułactwo po rozdrożach.

SZYMON ASKENAZY.

¹⁾ Zapiska Bignona, j. w.: „Ainsi le pce Czartoryski, sujet et ministre de l'empereur de Russie, se montrait dans un sens meilleur Polonais que les deux ministres du Duché de Varsovie.“

PRZED PÓŁ WIEKIEM¹⁾

Wspomnienia z czasów uniwersyteckich.

I.

W porównaniu ze smutnymi warunkami życia naszego gimnazjalnego, pobyt na uniwersytetach wydawał się nam prawdziwym rajem. Do wyboru było kilka uniwersytetów, w których miałem bądź znajomych, bądź krewnych. W Charkowie byli moi bracia stryjeczni, tam wykładali Polacy, Mickiewicz i Stanisławski. W Petersburgu bawiący: Spasowicz Włodzimierz, Ohryzko Józefat, Łapicki Julian, uczniowie z gimnazjum mińskiego, sławili tamtejsze wykłady; przypominam sobie to zajęcie, z jakim słuchaliśmy opowiadań Łapickiego, wychwalającego lekcyę akademika Brandta. W Kijowie byli Bardscy, ci znowu namawiali, byśmy wybrali Kijów, jako miasto przez pół polskie, gdzie życie koleżeńskie miało być najwyżej rozwinięte; nareszcie miałem brata stryjecznego na uniwersytecie w Dorpacie; znając język niemiecki już z domu, postanowiłem, za zgodą rodziców, udać się do Dorpatu. Wprawdzie egzamin wstępny miał być tam o wiele trudniejszy, niż gdzieindziej na uniwersytetach rosyjskich, utrzymanie droższe, lecz za to Dorpat sławił się wtedy doborem sił nauczycielskich, następnie kulturalnością mieszkańców, otóż okoliczności rzeczone wpłynęły na to, że się zdecydowano na wybór Dorpatu.

Po wakacyach, spędzonych wspólnie z bratem moim stryjecznym Emilem, od którego czerpałem wiadomości, dotyczące samego uniwersytetu i profesorów, w piękny dzień letni wyruszyliśmy ze wsi do Mińska, by stamtąd pocztą udać się do Dorpatu. Emil kończył już swoje studia uniwersyteckie, kurs nauk gimnazjal-

¹⁾ Pierwsza część wspomnień autora o jego czasach szkolnych drukowana była w „Bibliotece Warszawskiej“ w 1908 r., zeszyt czerwcowy.

nych przeszedł w prywatnym zakładzie niemieckim w Lazdonie, w Liflandyi; pod opiekę Emila oddany zostałem, on miał mi ułatwić pierwsze kroki wśród nowych i nieznanych mi warunków życia na obczyźnie. Przygotowania do dalekiej i długotrwałej podróży dały się prędko skutecznici. Atestat szkolny wydał mi najuprzejmiej nowy dyrektor gimnazjum mińskiego, p. Dreśnicki, o którym wspominałem w pierwszej części moich relacyj. Życząc mi powodzenia, zapytał dyrektor, jaki zakres wiedzy obrałem sobie jako cel moich studyów? odpowiedziałem, że medycynę i nauki przyrodnicze. Usłyszawszy, że mam się kierować na lekarza, skrzywił się wzgardliwie i odrzekł: „eto nie stoit,“ przyczem radził, bym się zapisał na prawo. Nie spierałem się z nim, rad byłem, żem się z pod jego opieki uwolnił. Zauważyłem już wtedy, a następnie stwierdziłem wielokrotnie, że Rosyanie pogardliwie odnoszą się do studyów medycyny i nauk przyrodniczych. Z dostaniem t. zw. „podróźnej“ (padarozna), mającej nam dać prawo żądania koni pocztowych na stacyach, nie mieliśmy kłopotów, tak, że po paru dniach pobytu w mieście, pożegnawszy kolegów, z którymi już w życiu ani razu się nie spotkałem, wyruszyliśmy w drogę traktem, zwanym wileńskim, przez Siemków, Mołodeczną, a następnie, skręcając w bok od traktu wileńskiego, przez Dżisnę, Psków do Dorpatu. Tym szlakiem nie podróżowali dorpatczanie, oni woleli jeździć na Rygę, Mitawę, Szawle, Poniewież, Wiłkomierz, Wilno. Emil wybrał tę drogę, bo tędy jeździł do Lardonu.

Na wszystkich stacyach aż do szosy, zwanej pskowską, naczelnikami stacyjnymi byli Polacy, toż samo pocztylioni, czyli stangreci pocztowi, to też ciągle czuło się tam, jak gdybyśmy byli u siebie, wszędzie znajdowaliśmy gościnność i uprzejmość kulturalną. Naczelnicy bawili nas rozmową i opowiadaniem żartobliwemi, dotyczącemi przejezdnych.

Na stacyi w Dziśnie naczelnik traktował nas rybami, zachwalanemi przez siebie, jako najsmakowitsze, nazywał je „chajrusami,“ pierwszy raz w życiu słyszałem tę nazwę, zainteresowała mnie niezmiernie, to też poszedłem z naczelnikiem aż do rybaka i tam obejrzałem okazy świeżo złowione tego gatunku, nieznanego mi ze Swisłoczy, były to lipienie dźwińskie (*Thymallus vexilifer*), sławne na całą Litwę, wędzone. Dźwina w dawnych czasach była wielce bogatą w łososie (*Salmo salar*); w Rydze np. miała być taka obfitość tych ryb, że całemi beczkami solono je i karmiono przez rok cały służbę, to też ta ostatnia, umawiając się kontraktowo z chlebobawcami, żądała, ażeby przynajmniej dwa razy na tydzień dawano co innego, niż łososinę soloną. Prawie takie sa-

ne warunki istniały na Kamczatce, gdy tam bawił; łososina świeża i solona tak się prędko przejada, że ludzie brzydzą się nią, szczególnie świeżo przybyli na półwysep z Europy.

Reszta naszej drogi, aż do szosy, nie miała widocznie nic interesującego, skoro już dzisiaj o niej nie pamiętam, natomiast podróż po szosie wryła się głęboko w pamięć, tu znalazłem świat tak odmienny, a dla mnie zupełnie nowy, że tą nowością swoją przykuł uwagę całą. Po stacyach urzędowali sami Rosjanie, sztywni, małowówni, szorstcy w obejściu ze zwykłymi śmiertelnikami, uniżeni aż do ostatnich granic przed gwiazdzistymi podróżnymi, stale w mundury urzędowe obleczeni, zapięci szczelnie na wszystkie guziki. Woźnicy, „jemszczykami“ zwani, w uniformowych „jermiakach“, kroju mongolskiego, w ogromnych watowanych czapach rogatych, mających formę czap Lapończyków. Starsi stangreci byli wywatowani na pośladkach tak, że pozornie przybierały one kształty i rozmiary pośladków Hotentotek, do tego blachy urzędowe na czapach i na lewym ramieniu „jemszczyków“, duże, niezgrabne; wszystko to razem wzięte stanowiło całość, rażącą swoją dzikością nieestetyczną. W przedpokoju na stacyach, zbudowanych według jednego szablonu „kazionnego“, znajdowaliśmy o każdej porze dnia siedzącego „dyżurnego“, czyli starostę jemszczyckiego, mającego na piersiach zwykle parę medalów, zasłużonych w służbie wojskowej, takiemu staroście doręczaliśmy „podróżną“ i ten wydawał rozporządzenia co do zaprzęgu, a następnie wręczał „podróżną“ pisarzowi do wpisywania w księgę: nazwiska przejezdnych i miejsc, skąd i dokąd jadą. Zwykli pasażerowie rzadko mieli honor oglądać naczelnika stacyi. Ci się tylko zjawiali wobec dystyngowanych przejezdnych. Pokój pasażerski na każdej stacyi jednaki, z obrazem św. Mikołaja w złożonych ramach, cały przykryty blachą złożoną tak, że tylko twarz świętego była widoczną, przed obrazem stale we dnie i w nocy paląca się lampka, meble skarbowe bardzo skromne, — wszystko to, jakkolwiek utrzymane w porządku, stanowiło swoją jednostajnością coś strasznie nudnego. Za izbą pasażerską pokój tak zwany carski, z portretami panujących, był tylko otwierany wtedy, gdy przejeżdżał jaki wysoki dygnitarz. Język państwowy był tu wszechwładny, przejezdni dygnitarze rozmawiali z sobą po francusku. Gdyśmy stanęli na pierwszej stacyi, wyjechawszy z partykularza, ekspedjowano właśnie jakąś znakomitość, spoczywającą w karecie, więc niewidzialną, zaprzęgano do karety sześć koni z forysiem i cztery konie do wielkiego tarantasu, w którym jechał oficer, widocznie adjutant i sługa ubrany w szkarłatną liberyę cesarską.

Była właśnie noc ciemna, w cichości snuli się z latarniami „jemszczycy“, naczelnik stacyjny wyprostowany, jak struna naciągnięta, stał u podjazdu bez czapki, wydając rozkazy półgłosem, prawie szeptem. Młody oficer dyrygował wszystkimi szczegółami zaprzęgu. Nam nie pozwolono zajechać przed stację, musieliśmy wysiąść, zaś brykę, na której przyjechaliśmy, skierowano w cichości na dziedziniec. Z psem naszym, buldogiem „Marsem“, który towarzyszył nam w podróży, miałem kłopot niemały. Mars nie był przyzwyczajony do takiej etykiety, a poraz pierwszy znalazłszy się w tem tak obcym dla niego otoczeniu, warczał na wszystkich i gotów był rzucić się na każdego z tych dziwacznie przybranych ludzi. Szczęśliwie, żeśmy trafili już na koniec procesu zaprzęgowego. Stangret przepasany szerokim pasem, z krótkim knutem na prawym ręku, wgramolił się na kozioł, foryś już siedział na siodle, każdego z koni trzymał osobno jemszczyk jeden. Gdy stangret ujął lejce i wyrzekł „gatow“, w tej chwili odskoczyli od koni trzymający ich jemszczycy i z miejsca cwałem z kopyta, w pełnym galopie pędząc, jak na złamanie karku, znikła karetka w ciemnościach nocy, za nią pospieszył tarantas z oficerem, co konie wyskoczyć mogły. Taka jazda waryacka cieszy się wielką popularnością u Rosyan, każdy „istotno ruskij“ ma jeden tylko wyraz dla jemszczyków: „paganiaj“. Długo po odjeździe dygnitarza stał nieruchomie naczelnik stacji, topiąc wzrok w ciemnościach i przysłuchując się brzękowi dzwonek, gwałtownie i nieregularnie, jakby w malignie jakiejś, bijących w ciszy nocnej.

Karczmy zajezdne, wzdłuż traktu stojące, miały wygląd karawanserajów wschodnich, budowa ich jednostajna wszędzie na szosach rządowych, nudziła oko przejezdnych. Domy właściańskie, zbudowane przy szosie, musiały podlegać szablonowym planom rządowych budowniczych. Na stacyach nie podawano zwykłym przejezdnym samowaru, lecz odsyłano do zajazdu, znajdującego się zwykle w pobliżu stacji. Ruch tu był znaczny, lecz koni na poczcie nie brak; każda para miała swój numer; były konie osobno dla zwykłych pasażerów, osobno kuryerskie, a narzeczcie osobno cesarskie.

Wzdłuż traktu, w niedalekich od siebie odstępach, wznosiły się tak zwane „majaki“ telegraficzne, czyli wiatraki ze skrzydłami nakształt małych młynów wietrznych; skrzydła te widzieliśmy ciągle w ruchu; takimi były przed 50 laty telegrafy bez drutów w państwie, lecz one widocznie nie wystarczały dla komunikacji myśli urzędowych, bo raz po raz widziało się na trakcie pędzące sztafety, bądź konne, bądź na biedkach o dwóch kołach. Wyróż-

niano wtedy kuryerskie sztafety, pędzące cwałem i prywatne sztafety, odbywające drogę po 10 wiorst na godzinę, tak np. sztafeta wysłana na odległość 1000 wiorst, obowiązana była dojść na miejsce w przeciągu 100 godzin, koszty były znaczne, wynosiły po 10 groszy od wiorsty.

Szosa jechaliśmy szybko, mając duże i wygodne bryki pocztowe, przepzęg koni i przeładowywanie rzeczy z bryki na brykę odbywały się śpiesznie, to też przybyliśmy do Pskowa w porę, przed odejściem parostatku, kursującego pomiędzy Pskowem a Dorpatem. Miasto Psków miało podówczas wygląd wielkiej, a do tego arcynudnej wsi; ulice szerokie, domy niskie połączone pomiędzy sobą parkanami; trotuarów brak, rynsztoki niechlujne, porośnięte trawą, bruki odwieczne, podobne do nieświeżskich, z wybojami, przypominającymi czasy Batorego, gdy jego armaty tędy przechodziły, cerkwie o kopułach cybulowatych, zielono pomalowanych, nieestetyczne. Martwota w mieście najzupełniejsza, ale za to Żyda ani na lekarstwo, a myśmy tak do nich przywykli; od czasu do czasu widać było przejeżdżną dorożkę jednokonną, kiszką zwaną, którą mężczyźni jeździli, siedząc konno, zaś kobiety bokiem, albo też spotykaliśmy szeregi wozów z towarami, rogożą pokrytych, t. zw. „abozy.“ Dowiedziawszy się na poczcie, że nazajutrz rano odchodzi parostatek, zwieźliśmy nasze rzeczy, kupiliśmy bilety, a resztę wolnego czasu do wieczora poświęciliśmy zwiedzaniu miasta. Najciekawszymi były ruiny murów obronnych, gdzie pokazywano ślady ostrzeliwania ich przez wojska Batorego. Pamięć o wojnach z Polakami zachowała się u ludu, wraz z nienawiścią do nich, to też najdotkliwszą połajanką dla pijanego „pskowitzianina“ było w owe czasy, gdy go nazwano Polakiem albo Niemcem. Na herbatę i wieczерę wstąpiliśmy do „charczewni“ miejscowej, mającej wygląd traktyerni, noszącej nazwę, wypisaną na szyldzie, „postajałyj dwor;“ tu byłem świadkiem po raz pierwszy „czajopitja“ rosyjskiego. Podawano na tacy dwa „czajniki,“ jeden duży z wodą gorącą (kipiatok), drugi mały z zasypaną weń herbatą, do tego dodawano filiżanki, umieszczone na dużych spodkach, a na małej miseczce kładziono parę kawałków cukru. Pijący herbatę odgryzali drobnutki kawałek cukru i popijali herbatę tak, że na jedną filiżankę starczyło parę odgryzień tylko; gdy się opróżnił imbryk z gorącą wodą, żądano nalania go znowu, w miarę ciągłego płukania małego imbryczka, nalewając weń wodę z wielkiego, herbata stawała się coraz słabszą, co po rosyjsku mieni się rzadką (żydkij czaj), mocną herbatę nazywają gęstą (gustoj czaj). Czaj spijają nie z filiżanki, lecz ze spodku,

który trzymają ustawiony na końcach palców prawej ręki, zwróconych do góry. Podziwiałem tę ilość gorącej wody, zafarbowanej zaledwie na jasno-słomkowy kolor, którą w siebie wlewali amatorowie „czajopitja;“ pot obfity spływał im po twarzy, a ta przybierała barwę burakową, raz wraz słyszało się u pijących odbijanie się czkawkowe, przyczem żegnali się nabożnie, bo wszak to odbijanie się ma w ich przekonaniu być świadectwem rozmowy z Bogiem („Dusza z Bohom razgawarywajet“). Służba w traktierni ubrana była w koszule kolorowe, wypuszczone na zewnątrz szarawarów czarnych „półaksamitnych“ (plisowuje sztany); wierzchniego odzienia i kamizelek nie miano, a za całą oznakę, że pełni ci ludzie funkcję służby, mieli oni przewieszony przez ramię długi ręcznik, którym wycierano twarze spoconych gości lub swoje własne, albo też talerze i filiżanki. Służba brała udział w biesiadach gości, niektórzy z tych ostatnich siedzieli, zrzucawszy swoje długopole ubrania, i zachowywali się bez wszelakiego krępowania się, jak u siebie w domu. Gorących napojów nie używali biesiadnicy, nawet w bufecie nie widziałem butelek z wódką. Jadłospisu nie miano, gdyśmy zapytali, co można dostać na wieczrę? odpowiedziano, że są „bitki“ czyli kotlety i pieczone prosię (żarennyj parasionok), obstałowaliśmy to ostatnie danie. Podano ogromne porcje prosięciny, pływającej w roztopionym tłuszczu, położono bochen chleba, lecz żadnych dodatków do jadła nie było; zażądaliśmy bądź kartofli, bądź innych jarzyn, służący oświadczył, że oprócz ogórków solonych, niczem innem służyć nie może; ten rys charakteru gastronomicznego kuchni rosyjskiej jest znamienne, mięso bez wszelkich dodatków zjadają Rosyanie, zakąsając ogórkiem solonym, tym najcenniejszym specyalem dla podniebienia rosyjskiego; wszak przysłowie rosyjskie głosi, że „wsio wzdor protiwu wiecznosti, a wiecznost' protiwu kisłych agurcow.“

Po wieczery późno spożytej i długich jeszcze obserwacyach nad gośćmi „charczewni,“ poszliśmy na spacer po wybrzeżu rzeki Wielkiej; piękna to rzeka, lecz brzydkie i brudne były wtenczas jej wybrzeża, zawałone śmieciem różnego rodzaju. O świcie wróciliśmy do przystani, u której stał parostatek i siedząc na ławeczce, czekaliśmy cierpliwie, aż się ukończy porządkowanie i mycie na pokładzie, następnie prosiliśmy w bufecie parostatkowym o kawę ranną; podano nam, jak mnie nauczał brat Emil, prawdziwie niemiecką „Blumenkafee,“ czyli kawę tak „cienką,“ że dno filiżanki i rysunek na niem przeświecały przez całą warstwę płynu.

— Trzeba się przyzwyczajać do kuchni niemieckiej—wyrzekł sentencyjalnie Emil—bo w Dorpacie innej niema. Mieszczanstwo

czuchońskie w Dorpacie mieni się niemieckiem i wzoruje się na Niemcach, którzy w wynalazczości są mistrzami, oni wymyślili kawę bez kofeiny, herbatę bez teiny, cygara bez nikotyny, sprawiedliwość bez praw, świętość bez cnoty—te wszystkie wynalazki zostały przyjęte i przez zniemczonych Czuchnów.

Po kawie zabrałem znajomość z młodym chłopcem, Niemcem, urodzonym w Pskowie, lecz pobierającym nauki w Dorpacie, skończył tam szkoły niższe, a obecnie odbywał praktykę preparatorską pod kierownictwem kustosza gabinetu zoologicznego uniwersytetu dorpackiego, Iwanowa, mając nadzieję zajęcia kiedyś w przyszłości, gdy nauczyciel ustąpi, jako emeryt, posady kustosza. Właśnie wracał teraz do Dorpatu po ukończonych wakacjach, miał z sobą kolekcję skórek ptasich, przygotowanych do wypchania, pokazał mi ten zbiorek, umiał nazwać każdego ptaka po łacinie, po niemiecku i czuchońsku, tą wiedzą swoją zaimponował mi, a otwartością i szczerością ujął, to też zawarliśmy po niedługiej rozmowie, prowadzonej po niemiecku, przyjaźń szczerą, a zarazem zrobiłem umowę, że mnie nauczy preparować skórki i szkielety, słowem wtajemniczy we wszystkie szczegóły, dotyczące kunsztu preparatorskiego. Iwanow drogo bierze, powiadał, za naukę i jest tak zazdrosny, że nie pozwala wypychać zwierząt, ażeby nie było konkurencji z jego pracownią. Odtąd byliśmy z tym Niemcem na stopie koleżeńskiej; mówił dobrze po czuchońsku i zaraz zaczął mnie uczyć mówić w tym języku. „Tere-tere,“ mówi się przy powitaniu z Czuchnem, ale, broń Boże, nie wolno powitać tak człowieka, który siebie uważa za Niemca, bo to byłaby obraza największa; wogóle Czuchnów uznają Niemcy za stworzenie „minderwärthig.“ Następnie poznałem mnie z kapitanem parostatku, z pochodzenia Czuchnem, który mi pozwolił obejrzeć maszynę i wszystkie ubikacje parostatkowe; włączyliśmy nawet na maszt, by stamtąd rzucić okiem na miasto.

W taki sposób przeszedł ranek z wielką korzyścią dla mnie. W rozmowie dowiedziałem się, że droga nasza wodna wiedzie zrazu po rzece Wielikoj, następnie po jeziorze Czudskiem, skręca do rzeki Embachu, czyli matki rzeki w mitologii fińskiej, że nad tą rzeką leży Dorpat, że staniemy na miejscu dopiero ku wieczorowi, bo statek nasz płynie bardzo powoli. Dorpat mienią po czuchońsku „Tartu-linast,“ a po rosyjsku „Jurjew.“ Psków zowią po niemiecku „Pleskau.“ Dorpat uchodzi w podaniach za raj ziemski; tu stworzona była pierwsza para ludzi, oczywista rzecz, że Czuchnów, i wszystkie zwierzęta parami. Peltsam — tak się nazywał mój nowy znajomy—obiecał mi dać książki czuchońskie,

gdzie to wszystko, co mi opowiadał, ma być zapisane. Mówił mi także o swojej „Braut,“ czyli narzeczonej, córce handlarza rybami i właściciela domu w Dorpacie, Zeislównie, albo według żargonu dorpackiego, Zeislówce. Najbardziej komiczną zdała mi się rada jego, ażebym się także postarał w Dorpacie o narzeczoną. „Ale ja żenić się nie myślę“—odrzekłem. „To nic nie szkodzi—powiedział—ożenienie się, to już dalsza sprawa, ale teraz to jest tak „angenehm, wenn man so ein süßes Wesen an sein Herz drückt.“

Gdy pasażerowie zaczęli przybywać na statek, ujrzałem pomiędzy nimi trzech w mundurach studenckich, uniwersyteckich, byli to znajomi Emila, którym mnie, jako kandydata na słuchacza uniwersytetu, niezwłocznie przedstawił. Miałem przed sobą Jakóba Natansona, poświęcającego się specjalnie chemii, Jana Brauna, studyjującego medycynę, i Karola Kaczkowskiego, także medyka. Zaraz przy pierwszej rozmowie Natanson zrobił mi cierpką uwagę, że mam akcent i dyalekt czysto litewskie; obraziłem się szczerze tą uwagą i odpowiedziałem szorstko, że jestem przecie Litwinem, a nie Koroniarzem, czułem sam, że mam się niepotrzebnie uniósł, lecz zarazem zeznawałem, że Natanson postąpił nie- delikatnie, czyniąc mi niejako wymówkę, że nie mam akcentu warszawiaków. Gdyby był wiedział, ile to nas kosztowało pracy w Mińsku dla wyzbycia się najważniejszych i najfatalniejszych błędów żargonu litewskiego, byłby nie tak surowym sędzią przy ocenianiu mojego akcentu;—niestety, zaszła odtąd pomiędzy Natansonem a mną jakaś oziębłość, która, jakem się później przekonał, panowała w Dorpacie pomiędzy wszystkimi Koroniarzami i Litwinami. Gorsza jeszcze od tej scysyi zaszła następnie pomiędzy mną a Braunem. Rozpoczęliśmy z nim rozmowę o prowincjonalizmach i o przyczynach zepsucia języka w kraju zabranym; zgadzałem się z nim w wielu kwestyach, lecz oburzyły mnie zdania niektóre, wypowiedziane przez niego, a szczególnie dotyczące poezyj Mickiewicza. Powiedział mianowicie, że poezye rzeczone grzeszą znaczną ilością prowincjonalizmów: kto słyszał, ażeby używano w poezyi wyrazy: „marucha,“ „kot,“ „chołodziec“ etc., od nich poezya powinna być wolną. Usłyszawszy te i inne tym podobne zdania z ust człowieka, noszącego mundur studenta uniwersytetu, byłem rozczarowany, uczułem głęboką boleść i smutek zawodu, przerwałem rozmowę i odtąd unikałem dalszej, natomiast oddałem się cały obserwacyi widoków i konwersacyi z moim no- wym znajomym.

Brzegi rzeki Wielkiej są w większej części wzniesione, nie- kiedy strome; z pokładu statku widzieliśmy wznoszące się to mu-

ry klasztorne, to cerkwie, dopiero ku ujściu rzeki rozpoczyna się nizina; zachodni brzeg jeziora, wzdłuż którego płyniemy, jest również płaski, wschodni brzeg gubi się w oddali. Cichy, słoneczny dzień sprzyjał naszej podróży. Około południa dosięgliśmy ujścia Embachu, minawszy dużą i płaską wyspę. Jezioro Czudskie wzniesione jest ponad powierzchnię morza na 100 stóp, zaś jezioro Wirstjärw, skąd Embach wypływa, stoi wyżej od Czudskiego tylko o 15 stóp, prąd więc wody w rzece jest bardzo powolny, prawie leniwy. Brzegi rzeki są z początku niskie, błotniste, u samej wody urządzone były drewniane pomosty, po których holownicy ciągną barki w górę po rzece, tutaj także, komunikował mi Peltsam, w tych nizinach rzeki, poławiają się węgorze. Kwestya obecności węgorzy w Embachu zaciekała mnie niezmiernie, wiedziałem, że Pejpus przez rzekę Narowę i jej wodospad wysoki oddzielony jest od morza, w jaki tedy sposób dostają się węgorze do Embachu?—zapytałem. Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć mój znajomy, obiecał mi tylko, że mnie zaznajomi z handlarzem ryb, Zejslem, ojcem jego „Braut,“ który mi tę kwestyę wyjaśni.

Płynąc bardzo powoli pod wodę, dosięgliśmy okolicy bardzoj urozmaiconej, tu już widać było rolę uprawną, folwarki „Vonów“ liflanckich, w których rękę spoczywała wszelka własność ziemska, gdy autochtoni, wyzuci ze swej własności, pełnili rolę parjasów, mieszkając w dymnych, brudnych chatach i, zmieniając co wiosnę w kwietniu arendowane pole, pędzili, jak mi opowiadał Peltsam, prawdziwe życie koczownicze. Ten młody chłopiec, jakkolwiek uznawał siebie za Niemca, współczuł głęboko niedoli ludu estońskiego i surowo potępiał szlachtę liflancką. Mijając dużą posiadłość, nazywaną Saragos, ¹⁾ dowiedziałem się, że to jest majątność sławnego w owych czasach literata i redaktora „Siewiernoej peczely,“ Fadieja Bułharyna, o którym miał powiedzieć Puszkina, że „nie w tom bieda, czto ty Palak. Kościuszko Lach, Mickiewicz Lach. Bud' ty żyd, czort, tataryn, tolko nie Fadieja Bułharyn.“ Parostatek nie przystawał nigdzie, w paru miejscach podpływno do niego łódką i doręczano jakieś pakunki, ruch pasażerski był wówczas bardzo słaby.

¹⁾ W Saragos miała być przed kilku laty cała oficyna przeznaczona na mieszkanie dla polskich studentów z Dorpatu, gdy ci przyjeżdżali tu na polowanie. Wskutek atoli nadużyć gościnności ze strony burszów, wymówiono im nadal prawo przyjazdu.

Wcześniej ku wieczorowi przybyliśmy do Dorpatu. Parowiec dał sygnał, by spuszczone linę przewozową i powoli, z wielką powagą podszedł do przystani, urządzonej z prawej strony rzeki, tuż przed drugim przewozem, na wprost kamiennego mostu, zbudowanego za czasu panowania Katarzyny. Przystań była dość prymitywnej budowy, bez poręczy od strony wody, lecz urządzona w miejscu, gdzie woda dość głęboka, tak, że statek przystawał bezpośrednio do pionowo wzniesionej ściany z belek. Na pomoście inrowiło się od publiczności, pomiędzy nią było dużo mundurów studenckich. Emil witał kolegów i zaraz przedstawiał im nowego kandydata na bursza, których to kandydatów mieniono podówczas wielce nieestetyczną nazwą „mułów.“

Pierwszym, którego poznałem, był Antoni Sankiewicz, mędyk, kończący już swoje studia, bawiący w Dorpacie od r. 1849, przyjaciel serdeczny Emila. Wysoki to brunet, starannie wygolony (bo wówczas ani studenci, ani profesorowie nie mieli prawa nosić ani brody, ani wąsów, ani też zapuszczać jakiegokolwiek zarost na twarzy), o żywych ruchach, energicznym wyrazie twarzy, przenikliwych oczach piwnych, o czarnych, gęstych, krótko strzyżonych włosach, imponował postacią swoją. Wiedział on już z listu Emila, wysłanego w czasie wakacyj o naszym przyjeździe i o terminie przyjazdu, a mając polecenie wynajęcia mieszkania na semestr bieżący, skutecznie je i zaraz zajął się przewiezieniem naszych rzeczy i nas samych zaprowadził do gotowego i już urządzonego mieszkania na górze Tekelferskiej, do domu prof. Carus'a, gdzie w oficynie najął dwa pokoje z kuchenką, z umeblowaniem i opałem za 15 rubli na całe półrocze. W budynku głównym od ulicy mieszkał prof. Petzhold, wykładający główne przedmioty z agronomii, czyli, jak nazywano w Dorpacie, ekonomii, więc bezpośredni nauczyciel Emila, który studiował agronomię. Włożywszy nasze rzeczy na dorożkę, która miała wygląd europejski, a nie rosyjski, jak to z musu zaprowadzone było na całej Litwie, sami dążyliśmy pieszo do mieszkania. Sankiewicz, którego nazywano „Sankusem,“ objął natychmiast protektorat nademną, nadał mi napoczekaniu miano „mały,“ Emila nazywał „starym,“ a, wzięwszy mnie za rękę, prowadził przez miasto, objaśniając kolejno wszystko widziane.

Dorpat był w owe czasy mięsciną małą, lecz schludną, bogatą w drzewa i ogrody. Oprócz rynku i w jego pobliżu położonych ulic, gdzie były duże domy murowane, reszta składała się z domów parterowych, częścią murowanych, częścią drewnianych, chodniki istniały tylko na kilku ulicach pryncypalnych i na ryn-

ku, bruki były wszędzie, z wyjątkiem części miasta „graznowką“ zwanej i za ogrodem botanicznym ponad rzeką i w górę ku przedmieściom. Wyszedłszy na plac, do którego frontem stały t. zw. „riady“ moskiewskie, wskazał mi Sankiewicz na pomnik, wówczas jedyny w mieście, poświęcony pamięci bohatera Barklay de Tolli i zaraz dodał wiersz rosyjski, skomponowany w celu wykazania charakterystycznych cech owego pomnika, mianowicie: „Barklay de Tolli i Kutuzow w dwienadcatom gadu marozili Francuzow, za to ich błagodarnyj Ros, wystawił bez szapok na maroz.“ Za rynkiem droga wiodła mimo kamienicy, zajmowanej przez kuratora uniwersytetu, generała Kraftströma. Sankiewicz zawczasu już ułożył napis na grób, który kurator kazał sobie za życia przygotować na cmentarzu w Dorpacie. Napis ten miał być taki: „Ihm gut, und uns besser.“ Na parterze w tej samej kamienicy mieści się izba, przeznaczona na stację obserwacyjną dla pedelów, skąd oni śledzą czynności burszów, gromadzących się zwykle po trotuarach, na rynku i na placu przed ratuszem. Ponieważ pedele noszą w żargonie studenckim miano „pudlów“, stąd izbę tę nazywano „Pudelstube“, a po polsku „pudlarnią.“ Przechodząc tędy, każdy student powinien mieć zawsze surdut zapięty na wszystkie guziki, powiadał Sankiewicz, albowiem zarówno generał kurator jak i rektor Haffner uznają zapięcie munduru na wszystkie guziki za najszczytniejszy i najświętszy obowiązek studenta, szanującego swoją godność; za rozpięcie chociażby tylko paru guzików czeka przestępcę kara, na pierwszy raz trzydniowego aresztu w karcerze, (drei mal vier und zwanzig Stunden Karzerstrafe). Skręcając za ratuszem na prawo, ujrzałem gmach uniwersytetu, tę świątynię wiedzy, do której rwałem się gwałtownie. Tu spotkaliśmy grupę naszych ziomków, wracających z przechadzki, odbytej za miastem, po przywitaniach przyłączyli się do nas; następnie w dosyć licznej grupie szliśmy już dalej pod górę, aż stanęliśmy u kresu, prawie na samym końcu ulicy, po lewej stronie w kierunku od miasta. Zniesiono rzeczy, posłano po służącą, którą Madame tytułowano, zaś w żargonie studenckim nosiła nazwę „Löffeliny.“ Nasza Madame była to prosta Czuchonka, mówiąca jednak nieco po niemiecku, tak, że się z nią w tym języku porozumiewać było rzeczą możliwą; nazywała nas „Jungier“, co znaczyć miało „Junger Herr“, mieniła ulicę „Steinstrasse“, na której mieszkał Sankiewicz — „Tejustrasse“, gdy oznajmiała, że już obiad na stole, powiadała: „Jungier ich bin son Mittag gebrungen.“ Uczciwą była idealnie, miała córeczkę ośmioletnią, która studentów nazywała „Papa.“ Radość

z naszego przyjazdu Madame okazała szczerą, zaraz zajęła się samowarem i z książeczką udała się po ciasto do piekarza, zliczywszy wpieryw ilość osób obecnych w mieszkaniu, zwyczajem bowiem było, że dla każdego gościa przeznaczano ciasta za 6 groszy, przyczem każdy z osobna obstalowywał gatunek ciasta dla siebie. Nasza Madame nie umiała nigdy zapamiętać obstalunku, więc spisywano ilość każdego gatunku ciasta na kartce. Oczekując na herbatę, wydostaliśmy przywieziony zapas wędliny, pieczywa etc. i bankiet był gotów—bez alkoholu.

Już tego wieczora poznałem wielu z kolegów Emila, lecz wśród nich nie było ani jednego z Korony. Hałaśliwa biesiada trwała do późna, rozmowy przybierały wyjątkowo cechy jakiejś naukowej dysputy; opowiadano o przygodach podróży, o pobycie na wsi, o nowinach dorpackich, a ten pierwszy wieczór, spędzony wśród studentów-burszów, rozczerował mnie zupełnie ze względu na poziom wykształcenia ogólnego burszów polskich w Dorpacie. Dowcipy nie zawsze dowcipne, lecz zwykle rubaszne, żargon wcale nie estetyczny, trywialność wyrażań i wyrazów raziły mnie mocno.

Gdy goście nas pożegnali, musieliśmy otworzyć okna, ażeby się pozbyć dymu od fajek, który wypełniał pokoje; palono wówczas fajki, gospodarz każdy miał zapas cybuchów i glinianych stambułek dla tych gości, którzy przychodzili bez fajek, a dla tych, którzy nie brali ze sobą tytoniu, miał obowiązkowo „Żuków“ lub mocny turecki. Papierosów nie znano, a cygara były zbyt drogie. Zrobiwszy porządek w mieszkaniu, Sankiewicz zwrócił się do mnie z taką perorą: „Słuchaj mały, bądź ostrożny z zaprzeczaniem, albo uwagami, skierowanemi do burszów, choćbyś nawet usłyszał głupstwo jakie, milcz, bo inaczej narazisz się na impertynencyę, a stąd konieczność pojedynku, widziałem dzisiaj, jak się Puczniewski obraził, gdyś go poprawił w jego opowiadaniu o pobycie Batorego w Grodnie. Wiedzieć powinieneś, że dopóki jesteś mułem, najlepiej unikać wszelkich zebrań towarzyskich, a gdy kiedy z konieczności będziesz w towarzystwie, to nie zabieraj głosu; każdy bursz ma mułów za nic.“ I tu opowiedział świeżą historję, jaka zaszła z Rupniewskim Gustawem: „zaczęto go szykanować wprost za to, że się przekonano, iż muł wiedział więcej niż bursze. Takich wypadków unikać trzeba, a najlepiej trzymać się zdala od towarzystw, będzie czas na to po zdaniu egzaminu. Od jutra zaczniesz „kwęczyć“ łacinę, mówiłem już z Schönrockiem, nauczycielem łaciny i greki, znalazłem dla ciebie towarzysza do łaciny, Czerniawskiego Kazimierza, przy-

gotuj się już na jutro, od 4-ej do 5-ej po obiedzie. Schönrock ma wszystkie inne godziny zajęte, a tylko przystał na trzy godziny w ciągu tygodnia. Płowecki Andrzej, matematyk, kolega nasz, obiecał uczyć cię matematyki po niemiecku, resztę już sam masz dokonać własną pracą. Tymczasem żegnaj cię, przyjdę jutro rano, ażeby cię zaprowadzić do Schönrocka, do Płoweckiego i do Czerniawskiego, a zarazem zameldować o przyjeździe w policyi.

Zwyczajem było w Dorpacie, że Polacy mówili pomiędzy sobą per „ty;“ zwyczaj ten przeszedł do Polonii od Niemców. Wszyscy dorpatczanie starsi i młodszy, nie zważając na różnice wieku i stanowiska społecznego używali „du“ w rozmowie ze sobą, tak np., będąc jeszcze studentem, rozmawiałem z akademikiem Baerem, z Middendorfem, Schrenkiem per „du;“ nawet generał Suworow w rozmowie ze mną kazał siebie „tykać;“ nazywając mnie „Kollege.“ Ten zwyczaj, pozornie dobry, miał i swoje złe strony, mianowicie „ami-koszoneri.“

Po odejściu Sankusa postanowiłem odrazu urządzić się w mieszkaniu, rozpakowałem więc rzeczy i zabrałem się do pracy. Umeblowanie naszych izb było bardzo skromne: otomana duża, niezgrabna, obita grubym drylichem, z materacem od ściany, przed nią stół duży, nie malowany, ze śladami różnych wypaleń i rozmaitych wyrzynań, kilka krzeseł prostych, bez wszelkiego obicia, u drzwi szaragi do wieszania płaszców, do ściany gwoździami przybite, dwa okna duże bez storów i firanek, od dziedzińca okiennicami opatrzone, ściany świeżo wybielone, podłoga nie malowana. W drugim pokoju dwa łóżka nie malowane, proste, każde z siennikiem słomą wypchanym, stolik przed oknem z szufladą i krzesło drewniane bez obicia w rodzaju fotela. Żadnych ozdób na ścianie, pusto i ubogo. W sieni mieliśmy składzik na drzewo, spiżarenkę i małą kuchenkę z półkami. Wszystkie te ubikacje na kłódkę zamykane, ale żadnej szafy ani komody. Ze statków gospodarskich posiadał Emil duży samowar, lampę do spirytusu terpentynowego, używanego zamiast nafty, parę lichtarzy koszlawych do świec łojowych, będących podówczas w użyciu, kilka talerzy, z dziesiątek szklanek, spodków kilka, parę łyżeczek i mezażki fajansowe, w których przynoszono obiad. Wydobyłem z tłomoka firanki, które mi własnoręcznie sporządziła siostra Anna, umocowałem je u dwóch okien salonu gwoździami z sobą przywiezionymi, nakryłem stół kolorową serwetą, kupioną w Mińsku, zawiesiłem na ścianie kilka map, parę obrazów litografowanych, przedstawiających sceny historyczne i kilka obrazków kolorowych

z życia zwierząt krajowych; w ten sposób udekorowany salon uznałem za wspaniałą. Emil uśmiechał się, ironicznie patrząc na moją robotę, lecz nie przeszkadzał jej wykonaniu. W drugim pokoju postawiłem na stole lusterko w oprawie platerowanej, parę takiego samego wyrobu lichtarzy, w które oprawiłem świece stearynowe, przywiezione z sobą, ustawiłem mały nesseser z kalamarzem, zasłałem łóżka, słowem ożywiłem i ozdobiłem nasze mieszkanie, o ile to było możebnem; miałem następnie zamiar kupić kilka doniczek z kwiatami i parę dzbanuszków na kwiaty polne, które zbierać postanowiłem podczas przechadzek za miastem.

Emil, gdym mu komunikował swoje projekta, zrobił uwagę, że wszystkich takich ozdób nie znoszą bursze i że się narażę na drwiny, lecz ja trwałem przy swoim postanowieniu, utrzymując, że koniecznością jest dbać o estetykę w swem otoczeniu. „Zobaczysz — ostrzegał Emil — że ci skradną wszystkie wystawione precyzoza; wszak klucz od mieszkania pozostawia się zwykle nade drzwiami wchodowemi, lada żebrak, zobaczywszy przez okna owe platerowane lichtarze i lusterko, otworzy mieszkanie i zabierze je sobie. Bursz tak się urządza, że statki zamyka na klucz w kuchence, a u siebie w mieszkaniu nie pozostawia nic, coby było warte skradzenia „omnia mea mecum porto“ oto dewiza bursza.“ Nie zrażałem się uwagami Emila, postanowiłem tymczasem pozostawać przy swoim zdaniu. Dla Marsa ułożyłem był posłanie na kanapie, lecz pies tak był przywykł do mnie, że porzucił otomanę i przeniósł się na moje łóżko. Pokochałem tego psa za jego przywiązanie do mnie, w jego towarzystwie nie bałem się wychodzić na przechadzkę sam, mina jego groźna z wyszczerzonymi zębami i gotowość rzucenia się na każdego, ktoby mi zagroził, były dostateczną rękojmią mego bezpieczeństwa.

Nazajutrz zrana, bardzo wczesnie zjawiała się Madame „Gertrud,“ gdyż od nas, jako najdalej mieszkających, rozpoczynała swą dzienną pracę. Miała ona pięciu Polaków, którym usługiwała; my we dwóch płaciliśmy jej 3 ruble miesięcznie oraz małe dodatki pieniężne na główne święta doroczne; za pranie bielizny, za szorowanie podłogi raz na tydzień płaciło się osobno. Obowiązki Löffelin były dość uciążliwe, w obiadowej porze i wieczorami, musiały one przynosić obiad z dalekiej garkuchni, odgrzewać jadło przyniesione, wieczorem, gdy byli goście, nastawiać parę razy samowar, zimą palić w piecach i przynosić wodę ze studni, zwykle daleko położonych. Löffeliny rozpadały się na kilka grup, były ryskie, estońskie, liflanckie, bałtyckie i polskie; przeważnie by-
ły przywiązywały się serdecznie do swoich panów. Przeważnie by-

ły to Czuchonki, rzadziej Niemki, a jeszcze rzadziej Rosyanki; te ostatnie służyły wyłącznie u Polaków. Każda Madame nazywała swoich panów po nazwisku, dodając przymiotnik „mein:“ „Mein Puchlak“ oznaczać miało Bułhaka, „Mein Oramowic“—Aramowicza, „Mein Sipokowski“—Szpakowskiego. Baltyka czyli arystokracja niemiecka miała arystokratyczne służące. Ryżanom usługiwały wielce zasłużone i szanowane Mesdames, przeważnie czuwające nad czynnością niższych sług, które same najmowały; niektóre z nich były na emeryturze, pobierały płacę roczną od zarządu korporacyjnego. Gdy brak było monety u panów, brały na kredyt od kupców i utrzymywały chlebobawców swoim kredytem własnym.

Odżywianie się dorpatczanów, szczególnie Litwinów, było spartańskie, z rana mleko z chlebem razowym, „brykałem“ zwanym, na obiad „brykało“ przy cienkiej „wasserzupie“, niewielkim kawałku mięsa i trochę jarzyn lub kartofli, dwa razy na tydzień dawano t. zw. trzecią potrawę mączną. Za obiad płaciło się 3 rb. na dwóch, czyli 10 złotych od osoby na miesiąc. Wieczorem spożywano bądź mleko parzone z bułką, gdy gości nie było, albo herbatę z ciastem, sprowadzanem od piekarza. Wybredni brali pieczywo od Beminga, sławnego piekarza na całą Liflandyę, inni z najbliższej od swego mieszkania znajdującej się piekarni; ciasto brało się na książeczkę, opłacając co miesiąc. Piekarz kredytował do 15 rb., poczem odmawiał kredytu i zaskarżał dłużnika do Syndyka na uniwersytecie. Mułom nie kredytowano, chyba, że Löffelina poręczyła za nich. Lepsze Löffeliny miały kredyt u piekarzy i u kupców, pożyczaly nawet pieniądze swoim panom i traktowały ich, jakby synów rodzonych.

Jak skromne było pożywienie, tak też ubogie było i życie. Odzież znoszona, a im więcej zużyta, tem bardziej ceniona, książek do nauki prawie żadnych, zastępowały je skrypty; gazet żadnych. Wydatki największe stanowiły t. zw. „knejpy“, „komersy“, czyli zebrania okolicznościowe przy ponczu i gliwejnie.

Ludzie zamożniejsi wydawali na życie około 500 rb., średnio zamożni 300, inni 200 albo 150 rb. Ta ostatnia suma służyła za normę przy wypłacaniu biednym kolegom subsydyum pieniężnego na utrzymanie z kasy korporacyjnej. Kasa taka u Polaków zasilana była podatkiem, płaconym od sumy wydatkowanej przez każdego członka towarzystwa: od 500 rb. płacono 50 rb., od 300 rb.—25 rb., od 200 rb.—5 rb.

Nie mając jeszcze owego dnia po przyjeździe mleczarki, ugodzonej do przynoszenia mleka (pół garnca mleka parzonego ko-

sztowało 6 groszy), piliśmy z rana herbatę, na którą przyszedł Sankiewicz. Zaraz po herbacie poszliśmy do Schönrocka, ażeby go zastać w domu, bo już o 8-ej wychodził na lekcye; zastaliśmy go na wychodnem. Po przedstawieniu się, jako przyszły uczeń, towarzyszyliśmy mu po drodze. Przypatrywałem się pilnie nauczycielowi; był to człowiek niskiego wzrostu, dosyć otyły, o twarzy ogolonej i z krótko strzyżonym jasnym włosem na głowie. Twarz blada, prawie chorobliwie, jakby nalana, oczy obwiedzione od dołu sinawymi „workami,“ były koloru blado-niebieskiego i w ciągłym ruchu, nos kartoflowaty, usta wąskie, szeroko rozcięte. Mówił prędko, krótkimi zdaniami, przyczem robił ruchy plecami i krzywił twarz, przechylając głowę to na jedną, to na drugą stronę; ruchy miał żywe, kroki robił małe, nierówne. Kazał mi przygotować Liwjusza od księgi XXX, następnie gramatykę łacińską Zumpfta, kajet wązki do spisywania słówek, kajet większy do ćwiczeń; dzisiaj punkualnie o 4-ej mamy go czekać w naszym mieszkaniu, a znał to mieszkanie dobrze, bo dawał lekcye Olszańskiemu, który tam mieszkał z Lotwejzenem. Wypowiedziawszy to wszystko zdaniami lakonicznymi, pożegnał nas, by pośpieszyć na lekcye. Od Sankiewicza dowiedziałem się o szczegółach, dotyczących Schönrocka. I tak w roku 1837, a więc przed 15 laty zapisał się na uniwersytet w Dorpacie, a już wtedy mówił i pisał po grecku i łacinie, nadto zwrócił na siebie uwagę profesorów fenomenalną swoją pamięcią; w czasie czteroletnich studyów zaszczycony został trzema złotymi medalami za prace, wykonane na zadawane temata przez wydziały filologiczny i teologiczny, a także i filozoficzny. Te trzy nagrody dawały mu prawo do wyjazdu za granicę na koszt rządu dla dalszego kształcenia się, poczem mógł zająć katedrę filologii klasycznej, bądź w Dorpacie, bądź też na innych uniwersytetach rosyjskich. Ale Schönrock nie chciał korzystać z prerogatyw, uzyskanych na mocy trzech medalów złotych, pozostał na miejscu i rozpoczął dawać lekcye prywatne, które wraz z tłumaczeniem na łacinę rozpraw na stopnie doktorów i inne różne czynności w tym zakresie, dawały dochody znaczne. Nauczył się przytem terminologii medycznej, filozoficznej, przyrodniczej i stał się osobistością prawie konieczną w życiu naukowem dorpackiem, mówiono, że już wówczas miał kapitał, wynoszący 20,000 rb. Ożenił się, miał synka, którego już od pieluch uczył mówić po łacinie i grecku.

Rozmawiając o osobistości oryginalnej Schönrocka, zawędrowaliśmy na drugi koniec miasta, gdzie w domku drewnianym, stojącym przy ulicy niebrukowanej, w izdebce na poddaszu miesz-

kał mój przyszły kolega, Czerniawski. Zastaliśmy go w domu, zajmował pokój maleńki o jednym oknie, wychodzącym na obszerny ogród warzywny; całe umeblowanie pokoiku składało się z łóżka, stolika i paru krzeseł; cena najmu tego pokoju wynosiła 7 rb. na półrocze. Czerniawski był w moim wieku, o sympatycznej powierzchowności, ciemny szatyn o niebieskich oczach, miał tylko jedną wadę przykrą, mianowicie jąkał się straszliwie, tak, że o rozmowie z nim myśleć niepodobna było, niecierpliwił się, gdy się go o cokolwiek zapytano, dawał odpowiedzi lakoniczne, zwykle jednowyrazowe, reszty domyślać się musiano. Odpowiedzi wylatywały z ust jego, jakby z procy i to po długim i męczącym powtarzaniu pierwszej sylaby danego wyrazu; każda rozmowa kosztowała go dużo, twarz czerwieniała się i przybierała wyraz gniewliwy. Nie długo bawiliśmy w jego mieszkaniu; zakomunikowałem mu, że punkt o czwartej dzisiaj rozpoczną się lekcye, że Schönrockowi płacić mamy po rublu za godzinę z góry tygodniowo, więc po dwa ruble od osoby, które mu dzisiaj zaraz doręczyć mamy, bo nie kredytuje.

Wracając, wstąpiliśmy po drodze do mieszkania Sakiewicza, na Steinstrasse, w domu krawcowej, w dziedzińcu, w drewnianej oficynie na poddaszu. Tu zajmował pokój, mały o jednym oknie, z widokiem na ogród warzywny; sufit łamany zniżał się nad łóżko i wznosił się stopniowo ponad okno, przed którym stał stolik niewielki, zarzucony skryptami, w kącie mieścił się mały stoliczek z cybuchami i tytunierką, pod nim mały samowarek i inne naczynia kuchenne; para krzeseł dopełniała umeblowania. Przy ubóstwie otoczenia panowała w pokoiku czystość wzorowa, podłogę przykrywało płótno białe. Posadziwszy mnie na łóżku, sam usiadł na stołku, zapalił fajkę, obsadzoną na długim cybuchu, i opowiedział mi w krótkich słowach swoje curriculum vitae. Był on rodem z Kobryńskiego, gdzie rodzice posiadali mały folwark. Ojciec o typie polskim ciemno-blondyn, matka brunetka typu, jak powiadał, dawnych Jądźwingów, dwaj bracia jego, starszy, lekarz na Kaukazie, i młodszy, słuchacz na uniwersytecie w Dorpacie, podobni są do ojca, on sam, brunet, podobny do matki. Już w szkołach i tu, w Dorpacie, utrzymuje się własną pracą, ostatecznie musiał zawrzeć umowę z byłym kolegą, Kieniewiczem, który mu udziela pożyczkę pod warunkiem, że, ukończywszy studia, będzie jako lekarz odługuwał w dobrach ojca Kieniewicza, w Mozyrskiem. Suma niewielka, 350 rb. rocznie, lecz z niej musi część oddawać bratu, Michałowi, który poświęca się specjalnie historii; pomimo wielkich zdolności brata, niema nadziei, ażeby on mógł

ukończyć nauki w Dorpacie, gdyż od pewnego czasu okazuje zbożczenia umysłowe, pracuje zbyt wiele, całe noce trawi nad książkami, skąpi sobie na życie, ażeby mózdz zakupić dzieła naukowe. Opowiadał mi następnie o ubóstwie Polonii litewskiej; z wyjątkiem Chmarów, Śniadeckich, Horwata, Ordów, Platerów, którzy mają więcej nad 300 rubli na przeżycie, inni wszyscy są nie majątni; wskazywał na obowiązek, jaki ciąży na ludziach majątniejszych, mianowicie obowiązek niesienia pomocy uczącym się kolegom, zalecał oszczędność, a nadewszystko unikanie towarzystw, gdzie grają w karty lub piją. Dawał mi tak serdeczne, prawie ojcowskie rady, jak rzadko który z blizkich krewnych byłby to uczynił. Ja mu opowiedziałem o naszym życiu filareckiem w gimnazyum mińskiem. Sankiewicz Antoni przygotowywał się do egzaminu rządowego na lekarza, bo zdawać egzaminu na doktora nie mógł, nie mając środków na to; przy zdawaniu bowiem egzaminu doktorskiego trzeba przynajmniej rok cały poświęcić na opracowanie dyssertacyi wymaganej, następnie wydrukować ją własnym kosztem, przetłómaczywszy przy pomocy Schönrocka na język łaciński; bronić rozprawy trzeba po łacinie, co wymaga znowu przynajmniej całorocznej nauki rozmowy łacińskiej u tegoż samego nauczyciela, dalej kosztą śniadania po obronie i inne mniejsze lub większe wydatki. Na to wszystko, razem wzięte, trzeba funduszu wynoszącego przeszło 1,000 rubli.

Po długiej i serdecznej pogawędce poszliśmy do Uzłowskiego Stanisława, który wspólnie z Sankiewiczem przygotowywał się do egzaminu. Był to człowiek zamożniejszy, mieszkał tuż w sąsiedztwie na tejże samej ulicy, zajmował w oficynie domu drewnianego dwa pokoje i przedpokój; umeblowanie miał porządne; obok innych mebli stała szafka z książkami, mieszcząca, oprócz fachowych, medycznych, także dzieła historyczne, beletrystyczne etc. Sankiewicz w mojem imieniu prosił go o pożyczenie Liwjusza, gramatyki Zumpfta, gramatyki niemieckiej i innych podręczników szkolnych niemieckich, które posiadał Uzłowski, bo skończył szkoły niemieckie w Lardonie. Z wielką uprzejmością zabrał się Uzłowski do wydostania z szafy żądanych książek, a obok tego dał mi wielką ilość tak zwanych „szpikierów“ łacińskich, greckich, niemieckich; służą one jako ważna pomoc przy opracowywaniu zadań pisemnych podczas egzaminów wstępnych do uniwersytetu. W tych „szpikierach“ bowiem są podawane w skróceniu wszystkie możebne temata najważniejsze; każdy taki temat spisany drobniutkiem pismem na osobnym niewielkim kawałku papieru. Przy koleceyi takich „szpikierów“ numerowanych

dołany jest dokładny spis tematów. Kto umie się posługiwać „szpikierami,” ten mógłby na poczekaniu napisać świetny artykuł historyczny, a nawet i filozoficzny po łacinie. Każdy „szpikier” powinien być przestudyowany z osobna. Uzłowski wtajemniczył mnie we wszystkie „arcana” szpikierowe i tak wskazywał na ustępy, dające się użyć do opisu bitwy lub wojen, do opisów miejscowości, do charakterystyki wodzów etc., etc. Każdy rodzaj opisów zaznaczony jest osobnymi znakami. Na razie zabrałem tylko gramatykę, Liwjusza i słowniki łacińskie, bo musieliśmy jeszcze wstąpić na ratusz do policyi, ażeby stamtąd wziąć kartę pobytu i złożyć wizytę Płoweckiemu, przyszłemu memu nauczycielowi matematyki.

Na przyjezdnych obcych do Dorpatu zwracano pilną uwagę: w tych czasach każdy przybywający musiał się meldować w policyi, gdzie odbierano pasport, dając w miejsce niego kartę pobytu; zapisywano przytem skrupulatnie, skąd przybył, w jakim interesie, jak długo ma zabawić, gdzie zamieszka etc. Kontrola policyjna nad młodzieżą przyjezdną była pozornie bardzo ścisłą, lecz w rzeczywistości taką być nie mogła z powodu braku ludzi rozgarniętych; policyantami byli głównie dymisjonowani żołnierze, Czuchońcy, którzy o sobie powiadali: „Ja ruskaja celawiek, a nie Ciuchna.“ Gdy policya nie pełniła lub pełnić nie mogła kontroli ścisłej nad młodzieżą, wyręczał ją lojalni mieszczanie, albo, niestety, i niektórzy profesorowie i nauczyciele. Nad studentami rozciągał kontrolę uniwersytet, miał on policyę uniwersytecką, złożoną z kilku pedelów pod komendą „Oberpedela” Schmidta, który miał swoich tajnych agentów wśród mieszkańców. Najgroźniejszym pedelem był Wisor, on szpiegował każdy krok studentów, donosił o wszystkim „Oberpedlowi,” nie wybaczał żadnego uchybienia od śmiesznych, a często głupich przepisów rektora Haftnera, tego urzędowego, jak go nazywano, głupca. Lubionym przez studentów był pedel Michelson, po nim Tanebaum; ci nigdy nie denuncyowali zebrań towarzyskich, a gdy usłyszeli śpiewy, pukali do drzwi i mówili: „nicht so laut meine Herren.“ Często też zapraszano ich na szklankę Głiwejnu. Wszystkie takie wiadomości komunikował mi Sankiewicz w drodze do ratusza, gdzie załatwienie formalności zabrało z pół godziny czasu, tak, że przyszedłszy do Płoweckiego, nie zastaliśmy go w domu: wyszedł był na obiad. Sankiewicz znalazł gdzieś kawał węgla w kuchence, wypisał na drzwiach nasze nazwiska węglem, takimi były bilety wizytowe w ówczesnym Dorpacie. Pedele, gdy nie znaleźli studenta w domu, a mieli polecenie od rektora,

ażeby go wezwać, pisali kredą na drzwiach; wogóle drzwi od mieszkania studenckiego były zawsze znaczone dziesiątkami napisów, to węglem, to kredą.

Wróciwszy do domu, zabrałem się do przygotowań na lekcję Schönrocka. Odtąd rozpoczyna się mój nudny żywot „muła“, „kwęcącego“ przedmioty rozmaite, przygotowując się do egzaminu, któremu podlegali uczniowie wszystkich szkół średnich, z wyjątkiem niemieckich w Kurlandyi, Liflandyi, Estlandyi i Petersburgu. Takie rozporządzenie ministeryalne było wprost ubliżające dla wszystkich zakładów rządowych w całej Rosyi i w kraju zabranym. Jak powiadano wówczas, Niemcy wymogli rzezzone rozporządzenie, ażeby utrudnić wstęp dla młodzieży nie niemieckiej na uniwersytet w Dorpacie. Polacy i Rosyanie uważani byli tutaj za intruzów nieprzyjemnych, a zarazem niebezpiecznych. Oprócz młodych Niemek, a w części Löffelina, inni byli albo wrogo usposobieni względem Polaków, albo obojętni. Polacy musieli sobie wywalczyć stanowisko przebojem, a wywalczywszy, stać na niem obronnie, trzymać się kupy i wymagać koniecznie, ażeby uznano tę gromadę za korporację. Taki był program działalności Polonii w owych czasach.

Gimnazya w zabranym kraju, gdzie nauczycielami byli Rosyanie lub Małorusy, stały bardzo nisko pod względem naukowym, nasze gimnazjum mińskie bodaj czy nie stało najniżej, bo nigdy żaden z przyjezdnych uczniów tego gimnazjum nie stanął bez przygotowania do egzaminu. Co innego przyjezdni z Królestwa i z gimnazjum rówieńskiego; tam byli nauczycielami Polacy. Dopiero gdyśmy porównywali zasób naszych wiadomości naukowych, uzyskanych w gimnazjum, z poziomem wiadomości kolegów, przychodziliśmy do przekonania, żeśmy tracili tyle lat czasu na próżno.

Schönrock stawiał się punktualnie o czwartej, położył zegarek przed sobą i rozpoczął lekcję od uczenia czytać po łacinie według wymowy niemieckiej, tak np.: zamiast *sim, sis, sit* etc., trzeba było wymawiać: *zim, zis, zit* etc.; trzeba nauczyć się tak czytać, powiadał, ażeby słuchający mógł nabrać przekonania, że ten, co czyta, rozumie przeczytane. Z Czerniawskim był kłopot wielki, kwestyę całą rozstrzygnął Schönrock kolumbowym sposobem: pół godziny przeznaczył dla mnie i pół godziny dla Czerniawskiego. W trakcie tłumaczenia Schönrock zapisywał nieznanne wyrazy, obok nich frazesy całe, a następnie paragrafy z gramatyki Zumpfta, czynił to wszystko bez pomocy książki, bo miał

całą gramatykę w pamięci; wiedział, na której stronie rozpoczął się każdy paragraf. Po godzinie urastał balast pamięciowy, który pokonać trzeba było do następnej lekcji, nadto, jako pracę dodatkową, zadawał tłumaczenie z niemieckiego na łacinę. Cała ta nauka łaciny nie była systematyczną, lecz raczej papuzią, pamięciową, mającą na celu zadosyć wymaganiom egzaminowym w jaknajkrótszym czasie; sam nauczyciel to zeznawał. Już po miesiącu takiej nauki, każdy uczeń, mający pamięć dobrą, był w stanie przyoblekać swoje myśli w szatę frazesów, wyuczonych na pamięć. Taka szata wyglądała arlekinowato, bo się składała ze strzępów najrozmaitszej wartości zdań, wypowiedianych przez Ciceronów, Liwjuszów, Horacych, Seneków etc. Schönrock cieszył się z postępów uczniów swoich, martwił się natomiast, gdy miał do czynienia z opieszalymi lub nieukami. Gdyśmy się popisywali przed nim wyuczeniem się zdań takich np. jak: „Idem velle et idem nolle, ea demum firma amicitia est,“ albo „Sunt quidam homines, non re, sed nomine“ etc., natychmiast tuż zaraz zapisywał nowe, jeszcze bardziej filozoficzne zdania—a szczególnie lubił takie np., jak następujące: „Nihil tam difficile est, quin quaerendo investigari possit,“ albo „Contentum suis rebus esse maximae sunt certissimaeque divitiae.“ Odnośnie do łaciny szły postępy nasze szybkim krokiem, więc cieszyliśmy się nadzieją pokonania trudności na tej drodze.

Drugi mój nauczyciel Płowecki trzymał się takiej samej metody jak Schönrock i jemu chodziło o to, ażeby w jaknajkrótszym czasie zadość uczynić wymaganiom egzaminowym; dawał nam szereg szpikierów matematycznych, które służyły do opracowywania zadań algebraicznych i geometrycznych przy egzaminach pisemnych.

Pomimo ułatwień rozmaitych, nie każdy z przyjezdnych mógł zdać egzamin, szczególnie trudno było tym, którzy nie umieli po niemiecku. Za nich zdawali zwykle studenci, przebrani w odzież cywilną i odpowiednio ucharakteryzowani. Do takich śmiałych ludzi, narażających się na wykreślenie z listy studentów, należał Antoniewicz Konstanty, rodem z Wileńskiego; on się szczycił tem, że za tyłu to a tyłu zdał egzamin z niemieckiego. Fałsze i oszustwa takie były tolerowane wśród kolegów, nie uznawano ich wcale za rzecz niehonorową. Opowiadano, że na daleko większą skalę takie fałszerstwa praktykowały się w Moskwie.

Nad niemieckim pracowaliśmy sami; znając ten język lepiej niż inni z kolegów moich, starałem się być im pomocny. W owym

roku przybyło stosunkowo bardzo dużo kandydatów na słuchaczy do uniwersytetu dorpackiego, nas Polaków, zdających razem, było 18, z tych, o ile wiem, jeden tylko d-r Majkowski Julian pozostał dotąd przy życiu.

W pierwszym semestrze pobytu mego w Dorpacie zaszło kilka wypadków pamiętnych dla mnie. W początku zimy brat mój Emil po ukończeniu studiów agronomicznych zdał egzamin na kandydata i opuścił Dorpat, pozostałem sam, zdany pod opiekę Sankiewicza. Następnie wierny mój towarzysz na przechadzkach za miastem, z którym chodząc, nie obawiałem się żadnego napadu zbójckiego, bulldog Mars, zakończył życie, chorując na nosaiczną, która dziesiątkowała podówczas psy studentów, stosunkowo licznie hodowane w Dorpacie, i pomimo leczenia Marsa przez renomowanego prof. weterynaryi Unterbergera, padł on ofiarą zabójczego cierpienia; w czasie jego choroby zawarłem znajomość z rzeczonym profesorem, co mi posłużyło następnie do zawiązania bliższych z nim stosunków. Po stracie Marsa musiałem zaniechać dalszych wycieczek za miasto, poznałem jednak bliskie okolice jak Tchelfer, Ratzhof, Jamy, Weissenross. Zresztą nadchodziła już zima z obfitością śniegów, charakteryzujących tę porę roku w okolicach Dorpatu. Gdy po wylewie Embachu zamarzyły szeroko wody dokoła, postanowiłem uczyć się łyżwiarstwa pod kierownictwem Sankiewicza i Paszkiewicza Antoniego; nauki tej nie mogłem doprowadzić do doskonałości, lecz chodziło głównie o to, ażeby mieć możliwość ruchu, co było koniecznością przy życiu naszym siedzącym.

Po wyjeździe brata z Dorpatu opuściłem mieszkanie zajmowane, nająłem mały pokoik na parterze w dziedzińcu obok mieszkania studenta medycyny, Lubelskiego Wilhelma z Warszawy. Oryginalny był to człowiek, pamięć posiadał niezwykłą, lecz ją kierował nie na pole naukowe; lubował się w anekdotach pikantnych, w plotkach i ploteczkach warszawskich i miejscowych, znał cały Dorpat, wiedział do kogo który z domów należał, znał rodowody arystokracji liflanckiej, wiedział ile panien jest na wydaniu, gdzie się zbierają mieszczanie na zabawy, nadto znał katalogi książek z biblioteki uniwersyteckiej, ale książek sam nie czytywał, uczył się przedmiotów fachowych ze skryptów, przepisywał je, pożyczając od kolegi Janikowskiego i chwalił się przedemną, że posiada wszystkie skrypta, a nawet gotów mi je ustąpić, gdy sam opuści Dorpat. Codziennie prawie z poczty odbierał list z Warszawy od matki swojej, list na kilku arkusikach

zapełnionych pismem drobnutkiem; były tu podawane jedna po drugiej najrozmaitsze wiadomości rodzinne, brukowe, społeczne, polityczne, był to rodzaj kuryerka warszawskiego. Zachodził Lubelski często do mnie na pogawędkę, rad byłem z tego, bo mówił dobrze po polsku, akcentem warszawskim, słuchałem go chętnie, jakkolwiek wiadomości, które mi komunikował, nie były wcale ciekawe. Schönrock powiadał o Lubelskim, że ma pamięć dobrą „aber keinen rechten Sinn.“

Schönrock nie lubił Żydów, wogóle Żydzi byli źle widziani w Dorpacie, pobyt w mieście mieli wzbroniony, z wyjątkiem czasu jarmarkowego, dorocznego, trwającego w czasie zimy dziesięć dni. Ci z Żydów, którzy przyjeżdżali dla studyów, musieli przedstawić pozwolenie od władz wyższych, a jeżeli który z nich nie zdał egzaminu, wyrzucano go natychmiast z miasta. Żydzi na uniwersytecie dorpacim rozpadali się na dwie grupy, Królewaków i Litwinów, pierwsi byli wykształceni, kulturalni, drudzy zacofani i najzupełniej niekulturalni. Taki Nurok np. gdy się go profesor zapytał, kim on jest? odpowiedział „Nurok aus Kowna;“ gdy mu następnie profesor objaśnił, że chce wiedzieć, czy jest Polakiem, zdziwił się niezmiernie i odrzekł „kein Pole Nurok aus Kowna.“ Wolpert, syn zamożnego kupca z Kowna, nie ucierał nigdy inaczej nosa jak palcami. Gdy siedząc pewnego razu na ławce w audytoryum i wycierając sobie nos w ten sposób powalał ubranie sąsiada Niemca, ten go nazwał „Dunkopf,“ co zmusiło Wolperta do pojedynku, zwrócił się tedy do Sankiewicza, prosząc go, ażeby mu sekundował, bo jak powiadał, że „ty Sankusie z twym wielkim postaciem przestraszysz Niemca.“ Po odbytych pojedynku na pistolety, spotkał Wolpert na ulicy swego adwersarza, wyciągnął wtedy chustkę z kieszeni i wywijając nią w powietrzu, wołał „noch sechs in der Kommode.“ Gdy go pytano, co to miało znaczyć, odpowiedział, że mu Niemiec zarzucał, iż nie ma chustki do wytarcia nosa. Żyd Rajwid miał również pojedynkę z Niemcem za swoje niechlujstwo. Żaden z litewskich Żydów nie zapisywał się do towarzystwa, lecz każdy z nich prosił, ażeby go przypisano jako „Wildera,“ by w ten sposób uniknąć prześladowania ze strony Niemców; oddając się pod opiekę towarzystwa polskiego, czuli się bezpieczniejszymi Żydzi litewscy. Wykształceni królewacy Żydzi zapisywali się prawie wszyscy do towarzystwa, wyjątek stanowił Lubelski; czy go nie przyjęto, czy sam nie chciał?

Dwunasty dzień grudnia 1852 r. i dwa dni następne stały się pamiętnymi dla Dorpatu, obchodzono jubileusz założenia uni-

wersytetu w roku 1802. Zjechało się wielu dawnych uczniów, wysokie stanowiska społeczne zajmujących w owej chwili. Były uroczyste posiedzenia, przemowy, bankiety, festyny, fakelcugi, śpiewy chóralne etc. Po raz pierwszy będąc obecni na takich uroczystościach, przypatrywaliśmy się im z daleka, unikając zetknięcia się z burszami niemieckimi, którzy zwykle przy takich okazjach bywali pijani, a stąd bardziej butni i wyzywający niż zwykle.

D-R B. DYBOWSKI.

IDEA I ARTYZYM

w poezji Konopnickiej.

VII.

„Nowe pieśni.“ — Nowy zwrot w twórczości poetki. — Pieśni nadziei („Lipy kwitną“) i „Pieśni tęsknoty.“

Jeden ze zbiorów poezji Konopnickiej z ostatniego okresu (z r. 1905) nosi tytuł „Nowe pieśni“. Znamienny tytuł jako określenie utworów nie tylko nowopowstałych, lecz także nowym ożywionych duchem, wcale jednak nie z zewnątrz nowymi prądami życia nawianym, lecz organicznie, samorodnie z duchowego jestestwa poetki na drodze stopniowego rozwoju wykształtowanym.

Jestto niezawodne znamię genialnej natury twórczej: organiczna jedność rozwoju, przez zewnętrzne wpływy pobudzanego, nigdy nie powodowanego przez nie. Stwierdzić można dowodnie to znamię w twórczości autorki „Pana Balcera“. Mimo znacznych różnic, jakie dają się istotnie wykazać między płodami jej wieku młodzieńczego i dojrzałego, jest między nimi niewątpliwa łączność rozwojowa. Zaczątki tych cech i właściwości, jakie wystąpiły w okresie późniejszym, można spostrzedz w poprzednich okresach; idee, uczucia, które następnie uświadomiły się w pełni, zrazu zarysowują się niewyraźnie, jako nieokreślone ściśle intuicje duszy twórczej, jako na poły bezwiedne jej porywy ku rzeczom swoim, rodzimym, gdy tymczasem obce abstrakcyjne ideowodoktrynerskie zdawały się przemożnie rozpościerać po powierzchni jej świadomości.

Widzieliśmy wyżej, jak często twórczyni „Modlitw wiosennych“, „Fragmentów“ i „Obrazków“, posługując się ideowym językiem swego czasu, mówiła o ludzkości i wszechludzkich ideałach, gdy myślała o bliskim sobie, bratnim swym ludzie, jak bolała nad niedolą człowieczeństwa, gdy straszliwa w bezpośrednim otoczeniu niedola współziomków ostrym bólem szarpała jej serce.

Nie myślę tu oczywiście zapoznawać, ani przeoczać pierwiastków szczerze humanitarnych w uczuciach i ideach poetki. Owszem, uznaję w zupełności doniosłe, zasadnicze ich znaczenie, mógłbym je wskazać (podobnie zresztą jak u Mickiewicza i u innych poetów narodowych) dzisiejszym u nas rzecznikom zoologicznego, z pruskiej hakaty przetłumaczonego nacjonalizmu, jako istotne i nieodzowne składniki prawdziwie polskich uczuć patryotycznych; niemniej wszakże zaznaczyć muszę w młodzieńczych poezjach Konopnickiej ich postać zewnętrzną w swej ideowej dążności, nadto niekiedy od rzeczywistości swojskiego życia oderwaną, jakby mu obcą, jakby z obcych mu, zewnętrznych naleciałości w duszy poetki ukształtowaną. Stopniowo odpadła z niej ta zewnętrzna obczyzna, czasowo osłaniająca jej treść rodzimą, z gleby ojczystej głęboko zapuszczonymi w nią korzeniami geniuszu twórczego wyssaną i rozkwitłe na nim kwiaty swojskiego natchnienia pełnym zajaśniały blaskiem czysto narodowej poezyi, w której uznać musimy jeden z najwspanialszych objawów naszego plemiennego jestestwa, a zarazem jeden z najwspanialszych wytworów naszej sztuki rodzimej. Jedno z drugim ściśle się trzyma. Jak to na swoim miejscu było zaznaczone, przymieszka obcych, od życia swojskiego oderwanych pierwiastków przynosiła nieraz ujmę czysto artystycznej stronie utworów poetki, pozbawiając je, że się tak wyrażę, wewnętrznej, życiowej miąższości, bez której żadne dzieło sztuki ostać się nie może. Tę osiągnęła w najpełniejszej mierze poezya ostatniej doby, wprost z życia rodzimego wykwitająca, jego barwami przedziwnie wypromienowana, jego odgłosami w najczudniejsze rozdźwięczona harmonie.

Niezrównanie piękne tych barw, tych dźwięków odbicia liryczne znajdujemy we wspomnianym już zbiorze „Nowych pieśni“, brzmiących dobrze nam znanym z dawniejszej liryki poetki, ale jakby istotnie odnowionym, odświeżonym w zdrojach swojskości, a przez to ogromnie spotęgowanym tonem rodzimym, narodowym:

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,

Kiedy moja dusza cała
 Tam przyrosła, tam została,
 Gdzie ojczysty próg.

Ta wstępna zwrotka pierwszego w zbiorze cyklu „Ku chacie“ nie zawiera w sobie nic tak dalece nowego, czego byśmy i w dawniejszych nie spotykali w pieśniach. Podobnie i drugi z rzędu, prześliczny zresztą wiersz, upajający świeżym tchnieniem naszych pól ojczystych („Rankiem w polu“) znanym dobrze w najwyższym stopniu swych uroków lirycznych przemawia do nas nastrojem. Ale trzeci już wiersz cyklu, zatytułowany „W miasteczku,“ uderza nas czymś zgoła nowem, czego nigdy dotąd, w takiej przynajmniej mocy i wyrazistości, u Konopnickiej nie zdarzyło nam się napotkać. Jest tu ogromna pełnia życia, nie w lirycznym tylko odbita nastroju, ale w całej sile swych barw, w całej plastyce swych kształtów uprzytomniająca się naszej wyobraźni. Polskie miasteczko, jak malowane, widnieje nam nad onej strugi brzegiem w zieleni i kwiecie, jak żywe tętni i furkocce, pełne werwy, humoru i butnej fantazyi, wyidealizowane oczywiście w swym poetyckim uroku i rodzimym charakterze, ale w jakiej prawdzie swych rysów swoistych, odrębnych, jedynych w swej dosadnej, barwnej rodzajowości. Można powtórzyć za poetką:

Takich gródków jak te nasze
 Niema w całym świecie!

A w tej odrębności, jedyności obrazu czyż nie najlepsza rękojnia prawdy życiowej? Każda rzecz żyjąca jedyna jest w swoim rodzaju. Takie też powinno być wierne jej odtworzenie w poezyi i w sztuce.

Większą jeszcze pełnią życia i dosadniejszą, barwniejszą, bo bardziej do rzeczywistości zbliżoną, prawdą życiową tętnią takie wiersze, jak „Na Kujawach,“ „Na Kurpikach,“ niezrównane wprost w swym kolorycie lokalnym i tonie charakterystycznym, jakby żywcem z ust ludu wyrwane, a jak artystyczne przytem, jak związane w słowie, wyraziste w obrazowaniu. Oto np. kujawiak z tryskającą ze słów melodyą, gotowy zupełnie do śpiewania, cały w śpiewnych wykrzyknikach:

Na Kujawach rzną skrzypice,
 Skoczę w tanek, dziewczę chwyć,
 Chwyć dziewczę z poza stoła,
 Wykręcę je dookoła.

Następna zwrotka jeszcze dosadniejsza w tonie, a jak zwią-
złe w najprostszych słowach ujmująca cały swoisty widnokrąg
życiowy:

Dokoluśka widno z nieba,
Dokoluśka bochen chleba,
Dokoluśka talar biały,
Dokoluśka świat je cały!

Albo w tej niemniej dosadnej i wymownej w swej związ-
łości odmianie końcowej:

Dokoluśka płotu chaty,
Dokoluśka kumy, braty,
Dokoluśka gniazdo ptasze,
Dokoluśka wszystko nasze!

Co wyraz, to obraz, co zwrotka to nowy wybuch żywo-
wej, szalenie rozhułkanej werwy—a we wszystkim taki rodzajo-
wo kujawski koloryt. Z każdej zwrotki, z każdego wiersza nie-
mal wyzierają Kujawy jak żywe, w całej swej rodzimej, prowincjonalnej odrębności i w całym swym swoistym ludowo polskim charakterze.

Taż sama rodzajowa prowincjonalna odrębność i ogólnona-
rodowa typowość wiersza „Na Kurpikach.“ Jaki tu inny aniżeli
w poprzednim kujawiaku koloryt, jakby przyćmiony w leśnym
pomroku; — jaki tu nastrój tęskny, melancholijny, szumem puszc-
zy rozkołysany, tak różny od zamaszystej werwy na kujawskich
równinach rozhułkanej, od kujawskiej pszenicy wybujałej. Obacz-
my oto Kurpia zasłuchanego w puszcзовych odgłosach:

Gdzie nie zajdę nawskroś slysę
To szum puszczy, to znów ciszę,
Nawskroś czuję, jak się rusza
Jakaś wielka, mocna dusza.
Jak zasłucham się w tym szumie,
Jak tę ciszę wyrozumię,
To i kury pieją trzecie...
— O reteczki, o mój świecie!

Albo ten posępny, a jednak pełen szczególnego uroku na-
strój zimowy:

Idą śniegi, idą tucze,
Po boru się wicher tłucze,
U ogniska Kurp zasiada,
Nuże pieśnia! Nuże rada!

A w tem płomiu wicher pomiecie
 Z kalenicy huknie sowa...
 — O reteccki! O mój świecie!
 Jagodeczko jałowcowa!

Całą psychologię ludu dwóch okolic naszego kraju na tle zasadniczych jego właściwości wysnuć by można było z tych związanych pieśni poetki. Są to jakby przygotowawcze studia do „Pana Balcera“ z jego przedziwną galeryą tych typów ludowych.

Obok tych lirycznych odgłosów i odzwierciedleń życia ludowego w całej jego charakterystycznej barwności i pełni dźwięczą nam w pieśniach tego cyklu echa prastarych tradycji i wspomnień, rycerskie echa dzielności i wytrwania, wygrywane o zorzy porannej przez starego trębacza na wieży miejskiej („Trębacz“) — religijne echa odwiecznej, a zawsze żywej i świeżej wiary naszego ludu, gromadzącego się w noc Bożego Narodzenia u źłobka betleemskiej stajenki („Z trzykrólową gwiazdą“). W kilku związanych zwrotkach, opiewających tłumną w ślad Trzech Króli wędrówkę do Betleem polskiego chłopstwa wraz z polskimi łanami, śpiewem skowronka i brzękiem kos, ujmuje poetka całą pełną uroku poezję naszych kolęd, przenoszących w naiwnej, a głębokiej symbolice w rodzime środowisko święty fakt wiary. Oto wyborne w jednej końcowej zwrotce skupienie i uwydatnienie tej kolendowej symboliki:

I stanęli wszyscy kołem,
 Tak jak wyszli z chat,
 I huknęli: „Pochwalony“ —
 Na caluśki świat...
 Odhuknęły górą lasy:
 — „Pochwalony po wsze czasy
 Bóg nasz i nasz brat!“

Niemniej udatna religijno-dziejowa symbolika w postaci świętego Wojciecha: „Przez lechickie puste pole cichy pielgrzym idzie w gości, a gdzie przejdzie, ziarno pada słonecznej jasności...“ I pieśń Boga-Rodzica echowem graniam za nim się rozlega i wraz ze słowem Bożem, przez świętego pątnika w sercach ludzkich zasianem, powitać ma jako trwałe dziedzictwo polskiego narodu.

Odmienną treść, ale tenże sam rodzimy ludowy ton mają dwie pozostałe pieśni cyklu: pieśń o grajku, uosabiającym niejako w swej postaci całą istotę poezji ludowej i pieśń o umierającym chłopcu („U proga“), co zaświatowe głosy słyszy i zaświatowe blaski widzi w przedśmiertnem, anielskiem widzeniu. Ten

sam motyw, na którym Hauptmann osnuł swoją „Hanusię“, ujęty został w niewielu lirycznych zwrotkach Konopnickiej z niemniejszą siłą uczucia i fantazyi, aniżeli w słynnym dramacie poety niemieckiego.

Coraz silniej, coraz głębiej przejmowała się poetka duchem ojczyznym i coraz lepiej wnikała w samą istotę potrzeb i zadań narodu. W poprzednio omawianym cyklu widzieliśmy barwne odbicie zewnętrznych objawów jego życia — w cyklach: „Lipy kwitną“, „Pieśni tęsknoty“ dusza jego zda się przemawiać głosem swych instynktów i tradycyj. Na wstępie „Wezwanie“ do zwrotu ku źródłom ducha rodzimego:

Do żywych źródeł idźmy, do bijących
Z łona macierzy!
Niech nam chłód rzeźwy potoków jej rwących
Ducha rozświeży...

Następnie w szeregu sześciu pieśni w symbolicznym obrazie lip kwitnących i rojnej pracy „pszczoł piastowych“ nieznównanie poetyckie w formie, a głębokie w treści określenie zadań pracy narodowej. Przez tę symbolikę stawia je poetka na gruncie rodzimym, jako żywiołową bytu społecznego potęgę, jako z przeszłości w przyszłość wiodącą moc twórczą i ożywczą.

Lipy kwitną... Oto przypomina
Stara chata przedwiekowe dzieje...
Oto bije przejrzenia godzina,
Oto blask się ciemnym oczom sieje.
Lipy kwitną... Wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonie cudu...
— W słońce spojrział ślepy syn narodu.
— W słońce spojrział duch mojego ludu!

Lipy kwitnące symbolizują tu pobudkę do pracy, z ziemi rodzinnej żywiołowo wynikającą, przez odwieczną tradycję piastowego pszczelarstwa przekazaną. A oto wezwanie do pracy brzmiące rzeźwym hejnałem z tegoż rodzimego wysnutym motywu:

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ula,
Na pracę, na ruch!
A dalej tam z ula
Na pole, na znój!
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Daremne pobudki! daremne wezwania! Zawsze jeszcze nieziszczone nadzieje na spojrzenie w słońce ślepego syna narodu. W ślad za temi rozświetlonymi pieśniami w lipach kwitnących idą pomglistych cieniów pełne „Pieśni tęsknoty,“ w których wśród wielu smętnych tonów żalu i rozdzierających krzykiem bólu akordów takie oto spotykamy zwrotki:

Pusta, martwa nasza niwa,
Ugorowy szlak,
Wicher tylko nad nią lata,
Lata tuman — ptak...
Wicher tylko rzuca ziarno
Na kąkolu plony,
Tuman tylko orze ziemię
W mogilne gazony.

A po szlaku ugorowym
Chodzi smętny Duch:
— Gdzie są, gdzie są pracownicy,
Gdzie jest życia ruch?
Gdzie są pługi i oracze,
Gdzie jest siewu ziarno? —
Chodzi smętny Duch i płacze
Nad tą ziemią czarną.

Jakiż duch nie zapłacze nad tą pustką ugorowych szlaków, nad tą daremnością wszelkich wczuwań „na pracę, na ruch“?

Minęły lata długie od chwili gdy poetka wyśpiewała pierwsze swe smutki i żale nad niedolą ojczystego ludu, a cienie jej wciąż jeszcze zalegają nasze widnokreśli. A jednak śpiewaczka słonecznych hejnałów, w myśl testamentu Słowackiego, ze wszystkimi, co żywi w narodzie, i w tym ponurym pomroku nie traciła nadziei i, jak nikt pono za dni jej w poezji naszej, przed narodem niosła oświaty kaganiec.

Ongi, w dobie młodzieńczego niedoświadczenia, pojmowała może to światłonośne swe zadanie w sposób zbyt ogólnikowo-oderwany, jako propagandę pewnych przez prądy czasu przynoszonych do nas idei obcych—w dobie pełnego na gruncie ojczystym rozkwitu swej twórczości, pojęła je jako zadanie rozświetlenia myśli narodowej, aby w ożywczych jej blaskach stary rój piastowy wylecieć mógł „na pracę, na ruch, na pole, na znój.“ Z jakimż upragnieniem i niepokojem wyglądała tego wylotu! Jak boleśnie czuła się zawiedziona, gdy zamiast złotych jego blasków w słońcu świadomej pracy narodowej wciąż tylko widziała wichry, tumany, latające nad pustym ugorowym szlakiem. Co za dziw, że wyśpiewała te tak bolesne, tak rozpaczliwie smutne „Pieśni tęsknoty.“

Ale sperare contra spes, nadzieja przeciw nadziei — to było stałe jej hasło, któremu do śmierci wierną pozostała. Z tej do ostatka niezmożonej, wbrew wszystkiemu, przeciw wszystkiemu przążącej się nadziei powstało ostatnie jej arcydzieło, cudny

finał pieśni jej życia, najpiękniejsza, najpotężniejsza pieśń nadziei w całej naszej poezji — „Pan Balcer.“

W epoce, w której ukazały się omawiane powyżej zbiory pieśni lirycznych, powstawała, stopniowo od r. 1892 w różnych odstępach czasu ogłaszana na kartach „Biblioteki Warszawskiej,“ ta wspaniała epopea chłopska, istne morze epickie obiektywnego życia, stanowiące ujście wszystkich subiektywno-lirycznych strumieni twórczości poetki.

Zanim ogarniemy okiem rozległe, potężnem natchnieniem rozfalowane jego przestwory, musimy jeszcze rozpatrzeć niektóre z owych strumieni, coraz wyraźniej, coraz bystrzejszym pędem z głębin duszy poetki ku niemu dążące.

VIII.

Przez mądrość ku wierze: „Głosy ciszy.“ — Od obcych radości do ojczystej niedoli: „Italia.“

Widzieliśmy poprzednio dwa sprzeczne, uzupełniające się jednak dążenia w twórczości Konopnickiej: ku nizinom społecznym, „gdzie senne chaty, gdzie lud, gdzie brat“ — ku wyżynom ducha, gdzie wiekuiste jego zagadki, nieprzepartym a tak niepokojącym pociągały ją urokiem. W słowie tych wyżynnych zagadek szukała daremnie odpowiedzi na straszliwe, tragiczne pytania nizinnej niedoli, nizinnych cierpień, omamień mroków. I rwał się jej z piersi krzyk bólu i zgrozy, krzyk hiobowych buntów przeciw uświęconym w odwiecznym porządku rzeczy krzywdom ziemi, przeciw niewysłowionym mękom ducha, przeciw bezmiernej nędzy ciała.

Jak wszystkie żywioły geniuszu poetki, i ta dwoista dążność doznała w późniejszym rozwoju nie zaprzeczenia lecz uzupełnienia i pogłębienia. Zagadki wyżyn nigdy nie przestały jej zajmować i zawsze przedstawiały się jej w jaknajściślejszej łączności z tragicznymi pytaniami nizin, ale o ileż głębiej wejrzała w nie ze stanowiska dojrzałszej myśli i nagromadzonych w niej doświadczeń życiowych! Posługując się biblijnemi porównaniami, można powiedzieć, że ucichły w jej poezji krzyki hiobowych buntów, a ozwały się natomiast pełne spokoju i smętnej, ale pogodnej rezygnacyi słowa eklezyastycznej mądrości.

Pierwszym ich objawem głębokomyślny, przewspaniałą pisany prozą dyalog Prometeusza i Syzyfa, ducha mąk wyżynnych

z duchem nizinnych trudów i znojów, dialog o dwóch krańcach odwiecznej, powszechnej tragedii człowieczeństwa, o straszliwych jej kolizjach, bolesnych zawikłaniach i—rozwiązaniach okropnych.

Najgłębszą, najistotniejszą treść ideową, mądrością refleksyi i doświadczenia dojrzałą, a w dyamentowych iście kształtach poezyi rzezaną skupiła poetka w zbiorze zatytułowanym „Głosy ciszy“ (wydanym w r. 1906). Sam ten tytuł stawia zebrane pod nim pieśni w pewnem przeciwieństwie do wielu dawniejszych, brzmiających rozgłośnym krzykiem buntu. Ale cisza nie ma tu oznaczać uciszenia się wewnętrznych pragnień i niepokojów ducha, a tem mniej kwietyzmu zobojętnienia. Owszem brzmi ona ogromnem wytężeniem dążeń duchowych, ogromnem spotęgowaniem głosów uczucia i myśli, dobywających się z najtajniejszych głębin duszy, porywanych całą mocą nadziemskich jej wzlotów. Oto na wstępie określa poetka tych głosów ciszy żywiołową potęgę:

...Jako huk oceanowy,
A jako trzask burzy gromu,
Tak mówisz do mnie, o ciszy!
Wichrem podnosisz włosy mojej głowy,
I w węgły uderzasz domu...
A jako ryk lwa w pustyni,
Tak duch wołanie twe słyszy.

Trudno zaiste o wspanialsze, wyrazistsze określenie całej mocy skupionego w sobie wewnętrznie ducha ludzkiego. A co nam mówi ta moc ciszą swego skupienia? — jaką prawdę zwiastuje to słowo uciszonej w sobie mądrości życiowej?

Jest to silnie odczuta i głęboko, z wielkim spokojem ujęta prawda społeczno-moralna. Stanowiła ona ideę przewodnią, główny przedmiot, istotną pobudkę twórczości poetki — nie dziw, że stała się treścią zasadniczą dojrzałej w pełni swego skupienia wewnętrznej jej myśli. Zastrzegłem się wyżej, z naciskiem powtarzam to zastrzeżenie i obecnie, że nie wyprowadzam poezyi Konopnickiej z idei, ale z wrodzonych, samorzutnych uzdolnień twórczych. Jestem przekonany, że byłaby ona znamienitą poetką z jakąś ideą, czy bez wszelkiej idei, niemniej stwierdzam, że taka, jaką ją znamy i podziwiamy, jaką nam się poznać daje i podziwiać każe w najdoskonalszych swych twórcach, jest ona zawsze poetką ściśle określonej idei, której rzeczniczką stała się od najmłodszych lat i której pozostała niezłomnie wierną aż do ostatniego tchnienia swej poezyi i swego życia.

Ale idea ta z biegiem czasu rozwijała się w swej treści wewnętrznej i w swym zewnętrznym wyrazie poetyckim. Badanie jej rozwoju, to przedmiot istotny niniejszych naszych rozważań. Obecnie w owych „Głosach ciszy,” którymi do nas przemawia, chwytny ją w momencie przełomowym najwyższego wyłączenia spokojnej, świadomej siebie mocy, ujawniającej się w ostatnich lirycznych pieśniach poetki i w przepięknym epickim ich finale.

Oto przede wszystkim, jak się wypowiada zasadnicza, niezmienna jej treść:

...Nie pożądaj dla siebie
Nic na ziemi, ni w niebie,

O serce...

Nie bież za tem w pogoni,
Co się zamknąć da w dłoni,
A odjęte jest komu,
Aby było w twym domu,

O serce!

Lecz z wszystkich skarbów i nieba i ziemi
Z całej żywota ściąznij,

Pożądaj ojcowizny,

Którąbys posiadał wiecznie wraz z braćmi twojemi.

Dobitne, nietylko na umysłowość, lecz i na całą bezmierną sferę serca, nietylko na doczesność, lecz i na całą wieczność rozciągające się określenie idei społecznej. Zawsze żyła nią i oddychała dusza poetki, zawsze twórczość jej z tego źródła ideowego czerpała odżywcze swe siły. W danym okresie zaczerpnęła zeń moc najgórniejszego lotu—lotu orleji potęgi i orlego spokoju. Nie słyhać teraz w pieśniach poetki namiętnych krzyków buntu, rozpacznych jęków, skargi i żalu; nie spotykamy się w nich teraz z niespokojnymi porywami przeciw Bogu, przeciw porządkowi rzeczy na świecie, ani z nadto może niekiedy rozłzawionymi wybuchami współczucia dla nieszczęsnych tego ustalonego porządku ofiar, przez niedolę życia przygniecionych.

Wprawdzie poezja Konopnickiej odznaczała się zawsze znamiennymi rysami istic męskiej siły; zdarzały się w niej wszakże i objawy aż nadto kobiecych rozczuleń, niekiedy nawet nazbyt naiwnych, jak w takim np. zwrocie do słońeczka, świecącego po etce gdzieś na dalekiej obczyźnie:

Ty tutaj słonko? — A kto tam świeci
Nad wioską naszą lichą?

Kto ze snu budzi kwiaty i dzieci,
 W poranną zorzę cichą?
 (Poezye. Serya II. „Z oddali.“)

Taka czule naiwna apostrofa czyż byłaby możliwa w epoce „Głósów ciszy“ i „Pana Balcera“? Męska siła osiąga wtedy kulminacyjny punkt swego napięcia. Ani mowy teraz niema o przeczulonych roztkliwieniach współczucia. Zobaczymy jeszcze w następstwie, jak dalece obce ono było ówczesnym pieśniom poetki. Ale niema w nich też namiętnych wybuchów buntu, które niby gorączkowe wstrząśnienia duszy, tak często bywają raczej objawem słabości aniżeli siły. Wielka rezygnacja rozpościera się teraz ponad duszą poetki. Pogodne choć smętne głosy rozbrzmiewają wśród poważnej, uroczystej ciszy, zalegającej szerokie jej widnokreśli i mówią nam o sprawach głębokich i wzniosłych, o rzeczach wielkich i wiernych bardzo cichemi a bardzo mocnymi słowy ukojenia, pocieszenia, wiary i nadziei. Dość na chybił trafił otworzyć książkę, aby znaleźć w niej jakieś wymowne słowo mocy i ukojenia, jak w następujących np. zwrotkach:

Gdy runą trzy ściany chaty,
 W niszczących burz huraganie,
 Wybij okienko na słońce
 W jedynej, jaką masz, ścianie.
 Gdy scheda twoja tak marna,
 Że tylko grzędę masz ziemi,
 Nie sadź jej w wierzby płaczące,
 A dębu zasadź w niej ziarna.

Pytanie: jakie są źródła istotne uczuć wiary i nadziei, odzywających się w pieśniach poetki?

Nie jest nim określony filozoficzny światopogląd, którego daremniebyśmy u Konopnickiej szukali. Ma ona wiele myśli, wybitną zdolność do szerokich uogólnień myślowych—nie ma ani cienia własnej filozofii, własnych, oryginalnie wysnutych pomysłów ideowych. Z drugiej strony nie szukać też bezpośrednich źródeł społecznej wiary poetki w ideach i uczuciach religijno-chrześcijańskich. Znane jest stanowisko jej w tym względzie obojętne, jeśli nie zaprzeczne zgoła, wyznaniowo zaprzeczne, antykatolickie, a przynajmniej antykościelne. Dość wspomnieć głośne w swoim czasie, dziś nie bez słuszności, jako rzeczy poetyczne i ideowo mniej wartościowe, dość powszechnie zapomniane dramatyczne fragmenty: „Z przeszłości.“

Czy pod tym względem nic się nie zmieniło w uczuciach i przekonaniach poetki?

Jeśli chodzi o zasadnicze stanowisko ideowe, to prawdziwie żadnej zmiany dopatrzeć się w nich nie można. W spokojnych, skupionych wewnętrznie „Głosach ciszy,“ podobnie jak ongi w burzliwych, rozlewnych krzykach buntu, poetka przemawia jako rzeczniczka niezawisłej etyki społecznej i wolnomysłno-humanitarnej postępowości. Wierzy w ludzkość, jako w sprawczynię własnych swych losów, zwyciężką w przyszłości tryumfatorkę nad swą niemocą, swą niedolą; wierzy w człowieka, jako w bojownika ludzkości, w niej i przez nią pełniącego swe posłannictwo; wierzy w Boga, jako we wszechświatową, wszechwładną potęgę duchową, z której duch ludzki bierze całą swoją moc i całą swą godność.

Jest to czysty deizm w swojej zasadzie metafizycznej, w swem „Credo“ ideowem daleki od wszelkiej pozytywnej religijności chrześcijańskiej. Ale czy również od niej daleki, również jej obcy w swej dążności etycznej, w swym uczuciowo-humanitarnym nastroju? Czy bez istnienia pozytywnej religii Chrystusowej, pozytywnego Chrystusowego Kościoła, bez istnienia tej religii, tego Kościoła nietylko w przeszłości dziejowej, lecz i w rzeczywistej faktycznej współczesności, możliwy byłby ten duch Chrystusowy, co ożywia takich, jak Konopnicka, miłośników człowieczeństwa, rzeczników wiekuistych jego ideałów?

Sami oni nie zdają sobie nieraz sprawy ze swego związku duchowego ze społeczeństwem wierzących chrześcijan, ze swej przynależności do duszy powszechnego chrześcijańskiego Kościoła; pewnem jest jednak, że bez tego Kościoła z właściwym sobie stanem i nastrojem dusz byłiby wprost niemożliwi, podobnie, jak i Kościół bez nich, bez tego zasobu życia duchowego, jaki się w nich zawiera, stałby się niemożliwością. Dlatego mogą być ludzie, co myślą, czują i czynią po chrześcijańsku, że są ludzie, co po chrześcijańsku wierzą; dlatego wiara chrześcijańska trwa i zawsze trwać będzie, że ma swe podstawy w przyrodzonym chrześcijańskiem usposobieniu dusz ludzkich, w tem, co ongi nazwano *anima naturaliter christiana*.

Zdarza się wszakże, iż ci, w których takie usposobienie ze szczególną zaznacza się wyrazistością, bywają wrogami pozytywnego chrześcijaństwa. Niezliczone, bezgraniczne są wewnętrzne przeciwieństwa duszy ludzkiej. U naszej poetki opozycja, bunt przeciw prawowiernie chrześcijańskim wyobrażeniom o sprawiedliwości rządów Bożych nad światem, wynikały z właściwego

ludziom dzisiejszym przeczulenia uczuć humanitarnych, złączonego z precenianiem praw człowieka, a zapoznawaniem jego obowiązków względem powszechności nadludzkiego pozaświatowego bytu. Gdy z postępem myśli refleksyjnej i doświadczenia życiowego ustąpiła wezbrana fala rozlewnej kobiecej czułości, a wzmogła się energia wewnętrzna skupionego w sobie męskiego uczucia, przyszło też głębsze odczucie i zrozumienie ustosunkowań praw natury ludzkiej do nadludzkich jej obowiązków, a wynikiem tego pogłębienia duszy uciszenie jej buntów wewnętrznych, spokój rezygnacyi, uwydatniający się szczególnie nastrojem szczerze i głęboko chrześcijańskim (choć zawsze bez pozytywnej, chrześcijańskiej wiary) w drugiej części zbioru „Głosów ciszy,“ zatytułowanej „Z ksiąg ducha,“ a osobliwie w potężnym ze spiżowych iście tercyn na podobieństwo hymnu *Dies irae* złożonym wierszu, głoszącym skruchę i ukorzenie się w poczuciu solidarnej z całym człowieczeństwem nędzy i niedoli grzechowej:

Próżno mi się pod chmury,
Jasnemi nosić pióry,
Nie wyjdę z mej natury!

Szata grzechu zelżywa
Wszystkich razem nakrywa,
Krwawa i zaraźliwa.

Ściągną mię w dół łańcuchy,
Na których jęczą duchy,
Co im grzech odarł puchy.

Olbrzymi korzeń winy,
Płacze ludzkie rośliny
W bór, niezbytej gęstwiny...

A święty ten jedynie,
Co w wspólnej świata winie
Na krzyżu krwią opłynie!

Ostatnia zwrotka jest jakby parafrazą ewangelicznej rady, zalecającej chrześcijaninowi dźwiganie krzyża własnego za Chrystusem — całość żywo przypomina zasadniczą myślą „Pieśń wieczorną“ Kasprowicza, tę tak głęboko chrześcijańską w swym wewnętrznym nastroju — może chrześcijańsko-modernistyczną — spowiedź duszy czującej się obciążoną ciężarem win grzesznej ludzkości.

U Konopnickiej, jak i u Kasprowicza, zbliżenie się sercem (choć może niekoniecznie przekonaniem) do nastroju prawowiernie chrześcijańskiego było następstwem łączności duchowej ze zbiorową duszą ludową, stale i nieodzownie tym nastrojem żyjącą. Śpiewak „Pieśni wieczornej“, wznosząc się do bardzo wysokich sfer współczesnej kultury umysłowej, nigdy tej łączności nie zer-

wał, zawsze sercem z ludem bratnim obcował, z jego odczuć i wierzeń czerpał odżywcze soki swej poezyi, dążeniami ideowemi tak bardzo jednak nad nie wzniesionej. Autorka „Pana Balcera“ stopniowo doszła do tego zjednoczenia duchowego z ludem, jakie widzimy w jej nieśmiertelnej epopei chłopskiej. Pierwotny jej stosunek do ludu polegał raczej na *współczuciu* dla jego niedoli aniżeli na *odczuciu* jego życia, jego duszy. W miarę jak to ostatnie coraz wyraźniej w sercu jej się budziło i coraz jaśniej we wszystkich swych konsekwencyach myśli jej się uświadamiało i to, co stanowi najistotniejszy duchowego życia ludu pierwiastek: jego pozytywna wiara religijna, jego szczerą, chrześcijańską prawowierność udostępniło się jej czuciu wewnętrznemu, wyjaśniło się jej myśli w całym, niezmiernie doniosłym swym znaczeniu i bogatej treści. Nie mamy prawa przypuszczać, że wraz z ludem stała się pozytywnie wierząca, ale że „czucie i wiara“ ludu przemówiły do niej teraz, jak ongi do Mickiewicza, silniej, aniżeli wszelkie mędrców szkieleka i oczy — o tem wobec jej poezyi ostatniej doby nie mamy prawa wątpić.

Świadczą o tem między innymi pieśni, osnute na tematach z natury swej tak dalekich od życia naszego ludu, mianowicie, niektóre pieśni z pięknego zbioru p. t. „Italia“ (1901 r.), zawierającego odbicia włoskich wrażeń i wspomnień poetki. Są między innymi wspomnienia o Madonnach słynnych mistrzów włoskich. Oto np. kilka strof z pieśni, poświęconej Madonnie Giotta:

Nie prorockie księgi z nią mówiły,
Lecz zapadłe przydrożne mogiły,
Ale łąki drżące we łzach rosy,
Ale w stepie rozelkane głosy.

Nie pogląda w rajskie pozaświaty,
Lecz na liche i zapadłe chaty,
Lecz na czarne, uciszzone bory,
Lecz na cierniem zarosłe ugory.

Ischy mogła między pola nasze,
A nie zlekłoby się nawet ptaszę...
Ischy mogła między nasze płoty,
A nie zlekłyby się i sieroty.

Podobnie też w rodzinne środowisko naszej przyrody, naszego krajobrazu i zalegających go naszych smutków i tęsknot przenosi poetka rafałowską „Sistinę“ w pieśni, rozsmętnionej zadumą „pól osamiałych“, pełnej skarg i jęków lecających „w wichrowym

puszcz szumie.“ Idzie oto Matka Boża ku tym polom, ku tym borom i puszczom, zapatrzona w dal mroczną i siną—idzie z Dzieciątkiem Bożem na rękę poprzez tęcze i błękity przestworza niebieskiego ku tej ziemi-sierocie, co jej się skarży po nocach, ku tym grobom, co wołają o żywot, o zorzę

I taką ją widzi
Oczami smutnemi
Ten pątnik, co niesie
Proch z mogił swej ziemi.

Smutnemi, a pełnemi wiary i miłości ludu swego oczami patrzy pokutująca śpiewaczka polska na Matkę Bożą, przez obcych odtworzoną mistrzów — nie dziw, że jak nasi kolendujący pasterze widzi ją zawsze z jej Bożem Dzieciątkiem na tle ojczyznej swej ziemi i ojczystego bytu. W Madonnie Rafaela, zwanej „Del cardelino“, bawiące się szczygiełkami dzieciątko Jezus „w boskiej wszechwiedzy“ zdaje się przewidywać krzyż swój na polskiej ziemi „ośpiewany ptasim szczebiotem.“

I stanie krzyż mój wśród cichych siól
Na dróg rozstaju,
I skłoni brzoza ponad nim w dół
Gałązki w maju.
I ofiarowan będzie mój ból
Za wszystkie one
W ziemi tej smętnej, wpośród tych pól
Gniazda zburzone.

Pieśni dwóch aniołów, przygrywających Madonnie Corregia, jak dobrze nam znanymi swojsko-ludowymi brzmią motywami w niewymownie pięknem odtworzeniu poetki:

Ta jedna—o wiosnie, co kwitnie wieczyście,
Ta druga—o wietrze, co z puszczy rwie liście,
Ta jedna—o jasnych jutrzeńek świtanii,
Ta druga—o głuchem po nocach wołaniu.

Oczywiście, obok tej, że się tak wyrażę, rodzimej transpozycji wrażeń, mamy w pieśniach „Italii“ przedziwne oddanie miejscowego tonu, miejscowego kolorytu, mamy obrazy południowej przyrody i głęboko odczute czary włoskiej sztuki.

Wspaniała na wstępie inwokacja do piękna określa ogólny stosunek poetki do tej błogostawionej ziemi włoskiej, przyrodzonej jego ojczyzny, szereg pieśni precudnie realizujących je w swej formie i przyodziewających nim rozległą i głęboką treść ideową,

otwiera przed nami bogatą skarbnicę wrażeń, uczuć, myśli na italskim zebranych gruncie i w twórczej wyobraźni pieśniarki załamujących się tęczowymi promieniami poezyi. I tutaj, podobnie jak kilkakrotnie powyżej, stwierdzić możemy, iż rzeczniczka naszych smutków i bólów umiała też z nieporównaną werwą wyrazić bujną radość życia, gdy ta (jak np. w poetyckiej parafrazie pompejańskiego fryzu z pracami Amora) jasnymi promieniami zagrała w jej wyobraźni pod słonecznym niebem Italii — iż „wylamana z wierzbiny fujarkę,“ przy której, jak sama mówi, gminne nuciła piosnki, umiała nieraz zastąpić druidyczną harfą złotą, potężnymi akordami towarzyszącą hymnom górnego natchnienia. Najwyżej ono się wznosi w pieśniach, opiewających wzniosłość i grozę malowideł Michała Anioła na ścianach kaplicy sykstyńskiej (cykl: „W sykstyńce“), oraz w końcowych sonetach, odbierających wiekuistym hymnem morskich szumów, w których poetka dosłuchuje się tyłu wielkich tajemnic ducha i stworzenia. Sonet „U grobu Pergolesa“, parafrazujący nieśmiertelne „Stabat“ mistrza, jako żale matki-ziemi nad niedolą ukrzyżowanego na krzyżu czasu syna jej człowieka, należy niewątpliwie do najpotężniejszych w liryce polskiej odgłosów upoetyzowanej w majestacie cierpienia myśli wszechludzkiej.

Widzieliśmy wszakże, iż jakkolwiek myśli podobne i złączone z nimi uczucia szeroko na całe człowieczeństwo promieniowały w poezyi Konopnickiej — to jednak źródłem ich istotnem było wielkie umiłowanie ziemi ojczystej i głębokie, przenikające całą jej istotę dla niedoli, dla cierpień ludu bratniego współczucie. I teraz wszelkie cuda i uroki włoskiego piękna nie zdołały przyćmić w jej duszy tęsknego uroku dalekiej ojczyzny, wszelkie radości włoskiego nieba nie mogły stłumić wywiezionych z niej wspomnień bólu. Dość jej oto napotkać kędyś w Prato wierzbę, przypominającą nasze ojczyste drzewa, aby z duszy jej wylała się najcudniejsza pieśń tęsknoty:

Wierzbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łzy!
U jednego tęsknot zdroja
Stoim ja i ty...

Idą ranki i wieczory,
Tęskność w sercu trwa,
Łkają twoje śpiewne kory,
Piosnka moja łka...

Na rozdrożu, na tułaczem,
Gdzie nas rzucił los,
Przeminionej wiosny płaczem,
W jeden szum i głos.

Co tu po mnie? Co po tobie,
Gdzie nasz bratni chór?
Zabłąkane my tu obie
W czarny ludzki bór...

.

Jeśli nie coś piękniejszego, to niewątpliwie coś w nastroju uczuciowym jeszcze głębszego, plastycznie wyrazistszego przemawia do nas z dwóch ostatnich, niesłychanych wprost w swej zwartej mocy zwrotek sonetu, opiewającego wschód słońca na weneckich wodach:

Italia! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie.
 Na ogromnych twych wodach, na szerokiem niebie
 Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata.
 Ale ja z krain idę, kędy na dnia progę
 Świt we łzach cały długo wyprasza się Bogu,
 By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

Takiego uplastycznienia myśli, wyłaniającej się z najtajniejszych głębin uczucia, tak zwartego w sześciu wierszach obrazu dwóch przeciwstawnych światów przyrody i doli ludzkiej nielatwoby pono znaleźć na całym obszarze poezyi. Jest to jakby kilka kropel cudownej jakiejś esencji poetyckiej, wyciśniętej z długich, długich lat wielkiego miłowania i wielkiego z milionami serc bratnich współcierpienia.

Oprócz dwóch tych rodzinnych odgłosów serca poetki mamy jeszcze w zbiorze pieśni italskich mały poemat liryczny, poświęcony wspomnieniom napotkanego we Florencyi Lenartowicza, poemat pełen również swojskiej myśli, swojskiego uczucia, w którym tak wdzięcznie odbrzmiewają echa pieśni serdecznego liryka mazowieckiego.

IX.

Ton narodowy w pełnej mocy: „Przez głębinę“, „Śpiewnik historyczny“, „Ludziom i chwilom.“

Po „Italii“ i „Głosach ciszy“ nigdy już poezya Konopnickiej nie przekroczyła obrębu ojczyzstego widnokręgu i w tym obrębie wydawała bogaty plon tworów, pełnych skupionej w sobie mocy, które nazawsze pozostaną nietylko na kartach naszej literatury, lecz w znacznej części i w żywej tradycyi narodowej, w żywych odgłosach rodzimej naszej pieśni.

Oprócz „Pana Balcera“, stanowiącego koronę całej wogóle twórczości poetki, pozostały z tego końcowego okresu rzeczy wielkiej ceny i pierwszorzędnej piękności, a mało ogółowi znane, gdyż pod obcemi ogłoszone nazwiskami. Należy tu poemat „Przez głębinę“, wydany pod nazwiskiem Jana Waręża (Lwów 1904)

i dwa zbiory liryczne pod nazwiskiem Jana Sawy: „Śpiewnik historyczny“ (Lwów 1905) oraz „Ludziom i chwilom“ (Lwów 1904).

„Przez głębinę“ — to na pewnych faktach realnych oparty, a niejako idealnie z nich wysymbolizowany obraz wielkiej manifestacji narodowej, wielkiego wszech stanów i plemion polskich pochodzącego nad Bug pod grozą wiszącej nad nimi wrogiej potęgi.

Nie mogę tu rozwodzić się nad wszystkimi zawartymi w obrazie pięknosciami formy poetyckiej i bogactwami treści ideowej; zwrócę tylko uwagę na najwydatniejsze, najbardziej charakterystyczne jego rysy. Przedewszystkiem harmonia różnych żywiołów społecznych i narodowych, uderzająca szczególnie u poetki pomawianej ongi o sianie waśni społecznej i nienawiści klasowej w narodzie. Wiemy jak dalece zarzuty podobne były bezpodstawne, wiemy jednak, że w dawniejszych okresach swej twórczości nie miała ona tego poczucia ustosunkowań społecznych w narodzie, które w omawianym tu poemacie tak harmonijnym brzmi akordem. Czyż możliwy byłby u autorki „Obrazków“ rys z bytu szlacheckiego we właściwej utrzymanej barwie? A obaczmy jeno słowo i gest szlachty, biorącej udział w nadbużańskiej manifestacji. I autor „Listopada“ nie zdobyłby się na większą tężyznę rysunku, barwność kolorytu.

Obok tego nastrój religijny tak charakterystyczny w naszych manifestacjach narodowych, tak żywo przez poetkę odczuty w porywie naiwnej, szczerej wiary i serdecznego entuzjazmu. Jak bardzo oddaliliśmy się od sceptycznych „Fragmentów z przeszłości“ i buntowniczych okrzyków wielu pieśni młodzieńczych. Jakie zmiany zajęć musiały w tonie i nastroju jej duszy.

A jednak można tu powiedzieć: im więcej się zmieniała, tem bardziej była sama sobą. Zasadniczy od samych początków wzdłuż całej jej twórczości rozwijający się rys dążeń narodowych nie uległ zmianie, owszem pogłębił się, umocnił, utrwalił w swym rodzinnym charakterze, w swej żywiołowej mocy, w swej łączności z żywą tradycją, z żywą powszechnością jestestwa narodowego. Ten rys ludowości, polegający na odczuciu i uznaniu w masach ludowych „nie tylko liczby, ale i siły,“ jak się później w zakończeniu swej epopei chłopskiej wyraziła poetka, zaznacza się bardzo wydatnie w obrazie nadbużańskiej manifestacji i panuje w nim jako zasadniczy ton, łączący wszystkie jego części, wszystkie objawy harmonii narodowo-społecznej.

Tak lud ten cały był—Piastowym ludem,
Bo chociaż wicków naporem przegięty,

Wbrew swej naturze wziął ruch poniewolny,
 To w chwili, kiedy jest sam w sobie święty,
 Do swych początków polnych wraca—polny,
 I wybijają na jego oblicze
 Prastare piętna w runy tajemnicze.

Oko nie poetki już, ale wieszczki narodowej odczytuje tu istotnie runy tajemnicze w rysach dziejowego naszego oblicza.

Lud Piastowy—to lud kmiecy, to polny lud nadgoplańskich Polan rolników. Niedarmo ostatniego Piasta na naszym tronie—największego ze wszystkich naszych królów—nazwano Królem chłopków. Sądzę, że nie mogę więcej uczcić Konopnickiej, jak kiedy wedle tego wzoru nazwę ją poetką chłopków. Jak Kazimierz Wielki swym monarszym czynem uznał w pracy kmieciarolnika podwalinę bytu narodowego, który w tym jedynym, niepowrotnym, niestety, naszych dziejów momencie, do najwyższej doprowadził harmonii—tak owa monarchini naszej pieśni w swym obrazie harmonii narodowej kmiecemu, pracującemu ludowi naczelne dała miejsce, można rzec, na ton jego zasadniczy cały obraz i grającą w nim symfonię uczuć narodowych nastroiła.

A chcecie wiedzieć w jakiej mierze ta poetka chłopska była zarazem wieszczką narodową, obaczcie jak w swym „Śpiewniku historycznym“ wyśpiewała dołę i niedołę narodu, jakie tony silne i górne umiała tam dobyć ze swej lutni.

Zbiór ten przed pięciu laty po raz pierwszy pod nazwiskiem Jana Sawy drukiem ogłoszony, już po śmierci poetki, a zatem zaledwie przed kilku miesiącami szerszemu ogółowi jako dzieło jej natchnienia oznajmiony, dotąd nie jest i nie mógł być w dostatecznej mierze przezeń poznany.

Jest on niejako dalszym ciągiem „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza, świadomie przez poetkę w tym charakterze pojęty i wykonany. Zawarty w obrębie jednego prawie stulecia od 1767 do 1863 odtwarza momenty dziejowe tego okresu czasu, poczynając tam, gdzie kończy się „Śpiewnik“ niemcewiczowski od upadku dawnej Rzeczypospolitej, a kończąc na ostatnim momencie naszej historii porozbiorowej, jaki w pieśni donioślejszem odbił się echem.

Nietylko treścią wszakże, tonem i nastrojem również łączy się ten „Śpiewnik“ współczesnej poetki ze śpiewami kościuszkowskiego żołnierza i towarzysza. Ale o ileż przewyższa je siłą talentu. Wiadomo, że autor „Powrotu posła“ był wielkim patryotą, ale wcale nie wielkim poetą; jego pieśni silnie potraçały o serce narodu i dlatego słuszną zjednały sobie popularność, ale nie mogą być zaliczone do arcydzieł poezji narodowej. Inaczej rzecz się

ma z pieśniami Konopnickiej. Dość spojrzeć na pierwszą stronicę jej „Śpiewnika,” przeczytać pierwsze zwrotki rozpoczynającej go „Przegrywki“:

Z młodu, z młodu do zawodu
Orlik z gniazda leci,
I w błękity czeka wzbity,
Aż słońko zaświeci.

Z wiosną, z wiosną kłosa rosną
Pod majowem niebem,
Nim zaszumią złotą falą,
Nim zapachną chlebem.

Pod dziesięcioma pseudonimami poznaćby można z tych strof wielką naszą poetkę-artystkę, daleko na poetyckim polu pozostawiającą za sobą śpiewaka dumy o „cecerskim błoniu.“ A weźmy ostatnią zwrotkę tejże „Przegrywki“:

Pierwsze kwiatki nieść dla matki
Miło rankiem w maju,
Pierwsze czucia dla Ojczyzny,
Pierwszą pieśń dla kraju!

Czy nie iście niemcewiczowski ton dźwięczy w tych prostych słowach, rodzinny swojski ton, odzywający się niegdyś w szczerym polskim sercu twórcy starego „Śpiewnika,” a dziś tak cudnie w nowym „Śpiewniku“ odnowionym brzmiały nam echem.

I we wszystkich dalszych pieśniach zbioru to samo zawsze zespolenie niezrównanie artystycznej poezji z głębokiem poczuciem narodowem, przemawiającem gorącą, pełną natchnienia mową patryotyzmu. Różne czasy, różne zdarzenia od Sejmu warszawskiego i wywiezienia biskupa Sołtyka aż do wypadków roku 1863 i śmierci Zygmunta Sierakowskiego kolejno odrzmiewają w śpiewnych strofach, tak doskonale ujętych w rodzimym stylu i nastroju, tak utrzymanych w charakterystycznym języku, rytmie, tonie, iż często wzięby je można nie za twory indywidualnego talentu, lecz za bezimienne, samorodne płody żywiołowej twórczości ludu.

Niepodobna zatrzymywać się tu po szczególe nad mnóstwem pieśni, które niewątpliwie przez długie, długie lata brzmieć będą w każdym domu polskim. Weźmy np. ton, co się dobitnie wydatnia w pieśniach, opiewających sławne czyny legionów w wojnach napoleońskich, jak zdobycie Samosiery i Saragosa. Zrazu zdziwić nieco może wysławianie faktów czysto militarycznych wojny

niesprawiedliwej przez poetkę humanitarystkę, rzeczniczkę ideałów wszechludzkich, pogromicielkę wszelkich krzywd i niesprawiedliwości w dziejach człowieczeństwa. Jakoż u dawnej Konopnickiej z epoki „Fragmentów“ i „Obrazków“ taki punkt widzenia, taki sposób odczuwania byłby całkiem niemożliwy, w epoce „Śpiewnika historycznego“ była ona tak dalece, tak wyłącznie poetką narodową, że w czynach naszych legionów i w hiszpańskich ich tryumfach to tylko odczuwała, co przez wiek cały odczuć w nich jedynie mogła i musiała żywa tradycya narodu. Kto, jak np. Żeromski w „Popiołach,“ w bohaterских czynach naszych legionistów przy zdobyciu Saragosa coś innego czuje i maluje, może być wielkim poetą, genialnym rzecznikiem serca ludzkiego, ale rzecznikiem serca narodowego, poetą narodowym nie jest z pewnością, nie jest poetyckim rzecznikiem tego, *co jest* w duszy narodu, wyraża chyba to, co w niej *być* może. Ale to w najlepszym razie nowy świt. A nam, tutaj przynajmniej, nic do niego. A może tylko nowy błędny ogień, do którego oby zawsze nie nam nie było. To pewna, że Konopnicka jest poetką tego, *co jest* w duszy narodu, nie tego, co w niej być może, co się w niej komuś, jako nowe stawanie się, może przywidzieć. Na tem polega istotne znaczenie jej twórczości, charakter i natura jej geniuszu twórczego w najwyższym rozkwicie.

Drugi charakterystyczny rys znajdujemy w sądzie poetki o Mierosławskim (w pieśni o bitwie pod Krzywosądzą¹⁾), w bezwzględnej potępieniu głośnego w swoim czasie warchoła i krzykacza powstaniowego. Poetka gromi go surowo za śmierć dzielnej młodzieży, lekkomyślnie w nierówny boj poprowadzonej:

Mierosławski! twoje imię
 Shańbił skon tej młodzi!
 Legli młode bohaterzy,
 Wódz cało uchodzi!

Mamy tutaj inny przeciwstawny pono poprzednio wspomnianemu objaw poczucia narodowo-patriotycznego w jego realnej prawdzie, w danym razie w jego trzeźwym i rozumnym liczeniu się z rzeczywistością, lekceważoną bezmyślnie przez różne fantasmagorye patriotyzmu, jakich, niestety, tak wiele u nas bywało.

Ostatni wreszcie rys, o jaki mi tu chodzi, znajduję w przeznaczeniu całego „Śpiewnika,“ dobitnie przez samą poetkę zazna-

¹⁾ W tekście z mylnem podaniem nazwy odnośnej miejscowości na Kujawach: „Pod Krzywosądem.“

czonem, w ofiarowaniu go „dzieciom polskim... ku nadziei dni lepszych.“ Wiadomo, że Konopnicka wiele bardzo dla dzieci pisała i w przeznaczonych dla nich powieściach i pieśniach pozostawiła istne skarby poezji i artyzmu. Jak zawsze i wszędzie w swej twórczości i w tej jej gałęzi powodowała się niewątpliwie nie samym tylko zapędem twórczym, lecz także towarzyszącym mu nieodłącznie względem na dobro publiczne, na przyszłość narodu, którą tak samo w dzieciach, dziedzicach naszej obecności, jak i w ludzie knieciym, dziedzicu całej naszej przeszłości, widziała. W tej myśli, w tem uczuciu niewątpliwie na samym schyłku swego życia, niby swój testament duchowy przekazała młodym spadkobiercom narodowej idei ten przedziwny „Śpiewnik historyczny,“ brzmiący cudnymi jej odgłosami, z niedawnej przeszłości z najszlachetniejszych serc polskich dobytymi.

Dalszym ciągiem zbioru „Śpiewnika historycznego“ jest zbiór pod tym samym imieniem Jana Sawy a zatytułowany „Ludziom i chwilom.“ Wprawdzie umieszczona przy tytule data roku 1904¹⁾ uprzedza nieco datę ogłoszenia „Śpiewnika,“ a pieśni pod nią zebrane w znacznej części z dawniejszej niewątpliwie pochodzą epoki i różnemi czasy, wśród różnych powstały okoliczności, atoli z natury rzeczy przez same swe tematy i ogólny swój układ idą po pieśniach poprzednio omawianego zbioru, stanowią ich ciąg dalszy i dopełnienie. Tam mieliśmy wspomnienia chwil historycznych z niedawnej ale już ubiegłej, rokiem 63-cim krwawo przypieczętowanej przeszłości — tutaj mamy upamiętnienia chwil bieżących terażniejszości i współczesnych ludzi. Jeśli tamte dawne chwile były tragiczne w swym heroizmie, w swej mocy i wielkości — to te nowe bywają tragiczne najczęściej w swej przygnębiającej niedoli, czasem, niestety, w swej hańbie.

Inaczej też brzmi „Przygrywka,“ poprzedzająca pieśni terażniejszym chwilom i ludziom poświęcone. W „Śpiewniku“ dźwięczał w niej ton rzeźkiej pobudki — tutaj odzywa się tonem bezdennego smutku wpadającego niekiedy w tak rzadki u Konopnickiej rozpaczliwy pesymizm:

Kto z nas, o bracia, ma dzisiaj tę wiarę,

Co z grobów prochy wywołuje stare —

woła poetka na wstępie. A w ostatnich zwrotkach silniejszy jeszcze daje wyraz swym bolesnym zwątpieniom:

¹⁾ Jako rok wydania we Lwowie przez Polskie Tow. Nakładowe podano 1905.

Mdleje rozdarta pierś mego narodu,
 Bez hostyi ducha bratniego podziału,
 I serca mdleją wśród chłodu i głodu,
 Bez jutra, bez ideału.

I jedna tylko tożsamość niedoli
 Łączy je dzisiaj w posepnem ich biciu...
 To, co nas dręczy, i to, co nas boli,
 Jest spójnią w gasnącem życiu.

Czytając te bolesne zwrotki, mimowoli z trwogą myślimy: któż z nas nie będzie wąpił, jeśli ona zwąpiła, któż nie wpadnie w rozpacz, jeśli ona zrozpaczyła? Głębsze w rzecz wniknięcie uspokojenie i pociechę nam przynosi.

Nie mówiąc tymczasem o wielkim finalnym akcie wiary, który usłyszemy jeszcze w „Panu Balcerze“ i w pieśniach, poprzedzonych tymi smutnymi odgłosami zwątpienia, niejednen jeszcze usłyszemy ton ufności i nadziei. Konopnicka to przedewszystkiem poetka wiary, zwątpienie to u niej zawsze tylko jakiś moment przejściowy, jakieś bolesne przesilenie, które zawsze przezwycięża, z którego zawsze wychodzi ufająca w przyszłość, w naród, w ludzkość. I teraz z tym samym spotykamy się u niej objawem. W drugim zaraz wierszu zbioru zwraca się do wąpiących i wprost przeczy ich zwątpieniu, przeciwstawia mu widniejące jej w rzeczywistości naszego bytu narodowego silne światła wiary, przebłyski nadziei. W dalszych pieśniach te światła, te błyski raz po raz rozjaśniają nam myśli zaciemniane mrokami posepnymi naszych widnokręgów, ogrzewają nam serca, martwiejące czasem od nadmiaru cierpienia. Są między temi pieśniami upamiętnienia wielkich rocznic, doniosłych momentów życia narodowego, jak rocznicy Trzeciego Maja, pamiętnej chwili przeniesienia zwłok Mickiewicza na Wawel; są uczczenia znamienitych i zasłużonych w narodzie ludzi, jak Matejki, Adama Pługa, Zygmunta Rewkowskiego, ostatniego z profesorów uniwersytetu wileńskiego; są pieśni okolicznościowe, jak na zjazd weteranów z r. 1831, na zjazd w Kromieryżu, na Wrześnię, na pamiątkowe obchody amerykańskiej Polonii; są wreszcie pieśni pobudzone przez różne uczucia i refleksye z nich wysnute. Między temi ostatniemi jest jedna bardzo gorzka, bardzo bolesna, „zapustnej Warszawie“ poświęcona. Konopnicka znała dobrze i szczerze pono lubiła naszą stolicę nadwiślańską, ceniła wysoce jej doniosłe znaczenie i bujną żywotność, ale bardzo musiała nieraz cierpieć nad znaną powszech-

nie jej pustotą i rozlukaną w zabawie i używaniu lekkomyślnością, skoro takimi oto przemawia do niej słowy:

O miasto! kiedy ja pomyślę sobie,
 Że ty tu stoisz takim oczom widne,
 Co otworzone są w swym wielkim grobie
 Po to, by patrzeć na cię, ty, bezwstydn!

.....

Kiedy pomyślę o tem, tobym chciała
 Paść z głośnym jękiem na twych ulic bruki
 I głową o nie bić, i błagać Boga,
 By cię chwyciły nagle jakieś kłęski,
 Żeby porwała ciebie nagła trwoga,
 By się duch w tobie zbudził i został męski.

Dotkliwe, gorzkie słowa, a jak pełne grozy i mocy!

Wszystko jednak, co w zakresie grozy i mocy kiedykolwiek poetka nasza stworzyła, zostało przewyższone, prześcignięte, przyćmione przez jeden utwór w zbiorze „Ludziom i chwilom“ pomieszczony, a zatytułowany „Sen Jermaka,“ utwór w tym rodzaju wprost nadzwyczajny, niesłychany, powstały widocznie z ogromnie skupionego w sobie i wytężonego w najwyższym stopniu uczucia, a ujęty w tak doskonałą formę poetycką, wystylizowany z takim niezrównanym artyzmem, utrzymany w tonie i nastroju z taką zdumiewającą konsekwencją, jakby był dziełem najtrzeźwieszej rozwagi, najspokojniejszej refleksyi twórczej.

Nie mam tu możności rozwodzić się nad tym istnym cudotworem artyzmu z wielkiego natchnienia i z wielkiej sztuki zrodzonym. Zaznaczam je tylko z najwyższym podziwem i stwierdzam, że talent twórczy, który mógł wybłysnąć takim w małych rozmiarach wielkiem arcydziełem, zdolny był rozwinąć pełny swój lot i w wielkiem arcydziele na olbrzymią epicką zakreślonym skalę.

X.

Koniec wieńczy dzieło: „Pan Balcer,“ arcytwór Konopnickiej.

W ciągu powyższych naszych roztrząsań nieraz zdarzało nam się wspomnieć ostatnie genialne dzieło poetki, noszące tytuł: „Pan Balcer w Brazylii“ (Warszawa, 1910); wśród lirycznych melodjy rozpatrywanych kolejno pieśni, nieraz potrafił nasz słuch

jakiś akord epickiej harmonii, zwiastujący bliskość większego jej zbiornika.

Zaiste ten zbiornik, który obecnie, na zakończenie naszych badań, poznać mamy w enigracyjnym eposie chłopskim Konopnickiej nie powstał jako coś niespodzianego, w całokształcie jej twórczości. Jeśli w swym epickim charakterze stanowił on do pewnego stopnia istotną niespodziankę, jako dzieło znamienitej lirycznej pieśniarki, to dlatego, że nie spostrzegano w jej twórczych natchnieniach pierwiastków, że się tak wyrażę, nadlirycznej mocy, nadpieśniarskiej harmonii, jakie od samego początku w nich się zjawiały i z biegiem czasu w stopniowym rozwoju zaznaczały się coraz wyraźniej. Z tych pierwiastków, rozrzuconych tu i owdzie na rozległym obszarze twórczości, gdy one się zbliżyły i złączyły, wyzwolone z wielu niezupełnie z nimi zgodnych żywiołów psychicznych, powstało owo finalne arcydzieło poetki, główny pomnik jej geniuszu, główny tytuł nieśmiertelnych jej dla narodu zasług.

Z tego stanowiska, do którego tu doszliśmy, cała twórczość Konopnickiej przedstawia mi się, jakby jakaś olbrzymia symfonia dążeń życiowych, rozwijająca się z niezrównaną konsekwencją i zakończona wspaniałym finałem, skupiającym w sobie wszystkie zasadnicze jej żywioły.

Czytałem gdzieś w dziełach Ryszarda Wagnera ustęp, w którym sam Beethoven takimi mniej więcej—o ile je pamiętam—słowy określa swą twórczość symfoniczną: „Z ogniska entuzjazmu wyrывa mi się myśl twórcza, podążam za nią, chwytam ją. Ale wnet mi uchodzi. Znów za nią gonię, póki jej nie doścignę; znów ją chwytam, przyswajam sobie i przetwarzam w różnych przemianach, w różnych połączeniach. Aż w końcu po wielu takich pogoniach i zdobyczach ogarniam całą jej istotę, władam nią, panuję nad nią, raduję się nią w uniesieniu ostatecznego zachwytu.“

Czyż nie taką powinnyaby się przedstawiać wszelka wyższa, życiowa czy artystyczna twórczość ducha ludzkiego? Czyż nie taką mogłaby być, gdyby jej dano w pełni się rozwinąć? Myśl młodości urzeczywistniona przez czyn wieku dojrzałego, jak ktoś określił życie wielkiego człowieka. Niestety i wielkość niezawsze w całej swej mocy ujawnić się może, i największemu duchowi ludzkiemu niezawsze dano wygrać do końca, aż do potężnie szarmonizowanego finału, życiową swą symfonię.

Poetka nasza o tyle przynajmniej była szczęśliwa, że zasadniczą swą ideą twórczą, przewodni motyw swej poezji w całej czystości i pełni wypowiedzieć mogła w tym finale, co się zowie

„Pan Balcer w Brazylii.“ Niestety, tylko wypowiedzieć, tylko w słowie realizować! Ale ktoś zdoła w życie wcielić wielką ideę z życia zrodzoną. Pokolenia na to pracują; wieki na to zaledwie starczą.

W każdym razie poetka nasza we właściwym sobie zakresie zdołała wypełnić swe zadanie. Powiedziała nam to, czego wypowiedzenie było niejako jej postąnnictwem do narodu, w ostatniem swem dziele wyraziła poetycznie, uprzytomniła nam artystycznie ideę, wysnutą z najgłębszych pokładów na poły bezwiednej intuicyi narodowej z najistotniejszej treści narodowych instynktów żywotnych.

Widzieliśmy tę ideę żywiołowej, niezłomnej siły narodu, tkwiącej w jego masach ludowych, ujętą zrazu w młodzieńczych utworach poetki ze strony negatywnej w głębokiem współczuciu dla niedoli i ciemnoty ludu, paraliżujących rozwój przyrodzonej jego mocy, a także z nadto ogólnikowej strony wszechludzkich dążeń demokratycznych, zaprawnych doktrynami ówczesnego, pozytywistycznego humanitaryzmu. Następnie widzieliśmy stopniowe wyzwalanie się poetki z pod wszelkich obcych wpływów ideowych, a zarazem coraz zupełniejsze i wszechstronniejsze ujmowanie przez nią wszystkich pozytywnych, życiowo twórczych żywiołów jestestwa ludowego, narodowych, plemiennych, religijnych. Teraz jesteśmy u kresu tego rozwoju i w „Panu Balcerze“ stwierdzić mamy ostateczne jego wyniki—wyniki zarazem ideowe i artystyczne. Z naszego punktu widzenia i pojmowania indywidualności poetki jedne z drugimi jaknajściślej są związane, jedne od drugich jaknajbardziej zależne. Gdzie idea wypowiada się w największej swej mocy i czystości, jako samorodny, indywidualny objaw wyrastającej wprost z jestestwa narodowego indywidualności twórczej — tam i artyzm najwyższą osiąga miarę; gdzie mamy przed sobą najbardziej swej idei rodzimej oddaną poetkę chłopków — tam stoi też przed nami w największej pełni swego geniuszu poetka-artystka, poetka-wieszczka narodu.

W takim charakterze zjawia się nam Konopnicka przeważnie w ostatnim okresie swej twórczości, a osobliwie w „Panu Balcerze.“

Praca nad tym poematem napełnia znaczną, jeśli nie główną część owego końcowego okresu. Licząc od ukazania się pierwszych pieśni w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1892, aż do wydania całości w r. 1910, t. j. w roku śmierci poetki obejmuje lat blisko dwadzieścia, nie mówiąc już o tem, że początkami swymi w dalszą jeszcze sięgać może przeszłość.

Zaznaczyłem powyżej, że niektóre ówczesne utwory (szczególnie z tomu „Nowych pieśni“) stanowią jakby studia przygotowawcze do „Pana Balcera,“ że motywy tego poematu odzywają się w całej twórczości Konopnickiej coraz wyraźniej z postępem czasu, ze zbliżeniem się do jej kresu, do ideowego i artystycznego jej finału. Chodzi teraz o to, jak ten finał przedstawia się w zasadniczym swym charakterze, jak się w nim przedstawiają ostateczne wyniki całej twórczości poetki, całej jej myśli życiowej?

Nazwano nieraz „Pana Balcera,“ nazwałem go i ja kilkakrotnie w ciągu niniejszej pracy—epopeą chłopską. Jakiś szkolny pedant mógłby się sprzeczać o tę nazwę i szukać uzasadnienia jej lub zaprzeczenia w teoretycznych poezyi epickiej określeniach. Zostawmy mu te jałowe spory i rozprawy. Dla nas epopeą jest poprostu utwór poetycki, zawierający wyjątkowe bogactwo poezyi i artyzmu, oraz wyjątkową pełnię życia, wysnutą z najistotniejszej treści zbiorowego jestestwa narodu.

W tem znaczeniu poemat Konopnickiej jest niewątpliwie epopeą chłopską, poetykiem odbiciem jestestwa narodowego, ukazanego w życiu i działaniu najżywoźniejszej w danym momencie rozwojowym jego warstwy społecznej—jest jedynym tego rodzaju utworem w literaturze polskiej, a może i we współczesnej literaturze wszechświatowej. A czy nie będzie to synonimem, jeśli tę epopeę chłopską nazwiemy też epopeą pracy i niedoli? Pierwsze określenie zawiera w sobie dodatnie pojęcie siły naszego chłopca, będącej zarazem siłą naszego narodu, drugie zawiera ujemne pojęcie przeszkód, tamujących wyższy rozwój i swobodne tej siły chłopskiej działanie, tamujących z wielką dla narodu całego ujmą i stratą.

Jak wiemy, te dwa pojęcia w dwóch okresach życia i twórczości Konopnickiej kolejno nad jej poezją panowały. Wspomnijmy jeno liobowe młodzieńczych jej pieśni skargi i żale nad „sennemi chatami,“ nad ciemnym, znużdziałym „ludem-bratem“; wspomnijmy w pieśniach dojrzałego wieku „piastowe pszczoły, piastowy rój“! Teraz skargi i żale umilkły, nie słychać wezwań ni hasła; jest tylko obraz życia, wymowniejszy od wszelkich skarg, bardziej pobudzający aniżeli wszelkie wezwania, a tak szeroko zakreślony, tak pogłębiony zasadniczymi rysami psychologii zbiorowej i przy całym swym realizmie, tak pełen idealnie-symbolicznego znaczenia, iż cały naród może się w nim rozpoznać, może się w nim przejrzeć, jak w czarodziejskiem zwierciadle odbity najistotniejszymi znamionami swego wewnętrznego jestestwa.

A jak prostymi to wszystko osiągnięte środkami — jak tu obraz naturalnie wysnuwa się z konkretnych stosunków, z rzeczywistych zdarzeń i w swem rozwinięciu również arcyrealistycznym wznosi się jednak do najwyższych sfer idealnych zadań wszechnarodowych.

Emigracya chłopska — stara, wciąż nanowo zaogniająca się bolączka, tyłoma bólami trapionego narodu naszego! — długa, uciążliwa żegluga morską garstki biednych emigrantów; — zawody bolesne, doznane w zamorskim kraju, który jako istny raj ziemski był im zwiastowany przez zwodnicze oszukańcze obietnice; — rozpaczliwa walka o byt wśród obcych, obojętnych ludzi i obcej, grozy pełnej przyrody; — wreszcie powrót straszliwy, tragiczny, dokonany wysiłkiem heroicznego iście wytrwania, w porwyie tęsknoty bezmiernej do dalekiej, umiłowanej ziemi ojczystej: — oto pokrótce główna osnowa arcy-smutnej Odysei emigracyjnej naszych chłopków.

Pytanie: jakie może ona mieć znaczenie poza kwestyą zamorskiej emigracyi naszego ludu, bardzo żywotną niewątpliwie, nieskupiającą jednak w sobie najistotniejszych interesów naszego życia narodowego, a przez to samo, zdawałoby się mogło, nienadającą się na temat prawdziwie narodowego eposu?

Zaiste, nie samo wychództwo stanowi główny przedmiot obrazu życiowego, roztoczonego w poemacie; jest ono tylko przedmiotem tego figurą, zewnętrznym objawem, jest częścią, która, jak to we wszelkiem obrazowaniu poetyckiem zwykle się dzieje, nawet nieodzownie dziać się musi, wzięta jest za całość, całości typem, czy symbolem się staje. Przedewszystkiem gromadka wychodźcza na brazylijskim okręcie zebrana jest niejako typowem przedstawicielstwem całego ludu naszego. Składają ją typy i postaci ludowe z różnych okolic kraju, ukazane w różnych charakterystycznych znamionach obyczaju, usposobienia, skłonności, nawet mowy o miejscowem prowincjonalnem zabarwieniu. Następnie, mimo wielu realistycznych rysów, wszystkie te postaci mają w sobie jakąś idealną treść ogólnie ludową, silnie uwydatnioną w rysach narodo-polskich, piastowskich czy plemiennie słowiańskich. W niektórych spotykamy najidealniejsze pierwiastki duchowego życia ludu. Oto np. stary Horodziej, mędrzec chłopski o kapłańskiem namaszczeniu i ojcowskiej powadze naucza o wiekuistej potędze żywiołu:

Bo żywioł wieczny je, a nie oblata

Jako liść drzewny, ni czas go nie trąca,

Ani się najdzie najmniejsza w nim strata...

Ni ogień iskry, ni wiatr tchu nie zroni
 Nie zginie z ziemi proch, ni kropła z toni.

Czy nie dźwięczą w tych prostych słowach echa jakiejś prastarej mądrości, zawierającej jakby w zarodku jedną z głównych prawd wiedzy wszechludzkiej? Podobnie w śpiewnym zawodzeniu „staruszki z nad Buga,“ sędziwej wieszczki ludowej dolatują nas odgłosy jakowejś pierwotnej poezji, budzącej się samorodnie z uczuciem przepełnionego serca, z duszy silnie niezwyklemi wstrząśniętej wrażeniami.

W innych postaciach poematu rysy bardziej realistyczne, ale zawsze zasadniczo uprzytomniające nam najgłębszą jestestwa ludowego istotę. Można śmiało rzec, że nie ma takiej właściwości, takiej cechy chłopca polskiego, takiej jego wady czy zalety, której odbicia, mniej lub więcej wyrazistego, nie znaleźlibyśmy w „Panu Balcerze.“

Jest w nim wszakże coś więcej ponad to wszystko: coś, co sięga ponad chłopską stanowosć w głąb wszechstanowej rodziomości, jakaś jakby szlachecka fantazyja, jakaś szczególna godność w postawie i ujęciu. Ów piastowski pierwiastek polskości, to owe na obliczu narodowem „prastarych piętn runy tajemnicze,“ harmonii społecznej w narodzie najistotniejsze oznaki i objawy — to ów wszystkim jego warstwom wspólny rys „polny“ słowiańskich z nad Gopła czy z nad Wisty rolników. Dzieje mogły w nim wyźłobić znaczne różnice stanowe, ale coś w nim pozostało niezmiennego i to *coś*, jako zasadniczą cechę narodowego jestestwa, poetka genialnie zdołała uwydatnić i unaocznic nam w typowych figurach swego chłopskiego eposu.

Najsilniej, najwydatniej ta rodzima, piastowska polskość w całej swej plemiennej mocy i starodawnej godności unaocznia nam się w osobie samego pana Balcera, głównej postaci poematu, duchowego przewodcy emigracyjnego zastępu, a zarazem opowiadacza tragicznej jego historii — w jednej osobie Achillesa i Homera tej smutnej chłopskiej Iliady. Pan Balcer to ni mniej, ni więcej jeno jakby uosobienie narodowego instynktu, uświadomionego instynktu, który nigdy nie chybi tam, gdzie o dobro narodu chodzi, a ma przytem jasne samopoznanie swoich w nim zadań i obowiązków. Ale patrzmy i podziwiajmy artyzm poetki: ta chodząca personifikacyja nie ma w sobie nic sztucznego, nic wymuszonego. Owszem, figura jest żywa, życiem tryskająca, typowa, charakterystyczna, o cechach wybitnie swojskich, w części nawet prowincjonalnych — zwyczajny sobie kowal wiejski z Podlasia,

wśród chłopstwa wzrosły, zażyły, choć niby trochę, jak to mówią, z waszecia. Człek świadom rzemiosła, „światowy i luźny sam w sobie,” t. j. niekoniecznie do pługą jak chłop przyrosły, lecz z kunsztem swym wszędy na świecie radę sobie dający. Bywalec, co nie z jednego pieca chleb jadał, między ludźmi dużo się obracał, dużo słyszał i widział, a jako z natury ciekawy i bystry nie mało stąd odniósł korzyści w doświadczeniu życiowym, w znajomości świata i ludzi, a osobliwie spraw krajowych, narodowych, które swem sercem polskim tak silnie i szczerze odczuć, a swym zdrowym rozumem tak trafnie umie sądzić. Nie dziw wobec tego, że wpływ tak znaczny w gromadzie pozyskał, że zawsze jako naturalny jej rzecznik i przewodca występuje.

Ale poza tym jego społecznym stosunkiem do gromady, do współrodaków, o sprawach i stosunkach jego życia osobistego nic prawie się nie dowiadujemy. Jest tu więc pewna jednostronność charakterystyki, nieunikniona u takiej jak Konopnicka poetki, czerpiącej wszystkie swe natchnienia z idei społecznej i narodowej.

Niektóre nowele (np. „Krysta”) i niektóre, bardzo zresztą nieliczne, liryki świadczą, że była ona zdolna odczuć i odtworzyć indywidualne uczucia i namiętności. Ale sprawy ogólne tak zawsze pochłaniały jej umysł i serce. Poprosto ani w tem, ani w tamtem miejsca już na żadne inne nie starczyło. Jeśli to jednostronność, to jakże zrozumiała, jakże nieodzowna w naszym życiu narodowym. Ongi na szerokiej widowni życia publicznego prywatą tak wiele u nas broiła. Dziś gdy to życie zamknięte li tylko w naszych duszach, gdy nie ginie póki my żyjemy, naturalnem prawem reakcyi i koniecznością samozachowania w duszach najbardziej niem żyjących, najpewniejsze dających mu schronienie, tak wszechwładnie czasem się rozpościera, że zdaje się z nich wypierać wszelką najprawowitszą nawet ich prywatę. Powołaną i wybraną tych dusz ofiarnych rzeczniczką była Konopnicka w całej swej twórczości poetyckiej—to też i w tym epickim jej finale z takiego jedynie stanowiska dusze polskie mogła ująć i odtworzyć—oczywiście dusze indywidualnie wybitne, wznoszące się ponad gromadę.

Zachodzi jednak pytanie: jakie w oczach poetki ma znaczenie cała ta gromada, jako przedstawicielka zbiorowej siły polskiego ludu, polskiego jestestwa narodowego? Na czem polega zbiorowa moc heroiczno-epicka tej chłopskiej epopei emigracyjnej?

Na tem, co zaznaczyłem w niej powyżej, określając ją jako epopeę niedoli i pracy — dodajmy jeszcze: ogromnego w tej

i w tamtej wytrwania. Patrzmy z jaką niesłychaną zawziętością umieją pracować ci chłopscy emigranci w dzikich ostępach puszczy brazylijskiej, z jaką nadludzką niemal wytrzymałością znoszą trudy i cierpienia w powrotnej drodze do ojczystej ziemi. Obłądną uludą na daleką zawiedzeni obczyznę, za popędem niemylnego instynktu zbiorowego idąc, niosą z powrotem ziemi ojczystej swą moc niespożytą.

Tam chłopie próchnij, gdzie Bóg cię wesłupi,
Iżby w swym domu miał belkę z twej kości,
A wiedz, że choć się z Adamem powadził,
Każdemu dawa raj, gdzie go obsadził.

Silny to i lapidarny wyraz tego instynktu, skupiający w sobie całą potęgę wytrwałej, a bezwiednej ofiarności urodzonych pracowników ziemi.

Godne uwagi zachodzą tu analogie. W epopei szlacheckiej, w „Panu Tadeuszu,” urodzeni bojownicy ziemi polskiej daremnie rozpraszają swe siły w zobopólnych o kęs jej walkach, zanim je skupią we wspólnej walce za jej całość. W chłopskim eposie naszej poetki urodzeni tejże ziemi pracownicy bezpłodnie na obczyźnie w trudzie i męce moc swą zbiorową rozrzucają, zanim ją we wspólnym, potężnym wysiłku ku uprawie swojskiej rodzimej gleby zwrócą. Ci i tamci przez uludę życiową od swych zadań istotnych odwrócenii, od przyrodzonej swej podstawy oderwani przez najprawdziwszy instynkt tej i tamtym przywrócenii zostają:

Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże.
Nie jeno liczba my,—ale i siła,
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i piorun, co go Bóg posyła,
By walił bory o spróchniałej korze,
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary—dźwignące pół świata!

Takim potężnym ku świętej ziemi-matce porywem kończy swój ludowy poemat przedziwna duszy ludowej rzeczniczka. Jest to jakby poetyckie zaklęcie drzemiących w tej duszy mocy, jakby bojowa pobudka armii nowego powołania, co przez trud i pracę i wysiłek niezmierny ziemię ową nanowo zdobywać idzie. A zaiste nie z „czułości nad pustką rozpiętych,” nie z tkliwo sentymentalnych nad ludem zachwyków zrodziły się te potężne do duszy jego wezwania. Ani śladu sentymentalizmu w „Panu Balce-

rze,“ ani cienia tkliwych rozczuleń. Jest owszem w poemacie jakaś twarda, rzeźka moc; rzeźwiący zapach świeżo rozoranej ziemi bije od tych chłopskich postaci, przemocą niedoli i omamieniem żłudy życiowej od niej oderwanych. Oni niosą ją w sobie za morze, tę świętą ziemię polską, niosą nie w ideach, przekonaniach, uczuciach, ale w całej swej naturze, w bezwiednym jej instynkcie, silniejszym i trwalszym od wszelkich nabytków uświadomienia ideowego. Ten instynkt przebija w całej opowieści pana Balcera, gra tysiącznemi barwami w przeplatających ją rozmowach, w unoszących się na rytmicznych jej falach obrazach rodzimej przyrody, tak silnie uwydatnionej we właściwym jej uroku przez kontrast z przyrodą obcą, również wspaniale przez poetkę zobrazowaną w swej bujnej egzotycznej krasie. Nawet oddawna wśród tej obczyzny osiedli przybysze zachowują swe rodzime instynkty. Tylko wzrastające wśród niej młode latorośle polskie ulegają realnym jej wpływom, przemagającym oderwane „starego kraju“ wspomnienia. A cóż będzie, jeśli z tych wpływów nowe zrodzą się instynkty, które stopniowo dzieci polskiej ziemi obcemi jej uczynią?

Oto trwożne pytanie, niepokojące poetkę, niepokojące nas wszystkich wobec wychodźstwa naszego ludu, wobec coraz częstsze-
go rozpraszania naszych rodaków po świecie. Dlatego pan Balcer prowadzi swą gromadkę emigracyjną w powrotną do kraju drogę wśród trudów, cierpień i wysiłków niezmiernych, stwierdzających olbrzymią moc jej wytrwania i ogromne napięcie pędzącej ją naprzód tęsknoty.

Cały tragizm tej bolesnej, krwawej wędrówki przedstawiony jest w rysach silnych, wydatnych, niekiedy grozą straszliwą narzmiących, ale ani trochę nie czułościowych. Owszem nie brak w poemacie dosadnego, a na wskroś swojskiego humoru, który najtragiczniejsze nawet rozjaśnienia epizody i dziwnie rzeźkim tonem jakiejś rodzimej tężyzny zaprawia wątek poetyckiej osnowy. Jakież tu przeciwieństwo z miękką uczuciowością dawniejszej liryki Konopnickiej. I w „Panu Balcerze“ nie brak liryzmu, ale jak mało w nim miękkich rozrzewnień. Sam ów dzielny a serdeczny majster twardego, kowalskiego rzemiosła w dosadnych słowach stwierdza zupełną ich bezcelowość:

Bo jest najgorzej przydawać żalości
Do owych niemych zgonów i do męki...
Wysechłby człowiek, by sztokfisz do kości
Gdyby urzewniał na wszystkie te jęki,
Co biją w niebo.

Nie urzewnienia nad jednostkami, co cierpią i giną, lecz stwierdzenie zbiorowej mocy ich wysiłku i wytrwania: oto istotny temat tego poematu pracy, oto istotny w nim rys heroicznopicki. Nowy heros polski zwiastowany tu nam jest i ukazany w perspektywie natchnionej wizji poetyckiej. Może on jeszcze bardzo daleki, może nie prędko przyjdzie, aby dźwignąć na potężnych swych barach ciało upadającej matki.

Bystre oko poetki dostrzega go już idącego z oddali, czujny słuch jej serca słyszy potężny głos zbiorowy, dolatujący z odległych przestworów:

...Idziemy matko! Idziemy do ciebie!

XI.

Synteza ideowa i artystyczna.

Oto ostateczna postać, do której w ciągu całego swego rozwoju wciąż dążyła i nieodzownie, samą siłą swej natury, dążyć wciąż musiała przewodnia idea poetki. Rzecz można, że owa wizja poetycka, idącego zdala ku matce zastępu jej synów, bojowników pracy majaczeje we wszystkich prawie natchnieniach twórczych Konopnickiej, poczynawszy od najwcześniejszej, młodzieńczej jej liryki, i — coraz wyraźniej zarysowując się na widnokręgu jej pragnień, coraz bardziej rozjaśniany światłem myśli, rozpraszającym nadto niekiedy zgęszczone mgły lirycznej uczuciowości — staje się w końcu tym epickim obrazem, który podziwiamy w ostatnim najdoskonalszym dziele poetki.

Ten obraz to zarazem ostateczna postać i najwyższy stopień jej artyzmu.

Podziwialiśmy śpiewaczkę „Ech wiosennych“, „Nocy letnich“ i pieśni sielskich w jej rzewnym, serdecznym, a tak cudnie śpiewnym liryzmie. Większy jeszcze podziw wzbudzała w nas pieśniarka, co w zwartych i silnych strofach opiewała „lipy kwitnące“, „piastowskie roje“, wielkie wspomnienia przeszłości i wielkie na przyszłość nadzieje, co uderzała niekiedy w isticie spiżowe tony narodowej woli i w „głosach ciszy“ zdołała dosłyszeć najgłębsze tony serca narodu i ludzkości... W tem wszystkim podziwialiśmy już nie tylko wielką, natchnioną poetkę, lecz i największą pono artystkę jaka dotąd zjawiła się na widnokręgach naszej sztuki. Wszelako tak wysokiej miary połączonego z natchnieniem poe-

tyckiem artyzmu, jak w ostatniem arcydziele poetki nigdy przedtem w jej pieśniach nie zdarzyło się nam napotkać.

Jest to artyzm wielkich zamysłów i wielkiego stylu, bezprzykładny prawie w tym swoim charakterze na całym obszarze poezji współczesnej. Przedewszystkiem kompozycja obrazu poetyckiego, nader prosta, a tak szeroki ogarniająca zakres, tak bogatą skupiająca w nim treść. Owa garstka wychodźców-tułaczy wprost z ciasnego widnokągu wioski rodzinnej rzucona na bezmierny widnokrąg wszechświatowej tułaczki po przez morza, góry, puszcze i pustynie — już sam ten temat zasadniczy jak pobudza uczucie i wyobrażenie, jak bogate zawiera w sobie możliwości epickiego obrazowania, lirycznej gry tonów i nastrojów. Dodajmy, że w tej garstce skupia poetka zasadnicze cechy i właściwości całego ludu polskiego, że je skupia dokoła wielkiej idei narodowej niezmiernie wyraziście, a przytem z nieporównaną prostotą uosobionej w postaci głównego działacza, a zarazem opowiadacza epickiej osnowy. Czyż z tego pogłębienia tematu nie wywiązuje się już samą siłą rzeczy ton i charakter prawdziwego eposu, jako najwyższego typu zobrazowanego poetycznie życia wielkiej zbiorowości społecznej?

A zobaczymy ustosunkowanie szczegółowych motywów obrazu. Jest w nim uderzająca jedność, a nawet symetria układu, wywiązująca się jaknajnaturalniej z rozwoju zdarzeń i przebiegu akcji. W sześciu częściach z wielką konsekwencyą, jasno i wyraziście rozwija się historia tragicznej wędrówki po lądach i morzach, pełna różnorodnych kształtów, barw, postaci, rojna i gwar-na życiem, roztaczająca dokoła nieprzebrane iście skarby twórczej wyobraźni. A ponad tem wszystkim idea poetki odzwierciadlająca się w epickich falach akcji, rozdźwięczona lirycznymi tonami w uczuciach działających osób, a osobliwie głównego działacza-bohatera a tak dostosowana w swych zewnętrznych objawach, w ich barwach i kształtach do różnorodnych zabarwień i ukształtowań przedmiotowej osnowy poematu, iż jaknajdokładniej zlewa się z całością obrazu w jednolitym jego układzie.

Rozmieszczenie w tym układzie postaci i wzajemne ich między sobą, a także do całości poematu ustosunkowania, ze stanowiska artystycznego, godne też wszelkiego podziwu. Wielka jest ich mnogość, nigdy jednak nie gubią się w bezkształtnym, amorficznym tłumie, nigdy nie zbywa im na wyrazistym rysunku ani na barwie charakterystycznej. Z natury rzeczy jednak wynika, że żadna z nich nie mogła być ukazana w charakterystyce wyczerpującej, wielostronnej. Wszakże chodziło tu nie o jednostkowe

typy i indywidualia, jako przedstawiciele zbiorowości, lecz o samą tę zbiorowość, jako siłę społeczną, w której poetka, jak wiemy, całą swą położyła nadzieję. Gromada—wielki człowiek, jak mówi chłopskie przysłowie, gromada—wielka moc, zarazem materialna i moralna moc narodu: oto istotny bohater poematu, oto ten nowy polski heros, którego czyny i sprawy opiewa poetka w swym chłopskim eposie, z gruntu polskim, narodowym eposie, jaki obecnie daje się pomyśleć. Wszystkie oddzielne jednostki zarysowują się wyraźnie w tej gromadzie, są to ludzie prawdziwi, żywi, nie martwe manekiny, ludzie żyjący swem własnem życiem, ale w danym obrazie ukazani zawsze w stosunku do życia zbiorowego, jako nieodzowne jego siły, rodzime żywioły. Te podlasiaki, kujawiaki, krakowiaki, mazury, wielkopolanie i jak się tam zowią—wszyscy ci przedstawiciele wielkiej polskiej gromady, toż to cały nasz lud, nie tylko liczba lecz i siła nasza, jedyna siła przyszłość naszą zdolna podźwignąć i umocnić. W tym charakterze, w tej roli swojej postaci chłopskie przedstawione są w eposie Konopnickiej i zgrupowane dokoła głównej postaci pana Balcera, stanowiącej niejako syntezę narodowego jestestwa w najistotniejszej ludowej jego treści.

Tej syntezie charakterystyki odpowiada synteza stylu skupiającego w sobie ogromne bogactwa naszej mowy w najwyższym artyzmie jej krystalizacji poetyckiej.

Gdy rozejrzemy się baczniej w skarbach mowy, przewijających się poprzez przejrzyste jak kryształ a giętkie jak stal najhartowniejsza oktawy poematu, zda nam się, że wступujemy w jakiś zaczarowany świat nieprawdopodobnych wprost cudów językowych, w jakiś bezmiernie rozległy świat, rozciągający się od złotych zyguntowskich czasów aż do współczesnej nam mowy artystycznej poprzez nieprzejrzone obszary rodzimej mowy ludowej. Czasem uderzy nas w opowieści pana Balcera jakieś niby rejonskie dosadne słówko, jakiś grom skargowskiej wymowy, a tuż obok wyrażenie barwne wczoraj jakby zasłyszane z ust jakiegoś Bartka czy Macieja, lub nagły podniebny wzlot słowa, uskrzydłonego jakby fantazją Słowackiego.

A w tem wszystkim ani cienia eklektyzmu czy mozaikowości. Owszem jest to nadzwyczaj jednolity i charakterystyczny styl Konopnickiej, który w całej swej odrębności barwnej i plastycznej z każdej oktawy, z każdego wiersza, z każdego zdania odrazu może być rozpoznany. Mamy tu zdumiewający przykład twórczości językowej, która przyswaja sobie wszystkie najżywotniejsze pierwiastki mowy ojczystej i skupia je w jednolitym ca-

łokształcie własnej, odrębnej mowy indywidualnego stylu poetyckiego.

W danem zastosowaniu jest to przytem jaknajbardziej własna, osobista mowa posługującej się nią pełnej charakteru postaci poetyckiej. Dziw istny, a jednak fakt niewątpliwy: ów opowiadacz eposu chłopskiego, przezacny pan Balcer, prosty kowal podlaski, posługując się językiem tak bogatym, tak barwnym i polotnym, nigdy nie przemawia niezgodnie ze swym charakterem, nigdy ani na chwilę nie staje się sztucznym i wymuszonym. Owszem, w tem co mówi, zawsze jest sobą, zawsze wyraża się odpowiednio do swej natury, swego charakteru, swej sfery życiowej. Jest w tem ogromny artyzm, z jakim poetka zdołała wystylizować język swego utworu w nieposzlakowanej prawdzie rodzajowej i charakterystycznej tej sfery życia, jakie w nim odtworzyła.

Atoli w tym artyzmie jest coś więcej ponad sam artyzm: jest zdumiewające, z wielkiego umiłowania wynikłe odczucie życia i charakteru tego ludu bratniego, który Konopnicka za główny cel i przedmiot całej swej twórczości obrała, w którym położyła wszystkie swe nadzieje społeczne, narodowe, patryotyczne. Można powiedzieć, że jako poetka spełniła ona to zadanie, które wskazał Krasiński wywodzącej się przeważnie od dawnej szlachty inteligencji narodowej w tych dość niespodzianych, co prawda, u niego słowach:

Stań się ludem, a on cię uzna swą ozdoba,
A gdy się z ludem zlejesz, on się stanie tobą.

Autorka „Pana Balcera“ w swem natchnieniu twórczem zdołała się prawdziwie stać ludem, stać się prawdziwą poetką chłopków, jak wyżej ją nazwałem. Dzięki temu zdołała ona czuć sercem ludu, myśleć jego pojęciami, cierpieć jego bólem, mówić jego językiem, podniesionym na najwyższe szczyty sztuki. W tem zespoleniu mamy ostateczny wynik rozwoju idei poetki w jej twórczości, najdoskonalsze zharmonizowanie ideowych i artystycznych dążeń, z których zrodziło się jako korona całego życia trudów, cierpień i walk jedno z naczelnych arcydzieł naszej poezji narodowej.

WALERY GOSTOMSKI.

O Ignacym Prądyńskim.

I.

Ignacy Prądyński był synem zacnych, rozumnych, nie przejętych jednak panującym pod koniec w. XVIII wolteryanizmem, rodziców. Przyszedł na świat r. 1792 w Wielkopolsce, we wsi Sanniki. Nad dzieciństwem i rodziną jego czuwała matka bogobojna do spółki z księdzem Francuzem, emigrantem, który po polsku nie mówił i z gospodarzem domu po łacinie się porozumiewał. Gośćmi najczęstszymi bywali konfederaci barscy i żołnierze kościuszkowscy. W rozmowach rodziców z nimi zasłuchiwał się chłopak i wrażeniami, z rozmów tych się wydzielającami, nasiąkała jego duszyczka dziecięca. Gdy zaś dla Ignasia nadeszła pora nauki szkolnej, dozorowanej już po r. 1792 i 1794 przez niemiłe Polakom władze rządowe pruskie, ojciec wolał dla niego szkołę saską, aniżeli pruską i umówiwszy się z sąsiadem, mającym dwóch rówieśnych Ignasiowi synów, wyprawił go z nimi do Drezna i ulokował pod dozorem ks. kanonika Jezierskiego, z dobrej strony znanego Wybickiemu przestępcy politycznego, przebywającego w stolicy saskiej w charakterze emigranta. Dwór saski w czasach owych przez pamięć na noszenie korony królewskiej polskiej przez dwóch Augustów, elektora panującego poprzedników, drezdeńcycy, pamiętni naźzbogacenie się i przyozdobienie kosztem polskim miasta, sprzyjali przestępcom tego rodzaju. Kształcąca się młodzież polska dużo w Dreźnie znajdowała swobody. Z saskich szkół i z saskich szeregów wojskowych wyszedł Jan Henryk Dąbrowski, wódz znakomity. Że zaś były to czasy wojenne, młodziutki przeto Prądyński z kolegami, pod dozorem księdza kanonika, swobodnie musztrował się na błoniach, na któ-

rych Napoleon dawniejszym swoim sprzymierzeńcom, przeciw niemu sprzymierzonym, ciężką r. 1814 zadał klęskę. Z Drezna też nasz pan Ignacy, nie bardzo wyuczony, uczył się bowiem dorywczo, ale nieco podmustrowany, na wieść o nadciągnięciu 1806 r. legionów polskich do Poznania, pospieszył tam i w oczach rodaków do wojska się zaciągnął.

Przyszedł na świat r. 1792. Roku 1806 liczył wieku lat 14. Czy nie zawczasie to na żołnierkę było?

Pytanie to nasuwa na myśl Chłopickiego, który ze szkółki w Szarogrodzie, nie o wiele starszy i mniej wyuczony, karierę wojskową rozpoczął. Porównanie dwóch tych ludzi narzuca się, dzięki charakterystyce Chłopickiego, nakreślonej przez Prądyńskiego w „Pamiętnikach,” naprowadzającej na myśl różnicę, zachodzącą pomiędzy bojownikiem a wojownikiem. Filologicznie różni te wyrazy jedna litera początkowa, faktycznie sztuka, odnosząca wyraz pierwszy do szranek bitewnych, drugi do teatru wojny. Napoleona geniusz obejmował i wojownictwo i bojownictwo, Carnota wojownictwo. Szczególne dotyczy generałów napoleońskich spostrzeżenie, zaznaczające, że żadnego z nich nie przeniknął geniusz napoleoński. Spostrzeżenie to i do Chłopickiego się odnosi. Drogą kariery wojskowej szedł on waleczny i szczęśliwy, jako szeregowiec naprzód, przechodząc podoficerskie i oficerskie stopnie następnie, z boju na bój, nie troszcząc się o znaczenie żadnego, ani o kierunek pochodów, aż zaszedł na stopień generalski. W kroczeniu tem nabrał doświadczenia i rozmiłowania się w bitwach, przejmując się przytem prawami, w odniesieniu do podkomendnych, rozkazodawcy surowego i nieugiętego. Natura zaopatrzyła go snadź w skłonności tego rodzaju, których nie opolerowało, nie ułagodziło, ani też nie wykształciło życie obozowe.

W inne skłonności natura zaopatrzyła Prądyńskiego. Obdarzyła go umysłem ruchliwym, przenikniętym ciekawością wiedzy — ciekawością, wymagającą zaspakajania jej u wiedzących i przystępowania do nich z uprzejmością. Uczenie się dorywcze w Dreźnie prawie go nie nauczyło niczego, ale rozbudziło w nim pragnienie wiedzy, co, dzięki panującemu w świecie nastrojowi, nadało umysłowi kierunek. Kierunek nie mógł być innym, jeno wojskowym. Przypuszczać można, że poczuwający się do wdzięczności za oddaną mu przez wicebrygadiera Łaszczyńskiego, dziadka Ignacego przysługę, Dąbrowski czuwał nad dzieciakiem, co się pod jego dostał komendę, ułatwiając mu służbę i wskazując czego i jak uczyć się ma. Przyszły kwatermistrz generalny armii pol-

skiej zaciągnął się do formującego się w Poznaniu 11 pułku piechoty, z którym, przeznaczony do pełnienia służby garnizonowej, wymaszerował do Gdańska i, w inustrze się wprawiając, przy okopach pracował. Pracy tej oddawał się w Modlinie, gdy skutkiem pokoju tylżyckiego do życia powołanem zostało Księstwo Warszawskie. W r. 1809 siedemnastoletni chłopak wziął czynny i zaszczytny w rozpoczętej bitwą pod Raszynem wojnie udział. Następnie, przy boku pełniącego służbę dyrektora inżynierów pułkownika Malleta, całą duszą oddał się nauce sztuki wojskowej—czytał, ćwiczył się w rysunkach, brał prywatne lekcye matematyki, rozwijał wszechstronnie w kierunku tym zakres wiadomości, potrzebnych wojownikowi. Tak przysposobiony odbył kampanię r. 1812 w dywizji Dąbrowskiego, którego palec w kierowaniu się młodzieńca czuć się dawał do końca. Palec ów ukazuje się w I t. „Pamiętników,“ w rozdziale przedwstępnym „Od wydawcy,“ złożonym częściowo ze „Wspomnień“ Prądyńskiego, częściowo z uzupełnień wydawcy, zatytułowanym „Życie generała Ignacego Prądyńskiego“ i znaczone na stronicach cyframi rzymskimi od I do XLIX. W rozdziale tym znajdują się: dwa listy Dąbrowskiego „Do W-go Szefa szwadronu Prądyńskiego“ z r. 1814, polecające mu przetłómaczenie z francuskiego na język polski dziennika kampanii r. 1812, odbytej przez dywizyę generała (list jeden bez daty, drugi późniejszy z Warszawy dn. 23 lipca); list W. Ks. Konstantego (ze Strelnej dn. 4 sierpnia), wzywający go do wskazania mu kilku zasłużonych inżynierów Polaków, celem opatrzenia i poprawienia fortyfikacyj toruńskiej i modlińskiej; list pułkownika inżynieryi, Malleta, do Prądyńskiego, szefa batalionu (z Warszawy 28 paźdz.), dziękujący mu za raport bardzo dobrze wykonany, odnośnie do planów Torunia i okolic z kartą profilów, oraz za trafność poglądów (*idées*). Listy te świadczą o stosunku, jaki pomiędzy Dąbrowskim a Prądyńskim zachodził, stosunku, odnoszącego się nietylko do kariery osobistej, lecz do widoków szerszych i wznioślejszych, co znamionowało jako Dąbrowski, niedoceniony jeszcze przez historyków naszych, umiał się na ludziach poznawać.

Rok 1814 zaokrągła—rzec można—dla Prądyńskiego przygotowawczą we względzie umysłowym i duchowym, moralnym i ideowym dobę.

II.

O Prądyńskim, po wyjściu przezeń z opałów, w jakie wpa-
dał rok po roku, w latach 1812 i 1813, upamiętnionych przeprawą
przez Berezynę i bitwą pod Lipskiem, nie można powiedzieć, co
Mickiewicz o sobie r. MDCCCXXIII powiedział: „Obiit Gusta-
vus—Conradus natus est“—w znaczeniu odwrotnem. W znaczeniu
takim wypadaloby, że: Konrad wojowniczy umarł i zmartwych-
wstał w postaci Gustawa, wdychającego do Maryli, t. j. do żony
kochającej i kochanej i kąta spokojnego. To mu się już należało.
I życie bez troski uśmiechnęło się do niego. Polecony przez Dą-
browskiego, jako jeden ze zdolniejszych oficerów inżynierii,
wodzowi naczelnemu wojsk polskich, którym był W. Ks. Kon-
stanty (zamianowany na stanowisko to przedtem, nim Królestwo
Kongresowe stworzonym we Wiedniu i zorganizowanym zostało),
wykomenderowany przezeń do Torunia, gdy się z zadania ku zu-
pełnemu przełożonych zadowoleniu wywiązał, znalazł umieszcze-
nie w sztabie Kwatermistrzostwa generalnego w stopniu podpuł-
kownika. Sprzyjały mu losy. We dwa lata po przemianowaniu
obciętego od zachodu Księstwa Warszawskiego na Królestwo Pol-
skie, powierzono mu przewodniczenie granicznej operacji demar-
kacyjnej pomiędzy Królestwem Polskim a Królestwem Pruskim.
Praca ta zakończyła się r. 1822.

W r. 1822 dla kreacyi wiedeńskiej — Królestwa Polskiego,
oddanego pod władzę dyskrecyonalną Aleksandra I i obdarzonego
autonomią szeroką — krwawo zeszło słońce. Zapowiedziało ono
dla kreacyi tej ciężką na przyszłość dolę — dolę, zainaugurowaną
dokonanem przez siedmioletnie rządy władzy nadzorczej, W. Ks.
Konstantemu Pawłowiczowi powierzonej, odkryciem spisków o cha-
rakterze rewolucyjnym. Poszukiwania, długo pozostające bez re-
zultatu, nareszcie do rezultatu doprowadziły. Knowania, poczynane
tu i owdzie, tak i inaczej, same prawie wężącym za nimi
w pocie czoła w ręce wpadły, wysuwając naprzód nazwisko Wa-
leryana Łukasińskiego.

Ze względu na powzięte przezemnie założenie dla opraco-
wania niniejszego, nie jest zamiarem moim rozpisywać się o Łu-
kasińskim, ani o spiskach polskich, o których narozpisywali się
uczni tej miary, co Maurycy Mochnacki („Dzieje Powstania Pol-
skiego 1830—1831“), Szymon Askenazy („Łukasiński“), Jan Ku-
charzewski („Mochnacki,“ monogr.), Artur Sławiński („Mochnacki,“
monogr.), Bolesław Limanowski („Stanisław Worcell“). Wymie-

niam tylko wybitniejszych i lepiej mi, niż inni, znanych w materji tej autorów. Nie wyczerpali oni przedmiotu, wskazali jednak potrzebę opracowywania onego dla zgłębienia dziejów ludzkości w ułamkach integralnych, w takim znajdujących się położeniu, w jakim znalazła się Polska po rozbiorach dwukrotnie: raz w r. 1795, powtórnie r. 1815. Nie dość, że straciła bytowanie państwowe, lecz wobec trybunału dziejowego postawioną została w charakterze oskarżonej nie o grzechy powszednie, lecz o główne, o zbrodnie, popełnione przez nią na drodze upominania się o zadane jej przez państwa sąsiednie krzywdy—krzywdy nb. uznawane jako takie przez dwóch monarchów rosyjskich: Pawła i Aleksandra I.

Odczuwanie krzywd tych wynikało z podkładu psychologicznego duszy narodowej, wyrażając się, przy sposobności, imaniem się oręża bądź to legionowego, bądź powstańczego, w braku zaś sposobności, „w cichych, nocnych rodaków rozmowach.“ Sposobności dostarczają prowokacye, wywołujące spiski.

Spiskomanie, doprowadzoną do namiętności a rozwiniętą odrazu prawie na szeroką skalę, bo obejmującą Europę całą niemal, sprowokował Kongres wiedeński. Zarzewiem prowokacyjnem stało się zawiazanie przez trzy mocarstwa, co Polskę rozebrały, „Świętego Przymierza,“ które za cel wspólny wzięło sobie: „Wytępienie do cna w Europie ducha rewolucyjnego.“

Nie była to rzecz nowa. Mocarstwa te, celem tępienia właśnie ducha tego, dokonały rozbioru Polski i pod dozorem swoim trzymały ją do r. 1807. Księstwo Warszawskie było wytworem Napoleona, mającem jakoby krzywdzić Prusy i Austryę. Kongres wiedeński wynagrodził Prusom i Austryi owe „krzywdy“ częściowo, zwracając pierwszym Wielkopolskę, drugiej cyrkuł Tarnopolski, lecz pozostawiając w duszy pruskiej pretensyę do dużej połaci na lewym brzegu Wisły, w duszy austryackiej do równej połaci na brzegu prawym, zabranych im dla wytworzenia zbędnego królestwa dla Rosyi.¹⁾ Bolały te nowe krzywdy Prusy i Au-

¹⁾ „Nowy podział prowincyj polskich przedstawiał się następująco: do Austryi, do t. zw. królestwa Galicyi i Lodomeryi, powróciły obwody tarnopolski i zbaraski, jakoteż część Powiśla z żupami wielickimi, oderwane w roku 1809; Prusy otrzymały kraj od ujścia Prosny, linią ukośną aż ku Toruniowi odgraniczony, wraz z Gdańskiem, razem 538 mil kw.; resztę Księstwa Warszawskiego (2,214 mil kw.) wzięła Rosya; Kraków z okręgiem (23¹/₄ mil kw.) tworzył wolną, niepodległą i ściśle neutralną republikę pod opieką trzech mocarstw.“ („Dzieje Polski porozbiorowe,“ str. 352, napisał prof. d-r August Sokołowski. Drukował M. Perles w Wiedniu 1903 r.).

stryę — Austryę tembardziej, że do jej z Rosyą stosunków wkra-
czała t. zw. „kwestya wschodnia,“ tycząca się spadkobierstwa po
obunierającej Turcyi i budząca współzawodnictwo we wszystkich,
mających jakoweś na widoku na Wschodzie interesy, gabinetach,
najżywsze atoli we współzawodniczących bezpośrednio w tej kwe-
styj gabinetach—wiedeńskim i petersburskim. Austrya wówczas
już czuła się mocno pokrzywdzona wykrojeniem dla niej, wzdłuż
wybrzeża morza Adryatyckiego, wąziutkiego od Tryestu do Kat-
taro paska dalmatyńskiego. Wynagrodziła to sobie dopiero w sto
lat bez mała po zakończeniu Kongresu we Wiedniu, zabierając
Turcyi, należne Serbii, Bośnię i Hercegowinę.

W istocie jednak wyroki kongresowe dotknęły nie mocarstwa
rozbiorowe, lecz Polskę. Pełnomocnicy, mianowani przez monar-
chów dla naprawienia krzywd wszelakich i uporządkowania spraw-
liwie międzynarodowych w Europie stosunków, a i monarcho-
wie sami — z wyjątkiem pruskiego — krzywdę polską odczuwali
i uznawali. Aleksander I otwarcie i głośno o tem mówił i pisał;
Metternich, pełnomocnik austriacki, w ciągu układów, wobec nar-
tarczywości pretensyj pruskich, proponował wspólnie z pełnomoc-
nikami mocarstw, co w rozbiorach Polski udziału nie wzięły, od-
budować ją w całości z przed r. 1772. Na szczerłość atoli w uzna-
waniach i propozycjach takich miejsca nie było. Szczerze nato-
miast brzmiało przemówienie Aleksandra, po pierwszej abdykacyi
Napoleona, po przeglądzie pod St. Denis szczątków wojska pol-
skiego, wygłoszone do oficerów a zanotowane przez Prądyński-
ego („Pamiętniki,“ t. I, str. 221) w przypisku:

„Panowie! Nauczylismy się szanować wzajemnie na polach
bitew. Pora zakończyć nienawiść za długo narody nasze dzielącą.
Naród wasz kocham i szanuję. Macie prawo zająć na nowo wśród
narodów miejsce wasze. Zasłużyliście sobie na szczęście. W do-
pięcie celu tego włożę całą przez Boga mi daną moc. Obowiązek
ten na siebie uroczyście biorę.“¹⁾

Nie można się było wyraźniej i dobitniej w sprawie polskiej
wypowiedzieć, krytykując zarazem temi słowy politykę babki,
która się na podział Polski Fryderykowi Wielkiemu skusić dała.

¹⁾ W języku francuskim to przemówienie brzmi jak następuje: „*Messieurs, nous avons appris à nous estimer sur les champs de bataille. Il est temps que les inimitiés, qui ont trop longtemps partagé nos deux nations, finissent; j'aime et j'estime la vôtre. Vous avez droit à reprendre votre rang parmi les peuples. Vous méritez d'être heureux. Pour parvenir à ce but, j'emploierai toute la puissance, que Dieu m'a donnée.*“ („Pamiętniki generała Prądyńskiego,“ t. I, str. 221, w przypisku).

Przemówienie przeto cesarza rosyjskiego do oficerów polskich, mówiąc im „o prawie zajęcia wśród narodów stanowiska dawnego,“ duże mieć musiało znaczenie, a to tem większe, że się odrazu dolą wojska polskiego zajął. Chodziło o zwrócenie Polsce dawnego wśród narodów miejsca. Jakiemże ono być mogło, jeżeli nie przedrozbiorowem? Innej Polski nie znano. Księstwo Warszawskie nie było nią. Gdy przeto ten, co w r. 1807 nazwy jej uznać nie chciał, nietylko ją w r. 1814 własnem nazywał imieniem, lecz łaskawie na dźwięk imienia tego w ustach Kościuszki ucho nastawiał i hojne schorzałemu zwycięzcy z pod Raławic obietnice czynił, — przyrzeczenia te taką a nie inną Polskę mieć na celu mogły i musiały.

Musiały—ze względu na osobisty i państwowy Aleksandra I interes:

osobisty, ponieważ zdawna, z r. 1811, z czasów przyspaszania się do niechybnej z Napoleonem I wojny, na przekór memoriałom Ogińskich, Czartoryskich i in., ofiarującym w. ks. Michałowi Pawłowiczowi koronę polską, cesarz pragnął jej dla siebie — dla wypróbowania na Polsce pokutujących w umyśle jego rządów liberalnych;

państwowy, ponieważ w złączonej z Rosyą dawniejszej, w rozciągłości jej całej, Rzeczypospolitej Polskiej, otwierało się szerokie, dla otaczającego tron i będącego podporą onego grona dostojników, działalności państwowej, zaszczytów i dochodów pełne pole.

Grono to stanowiło, w języku dyplomatycznym, ów „naród,“ na który się Aleksander I rad w potrzebie powoływał. Inaczej naród rosyjski w dobie owej głosu nie miał. We względzie tym pomiędzy narodami polskim a rosyjskim ogromna zachodziła różnica. Rosyjski wypowiadał się przez urzędników, przez najwyższą mianowaną władzę; polski wypowiadał się sam przez się, bezpośrednio, zaczynając wynurzanie się duszy swojej w momencie, gdy w kraju, na troje rozczłonkowanym, nikt nikomu nic do rozkazywania, nikt nikogo do mianowania nie miał. W ojczyźnie narodowi zabrakło gruntu pod nogami. Grunt dla siebie na obczyźnie wynalazł i ciągiem jednym od r. 1796 do r. 1814 w sprawie swojej z orężem w ręku przemawiał całym ludności narodowej składem, w większej mierze chłopskim, niż szlacheckim.¹⁾

¹⁾ Szeregi w legionach zapelniały się przeważnie dezertarami z wojsk austriackich, dezercję zaś wywołały nie stosunki włościańskie, lecz bezwiedne

Cóż chłopów do szeregów w legionach pędzić mogło? — nie co innego, tylko wspólność duszy narodowej.

Łatwo więc wyobrazić sobie, jakie na Polaków wrażenie wywarły, po parumiesięcznych targach i przetargach, rezultaty obrad kongresowych. „Zjechało się — powiada Thiers w „Dziejach konsulatu i cesarstwa“ — jakoby dla naprawy krzywd, w rzeczywistości dla podziału łupów.“ Osobliwość zjazdu na tem polegała, że skutkiem uczynionego na początku wniosku, stawiającego Polskę jako głównie pokrzywdzoną, następnie krzywdziciele na pokrzywdzonych się przeistoczyli i wynagrodzeń się domagali. Z domaganiami i pretensjami zwracano się do Aleksandra I, uskarżając się na zbyt dużą dla Polaków czułość, co go niecierpliwić musiało i zniescierpliwilo do tego stopnia, że w połowie grudnia r. 1814 odczytano reorganizującemu się w Warszawie wojsku polskiemu następujący z Wiednia, z podpisem W. Ks. Konstantego, datowany rozkaz dzienny:

„Najjaśniejszy Imperator, potężny wasz protektor, wzywa was, zbierajcie się około orłów waszych i spieszcie się z orężem w rękę na obronę waszej ojczyzny, celem zachowania politycznego jej bytu. Ciż sami wodzowie, którzy od lat dwudziestu prowadzili was zawsze drogą honoru, potrafią jeszcze dziś ją wam ukazać. Piękne czyny wojenne wślawiły was, częstokroć w sprawie ze szczęściem waszem związku nie mającej, dziś więc, gdy usiłowania wasze ojczyźnie poświęcone będą, niezwyciężonymi bezwątpienia będziecie.“

Wyskok ten, rodzaj piorunu w dzień jasny, zaniepokoił kongresowiczów o tyle, że spowodował ze strony ich na rzecz Rosji „jak najdalej idące“ ustępstwa. Ustępstwa te w ten wyraziły się sposób, iż wykrojonym z ciała dawnej Rzeczypospolitej Polskiej szmatem ziemi o kształtach dziwacznych, tytułem Królestwa zaszczyconym, od wylotów na morze odcięty, we względnie ekonomicznym w sobie zamkniętym, we względnie politycznym zniszczonym, obdarzono Aleksandra I. Że jednak przyzwoitość dyplomatyczna wobec państw w Kongresie obok Rosji, Austrii

odczuwanie przez chłopów polskiego duszy polskiej. Odczuwanie to zapełniało szeregi legionów polskich w czasie wojny węgierskiej (1848—49), kiedy kwestya włościańska mocno już rozagitowaną była. Z racji tej niemożliwą pomiędzy szeregowcami z legionów rozmowę włożył Stefan Żeromski w usta chłopskie w utworze, wykazującym jałowość geniuszów polskich w osobie Józefa Sułkowskiego.

i Prus (Anglia, Francya, Szwecya, Hiszpania i Portugalia) uczestniczących, lecz w „podziale łupów“ udziału nie biorących, nie pozwałała na wykwitowanie „interesującej, heroicznej“ Polski niczem, z boku przeto do Królestwa przyszpilono „wolną, niepodległą, ściśle neutralną republikę Wolnego Miasta Krakowa z 23 1/2 milowym obwodem, pod opieką Rosyi, Austrii i Prus.“

Czegóż po wspaniałości dyplomatycznej chcieć można więcej!...

Wspaniałość ta atoli nie zadowoliła Aleksandra I, kiedy zniewoliła go do zakończenia ogłoszonej w Wiedniu 25-go maja r. 1815 odezwy do Polaków wyrazami:

„Polacy! niepodobna było w sposób inny zaopatrzyć waszej narodowej pomyślności.“

Stało się.

Po przyznaniu na Kongresie wiedeńskim prawa nowego dzielenia się Polską, amatorom na „rzecz,“ której „pożądanie“—wedle X-go „Przykazań Bożych“ paragrafu — zakazanem jest, każdy z naruszcycieli paragrafu tego, poczuwając się do potrzeby zawiadomienia nowych poddanych swoich o losie, jaki ich czeka, uważał za właściwe zamknąć odezwę rodzajem obroku duchowego, mniej więcej wyraźnego. Rosya, która słusznie, luboć za szczupło wynagrodzona, jako główna wyzwolenia od Napoleona państw europejskich sprawczyni, lwiał częścią, obrokowi od siebie nadała znaczenie ogólnikowej formuły wzorowej.

„Polacy—przemówiła — poddani państw, traktaty zawierających, mają otrzymać reprezentacje i instytucje narodowe według zasad, jakie każdy rząd, do którego należą, uzna za użyteczne i właściwe dla siebie.“

Było to zabranie dla siebie i wydaniem współnikom „poddanych“ owych na łaskę i niełaskę.

Pełnomocnik pruski, K. A. ks. Hardenberg, formułowy ogólnik ten uwyraźnił jak następuje:

„Jego Królewska Mość będzie się zawsze starał zapewnić Polakom, swoim poddanym, te swobody i korzyści, których się mają prawo spodziewać o tyle, o ile one będą zgodne ze stosunkami jego państwa i głównym celem każdego rządu, t. j. z utrzymaniem jedności onego.“

Obiecująco i najhumanitarniej, z akcentem głaskania po głowach, wyraził się ks. Metternich:

„Jego Cesarska Mość nie przestanie ze swej strony czuwać nad pomyślnością swoich polskich poddanych z tą samą ojcowską troskliwością, z jaką szczęściem wszystkich różnoplemiennych pod-

danych swoich zajmuje się, mając to przekonanie, że szczęście ludów jest rękojnią najpewniejszą spokojności i siły państw; szczęście to zaś zależy od sprawiedliwego uwzględnienia przez rząd tego wszystkiego, czego się domaga duch narodowy i zwyczaj ludu.“

Prześliczny „kawałek“ literacki! Chce się przypuszczać, że przez usta Franciszka I wyrazy te ks. Metternichowi podyktował sam Marek Aureliusz.

Marek Aureliusz mógłby wyrazy te dyktować nie ks. Metternichowi jednak, posługującemu się mową dla „ukrywania myśli.“ W ustach tego ostatniego miały one znaczenie stylowe tylko. Rzeczowo znaczyły co innego. Brzmiała w nich przymówka do Aleksandra I, zdradzającego liberalne, konstytucyjne, w odniesieniu do Polaków, zamiary.

Aleksander I, jako sprawca wyswobodzenia Europy od Napoleona, odegrywał główną na Kongresie rolę; duszą jednak obrad był Metternich, który liberalizmu cesarza Wszechrosyi, mimo zabiegów, całkowicie unicestwić nie mógł. Pełnomocnikowi Austrii pozostawało jeno postarać się o wyznaczenie Aleksandrowi jaknajszuplejszego i jaknajniewdzięczniejszego pola działalności eksperymentalnej. Dzięki przeto nie komu innemu, tylko autorowi wystosowanego stylem Marka Aureliusza do Polaków obroku duchowego, dostało się Rosyi „Priwislinije“ dzisiejsze.

*

*

*

W „Pamiętnikach“ swoich Prądzyński (t. I, str. 16) pisze, że w r. 1815 w jesieni, czy też w r. 1816, w ogrodzie Saskim, skutkiem rozmowy z Klemensem Kołaczkowskim i Gustawem Małachowskim o niepewnym stanie Polski, założonym został związek „Prawdziwych Polaków“; potwierdza to gen. Kl. Kołaczkowski, który po śmierci jego ogłosił r. 1851 w Poznaniu u K. Żupańskiego broszurę p. t. „Biografia gen. Ign. Prądzyńskiego“ i w niej związkowi daje nazwę „Przyjaciół polskich“; prof. Szymon Askenazy w wydanem r. 1908 dziele dwutomowem p. t. „Łukasieński,“ datę onego przenosi domyślnie — jak się zdaje — do r. 1814.

Z dzieła tego warto przytoczyć o związkach tajnych opinię sz. profesora:

„Narody wolne (t. I, str. 183) nie znają związków tajnych we właściwym znaczeniu słowa. To jest klątwa narodów ujarzmionych. To jest trucizna, którą pędem samozachowawczym nieci w sobie samorzutnie ustrój narodowy, toczony chorobą niewoli. Stąd sąd jedynie sprawiedliwy o związkach tajnych. Bywają one wynoszone w czambuł, jako objaw cnoty najwyższej i wyłączna droga zbawienia. Bywają potępiane w powszechności, jako owoc śmiertelnego grzechu i niechybna droga zguby. Są jednym i drugim. Są wynikiem i symptomatem wraz nieuniknionym i niezdrowym pewnych warunków przymusowych a ujemnych. Są wśród takich warunków złem koniecznym, czemś nieraz absolutnie koniecznym, czemś zawsze bardzo złem.“

To prawda — wielka prawda: jest to „czemś zawsze bardzo złem,“ ale zawsze przez kogoś wywołanem i nie zawsze na szkodę się obracającym. Czy nie dzięki temu złu chrystyanizm w ludzkości zatryumfował? Coś i ktoś je zawsze prowokuje i w tem tkwi konieczność, która sprowokowała r. 1816, czy 1815, czy też 1814 do założenia przez Prądyńskięgo i dwóch przyjaciół jego związku tajemnego, mającego na celu „bronienie narodowości polskiej od zagrażającej jej zagłady.“¹⁾

Cel ten niewinny i wyłącznie kulturalny związku utrzymałby się niezawodnie nadal, gdyby nie wytknięcie przez Metternicha Świętemu Przymierzu celu: tępienia ducha rewolucyjnego, mogącego, jeżeli nie zmuszonego, gnieździć się nie gdzieindziej, tylko w udobrodziejstwowanem przez Aleksandra I a duchem tem prześlakłem Królestwie. Dowodem na to są wynurzające się raz po raz z archiwów i w pismach czasowych ogłaszane, krzyżujące się ustawicznie w ciągu lat piętnastu przed r. 1830 pomiędzy Berlinem a Warszawą, Wiedniem i Lwowem a Warszawą donosy urzędowe, zawiadamiające o działalności spiskowej i o biorących w niej udział osobistościach. Zrazu przysługi te sąsiedzkie Berlin Warszawie a Warszawa Berlinowi oddawały częściej. Pochodziło to stąd, że Prusy, rozwiązawszy założony przez rząd Tugendbund i cofnąwszy wszystkie poczynione ludowi przed r. 1814 obietnice i przyrzeczenia wolnościowe, zapoczątkowały w sposób ten tępienie rewolucjonizmu. Tępienie to wydało owoc pod postacią morderstwa, dokonanego r. 1819 przez Sanda, studenta uniwersytetu jenańskiego, na osobie A. F. F. Kotzebue'go, dramatopisarza i urzęd-

¹⁾ „Biografia gen. I. Prądzyńskiego“ przez K. Kołaczka, str. 12.

nika rosyjskiego. Zabójstwo to i egzekucya mordercy wielkie a dwój-
jakie wywarły wrażenie, wywołując w sferach górnych spotęgo-
wanie reakcyi, w dolnych zaś wzmożenie objawów rewolucyjnych,
do których, dzięki nastrojowi, jaki Św. Przymierzu interesujący
się żywo Polską ks. Metternich nadał, zaliczono polonogenizm.
Wedle nastroju tego Polacy, w mniemaniu sfer miarodajnych, już
tem samem, że o sobie i o doli własnej myśleć niekiedy muszą,
rewolucyonistami się rodzą. Szło zatem o wykazanie niebezpie-
czeństwa, wynikającego z utworzenia wśród państw samowład-
nych samorządneho, konstytucyjnego półpaństwka, skazanego
z góry, z konieczności rzeczy na pielęgnowanie i rozdmuchiwanie
dookoła zaczynów rewolucyjnych.

Aleksander I, obdarzony od natury skłonnościami humanitar-
nemi, przejęty jeszcze od młodości przez Laharpa ideami uszczę-
śliwiania przez trony ludzkości, od r. zaś 1811 zajęty myślą po-
zyskania Polaków dla skojarzenia Polski z Rosją węzłem braters-
kim, nie dowierzał zrazu tyczącym się Polski kongresowej a ze
strony austriackiej i pruskiej pochodzącym ostrzeżeniom.

Wszelako—„gdzie jest dym, tam należy ogień podejrzewać.“

Przypuszczalnem... ba — pewnem jest, że przestrogi, poparte
uwagami, wskazówkami i przedstawieniami duchownych, cywilnych
i wojskowych dostojników cesarstwa, jako też memoryałami i upo-
minaniami mężów stanu tego rodzaju, co Korsykanin, Pozzo di
Borgo, spowodowały obniżenie się w cesarzu rosyjskim ufności
do Polaków. Okazało się to w Wiedniu już w sposobie przyjmowa-
nia przedstawień ks. Czartoryskiego i Kościuszki. Kościuszko
rozgoryczony do Szwajcaryi odjechał. Ks. Czartoryski pozos-
tał i przyjął od cesarza polecenie przewodniczenia komisji, ukła-
dającej konstytucyę dla Królestwa w przeświadczeniu, że co się
popsuło w Wiedniu, to się z czasem, za pomocą taktu i cierpli-
wości, naprawić da w Warszawie.

Przeświadczenie to sprawdziłoby się może, gdyby nie zwięk-
szająca się w Aleksandrze I stopniowo, zasilana rewolucyjnemi
w Niemczech, we Włoszech, we Francyi, w Hiszpanii objawami,
troska o niewpuszczenie ducha przewrotu do Polski. Sposobu na
to nie widział w czem innem, jeno w powierzeniu nad tą udobrod-
ziejstwowaną przez siebie krainą dozoru komuś, coby dozorowa-
nia w tym rodzaju podjął się z dobrą wolą i z przekonaniem.

Któżby się na to nadawał lepiej, jeżeli nie młodszy cesarza
brat, następcą tronu, rozmiłowany w bracie starszym i duszą całą
rewolucyonizmu i spraw jego nienawidzący—Wielki Książę Kon-
stanty Pawłowicz?..

Natura obdarzyła Konstantyna Pawłowicza zaletami i wadami, z których się średnia proporcjonalna wykalkulować nie dawała. Zalety objawiały się dorywczo, w rozmowach niekiedy, pozwalając domyślać się podniecania, poczuciem sprawiedliwości zaprawnego, pozatem wielbił brata starszego nie tylko jako brata, ale jako władcę i pana i kochał żonę; wady zaś stanowiły grunt charakteru podejrzliwego, mściwego, despotycznego, porywczego, zależnego od humoru i fantazyi i w stosunku do podwładnych, czy to wojskowych, czy też z cywilnych sfer, nie uznającego we względzie ani etycznym, ani przywoitościowym hamulca żadnego. Aleksander I znał brata temperament, ponieważ uznawał go na tronie niemożliwym, przypuszczać więc należy, iż go na wszechwładnego dozorcę kawalka Polski konstytucyjnej w tem przeznaczył przekonaniu, iż on z niej ducha rewolucyjnego, gdyby się kiedy zjawić miał, samą obecnością swoją wystraszy.

Przekonanie to — jeżeli Aleksander I niem się w razie tym powodował — nie sprawdziło się. Konstantyn Pawłowicz ducha rewolucyjnego nie wystraszył, lecz go przywołał wedle tej reguły, którą prof. Sz. Askenazy, dopatrył w powodach, wywołujących związki tajne — jako one, zdaniem profesora: „Są wynikiem i symptomatem wraz nieuniknionym i niezdrowym pewnych warunków przymusowych a ujemnych. Są wśród takich warunków złem koniecznym, czemś nieraz absolutnie koniecznym, czemś zawsze bardzo złem.“ Równocześnie z objęciem przez W. Księcia władzy dozorczej nieograniczonej, zawiązane zostało za inicjatywą Ignacego Prądyńskiego, przez trzech ludzi młodych, sprzyśżenie, mające na celu obronę narodowości polskiej, zagrożonej, wedle ich przekonania, przez „takiego wodza naczelnego“ („Pamiętniki,“ t. I, str. 16). Nb., wśród tych trzech ludzi młodych Gustaw Małachowski tylko, unoszący się nad Tugendbundem, okazywał skłonności iście konspiracyjne. Prądyńskiego zaś i Kołczkowskiego na drogę tę — jak się później dowodnie pokaże — wepchnęła zaznaczona przez prof. S. A. „konieczność.“

Konieczność ta zawiązek trójosobowy przeniosła na pole szersze, do Wielkopolski, zabranej, skutkiem nowego podziału kraju polskiego, przez Prusy, w której się on w organizację pod nazwą „Kosynierów“ rozwinął i w organizację warszawską, pod nazwą „Wolnomularzy Narodowych,“ z czasem w jedno złął. Do Kosynierów, przez cały ciąg pracy około prostowania granicy pomiędzy Królestwem a W. Ks. Poznańskim, Prądyński należał i nawet ich skutecznie, jako sam Wielkopolanin, popierał póty, póki nie dostrzegł wprowadzonego do organizacji przez generała

Umińskiego lekceważenia obowiązków związkowych; z Wolnomularstwem zaś, zrażony formalizmem bezcelowym i urzędomością, w luźnych pozostawał stosunkach. Nie osłoniło go to od podejrzeń. Po ukończeniu pracy demarkacyjnej i uzyskaniu za nią uznania władzy najwyższej, przykomenderowanym został w stopniu podpułkownika od inżynierii do pozostającego pod dowództwem gen. Hauke kwatremistrzostwa.

Działo się to w r. 1823, kiedy, skutkiem długich i gorliwych policyi tajnej poszukiwań, dogrzebano się w Królestwie i na Litwie, w szeregach wojskowych i pod ławami szkolnemi, związków tajnych zakazanych, które przed kilkoma laty ani tajnymi, ani zakazanymi nie były. Los taki w Niemczech spotkał Tugendbund, w Polsce Wolnemularstwo i wszelakie wśród młodzieży naukowe i literackie stowarzyszenia. Prądyński natknął się w Warszawie na wytoczenie procesu Łukasińskiemu, Machnickiemu, Dobrogojskiemu i in., do którego i sam o mało wplątany nie został, od którego jednak padł na niego cień pod postacią nieopuszczającego osoby jego dozoru policyjnego, przysłuchującego się mu, gdy na polecenie władzy wyższej wykładał młodym oficerom taktykę, strategię i fortyfikację, śledzącego tajemnie myśli jego w pisanych przezeń kursach a nawet w nakreślonym dla W. Księcia specjalnie, na jego żądanie, planie możliwej z Austryą wojny.

Dozór ów nie opuścił go, gdy we dwa lata później opuścił Warszawę dla kanału Augustowskiego. Budowa tej komunikacji wodnej, zaproponowanej przez Lubeckiego, celem wyzwolenia handlu Królestwa od zależności od transitu pruskiego, pochłonęła go całkowicie, odrywając od wszelakiego rodzaju i gatunku politycznych spisków i związków, od naukowych stowarzyszeń i pozwalając mu zbudować w Augustowie dom, dla zamieszkania w nim z upatrzoną z góry i umiłowaną towarzyszką życia w osobie panny Emilii Rudkowskiej. W duszy więc Ignacego Prądyńskiego, poza wszystkim, z czem się ona od r. 1806 w Poznaniu do roku 1824 w Augustowie wywnętrzyła, ukazał się zaczyn na obywatela spokoj miłującego, na filistra, zasługującego z punktu widzenia nowoczesnego, na nazwę burżuja. I byłby nim pozostał, gdyby na to okoliczności, podszyte potęgującą się z dniem każdym zawziętością w tępieniu ducha rewolucyjnego, pozwoliły.

Nie długo też cieszył się życiem we dwoje i nadzieją przyszłości spokojnej. Nie upłynęło lat dwóch, gdy go niespodzianie powołano do Warszawy dla postawienia przed obliczem Wielkiego Księcia, który go przyjął jaknajprzejmiej w tem przekonaniu, że

mu pomoże w dokonaniu wielkiego dzieła: oczyszczenia ze zbrodniarzy szeregów wojskowych polskich i społeczeństwa polskiego.

Dotyczyło to wielkiego procesu politycznego w sprawie znanej pod nazwą „Spisku Decembrzystów,“ zawiązanego przez oficerów w armii rosyjskiej a mającego na celu zaprowadzenie w Rosji konstytucyi. Śmierć Aleksandra I w Taganrogu r. 1825 i niepewność, co do następstwa tronu, wydała się spiskowcom dobrą dla uskutecznienia zamiarów ich okazyą. Była to sprawa czysto rosyjska. Polacy pojedynczo wiedzieli o niej; ale ani pojedynczo ani kollegialnie udziału czynnego nie brali.¹⁾ Nie stanowiło to w oczach faktycznego wielkorządcy Polski kongresowej, będącego oraz wodzem naczelnym wojsk polskich i korpusu litewskiego (w którym w czasie owym dokonał się na Ukrainie wojskowy wybuch powstańczy doraźnie poskromiony), okoliczności dla nich łagodzącej. Nienawiść rewolucyi, podsycana przez pamiętnego w porozbiorowych dziejach Polski M. M. hr. Nowosilcowa (opinię o nim, jako o posiadającym „słabość do napojów gorących,“ czytaj na str. 14 i nast. w tłóm. na polskie i wydanem w Warszawie r. 1890 dziele A. K. Puzyrewskiego p. t. „Wojna polsko-ruska 1831 r.“), zaślepiła go do tego stopnia, że cień onej wywoływał w nim gorliwość śledczą z niczem nie zrównaną. Ponieważ Prądzynski należał do podejrzanych politycznie i wielce uzdolnionych w pełnieniu funkcji, zapewniających ludziom znaczenie i dostatki, których zadatkem na przyszłość było dla niego pozwalające mu już zadomowić się i ożenić stanowisko, zajęte przezeń przy kanale w Augustowie, mogło wydawać się przeto stróżom porządku i bezpieczeństwa publicznego, że względ na karierę własną i na przyszłość rodziny uczynić go powinien przydatnym w pomaganiu do oczyszczania szeregów wojskowych i społeczeństwa polskiego. Łaskawe i serdecznością nacechowane rzeczy tej drażliwej przedstawienie zmieszało go. Poznał niebezpieczeństwo. Biegłość w dochodzeniach indagacyjnych nie pozwalała na razie na zbyt znaczne naciąganie struny. W. Ks. nie nalegał. Zalecił mu z Haukiem pomówić, namysleć się i rezultat namyslenia się sobie na piśmie przedstawić. Pomówienie z Haukiem, wsławionym obroną Zamocścia, a od r. 1815 należącym do generałów, zaszczyconych szczególnymi, na równi z Roźnieckim, Kurnatowskim, Wincentym Krasieńskim i kilku innymi generałami polskimi, W. Ks. względą-

¹⁾ Jeden ze stryjów moich pełnił przy Pestelu funkcję adjutanta pułkowego i o spisku nie wiedział.

mi, nie wyszło mu na dobre. Hauke, znający jego wartość w odniesieniu do prac fachowych i sprzyjający mu, układał z nim razem memoryał w tym sensie, ażeby sumienie jego oszczędził i W. Ks. zadowolił. Zredagowanie w ten sposób aktu nie powiodło się. Znalazły się w nim omawiania i niedomawiania, świadczące o potrzebie więcej czasu do rozwagi, wymagającej wyzwolenia umysłu od dystrakcyj, nieuniknionych przy budowaniu kanału i pełnieniu obowiązków życia prywatnego. Dano mu więc na to czasu lat trzy bez mała w odosobnieniu u Karmelitów.

U Karmelitów zrazu do samobójstwa się przysposobił i od ratowany nauczył się ze współwięźniami za pomocą pukania porozumiewać, co mu rozrywkę sprawiało. Od czasu do czasu dochodziły go insynuacje, jako odzyskanie wolności od niego samego zależy. Nie chciał, czy nie umiał tego rozumieć, jak rozumiał Maurycy Mochnecki, który odzyskanie wolności odsłużył w biurze cenzury, pod dyрекcją Józefa Kalasantego Szaniawskiego. We względzie tym duszę w czystości uchował, zapobiedz jednak nie zdołał dręczeniu ciała przez cierpienia moralne, gorsze od fizycznych, doznanych w odwróceniu od Berezyny, spowodowywane bowiem tęsknotą i troską o los kobiety ukochanej, od której go przemocą oderwano. Żona naturalnie przeniosła się do Warszawy na mieszkanie i z nim się bardzo rzadko listownie komunikować mogła. Potęgowało to cierpienia i jej i jego, wywierając na tyżącą się odzyskania wolności insynuację nacisk, nie oddziaływający ani na niego, ani na nią, pomimo, że postarano się, aby insynuacja i do jej doszła wiadomości. Kobiety nasze umieją szczęście własne od czci uzależniać. Moralnie przeto cierpieli oboje: ona na swobodzie, unikająca towarzystwa i licząca na zmiłowanie Boże, on w celi, pod kluczem, powoływany do badania bardzo rzadko — dla pozostawienia mu dużo do namyślenia się (?) czasu.

Tak tej młodej parze upływały lata: 1826, 1827, 1828 i 1829 — tego ostatniego ćwierć tylko, do dnia 25 marca.

W ciągu trzech lat poprzednich, od r. 1826 zaczynając, toczył się proces (będący właściwie ciągiem dalszym zakończonęgo r. 1824 procesu pod firmą Łukasińskiego), zapoczątkowany aresztowaniem podpułkownika gwardyi Seweryna Krzyżanowskiego, kasztelana Stanisława Sołtyka, referendarzy: Grzymały, Plichty i wielu, wielu innych, poddanych nietylko rosyjskich, ale austriackich i pruskich, wydawanych na mocy głównęgo zadania Św. Przymierza przez Austryę i Prusy na żądanie z Warszawy. Pragnieniem W. Ks. było ujęcie procesu tego w rany wojenne na wzór i podobieństwo sprawy Łukasińskiego. Ścisły wszelako pra-

wowitości przestrzegacz, Mikołaj I, sprawę tę do osądzenia Senatowi, jak konstytucya Polsce nadana chciała, powierzyć kazał. Senat, jak wiadomo, z zadania tego wywiązał się ku jaknajwiększemu W. Ks. i Cesarza niezadowoleniu, znajdując, że głównie oskarżeni dopuścili się nie zbrodni, lecz „wykroczenia,“ zasługującego nie na śmierć, ale na więzienie (trzyletnie dla jednego Krzyżanowskiego, kilkumiesięczne dla trzech innych). Wszyscy zresztą podsądni jedni po trzech, drudzy po dwuletniem, inni po rocznem lub paromiesięcznem w więzieniu przebywaniu, za niewinnych uznani, wolność odzyskali. Wyrok ten i Prądyński objął. On atoli, za nienamysłenie się zapewne, dłużej nieco, niż koledzy jego, w więzieniu przesiedział. Odzyskaniu wolności przezeń towarzyszył rozkaz powrotu do Augustowa dla kończenia robót kanałowych.

Skutkiem tych doświadczeń życiowych, obejmujących wojny 1807, 1809, 1812—13 i trzyletnie z górą więzienie, „postanowił—jak świadczy biograf jego, gen. Klemens Kołaczkowski (str. 16)—porzucić na zawsze stan wojskowy i zwrócić się do gospodarstwa wiejskiego.“

Nie sądzonem mu to było. Jako mąż i ojciec zaznał szczęścia rodzinnego rok przed uwięzieniem i miesięcy dwadzieścia po odzyskaniu wolności. Dla utrzymania się przy niem nie powinien był radzić się duszy własnej, uzależnionej od podłoża psychologicznego duszy narodowej.

Życie w Augustowie lubo, słodko i w porządku zegarkowym mu płynęło obok żony kochającej i kochanej, dzieci zdrowo podrastających i współpracowników umysłowo wykształconych, z którymi obcowanie niebezużytecznie dla wiedzy i myśli chwile wytchnień po pracy zabierało. Polityką—jak Prądyński w „Pamiętnikach“ zaznacza—miernie się interesowano. Najbardziej obchodziła ona Prądyńskiego, pilnego polskich i zagranicznych gazet czytelnika. Do niego też najpierwszego doszła w pierwszych dniach miesiąca grudnia r. 1830 wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie. Przeraziła ona Niemca, jednego ze współpracowników jego. Przez niego zaś i przez Polaków przyjętą została z takim uczuciem, jakie wzbudza wołający o ratunek widok wybuchłego niespodzianie pożaru. Zapominając o powziętem, po opuszczeniu celi u Karmelitów, postanowieniu, zwrócił się przede wszystkim do rady wojewódzkiej, wskazując jej potrzebę organizowania corychlej gieryłasów i, rozstając się z żoną i z dziećmi, pospieszył—poczuwając się do szerszych niż domowe obowiązki rodzinnych—do Warszawy dla powzięcia języka, dla zamel-

dowania się władzy, jako członek korpusu kwatermistrzostwa w stopniu podpułkownika, z myślą o potrzebie—gdyby do wojny przyjść miało—organizowania kadr bądź dla partyzantki na wzór guerilli hiszpańskiej, bądź dla wojsk pomocniczych na podobieństwo kozaków rosyjskich.

Z myślą tą do Warszawy wjeżdżając i do hotelu podążając, natknął się na zawalenie ulicy przed kościołem Ś-to Krzyskim przez karety i pojazdy towarzystwa wyższego. Bryczka jego zatrzymać się musiała i on, wyskoczywszy z niej, z łatwością się dowiedział, że zjazd ten do kościoła jest ostatnią usługą, oddawaną Stanisławowi Potockiemu. W Augustowie o śmierci jego wiedział i bolał nad nią. To go ku wnijściu do świątyni pociągnęło. Gdy się ku niej zbliżył, usłyszał głośne nazwiska swego wywoływanie:

— Prądyński!... Ignacy!... Prądyński!...

Stanął, zwracając się ku stronie, z której wołania pochodziły. W chwili tej podbiegło do niego kilku znanych mu oficerów wykrzykujących:

— A dobrze!... To szczęście!... Będziesz czytał!...

Chodziło o mowę pogrzebową. Odczytać ją miał gen. Szembek — wymówił się jednak i nie było komu wyręczyć go. Kilku oficerom, co z kościoła wybiegli, celem wyszukania wyręczyciela, nastreczył się niespodzianie wjeżdżający do stolicy Prądyński. Ten wymówić się nie mógł od wygłoszenia pochwał na cześć przeciwnika powstania—tego powstania, któremu sam życie własne niósł w ofierze. Kto inny na miejscu Prądyńskiego niespodziankę tę za zły wziąłby prognostyk.

III.

Prądyński o prognostykach ani pomyślał zapewne. O czem niezawodnie myślał, to: o zameldowaniu się wodzowi naczelnemu, pod którego rozkazami, jako zaliczający się do korpusu kwatermistrzów, pozostawał.

Z niezwykłym zapasem umysłowym, uzbieranym sumptem własnym i skojarzonym z uczuciem, które w sercu męża, liczącego lat 38 życia, pałało tym samym, co w sercu dzieciaka czternastoletniego żarem, przystąpił do działalności na polu walki orężnej Dawida z Goljatem, utrudnianej mu przez dźwigających za nią odpowiedzialność przed narodem i dziejami, wodzów. Nastąpiło to w mo-

mencie, gdy dowództwo naczelne ująwszy w ręce niedołążne Michał ks. Radziwiłł, przywołał go z wygnania, na jakie przez Chłopickiego dyktatora za to, że mu wojnę planował, skazanym był.

Dziwnem—dziwaczem raczej—stało się od razu stanowisko jego. Dowództwo naczelne Radziwiłł przyjął pod warunkiem, że będzie wykonawcą rad Chłopickiego, który się do udzielania ich zobowiązał, ale obowiązek pełnił kapryśnie. Prądczyński pośredniczył pomiędzy jednym a drugim, pośrednictwo zaś jego odnosiło się nie do kampanii, upragnionej przez narodową opinię publiczną, lecz do jednej bitwy walnej, do tej bitwy, na której dyktator, nazywając ją „wykropieniem się pod Warszawą,“ poprzestać zamierzał, gdyby wojna nieuniknioną się okazała. O nią też tylko chodziło, na stoczenie jej całą kilkotygodniową działalność swoją dyktatorialną Chłopicki zredukował.

I dopiął swego—po swojemu: kaprysząc do momentu ostatniego. Prądczyński pełnił służbę istnie krzyżową, przebiegając, niby po cierniach, od wodza nominalnego, *de jure*, do wodza *quasi de facto*, do dowództwa się nieprzyznającego. Wodzowie jeden i drugi w Warszawie kwaterowali, póki im wieść o ściąganiu korpusów armii rosyjskiej pod dowództwem feldmarszałka Dybicza na Litwie i szykowaniu się onych ku przekroczeniu granicy Królestwa, nie nakazała kwaterę główną przenieść na prawy brzeg Wisły. Zajmował ją Radziwiłł i od niego *de jure* wychodziły pisane przez Prądczyńskiego rozkazy, dawane *de facto* przez Chłopickiego, których, gdy po nie kwatermistrz generalny przychodził, dawać nie chciał.

— Czego wy odemnie chcecie!... Ja nie wódz!...—odpowiadał raz gniewnie, znów opryskliwie. Wodzem Radziwiłł... Idź do Radziwiłła!...

Prądczyński, ażeby rozkazom urzędową nadać cechę, uciekał się do wybiegów. Osnowę rozkazów przedstawiał Radziwiłłowi; ten go odsyłał do Chłopickiego; Chłopicki zaś, po wysłuchaniu przedstawienia, odpierał:

— Dobrze... dobrze... Co mi do tego!... To rzecz wasza!... Ja nie wódz!...

Na podstawie takiej odpowiedzi Prądczyński uzyskiwał podpis Radziwiłła i, dzięki wybiegowi temu, dokonały się czynności wstępne, poprzedzające bitwę pod Grochowem—czynności, do których zaliczyć należy rekonesansową wyprawę Dwernickiego z lewego na prawy brzeg Wisły, uwieńczoną zwycięstwem pod Stoczkiem, jako też uszykowanie wojsk polskich do boju, który dla wodza armii rosyjskiej stał się zwycięstwem Pyrrusa.

Mogło mieć ono inne, niż miało następstwa, gdyby zła dola Polski nie dała jej po Radziwiłł wodza naczelnego, któremu się nie należała buława hetmańska.

Nim to na Ojczyznę Prądzynskiego nieszczęście spadło, Prądzynski wiedział, Radziwiłł wiedział, nie było w Warszawie nikogo, coby nie wiedział, że w oczach stolicy, na gruntach klasycznych rozprawy orężnej, upamiętnionej zdobyciem Pragi przez Suworowa, odbędzie się pojedynek armii polskiej z armią rosyjską, nazwą „kropienia się“ przez dyktatora z góry ochrzczony. Prądzynski do momentu ostatniego, wyczekawszy aż potyczka pod Dobrem, dla Skrzyneckiego zaszczytna, bój rozstrzygający zapowiedziała, pełnił gorliwie funkcję „posyłki“ pomiędzy wodzami *de jure* i *de facto*, posyłki, szykującej nazwane korpusami dywizye polskie, posyłki wyznaczającej dla nich zadania komplikowane, odpowiadające użyciom broni palnych i siecznych, piechoty, artylerji i jazdy. Wszystkie te kroki przedwstępne obmyślane, uprawomocniane i dokonywane przez „posyłkę“ były.

I gdy do zwania się i zmagania wojsk przeciwnych przyszło, Prądzynski zwrócił się do Chłopickiego:

— Generale — zaatakował go — pora już przestać bawić się w obwijanie rzeczy w bawełnę...

— No... i co?... — odparł tonem łagodnym.

— Książę Radziwiłł nie umie, nie może rozkazywać, gdy spełnianie rozkazów wymaga nieraz nie kilkugodzinnego, lecz mgnięniocznego czasu...

— Więc?...

— Musisz dowództwo naczelne wziąć w ręce swoje!...—podchwycił Prądzynski tonem rozkazu.

Chłopicki rozkazu tego posłuchał. W dwudniowej (19 i 20 lutego) pod Wawrem bitwie udział wziął i w bitwie pod Grochowem dowodził, prowadząc w momentach trudnych osobiście kolumny w ogień. W „Pamiętnikach“ swoich Prądzynski z zachwytem o zachowywaniu się jego w ogniu mówi. Postawa Chłopickiego, zwyczajnie imponująca, w ulewie kul karabinowych, w huku wystrzałów działowych, pod pękaniem nad głową granatów, w ptasim świegocie kartaczów, żywiołowo rosła, olbrzymiała, dawała z siebie wzór lekceważenia pocisków, roznoszących śmierć i kalectwo. Wydawało się, że z nim na czele żołnierze ginąć mogą, lecz dać się pokonać nie mogą.

Prądzynski go nie odstępował. Zadanie jego polegało na zwracaniu uwagi Chłopickiego na zachodzące na teatrze walki falowania bojowe. W momentach ważniejszych wódz go wysyłał,

gdy dany rozkaz specjalnego dopilnowania wymagał. Zdarzyło się to, gdy koniecznem się stało użycie jazdy i wyprawieni w celu tym do Łubieńskiego adjutanci powrócili z odmową, daną pod pretekstem, że rozkaz nie od prawowitego wodza naczelnego pochodzi. Odmowa ta zmusiła Chłopickiego do udania się, po uzyskanie rozkazu formalnego, samemu z kwatery w Grochowie do odległego o wiorst parę Słupa Żelaznego, gdzie Rądziwiłł, przysłuchujący się bojowi, miał swoją kwaterę główną. Powracając stamtąd, w oczach Prądzyńskiego i sztabowców, skutkiem pęknięcia granatu we wnętrzościach konia, na którym siedział, znikł nagle w kłębach dymu, z którego wyszedł ranny w nogi obie. Nie pozbawiło go to jednak przytomności umysłu... W drodze do Pragi, towarzyszącemu mu czas jakiś Prądzyńskiemu—jak świadczy gen. A. K. Puzyrewski („Wojna polsko-ruska 1831 r.“ str. 12 w tłóm. na polskie, wyd. nakł. M. Orgelbranda w Warszawie r. 1899) — dawał wskazówki do ciągu dalszego, mającego się już ku końcowi, boju. Z zalet bojowych nie brakło mu ani jednej— bojowych atoli wyłącznie. Zdaniem Prądzyńskiego, powtórzonem w „Pamiętniku“ jego razy kilka, Chłopicki Polakiem nie był wcale. Karyera wojskowa stłumiła w nim poczucie narodowe i zrobiła z niego rzemieślnika kosmopolitycznego, niesięgającego umysłem poza szranki bitewne. Formalizm służbowy stawia go na równi z Łubieńskim, odwagą zaś nie przewyższa znanych mi *de visu* w zasypywanym kulami ogniu bojowym Henryka Dębińskiego i Józefa Bema. Dla charakterystyki Chłopickiego powtórzę wedle opowiadania autora „Pamiętników“ anegdotę prawdziwą, odnoszącą się do bitwy Grochowskiej.

W ciągu przymusowego od 21 do 25 lutego zawieszenia broni pomiędzy armiami polską a rosyjską, stojącemi jedna przeciw drugiej na odległość owoczesnego strzału działowego, w pogotowiu na pierwsze zawołanie do rozprawiania się orężnie, kwatermistrza generalnego ciągnęła ciekawość do obserwowania naczynnie stanowisk i ruchów w obozach rosyjskich. Zaspokajac ją w dniu każdym zaczynał przed świtem, przekraczając nierzadko łańcuchy sztyldwachów polskich. Jednego poranku zeszedł się z gen. Rybińskim i, we dwóch spostrzeżenia czyniac, dopatrzyli słaby w stanowiskach rosyjskich punkt, nadajacy się do sprawienia feldmarszałkowi niespodzianki, zapewniającej powodzenie orężowi polskiemu.

— Trzeba o tem Chłopickiego zawiadomic... — odezwał się jeden z nich.

Zgodzili się na to i Prądzyński wezwał Rybińskiego:

— Chodźmy...

— Z jakiegoż tytułu ja iść bym miał?... — tonem objekcyi odrzekł Rybiński.

— Z tytułu świadka wspólnego spostrzeżenia naszego, z którego ja sprawę zdać winienem.

Mimo wczesnego poranku, przed kwaterą Chłopickiego pełno już było koni osiodłanych, znamionujących u wodza *de facto* obecność adjutantów i posyłek przybyłych z raportami i po rozkazy. Prądzyńskiego z towarzyszem, jak skoro próg przestąpili, zoczył i, do tego ostatniego się zwracając, surowo zapytał:

— A to co!... Po coś pan tu?...

Rybiński zmieszany zląkł się, języka w gębie zapomniał i ku progowi się cofnął.

— Sztabowiec może mieć coś wodzowi naczelnemu do powiedzenia, ale jacyś Rybińscy niezameldowani wchodzić do niego prawa nie mają!...

Rybiński za progiem już był.

Szkoła napoleońska wydała formalistów samouków, kształtujących się na modłę maryonetkową. Samoukiem tego rodzaju był Chłopicki. Wynosili z niej ludzie korzyść tacy jednak, których natura obdarzyła zaczynem twórczości samodzielnej. Zaczyn ów w duszy Prądzyński posiadał, przygnieciony atoli formalizmem, który mu w momentach wyroczych na przeszkodzie stawał.

Moment taki dla niego nadszedł niebawem.

Nazajutrz po bitwie grochowskiej, zakończonej fatalnie dla celów feldmarszałka chybnym atakiem kirysierów — korzystnie zaś dla armii polskiej, bo ze stratą dwóch dział tylko i garstki niewolników, wycofaniem się przed północą z pola bitwy z artylerją, pociągami i wszelakimi impedymentami, przez wązki most jeden do Warszawy, zabezpieczonej od zapędów nieprzyjacielskich przez obsadzenie, zaopatrzonego dostatecznie w artylerję szanica przedmostowego w Pradze, brygadą Kazimierza Małachowskiego.

Po dokonaniu tego wycofania się — dzięki dozorowi Prądzyńskiego — pomyślnego, Rząd Narodowy nacisnęła troska: „Cóż dalej?...”

Zapytanie to trojaką nasuwało odpowiedź: albo kapitulować z góry, celem uzyskania względów zwycięzcy, albo czekać z ofiarowaniem kapitulacyi na początek bombardowania miasta, albo przenieść rząd do Miechowa, odprowadzić wybór wojska w góry S-to Krzyskie, ufortyfikować je i, zaopatrzwszy się w amunicję i żywność dostatecznie, bronić się w nich bądź dlatego, aby zginąć z honorem, bądź dla uzyskania przy kapitulowaniu warunków

godziwych. Autorem tej trzeciej na zapytanie: „Cóż dalej?“ odpowiedzi był Skrzynecki, gdy po skandalicznym z pośród generałów wybraniu najnieodolniejszego na wodza naczelnego, jemu się buława hetmańska dostała i z nią w perspektywie, skutkiem „kapitulacji godziwej,“ stanowisko Zajęczka w rządzie, z pensją 200,000 złp. rocznie, przy orderze wojskowego krzyża komandorskiego. Pensję wytargował, co do orderu jednak obiecano mu go, po odniesieniu przezeń zwycięstwa w pierwszej bitwie walnej. Rozpoczął więc swoją działalność hetmańską od wyzwania wodza armii rosyjskiej na... układy.

Feldmarszałek układał się i plan kampanii dalszej zmieniał—zmieniał nie dla układów, lecz dla trudności, połączonych ze zdobywaniem Warszawy od strony Pragi. Zdobycie Warszawy stanowiło zadanie wojny, wskazane Dybiczowi w Petersburgu. Że zaś nie znalazło na prawym brzegu Wisły d. 25 lutego rozwiązania, więc przeprowadzić należało w marcu armię na brzeg przeciwny. Czynność ta całkowicie feldmarszałka zajęła. Wybrawszy punkt na przeprawę u ujścia rzeki Wieprza, w Tyrzynie i założywszy kwaterę główną w Rykach, rozlokował na lewym brzegu Wieprza korpusy swoje w taki sposób, ażeby koncentracyjnie ku punktowi przeprawy ciężyły, pozostawiając w półkolu bugowem, ogniskującym się w Siedlcach, celem obserwowania Pragi, baczenia na gościńce brzeski i kowieński, którym przyszedł korpus grenadyerski, a ciągnął gwardyjski i ubezpieczenia magazynów, znajdujących się w Siedlcach i Brześciu, nieliczny, pod wodzą Rozena, korpus szósty, litewskim zwany. Do rozporządzeń, odnoszących się do przeprawy, feldmarszałka należało jeszcze maskowanie punktu głównego za pomocą przepraw fałszywych, urządzonych w punktach dziewięciu, zaczynając od Karczewa w pobliżu Warszawy, kończąc na Józefowie na granicy galicyjskiej.

Czyniąc rozporządzenia, rozdzielające korpusy i oddalające je od Siedlec, liczył na to, że Polacy, „wykropieni“ pod Grochowem, nie odważą się na zaczepne przeciw niemu kroki *via* Praga. Nie mylił się we względzie tym, znając z opowiadań oficerów rosyjskich, służących w Warszawie w gwardii W. Ks., przeciwnika swego, naczelnego wojsk polskich wodza, eks-pułkownika 8-go pułku piechoty, Jana Skrzyneckiego. W. Ks. mawiał o nim, że: „Skrzynecki wie o wszystkim, co piszą francuskie i angielskie gazety, ale nie wie o tem, co się w pułku jego dzieje.“ Świadczy to, że go bardziej zajmowała dyplomacya aniżeli sztuka wojenna. Tak było w rzeczy samej. Trudno zrozumieć obłąd,

jaki opanował Rząd Narodowy, gdy władzę królewską — wódz naczelny był bowiem *eo ipso* członkiem rządu—powierzał człowiekowi znającemu się wybornie na kuchni, a przytem próżnemu, próżniakowi, wygodnisiowi, osobiście odważnemu, pokaznemu, grzecznemu, nabożnemu, umiejącemu sobie dać radę regulaminową z pułkiem, z brygadą piechoty, lecz nieumiejącemu zestosunkować odpowiednio trzech broni na polu bitwy, tem mniej kierować wojskami na teatrze wojny. Liczyć więc na kroki zaczepne ze strony człowieka takiego w żaden sposób nie można było, tem bardziej, że na stanowisku naczelnym opanowały go: uparte unikanie zaczepności, mogące drażnić wodzów rosyjskich i zazdrość budzić wobec podwładnych, posiadających większą niż on znajomość rzeczy.

Charakteryzują go trzy sceny, zaszłe pomiędzy nim a Prądzynskim — sceny, obnażające, że tak się wyrażę, dusze jednego i drugiego.

W drugiej połowie marca Prądzynski, śledząc ruchy korpusów rosyjskich na teatrze wojny, odkrywał pole działania zaczepnego, rokującego korzyści, mogące wpływ rozstrzygający na wojnę wywrzeć. Zwracał na to uwagę wodza naczelnego; ten uwagi łaskawie przyjmował, lecz z nich nie korzystał, uwzględniając wskazówki szefa sztabu, którym był Wojciech Chrzanowski i rozdabiając siły polskie na obserwowanie wzdłuż Wisły, ku południowi, dziewięciu przepraw rosyjskich, oraz ku północy, w Płockiem, nadciągającego korpusu gwardyi. Rozporządzenia te mocno zaniepokoiły Prądzynskiego, któremu—jak na toż—w tym czasie wrzód w gardle mowę odjął. Rozpacz na myśl, że rąk polskich ujęć mogą: artylerya rezerwowa, parki, tabory, magazyny, zapasy do prowadzenia wojny niezbędne, w Siedlcach w ilości ogromnej nagromadzone. Nie mogąc w materyi tej z wodzem się osobiście rozmówić, uprosił przyjaciela swego, K. Kołaczkowskiego, ażeby wodza sprowadził do niego. Wódz chorego odwiedził i kwatermistrz plan swój na tablicy pisemnie mu wyłożył. „Skrzynecki—z „Pamiętników“ przepisuję—z ironicznym uśmiechem mówi do Chrzanowskiego: „Chrzanowski, *écoutez donc, il veut battre l'armée de Diebitsch.*“ Ja z żywością piszę: „*Non pas la battre seulement, j'entends que nous la détruisions jusqu'au dernier homme.*“ Powiedzianiem to było przesadnie, jak się w uniesieniu mówi. Słowa te jednak dają poważne świadectwo człowiekowi. Historycy wojenni (Smitt i Puzyrewski) racyę przyznają nie Skrzyneckiemu i Chrzanowskiemu, lecz Prądzynskiemu, który nie dłużej jak dni parę chorował i drugą charakterystyczną Skrzyneckiemu scenę niechcący urządził.

Scenę tę z oficerami, meldującymi interesantów, w taki ułożył sposób, iż w izbie audyencyjonalnej znalazł się z wodzem sam na sam. Wchodząc, drzwi za sobą na klucz zamknął. „Cóż to znowu znaczy? (cytuję znów „Pamiętniki“) zapytuje zdziwiony wódz naczelny.“ „Nie chcę, Generale — odpowiadam — ażeby mi ktokolwiek przeszkodził, bo od tego, o czym Ci mam mówić, zależy Twoja sława, Twoja wielkość, a co więcej, cała przyszłość Polski; a do tego rzecz nie cierpi zwłoki.“ „Gorączka z ciebie— odpowiada Skrzynecki—zawsze egzaltowany; no, mówże, co tam masz do powiedzenia.“ „Rozkładałam tedy na stoliku mapkę, którą skreśliłem dla objaśnienia tego, o co chodziło, i zaczynam czytać napisany przezemnie bardzo krótki plan kampanii. Wtem otwierają się małe drzwiczki, prowadzące do pokoju sypialnego wodza naczelnego, które domownikom tylko służyły. Wchodzi przez nie kucharz, będący najważniejszą pomiędzy domownikami osobą i oznajmia wodzowi, że mu się udało dostać wspaniałego sandacza.“ Oznajmienie to tak wodza zajęło, że rozmówienie się z Prądzynskim na później odłożył. Z rozpaczą, mnąc plan w garści, z audyencyi tej Prądzynski wyszedł.

Scena trzecia najlepiej dusze dwóch tych ludzi maluje.

Udział w niej znów oni dwaj sam na sam wzięli. Skrzynecki tym razem okazał się twardszym, niż kiedy w odpychaniu myśli stoczenia z feldmarszałkiem walki. Bój ów przerażał go. Mówiąc o nim, upierał się przy objekcyach, odnoszących się do ilości dział, kirysierów, stanu dróg i wszelakich innych, aż sfolgował Prądzynski, zastępując w natchnieniu, przez rozpacz mu zapewne podyktowanem, myśl—idea wyzwania feldmarszałka na wyroczną rozprawę orężną, nadaniem zaczepnemu przeciw rezerwom rosyjskim pod Rosenem działaniu znaczenia—zadania, mającego na celu odciągnięcie Dybicza od przysposobionej już w zupełności przeprawy przez Wisłę. Zastanowiło go to. Dyskutować się jął nie o działaniu zaczepnem, lecz o możliwości pobicia Gejsmara, dowodzącego strażą przednią, której łańcuch sztyldwachów kozackich obejmował pola grochowskie na wysokości Kawęczyna. Prądzynski dowodził, przekonywał, na honor, na życie się zaklinał, że zniesienie Gejsmara i pobicie Rosena, znacznemi dokonane siłami, zagrażając komunikacyom Dybicza, zmusi go do zaniechania przeprawy i odstąpienia od Wisły. „Prowadziłem— opowiada Prądzynski — rzecz moją z zapalem i usiłowałem przełać w Skrzyneckiego przekonanie, napełniające moją duszę. Po cichym jego głosie i po oczach dostrzegam, że jego opozycja słabnie; to mnie jeszcze bardziej zapala i, ażeby go pokonać, w naj-

wyższem uniesieniu padam na kolana, chwytam za rękę tego człowieka i już nie staram się przekonywać, ale proszę, błagam, rękę jego do ust, do serca tulę i przyciskam. Czegobym nie był zyskał najgruntowniejszymi dowodami, wymogłem natrętną prośbą. Generał Skrzynecki daje mi słowo, że przedsięwzięmiemy działania zaczepne, wychodząc z Pragi...“

Rysem tym kończę szkic obrazu duszy Ignacego Prądzyńskiego—pięknej, przepięknej duszy człowieka, idącej do najskrajniejszych granic poświęcenia obywatelskiego, polegającego na ciągłości przenikania się wzajemnego uczucia z rozumem.

Może jej brakło hartu stali toledańskiej, giętkiej a ciętnej.

Sam on ją w „Pamiętnikach“ swoich analizuje, oblekając opowiadanie cieniem smutku i żalu—cieniem, z pod którego przebija się wyrzut sumienia, zaznaczający się najwyraźniej w relacji — świetnie zwycięskiej, bezużytecznej jednak—o bitwie pod Iganiami („Pam.“ T. II od str. 101 do str. 153, zatrzymując szczególnie uwagę na str. 144, 145 i 146). Czytając sprawozdanie to, czyta się pomiędzy wierszami wyznanie:

„Zdołałem u wodza naczelnego wybłągać w Warszawie ruch zaczepny; nie zdołałem, po bitwie pod Wielkimi Dębami, wymódlz, wymusić na nim ruch ten w dalszym logicznie z punktu wojennego narzucającym się ciągu.“

Wymuszenie obejść się bez pogwałcenia karności nie mogło na razie. Przyszło mu ono na myśl w Krakowie, gdy trapiiony chorobą pamiętniki swoje dyktował.

*

*

*

„Pamiętniki Prądzyńskiego,“ wydane przez syna znakomitego obywatela, Piotra Moszyńskiego, mają znaczenie spowiedzi przed narodem. Obejmują one życie autora od wczesnego dzieciństwa do d. 3 września 1831 r. — momentu, w którym feldmarszałek Paskiewicz, mianowany po śmierci Dybicza wodzem naczelnym, po przysposobieniu szturmowi do Warszawy, wysłał ze sztandarem białym gen. Dannenberga, celem umówienia się z ówczesnym Rządem Narodowym polskim, na którego czele stanął Krukowiecki, o kapitulację miasta. Krukowiecki, dla rozmówie-

nia się we względzie tym z parlamentarzem rosyjskim, wyzna-
czył Prądyński. Na rozmowie tej kończą się pamiętniki, bę-
dące jego — spowiedzią. Z każdego spowiedzi tej wyrazu bije
prawda, czystością krystaliczną promieniejąca i ofiarność zbiorową
narodu przedstawiająca. Takich, jak on, było dużo. W wypadkach
r. 1830 — 31 Ignacy Prądyński zajął odrazu stanowisko mocno
wybitne. Wybitność stanowiska odnosiła się do sztuki wojennej,
której znajomość zdobył sumptem własnym.

Ignacy Prądyński należy do rodzaju obdarzonych od natury
zdolnościami ogromnemi samouków. Żadnej w dziecinnych nawet
latach nauki systematycznie nie pobierał. Systematycznie nauczył
się chyba musztry tylko; po odbyciu zaś praktyki w zakresie
tym, wiadomości dotyczące sztuki wojennej dorywczo chwycił
i, przy pomocy dowiadywania się, czytania, myślenia w umyśle
je szykował. Nie każdemu to danem jest; jego wszelako natura
we względzie tym bogato uposażyła — tak bogato, że w potrzebie
z hydraulika kanałowego przeistoczył się w wojownika i znalazł
w sobie wszystko, co sprawie publicznej, której się duszą całą
oddał, z korzyścią służyć mogło. Sposobem improwizowanym
stał się strategikiem; w ten sam sposób radził sobie na polu bi-
twy, jako taktyk. Trafność w oryentowaniu się na teatrze wo-
jennym, szybkość w obliczaniu czasu i odległości w stosunku do
kulturalnych i topograficznych teatru wojennego warunków, by-
strość w obejmowaniu wejrzeniem właściwości pola bitwy, czy-
niły go nieocenionym w służbie sztabowej pracownikiem.

Cesarza Mikołaja I, potrzebującego w widokach państwo-
wych pracowników tego rodzaju w gatunku jaknajlepszym, ude-
rzyła opracowana przez I. Prądyńskiego na żądanie cesarskie
historja wojny 1831 r. Zapragnął pozyskać w nim sztabowca dla
armii rosyjskiej. W celu tym uwolnił go z wygnania, na jakie
wraz z innymi generałami powstańczymi skazany został — i oso-
biście mu to zaproponował. Odmowa ze strony jego, wyrażona
tonem niepewnym, pochodzącym zapewne ze zdziwienia, a może
ze zmieszania, nie zraziła monarchy. Żeby snadź cesarzowi się
przysłużyć, wabili go do służby państwowej inni: wysocy dostoj-
nicy, generałowie, wreszcie brat cesarski, w. ks. Michał Pawłow-
wicz. W. ks. wziął się do niego zrazu ostro — prawił mu nauki
moralne; lecz złagodniał pod koniec rozmowy i dowiedział się
od Prądyńskiego, że: „natury swojej zmienić nie może, pozostać
więc musi do śmierci, jakim był życie całe.“

Prądyński wolność odzyskał i d. 3 maja r. 1834 Petersburg
opuścił, a w dziewiętnaście lat i trzy miesiące później — 4 sierpnia

1850 r.—w Helgoland, dokąd go dla poratowania zdrowia z Krakowa wywieziono, z życiem się rozstał i... w bezimiennym spoczywa grobie.

Nie bezimiennie jednak ze świata zeszedł, pozostawiając po sobie dzieło pomnikowe, w którym czytelnik uważny zapozna się z pięknem duszy polskiej, uczone zaś znajdzie nietylko bolesną i nad wyraz wszelki smutną wojny r. 1831 historię, lecz i wskazania do wyjaśnienia pragmatyki dziejów narodu polskiego od czasu... rozejścia się braterskiego i rozmieszczenia się gniazdowego Lecha, Czecha i Rusa.

Kto wie, czy i o ile podanie to bajecznem jest, do kategorii bajek bowiem tej prawdy zaliczać nie można, że każdy moment narodowego życia dziejowego syntezuje w sobie życie wczorajsze, pozawczorajsze i coraz to dawniejsze, odnoszące się aż do tych wieków, w których nieznajomi z imienia i nazwiska przodkowie nasi Polskę zbudowali. Stąd dla nas i dla ludzkości wagę naukową wielką mają dzieje nasze porozbiorowe.

Z. MIŁKOWSKI.

TARGOWISKO CYWILIZACYI.

I.

Mamy wprawdzie, gdy chodzi o odtworzenie życia danego społeczeństwa, jego kultury i cywilizacji, o wiele pewniejsze źródła niż literatura i sztuka—mamy możliwość badania i poznawania bezpośredniego jego stanu ekonomicznego, moralnego i umysłowego, charakteru i czynności jego rozmaitych instytucyj i t. p., jednakże i twórczość imaginacyjna, zwłaszcza beletrystyka, nie jest do pogardzenia w tym wypadku.

Daje ona nieraz również ściśle i skrupulatnie odtwarzające życie rzeczywiste obrazy, jak te, które kreśli nam wiedza społeczna, historia, na podstawie materiału statystycznego; fikcyjne te obrazy mogą mieć nadto jedną ogromną wyższość nad naukowymi, gdy są wizją całości życia pewnego społeczeństwa w danym okresie cywilizacyjnym—całości najczęściej rozbitej i pokałkowanej w studyach i badaniach naukowych. Nie idę tak daleko, jak H. Taine np., który twierdził, że historia XIX wieku uległa przekształceniu dzięki studyom literackim (przedmowa do „Literatury angielskiej“), niemniej widzę w powieściopisarstwie współczesnem np. znakomite źródło do poznania historii moralnej czasów naszych, do nakreślenia żywego, nietylko fotograficznie wiernego, lecz i wewnętrznie prawdziwego obrazu cywilizacji dzisiejszej.

Na jeden właśnie taki obraz, który zawdzięczamy twórczości imaginacyjnej, chcę tu zwrócić uwagę czytelnika polskiego, tembardziej, że należy on do bardzo niepowszednich zarazem objawów w literaturze współczesnej. Mam tu na względzie cykl utworów powieściowych, zatytułowany „Jean-Christophe à Paris.“ Autor jego, profesor Sorbony R. Rolland, znanym jest, być może,

nie jednemu u nas, jako wybitny estetyk, zwłaszcza w zakresie muzyki; zapowiedziano nam już nawet przekład polski jego powieści — słowem, zaczną o nim i u nas szerzej rozprawiać, jak rozprawiają w Paryżu, gdzie z natłoku piszących, z morza banalności i czezej paplaniny literackiej, wydostał się na pocześniejsze miejsce dzięki oryginalnym, mocnym i świeżym przymiotom swego talentu.

Cykl powieściowy Romain Rolland'a składa się z kilku części i nie jest jeszcze ukończony. Pomijam część pierwszą (*Jean Christophe*, cztery książki: „L'Aube,“ „Le Matin,“ „L'Adolescent,“ „La Révolte“), która przedstawia lata młodości, wzrost i kształtowanie się genialnej artystycznej jednostki, Niemca, Jana Krzysztofa Krafta. Rzecz cała zachodzi w Niemczech.

W drugiej części (*Jean Christophe à Paris*) przyglądamy się życiu tejże niezwyklej indywidualności, wykołejonej w ojczystym środowisku, rzuconej biegiem zdarzeń w odmet stosunków paryskich, szukającej tu pola dla działalności artystycznej, wogóle atmosfery odpowiedniej dla swoich aspiracyj. Fabuła powieściowa nie należy do zbyt pomysłowych, niema tu osobliwszych przygód zewnętrznych, niema postaci efektownych, budzących szczególniejszą ciekawość psychologiczną. Tło życia jest dość szare, monotonne, ludzie bardzo powszedni, stosunki ich wiążące ze sobą bardzo normalne, codzienne. Najwięcej głębokiego zainteresowania, współczucia i podziwu budzi sam bohater tytułowy, Jean Christophe — najwięcej znaczenia dla badacza stanów cywilizacji współczesnej ma to, co w zetknięciu się z życiem Paryża odczuwa ta wrażliwa, całkowita i bezpośrednia, prawa i niezachwiana niczem w sumieniu swoim dusza, zarówno jak i to, co o tem życiu, jego duchu i czynnikach wszelkich mówi autor wprost od siebie. Pod tym względem najważniejszym jest tom z drugiej części, zatytułowany „La foire sur la place“ (*Targowisko*), który jest właściwie krytyką ducha cywilizacji współczesnej, kultury umysłowej i moralnej społeczeństw dzisiejszych, zwłaszcza tego wielkiego źródła cywilizacyjnego, z którego mnóstwo treści czerpią społeczeństwa Europy, skąd idą na wszelkie strony świata jeśli nie hasła, mające wartość imperatywu, to w każdym razie pobudki i sugestye, urabiające rzeczowe, umysłowe i duchowe życie mas podług jednego, powszechnego szablonu.

Mógłby autor wprawdzie nie wybierać cudzoziemca — i to Niemca — do wyrokowania o duchu kultury wytwarzanej w Paryżu, do osądzenia jej urządzeń rozmaitych, jej wartości istotnej: do tego celu można byłoby użyć jednostkę należącą do społeczeń-

stwa francuskiego, obdarzoną tylko duszą gorącą, nie zubożoną na zło, nie skłonną do kompromisowych układów i zżywania się z niem.

Sąd mógłby tak samo wypaść bardzo surowo i bezwzględnie, nie byłoby jednak pewnej niezręczności i poniekąd tendencyjności w samym pomysle dzieła. Ale może autorowi właśnie chodziło o to, żeby przez powołanie kogoś obcego do oceny wartości kulturalnych społeczeństwa francuskiego mózdz to dokonać w sposób jaknajbardziej stanowczy—rzucić na to wszystko światło ze stanowiska jaknajbardziej niezależnego. Być również może, iż autorowi się zdawało, że współczesny Francuz zanadto jest związany, za bardzo zżyty ze zgnilizną swego otoczenia kulturalnego, by mózdz ją należycie ocenić i zerwać z nią zupełnie.

Zresztą Jan Krzysztof nie żywi żadnych uprzedzeń względem Francji i Paryża, jako ogniska kultury wszechświatowej, nie zna wogóle panujących tu stosunków ani ze złej, ani z dobrej strony—raczej ma o tem wszystkim przesadnie pochlebne wyobrażenie—i dopiero poznając stopniowo świat, w którym wypadło mu szukać dla siebie podstawy materialnej i poparcia moralnego, powoli wyrabia sobie sąd o siłach i prawach, które nim rządzą, ocenia panującą atmosferę duchową, instytucje rozmaite, co jej służą, objawy jej różne w poszczególnych sferach życia i działania ludzkiego.

Jan Krzysztof jest niepospolitą indywidualnością, obdarzoną geniuszem artystycznym, czułym niezwykle na wszelką dysharmonię i sprzeczność życia; jest przytem duszą krańcowo prawą, gorszącą się wszelką nieprawością bytu ludzkiego. Świadomość jego reaguje na wszystko namiętnie i bezwzględnie, do ludzi i rzeczy przykłada miarę najwyższą, zgodną z własną mocą duchową i szlachetnością przyrodzoną, podług których radby urządzić cały świat i ludzkość całą.

Pomiędzy nim a otoczeniem, w którym się znalazł, istnieje zupełna niezgodność—sąd przeto jego o tem wszystkim, co go tu razi i dotyka, jest pozbawiony pobłażliwości—bez której czasami niepodobna być sprawiedliwym. Ale niezupełnie czyniąc zadość sprawiedliwości, jest ów sąd zawsze szlachetnym, śmiałym i niedwuznacznym, gdyż jest wynikiem żywo poruszonego sumienia, wypływa ze wzruszenia szczerego i głębokiego całej istoty duchowej. Poza tem sąd ten jest najczęściej niezwykle trafnym, jak tylko może być sąd człowieka nie zubożonego na to, na co patrzy, nie związanego żadnym węzłem interesu i korzyści osobistej z tem, o czem ma wyrokować.

Zatrzymajmy się najpierw na tem, na co patrzy, z czem się styka i czego doświadcza Jan Krzysztof na bruku paryskim — to nam posłuży do zrozumienia formującego się powoli w jego umyśle sądu ostatecznego o tem wszystkim. Wkrótce po przybyciu do Paryża znalazł się Jan Krzysztof w gronie artystów i literatów młodszego pokolenia. Onieśmielony obecnością tylu „wybranych,” milczał i cały zmieniał się w słuch. Jakkolwiek słuchał bardzo uważnie, nic nie mógł w rozmowie wyróżnić prócz takich słów, jak „trust,” „zniżka ceny,” „cyfra dochodów,” zmieszanych z takimi, jak „godność sztuki,” „prawa pisarza” i t. p... Od dochodów autorów dramatycznych przeszli rozmawiający do dochodów krytyków. Opowiadano sobie o tych, jakie ma jeden z ich kolegów za każdą premierę, dawaną w pewnym teatrze, o której zobowiązany był pisać przychylnie. Był to porządny człowiek, gdy raz zrobił umowę, dotrzymywał jej sumiennie; cała jednak jego wielka sztuka krytyczna polegała na tem, żeby w taki sposób wychwalać premierę, by ją jaknajprędzej przewalić, oczywiście po to, aby częściej szły premiery.

Opowiadanie to pobudzało do śmiechu, nikogo wszakże nie przejmowało zdziwieniem.

Wśród tego rodzaju opowiadań wygłaszano gromkie zdania, mówiono o „poezyi,” „sztuce dla sztuki” i t. p. „Jan Krzysztof przestawał powoli interesować się rozmową, która obracała się dokoła spraw finansowych, gdyż o nich nie miał pojęcia. Ale oto usłyszał nagle wypowiedziane imię V. Hugo — wyteżył więc znowu słuch. Chodziło tym razem o to, czy wielki poeta był zdradzony przez żonę? Rozprawiano długo o miłostkach Sainte-Beuve'a i pani Hugo. Poczem zaczęto mówić o kochankach pani George Sand i ich zasługach odnośnych. Była to podówczas wielka sprawa krytyki literackiej: po przetrząśnięciu wszystkiego w mieszkaniu wielkich ludzi, po opróżnieniu szuflad i szaf, zaczęła grzebać się w alkwie. (Muszę dodać nawiasowo, że dotychczas jest to ulubionem zajęciem krytyki literackiej we Francji, i to nie byle jakiej. Przed chwilą odczytałem konferencye I. Lemaitre'a na temat stosunku Sainte-Beuve'a z panią Hugo: „Les péchés de Sainte-Beuve,” w tygodniku „La Revue Hebdomadaire,” styczeń 21 i 28-go 1911 r.). Krzysztof, nieco zażenowany tem wszystkim, próbował rozmawiać z sąsiadami o czem innem. Żaden wszakże nie zwracał na niego uwagi. Z początku wprawdzie postawiono mu parę niewyraźnych pytań, dotyczących Niemiec, pytania te wszakże odśloniły mu, ku jego wielkiemu zdumieniu, zupełną nieznajomość rzeczy tych ludzi wybitnych,

którzy sprawiali wrażenie dobrze poinformowanych o stosunkach literacko-artystycznych poza Paryżem. Zresztą, jeśli zapytywali Krzysztofa o co, to jedynie przez grzeczność, a nie przez ciekawość, której nie mieli wcale; właściwie udawali, że słuchają jego odpowiedzi — tak wszystkim spieszo było powrócić do spraw paryskich, któremi rozkoszowało się całe towarzystwo. Zaryzykował Krzysztof nieśmiało wszcząć rozmowę o muzyce. Żaden z tych literatów nie był muzykiem; w gruncie rzeczy traktowali oni muzykę, jako sztukę niższą. Ponieważ jednak powodzenie jej od paru lat wzrastało, byli tem w głębi duszy dotknięci; dlatego jednak, że stawała się modną — udawali, że nią się interesują...“ Znalazł się nawet wśród zebranych i krytyk muzyczny, który z powodu jakiejś nowej opery francuskiej, uchodzącej w oczach towarzystwa za rzecz epokową w dziejach muzyki, zaczął rozstrzeliwać niemiłosiernie Beethovena, Wagnera i sztukę klasyczną, przytem, depreczując przeżytki przeszłości, ogłaszał uroczyste przyjście nowej sztuki. „Krzysztof zgorzszony był tego rodzaju rozprawieniem się z mistrzami. On, który w Niemczech uchodził za rewolucjonistę w sztuce i gorszył innych śmiałością sądu swego i jędrną otwartością zdania — od pierwszych słów, usłyszanych we Francyi, poczuł się w głębi duszy konserwatystą.“ W końcu rozmowa zaczęła odbiegać od literatury i zatrzymała się na kobiecie. „W gruncie rzeczy były to dwie strony tegoż samego przedmiotu, gdyż w ich literaturze była tylko mowa o kobietach, w ich kobietach zaś ta sama literatura, tak bowiem one ocierały się o nią albo o literatów.“

Już to wstępne zetknięcie się z elitą literacką dzisiejszego Paryża, poziom i charakter rozmowy, prowadzonej przez nią, tematy poruszone i t. p., wszystko to mogłoby pobudzić każdego do najsmutniejszych refleksyj o wartości duchowej tych, którzy stoją na straży życia umysłowego i artystycznego Francyi współczesnej (i nie tylko Francyi), o powadze ich powołania, sunienności fachowej i szlachetności dążeń.

Większa jeszcze nierównie nędza formy i treści tego wszystkiego odsłoni się oczom badacza, gdy samodzielnie zacznie poznawać nie tylko wytwórców rozmaitych wartości duchowych, ale ich wytwory, ich stosunek do życia i do sztuki, do prawdy i piękna. Jana Krzysztofa, jako muzyka, pociąga najprzód twórczość muzyczna francuska.

Sporo miejsca w książce poświęca autor przejrzeniu rozmaitych rodzajów tej twórczości. Są to uwagi niesłychanie głębokie o istotnej, pomimo wszelkie pozory, jałowości wysiłków w tej

dziedzinie, o męczącej pogoni za nowymi kombinacjami, z których się składają wielce uczone łamigłówki, któremi można się bawić wówczas, gdy się jest jednocześnie bardzo starym i bardzo dziecinny. Prócz ogromnej wiedzy fachowej, wykazuje tu autor niezwykle subtelne wyczucie osłabienia żywotności natchnień w twórczości muzycznej, jej czczego formalizmu, braku energii i wiary, braku busoli wewnętrznej. O tem wszystkim niepodobna mówić w skróceniu, tyle tu bowiem misterynych spostrzeżeń, taka oryginalność w ujmowaniu ducha muzyki dzisiejszej francuskiej i w zaznaczaniu szczegółów charakterystycznych. Pomijając z konieczności to wszystko, przytaczam sąd autora o jednym z dzieł, którem chlubią się Francuzi. Po wysłuchaniu „Pelléasa i Mélisande'y,” Jan Krzysztof rozważa wrażenia doznane: „Zaczął powoli zdawać sobie sprawę, że tu starano się z góry przeciwstawić prostotę ideałowi wagnerowskiemu, który topił dramat w falach muzyki; nie bez ironii wszakże zapytywał siebie, czy ten ideał poświęcenia nie pochodzi stąd, że poświęcano tu to, czego nie posiadano. Wyczuwał w dziele obawę trudu, poszukiwanie efektu, wytwarzanego przez *minimum* wysiłku, wyrzeczenie się niedbałe mocy, której wymagają potężne konstrukcye wagneryańskie... Jednakże próba wydała się Krzysztofowi ciekawą, uznawał chętnie więcej stąd rewolucyjnego ducha reakcyi przeciw gwałtownym emfazom sztuki Wagnera. Muzyk francuski starał się dyskretnie, aby wszelkie uczucia namiętne były tu wyszeptywane pół-głosem... Miłość, śmierć bez krzyku. Dusze paryskie przeglądały się w tej sztuce, która stawiała przed ich wzrokiem jakby obraz pochlebny ich własnego fatalizmu omdlewającego, ich Nirwany buduarowej, ich melancholii wiotkiej. Woli nie było tu ani śladu. Nikt tu nie wiedział, czego chciał i co robił. To nie moja wina, nie moja to wina!... jęczały tu te duże dzieci. W przeciągu pięciu aktów, które się odbywają w ustawicznym mroku — w lasach, pieczarach, podziemiach—tylko małe ptaszyny z wysp zaledwie się unosiły. Jakże się one bały nieco żywszego światła, zamaszystsze go gestu, słów, namiętności, życia! Życie nie jest wyrafinowane, nie można go uchwycić rękami w rękawiczkach... Krzysztof jakby słyszał dochodzący grzmot działań, które gotowe były zmiażdżyć tę cywilizację wyczerpaną, tę małą Grecję konającą.“

Takie jest ostateczne wrażenie, wywołane dziełem, stojącym poza szkolną, erudycyjną formalistyką, również poza produkcją na szerszą skalę—dla niewybrednego tłumu — dziełem zrodzonym t. zw. duchem niezależnym. Odwraca się Krzysztof od ekliwych

bądź płytkich uroków muzyki francuskiej i stara się zbliżyć do środowisk literackich i do życia towarzyskiego.

Przy pomocy dzienników, aby stanąć jaknajprędzej na poziomie myśli paryskiej, poznaje Krzysztof literaturę bieżącą. Naczytawszy się nowelek pornograficznych, wypełniających felietony najbardziej poczytnych dzienników, przekonywa się, że jest to kompletny kurs rozpusty po przez szereg wieków i epok: Rzym, Aleksandrya, Bizancyum, Odrodzenie włoskie i francuskie i t. p. Co go wszakże przejęło zdumieniem, to to, że prawdziwi artyści, pisarze pierwszorzędni i cieszący się zasłużonem uznaniem, oddawali się temu rzemiosłu, do którego wcale nie byli powołani. Niektórzy zużywali swój talent, jak byle jacy autorowie, na pisanie rzeczy ohydnych — i to regularnie, po parę razy na tydzień od szeregu lat. Nie mając już nic do powiedzenia w tej mierze, torturowali swój mózg, by wycisnąć zeń coś nowego, coś jaknajmniej oczekiwanego, najbardziej dziwaczного. Był to widok opłakany i zarazem ucieszny. (Że tak jest w rzeczywistości od lat wielu, dość tu przypomnieć, że regularnemu pisaniu tego rodzaju utworów oddają się we Francyi nietylko stworzeni do tego pisarze, jak M. Prévost, Abel Hermant, pani Delarue Mardrus i t. p., ale i tak poważni, wcale „niepowołani,“ jak np. bracia Rosny, wysoce utalentowany C. Maclair i wielu innych, którzy się poca nad tematami pornograficznymi). Rozejrzawszy się w tem wszystkim, powiada Krzysztof do jednego z przewodników swoich po Paryżu: „Co z wami się stało? Jesteście chyba chorzy.“ Sylwan Kohn (który w Paryżu stał się Hamiltonem) zaśmiał się i odparł: „Ależ nie — to sztuka.“ Taką była w istocie sztuka, popierana przez reklamy rozpowszechnionych dzienników, wytwarzana przez nie dla szerszego ogółu, do którego nie miały prawie dostępu prawdziwie piękne dzieła literatury francuskiej.

Z obszarów, zalanych tą specyficzną literaturą, wydobywał się *odor di femina*. W literaturze współczesnej roi się od kobiet autorek, którym się zawdzięcza powódź romansów, prawie zawsze dwuznacznych, zawsze zmanierowanych, pisanych językiem pachnącym kwiatami, bardzo dobrymi albo okropnemi perfumami, językiem zawsze kłiwym, mdłym i ocukrowanym. Garstka nieznaczna tylko z tej masy piszących kobiet miała odwagę szczerzego mówienia o tem, czego żaden mężczyzna nie może należycie odczuć, mianowicie o głębi duszy kobiecej — większość pisała po to, by przyciągnąć właśnie mężczyznę, stąd też konieczność sztucznego strojenia się i flirtowania z czytelnikiem.

Poznawszy tę całą literaturę bulwarową, Krzysztof doszedł do przeświadczenia, że jest ona klęską publiczną. „Zdawało się, że tu wszyscy piszą: mężczyźni, kobiety, dzieci, oficerowie, aktorzy, światowcy, galernicy. Istna zaraza.“ Zresztą cała ta literatura nie potrafiła mu objawić dążeń panujących, ducha zbiorowego. Zaczął ją traktować z nieufnością, wiedząc przytem, że bardzo często to lub inne dzieło uosabia najwyższą opinię kilkunastu próżniaków, że czasami sam autor reprezentuje całą publiczność. Powiedział tedy sobie, że teatr daje ściślejsze wyobrażenie o społeczeństwie — zwrócił się więc do niego. Wszak w Paryżu w życiu codziennem zajmuje teatr miejsce pierwszorzędne. Jest to ogromna kuchnia, która nie może nadażyć w zaspakajaniu uczucia głodu dwóch milionów ludzi. Trzydzieści wielkich teatrów, pomijając pomniejsze, wszelkie „cafés-concerts“ i t. p.; sto sal, w których idą przedstawienia co wieczora, prawie zawsze przepełnionych. Cały naród aktorów i urzędników. Olbrzymie sumy pochłaniane przez tę otchłań. Cztery teatry subwencyonowane, które zatrudniają do trzech tysięcy osób i wydają dziesięć milionów. Przytem cały Paryż rozbrzmiewający chwałą kabotynów. „Wśród innych paryżan, tych wielkich dzieci wałęsających się, które tracą czas na małpowanie samych siebie — te małe wzorowe dzierżą berło władzy; autorowie zaś dramatyczni są ich pierwszymi ministrami.“ Jan Krzysztof wchodzi do tego państwa, rządzonego przez kabotynów i autorów dramatycznych. I tu mu się odsłaniają również obrazy prostytutki umysłowej.

„Istniały dwie szkoły pomiędzy handlarzami przyjemności (teatralnych). Jedna była na stary dobry sposób, na sposób narodowy — była to szkoła grubego, pieprznego żartu, rozkoszy z powodu brzydoty i potworności fizycznych, dowcipu koszarowego, „cabinets particuliers“ i t. p. — słowem tego wszystkiego, co się rozumie pod mianem „otwartości męskiej,“ jak powiadają ci, co dążą do pogodzenia jędrnej szczerości z moralnością. Druga szkoła była nowożytna — *modern-style*. Szkoła ta była bardziej wyrafinowana, a także bardziej rozdzierająca. Żydzi na smaku paryskim i chrześcijanie żydzeni wprowadzili do niej mieszaninę z uczuć, będących właściwością kosmopolityzmu zwyrodnionego. Ci synowie, którzy się wstydzili swoich ojców, wysilali się po to, by zaprzeć się sumienia rasy swojej; i to im doskonale się udawało. Wyzuwszy się z własnej odwiecznej duszy, nie mieli innej indywidualności, jak tylko tę, która się stwarzała przez zmieszanie wartości intelektualnych i moralnych innych narodowości; robili z tego jakąś *olla podrida* — był to ich sposób uży-

wania. Ci, co byli podówczas w Paryżu mistrzami teatru, celowali w łączeniu ohydy z uczuciem, w obdarzaniu cnoty zapachem występku i *vice versa*, w gmatwaniu wszelkich stosunków wieku, płci, rodziny i t. p. Sztuka ich nabierała w ten sposób osobliwszego zapachu, który był jednocześnie przykrym i przyjemnym: nazywali to „amoralizmem.“

Napatrzywszy się na ulubione postaci tej sztuki dramatycznej (na kobiety-złodziejki z towarzystwa najlepszego, mężczyzn-rajfurów, pół-dziewice i t. p.), Krzysztof powiada do swego towarzysza, Kohn'a: „Jest w tem siła—ale to cuchnie. Dość! Chodźmy zobaczyć co innego.“ — „Co?“ zapytuje Kohn. — „Francję.“ — „Właśnie to ona!“ odparł Kohn. — „To niemożliwe — wykrzyknął Krzysztof.—Francyi tu niema. Naród, któryby doszedł do takiego stanu, nie miałby więcej życia, jak na lat dwadzieścia: czuło go już zgnilizną. Jest przecie coś innego.“ — „Nic nie ma lepszego. Zresztą mamy i my swoje piękne dusze — ciągnął Kohn — i teatry dla nich. Jeśli o to chodzi? — można mieć i to.“ Teatr dla „pięknych dusz“ uważał za szczyt sztuki przede wszystkim umiejętność łączenia w sposób jaknajparadoksalniejszy rozwiązłości seksualnej z heroizmem na wzór wielkiego Corneille'a.

Zresztą, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość: był on o wiele więcej gadatliwym, niż niemoralnym.

Wymowa jego była rozkoszą publiczności. Cnotę zarówno jak i występki, zdumiewający heroizm tak samo jak wstrętną nieszczemność przyjmowała ona z wdzięcznością, byle tylko w przybraniu dźwięcznych rymów i słów oszałamiających. Miłość, cierpienie, śmierć — wszystko tu zmieniało się w piękny frazes, było przedmiotem gry. Nigdzie kłamstwo poetyckie nie rozpierało się z taką bezczelnością, jak w tym dramacie heroicznym. Z poza gromkich słów, proporców i kit rozwianych, parad teatralnych z mieczami blaszanymi i hełmami papierowymi, wyglądała zawsze jakaś beznadziejna błahostka à la Sardou, tego śmiałego wodewiliisty, bawiącego się w historję. W taki sposób bawili się ci poczciwi ludzie w królów i kondotyerów w pokoju, tak przedstawiali namiętności bohaterskie. Szczęśliwie jeszcze, gdy nie bawili się w religję, która była w modzie. Gdy to zachodziło, wtedy, podczas postu, komedyanci odczytywali w *Gaité* kazania Bossuet'a przy akompaniamencie organów; autorowie izraelici pisali dla aktorek izraelitek tragedye o św. Teresie; grano „Drogi krzyża“ w *Bodinière*, „Dzieciątko Jezus“ w *Ambigu*, „Passye“ w *Porte-Saint-Martin* i t. p.

Gdy i to poznał Krzysztof — osądził: „To jest gorsze od wszystkiego. Jest to kłamstwo wcielone. Dławię się. Wyjdźmy stąd.“

Po zbadaniu wszystkiego w tej dziedzinie, zarówno wielkiej sztuki klasycznej, którą publiczność teatralna z urzędu oklaskiwała, chociaż nią się nudziła — jak i tej specjalnej, co przeznaczona była do wstrząsania nerwów i zaspakajania barbarzyństwa „elity“ zanadto cywilizowanej, Krzysztof zauważył, że tu wszystko zmierzało do używania bezpłodnego. W istocie była to rozpusta jałowa myśli i zmysłów. Sztuka błyskotliwa, pełna dowcipu i zręczności — forma wdzięczna, tradycje piękna, które utrzymywały się bez zmiany, wbrew oddziaływaniom obcym — teatr, który był zaprawdę teatrem, styl, autorowie posiadający rzemiosło swoje, umiejący pisać — szkielet ładny sztuki i myśli, które kiedyś były potężnymi. Ale tylko szkielet.

Słowa dźwięczne, jakieś pobrzękiwanie idei ścierających się w próżni, igraszki umysłowe, mózgi nawiedzane zmorą zmysłowości oraz rezonerstwem. Wszystko to służyło wyłącznie do używania egoistycznego. Wobec tego nic tak nie oburzało Krzysztofa, jak zachowanie się pisarzy, którzy uczynili ze sztuki narzędzie rozkoszy, a pragnęli uchodzić za kapłanów religii bezinteresownej. Krzysztofa uspokajał pogodzony z takim stanem rzeczy międzynarodowy S. Kohn: „Jesteśmy artystami. Uprawiamy sztukę dla sztuki. W sztuce wszystko jest czyste. Badamy życie, jak turyści, których wszystko bawi. Jesteśmy ciekawi rzadkich wrażeń, kochamy się w pięknie.“ „Jesteście obłudnikami—odpowiadał na to Krzysztof.—Dotychczas sądziłem, że na to trzeba być Niemcem. W Niemczech mamy hypokryzję, mówiącą zawsze o idealizmie, poszukującą jednak ustawicznie własnego interesu; myśląc o naszym egoizmie wierzymy, iż jesteście idealistami. Z wami jest o wiele gorzej: pokrywacie imieniem sztuki i piękna waszą rozwiązłość narodową—jeśli nie wasz „pilatyzm“ moralny, pod mianem prawdy, nauki, obowiązku intelektualnego, który umywa ręce i zwała z siebie odpowiedzialność za konsekwencje możliwe tych wyniosłych poszukiwań. Sztuka dla sztuki!... Jest to wiara wspaniała, ale tylko wiara silnych. Pochwyć życie, jak orzeł swoją zdobycz, poszybować wysoko i wznieść się z nią w przestrzeń pogodną... Sztuka jest niewątpliwie rozkoszą i to najbardziej upajającą. Jest ona jednak nią tylko za cenę walki nieubłaganej, jest wawrzynem, który wieńczy zwycięstwo siły. Sztuka jest życiem poskromionem, jest ona Cezarem życia. Gdy jednak chce się nim być, trzeba posiadać jego

duszę. Wy zaś jesteście tylko królami teatralnymi: wy tylko gracie rolę swoją, nie wierząc w nią wcale.“

Cóż na to wszystko powiada krytyka literacka? — zapytuje Krzysztof. Krytyków wszak nie brak we Francyi — jest ich nawet tak dużo, że nieraz zasłaniają sobą samą sztukę. Okazuje się jednak, że z małymi wyjątkami służą oni po to, by wyrażać wątpliwości i niepewność tłumów, skupionych dokoła sztuki. Niedgdyś wyznawali oni, że wszystko wiedzą, na wszystko znajdują odpowiedź, obecnie przyznawali się do tego, że nic nie wiedzą. Idąc w orszaku autorów, krytycy pokornie wyrokowali, że zasadniczym obowiązkiem dzieła sztuki jest obowiązek podobania się. Powodzenie jest tu prawem; gdy zaś ono trwa — pozostaje tylko uchylić czoła. Krytycy więc usiłowali przeczuć wszelkie fluktuacye na giełdzie przyjemności, starali się odczytać w oczach publiczności, co też ona sądzi o dziełach sztuki. Zabawnem w tem wszystkim było to, że publiczność również wysilała się ze swojej strony, by w oczach krytyki znaleźć odpowiedź na to, co należy sądzić o sztuce. W ten sposób wpatrywano się w siebie i nie widziano w oczach swoich nic innego, prócz niezdecydowania i chwiejności.

W miarę tego, jak Krzysztof zdawał sobie coraz jaśniej sprawę ze sposobów wylegania się idej, któremi żyła sztuka we Francyi, coraz bardziej rzucał się mu w oczy fakt przewagi kobiety w środowisku tutejszem. Kobieta zajmowała tu nadmiernie wiele miejsca, nie wystarczało jej być równą towarzyszką mężczyzny, chodziło już jej o to, by jej przyjemność była naczelnem prawem wspólnego ich życia. I mężczyzna nagiął się do tego. Gdy jakiś naród starzeje, wówczas wyrzeka się swojej woli i wiary, wszelkich racyj istnienia — na korzyść szafarki przyjemności.

„Das ewig weibliche“ — wieczysty urok kobiecości — zawsze i wszędzie pobudzał do egzaltacyi najlepszych ludzi — ale dla przeciętnych, zwłaszcza w epokach wyczerpania, istnieje inny rodzaj kobiecości, równie wieczystej, który ściąga ich na niziny. Ten właśnie był panem myśli paryskiej, królem Republiki. Krzysztof obserwował ciekawie paryżanki w salonach paryskich. Prawie wszystkie te damy światowe trąciły mieszczką znieprawioną ze wszelkimi przymiotami jej stanu: rozwagą, oszczędnością, zmysłem praktycznym, egoizmem. Poza tem życie wewnętrzne bardzo ubogie: żądza przyjemności, będąca raczej wynikiem ciekawości mózgowej, niż potrzeby zmysłów; wola jakościowo pospolita, ale stanowcza. Tu autor dosadnie przedstawia środowisko

kosmopolityczne żydowskich salonów Paryża. „Spotykał tam Krzysztof na obiadach — finansistów, przemysłowców dziennikarskich, maklerów międzynarodowych—aferyzistów Republiki. Byli to ludzie trzeźwi i energiczni, obojętni względem innych, uśmiechnięci, wylani i stanowczy. Krzysztofowi przychodziło czasami na myśl, że poza temi twardemi czołami ukrywają się przeszłe i przyszłe zbrodnie; prawie wszyscy byli brzydcy, stado za to kobiet w całości i zdaleka wyglądało dość świetnie. Nie trzeba jednak było przyglądać się im zblizka: większość odznaczała się brakiem delikatności cery. Ale za to blask, pozory mocy życia materialnego, ramiona rozkwitające dumnie pod działaniem wzroku obecnych, a przytem dar czynienia z piękności swojej, a nawet z brzydoty, potrzasku na męczyznę. Na tem tle zarysowywał się niekiedy profil bardziej uduchowiony. Te rysy czyste przypominały Wschód, krainę Labana: czuć było poezję milczenia pustyni. Po bliższym jednak przyjrzeniu się, zwłaszcza po wysłuchaniu rozmowy pomiędzy taką Rebekką a jakąś Faustyną rzymianką, albo św. Barbarą weneçyanką, odnajdywało się Żydówkę paryską, bardziej paryżankę niż paryżanka sama, misterniejszą o wiele i sztuczniejszą, która wygłaszała spokojnie złośliwości wszelkie, odzierając z szat duszę i ciało ludzi — wzrokiem Madonny.“

W takich i tym podobnych środowiskach Krzysztof miał sposobność obserwować młodzież obojga płci, jej stosunek do starszych, stanowisko w rodzinie, aspiracye i t. p. Od dorastających panien, wychowanych w atmosferze próżności światowej, przyjemności banalnych i kłamstw konwencyonalnych, odbiera Krzysztof tego rodzaju zwierzenia: „Czego pan chce od nas? — usprawiedliwia się przed nim jedna z takich—czy zdaje pan sobie sprawę z tego, do czego nas życie powołało? Niema ani jednej takiej jego sprawy, któraby nas w istocie interesowała. O, tak! my się zajmujemy wieloma rzeczami. Ja np. robię, jak wiele innych — oddaję się sprawom dobroczynności publicznej, słucham wykładów w Sorbonie, bywam na odczytach Bergsona, I. Lemaître'a i t. p., na koncertach historycznych, porankach klasycznych i t. d... W gruncie rzeczy wszystko to mnie nudzi. Wiem, że mam przed sobą jeden cel: małżeństwo. Ale czy pan sądzisz, że to tak zabawne wyjść za mąż, za jednego z tych, których się ma wciąż dokoła siebie i zna się tak dobrze. Wszystko to jest okropne. Patrząc dokoła siebie, widzieć te, które powychodziły za mąż i tych, z kim wstąpiły w związki — i myśleć, że trzeba będzie robić jak one, zdeformować ciało i umysł, stać się banalnemi, jak

one... A przytem nikt nas nie rozumie. Nawet matki nasze nas nie znają i nie starają się wcale nas zrozumieć. Społeczeństwo wogóle pozostawia nas w zupełnem zaniedbaniu.“ Dokoła takich panien uwija się legion młodzieńców, snobów wszelkiego rodzaju, wkradających się w ich życie poufne, otwierających im rozległe widnokreśli. Wszyscy wyznają kult „ja“ swego, przytem stale wzorują się na kimś, kto także nie jest oryginałem, albo małpują jakąś ideę i siłę, rozkosz, litość, solidarność, socjalizm, anarchizm, wiarę, swobodę i t. p. Co jednak było ich żywiołem prawdziwym—to miłość. Kazuistyka przyjemności nie miała dla nich sekretów. Wciąż wynajdywali nowe jej rodzaje, nowe zagadnienia, by mieć zaszczyt ich rozstrzygania. Pozbawieni zdolności kochania, „robili miłość,“ a przedewszystkiem tłómaczyli ją. Komentarze zawsze były obfitsze od tekstu, zazwyczaj bardzo szczupłego u nich. Wszystko tu pokrywało się flagą socjologii; można tu było zaspakajać najbardziej występne pragnienia własne, byle się umiało wytłómaczyć, że, zaspakajając je, pracuje się dla czasów nowych...

Od „towarzystwa“ paryskiego, zgangrenowanego użyciem, próżniaczym dyletantyzmem i nadmiarem krytyki bez powodu i bez celu — od tych, co byli dotknięci niemocą moralną, niezdolni do życia celowego, pracy i myśli poważnej na rzecz ogółu, przechodzi Krzysztof do sfer kierujących życiem zbiorowem Francji współczesnej, poznaje ludzi zdolnych do działania praktycznego, do wiary w tę lub inną ideę, do czegoś słowem, co nie jest religią przyjemności dla przyjemności samej, sztuki dla sztuki i t. p. Z ludźmi tego rodzaju spotyka się Krzysztof w domu wybitnego polityka i deputowanego socjalistycznego. (Wyborna postać Achillesa Roussin'a przypomina „au physique et au moral“ — wodza socjalistów francuskich, Jaurès'a). „U Roussin'a spotykał Krzysztof polityków, ministrów wczorajszych bądź jutrzejszych. Spostrzegł odrazu, że towarzystwo ich było o wiele ciekawsze, niż towarzystwo innych Francuzów, których poznał poprzednio. Byli to ludzie o żywszej inteligencji, bardziej oddani namiętnościom i wielkim sprawom człowieczeństwa. Świetni mówcy, byli jednakże z wielu względów podobnie dyletancko usposobieni, jak i literaci. Ma się rozumieć, nie bardzo się znali na sztuce, zwłaszcza obcej, nie mniej udawali jej znawców, niektórzy nawet w istocie ją kochali. Prawie wszyscy gromadzili obrazy impresjonistyczne, czytali utwory t. zw. dekadencje i z pewną kokieteryą lubowali się w sztuce ultra-arystokratycznej, która najeźsciej była wrogiem śmiertelnym wyznawanych przez nich prze-

konań. Krzysztof był nieco zakłopotany widokiem tych ministrów socjalistów albo radykałów, tych apostołów klas wydziedziczonych — w roli znawców rozkoszy wyrafinowanych. Co go jednakże najwięcej uderzyło, to to, że ci ludzie, którzy w rozmowie prywatnej byli sceptykami i sensualistami, nawet nihilistami, gdy przychodziło do czynu, do działania, stawali się fanatykami. Najwięksi dyletanci z pośród nich, zaledwie doszedłszy do władzy, stawali się małymi despotami; opanowywała ich mania kierowania wszystkimi i wszystkim: mieli umysły sceptyków, lecz temperament tyranów.

„Przez jakiś czas politycy rościli pretensję do panowania tylko nad ciałami, pozostawiając w spokoju dusze. „Dusze“ ze swojej strony nie zajmowały się wcale polityką, która we Francji uważana była za rzecz dochodną, nie wyżej wszakże stojącą od handlu i przemysłu. Od niedawna atoli nastąpiło zbliżenie, nawet rodzaj przymierza, pomiędzy politykami i ludźmi oddanymi sprawom umysłowym (*les intellectuels*). Nowa władza weszła na scenę, która rozciągnęła absolutne rządy nad myślami: byli to Wolnomyślni. Weszli oni w związek z inną władzą, która widziała w nich udoskonalone narzędzie despotyzmu politycznego. Mniej im chodziło o zniszczenie np. Kościoła, jak o zastąpienie go innym; i w istocie tworzyli oni Kościół Wolnej Myśli, który miał swój katechizm i swoje ceremonie, swoje chrzty i pierwsze komunie, swe sobory dzielnicowe, narodowe, nawet eukumeniczne w Rzymie. Niewypowiedziana była to farsa, gdy się patrzyło na te tysiące biednych istot, które czuły potrzebę łączenia się w stada, by „myśleć swobodnie.“ To prawda, że ich swoboda myśli polegała na tem, by krępować wolność myślenia innych w imię Rozumu.

„Państwo republikańskie sprzyjało i zachęcało do szpiegostwa świętego tych jezuitów Rozumu, którzy teroryzowali armię, uniwersytet, wszelkie dziedziny władzy państwowej — nie spostrzegając, że oni, pozornie służąc mu, starali się je zastąpić i że w ten sposób zmierzało ono powoli do teokracji ateistycznej.“

Religia Rozumu była tu rodzajem obłądki. Dotknięci nim byli zarówno najgłupszy, jak i najinteligentniejszy, tak dobrze „podweterynarze“ Izby, jak i najbardziej światłe umysły uniwersytetu. Rozmowy z tymi szaleńcami rozumującymi wstrząsnęły wyobrażeniami Krzysztofa o Francji. Wierzył on, zgodnie z pojęciami bieżącymi, że Francuzi są narodem zrównoważonym, towarzyskim, tolerancyjnym, miłującym swobodę. Tymczasem znajdował tu maniaków idej abstrakcyjnych, chorych na logikę, zawsze goto-

wych poświęcić innym i siebie samych jednemu ze swoich syllogizmów. Rozprawiali oni wciąż o wolności, nikt wszakże nie był mniej stworzony do zrozumienia jej i tolerowania. Nigdzie nie spotykało się charakterów tak na zimno, okrutnie despotycznych, i to z powodu namiętności intelektualnej, z namiętności posiadania zawsze racji. Krzysztofowi przychodziło nieraz wobec tego wszystkiego na myśl, że to szczęście jeszcze, że naród taki żyje w Rzeczypospolitej — co sprawiało, iż wszyscy ci mali despoci wzajemnie się unicestwiali. Gdyby jednak jeden z nich stał się cesarzem albo królem—wówczas choć wyrzeknij się życia zupełnie. Nie wiedział wszakże, iż narodowi rezonerów pozostaje jedna cnota, którą się ratuje, jest nią — niekonsekwencja. Politycy francuscy aż nadto nią grzeszyli. „Despotyzm ich łagodził się anarchizmem—chwiali się oni nieustannie pomiędzy tymi dwoma biegunami. Gdy na lewo opierali się na fanatyków rozumu—na prawo wsparci byli o anarchistów myśli. Widziano zawsze dokoła nich roje dyletantów socjalistycznych, małych karyerowiczów, którzy wystrzegali się udziału w walce, gdy nie było jeszcze zwycięstwa, którzy szli w ślad za Wolną Myślą, a po każdym jej zwycięstwie rzucali się na łupy, zdobyte na zwyciężonych. To wcale nie dla sprawy rozumu pracowali jego bojownicy. Pracowali oni dla małych kosmopolitycznych „burżua,“ którzy deptali radośnie tradycje kraju i bynajmniej nie myśleli o tem, by zburzyć jedną wiarę, aby na jej miejsce wprowadzić inną, lecz o tem, żeby samych siebie, byt swój utwierdzić i nie być krępowanym przez nikogo.“

Zdając sobie sprawę z polityków radykalnych, Krzysztof w ten sposób ich określa: „Ludzie ci robili wrażenie wierzących w nowe społeczeństwo. Być może, wierzyli w nie kiedyś, teraz zaś w dalszym ciągu bawili się w wiarę, w istocie jednak myśleli tylko o tem, jakby żyć na szczątkach społeczeństwa umierającego. Wielkie interesy przyszłości były poświęcane egoizmowi chwili bieżącej. O brak inteligencji nie można było ich pomać: zdawano sobie dobrze sprawę, co należy robić; ale właśnie tego nie czyniono, kosztowałoby to bowiem sporo wysiłków, a do nich nie było się już zdolnym. Chciano życie własne i całego narodu urządzić bez większego trudu i poświęcenia. Od góry do dołu panowała ta sama moralność największej przyjemności, osiąganey najslabszym wysiłkiem. Ta niemoralna moralność była jedyną nicią przewodnią wśród chaosu politycznego, gdzie wodzowie dawali przykład anarchii, gdzie polityką niekonsekwentną uganiała się za dziesięcioma zajęciami jednocześnie,

tracąc wszystkich powoli z oczu, dyplomacya zaś wojownicza mogła istnieć obok pokojowego ministerjum wojny, gdzie ministrowie marynarki buntowali robotników arsenałów, gdzie się widziało oficerów dyletantów, sędziów dyletantów, rewolucjonistów i patriotów dyletantów. Demoralizacya polityczna powszechna. Każdy spodziewał się czegoś od państwa: stanowiska, orderu, pensyi, odszkodowania; państwo zaś w istocie dbało o swoją klientelę; wszędzie bezwzględna pogoń za zaszczytami bądź dochodami—wszędzie trwonienie wszelakich sił państwowych. A jako złowrogie echo przykładu idącego z góry—bojkot i niszczenie („sabotaż“) u dołu: nauczyciele uczący pogardy dla władzy i przeciwstawiania się ojczyźnie, urzędnicy pocztowi niszczący listy i telegramy, robotnicy fabryczni ciskający piasek do maszyneryj skomplikowanych, robotnicy arsenałów burzący arsenały—słowem potworne trwonienie pracy przez pracowników — niszczenie nie bogactw, lecz bogactw świata. Jako korona zaś tego dzieła — wybrańcy inteligencji usiłujący uzasadnić rozumowo i prawnie, to samobójstwo narodu całego w imię świętych praw jednostki ludzkiej do szczęścia.“

Krzysztof rozmyślał: „Francya jest upojona wolnością. Po długotrwałym szale — upadnie śmiertelnie pijana. Po przebudzeniu się — znajdzie się w kozie..“

II.

Powieść Rolland'a („Targowisko“), jak to można zdać sobie sprawę z powyższych przytoczeń, jest dziełem nawskroś krytycznym, analizującym nieubłaganie warunki moralne i polityczne życia współczesnej Francyi. Przez usta cudzoziemca wypowiada się tu niesłychanie całkowita i wrażliwa dusza Francuza, uświadamiającego sobie jasno chaos życia własnego społeczeństwa oraz przyczyny, które go wytwarzają. Na egoizm, moralność użycia, znieprawienie duchowe i wogóle na wszelkiego rodzaju zwyrodnienia klas wyższych i burżuazyjnych we Francyi zwraca wciąż uwagę powieściopisarstwo francuskie, dawniejsze i współczesne. Dość tu przypomnieć genialne obrazy „Komedyi Ludzkiej“ Balzac'a, odtwarzające zmateryalizowanie i upadek moralny za Ludwika Filipa; albo ponure sceny zwyrodnienia, kreślone brutalnie przez Zolę, na tle stosunków drugiego cesarstwa — wreszcie rzeczy współczesne—wstrętne grzebanie się w potwornościach życia

francuskiego, jakiegoś np. Mirbeau i t. p. Nie wychodząc z założenia fałszywej doktryny, nie lubując się w okropnościach wszelkich i zgniliznie dla niej samej, jak niekiedy Zola np., Mirbeau i wielu innych, R. Rolland zsumowuje tylko sumiennie wszelkie objawy rozluźnienia społecznego i upadku duchowego swego społeczeństwa, oświetlając całość ze stanowiska jednostki, głęboko wstrząśniętej przerażającym postępem złego, panowaniem jego w rozmaitych dziedzinach życia zbiorowego. Uderza go przede wszystkim oryentacja całości w kierunku użycia, któremu służy moralna i umysłowa kultura, sprzyja organizacja polityczna. Wszystko, co kieruje życiem mas, co wytwarza dla nich normy istnienia, wartości rzeczowe, moralne i umysłowe — wszystko to hołduje etyce przyjemności, tłumiącej aspiracje nieegoistyczne i poczucie odpowiedzialności. Na wszystkim znać to piętno charakterystyczne, to znamię epoki, zarówno na stosunkach prywatnych i towarzyskich, jak i w stosunkach publicznych, w dziedzinie wytwórczości duchowej i umysłowej.

Całokształt cywilizacji, literatura i sztuka, filozofia i religia, instytucje prywatne i społeczne — wszystko to, stojąc pod wpływem ducha użycia, obniża swój poziom, traci poczucie istotnego powołania swego, staje się środkiem do zaspokajania poziomych celów żywota ludzkiego. Życie samo zamienia się w olbrzymie targowisko cywilizacyjne, na które wszyscy śpieszą z chciwą żądzą zadość uczynienia swym widokom samolubnym — jedni w charakterze dostawców tego wszystkiego, czego zachcieć się tylko może, oddanej własnym przyjemnościom wyobraźni, w roli świadomych, obojętnie prostytuujących w tym celu myśl swoją i talent wytwórców, inni — w roli nigdy nienasyconych, łakomych na byle nowy kształt i smak spożywców. Wzajemne stosunki tych dwóch grup ludzkich, spotykających się wciąż ze sobą na wspólnym targowisku, określają się przede wszystkim zrzecznością i pomysłowością jednych, siłą kupczą — innych.

Zbyteczne tu są, dla ustalenia harmonii pomiędzy dwoma stronami, gruntowne i szczere usposobienie duszy, prawdziwie dodatnie wartości natury ludzkiej. Miłość i dobra wola, szczerłość myśli i podniosłość uczuć, ukochanie prawdy i piękna dla nich samych, bezinteresowne służenie im geniuszu ludzkiego — nie tu nie znaczą. Chodzi tu bowiem jednym o natychmiastowe powodzenie, o najkorzystniejsze sprzedanie własnych wyrobów, o handel słowem, innym zaś — o nabycie również łatwe tego wszystkiego, co dogadza ich potrzebom, schlebia próżności i za *minimum* wysiłku daje *maximum* użycia.

Obydwie strony przystosowują się do siebie na zasadach kupiecko-przemysłowych. Wierzę w twój rozum, talent, użyteczność, powiadają z jednej strony—gdy mi dostarczasz rzeczy ułatwiających mi życie przyjemne, dogadzających mojej potrzebie rozkoszy; służę ci wszelkimi władzami i uzdolnieniami ducha swego—odpowiadają z drugiej—jak długo mnie popierasz i zapewniasz powodzenie przed innymi; właściwie dbam tylko o to i niewiele mnie wzruszają wszelkie inne następstwa mojej działalności.

Atmosfera moralna tego rodzaju, panująca na owem targowisku cywilizacyi, prowadzi wszystkich do zatracenia istotnych wartości człowieka, znieprawia charaktery i dusze ludzkie, stwarza potworny gatunek rodzaju ludzkiego—wyrafinowanie zwyrodnionych barbarzyńców cywilizowanych—uwstecznionego w swych przyrodzonych przymiotach człowieka kultury współczesnej.

Tu już nie chodzi o tę lub inną psychopatyczną skłonność duszy dzisiejszych sfer cywilizowanych, o tę lub inną ohydę, płynącą z przerafinowanych nerwów i znieprawionej zmysłowości—tu chodzi o tego normalnego ducha, panującego w terażniejszych społeczeństwach cywilizowanych.

Ducha tego, analizując społeczeństwo własne, doskonale uchwycił R. Rolland. Składają się nań bezserdeczność, oschłość serc i chłodna obojętność myśli, brak głębszej dobroci w stosunkach międzyludzkich, brak żywszego zainteresowania się tem wszystkim, ludźmi i ich sprawami, co wykracza poza dziedzinę osobistego użycia, własnego pożytku i powodzenia. Ten bezduszny, cierpki i samolubny ton życia na łonie cywilizacyi współczesnej, o wiele większą jest plagą i hańbą czasów naszych, niż te lub inne chorobliwe zwyrodnienia intelektualne i zmysłowe pojedynczych jednostek. Ton ten nadaje charakter całokształtowi życia, jest jego równoważnikiem moralnym. Przenika on wszelkie sfery i stosunki, udziela się, jak zaraza, wszystkim, bez względu na stan i pochodzenie, odziera z prawdziwej, głębokiej poezyi zarówno życie biernych mas społeczeństwa, jak i jego świadomych, kierowniczych żywiołów. Kabotyni i anarchiści są pierwszoplanowymi postaciami na współczesnem targowisku cywilizacyi. Kabotyni myśli i uczuć, kuglarze i zamawiacze jarmarczni, umiejący puszczać w obieg jaknajfałszywszą monetę, oszałamiając ogół błyskotliwą gadaniną bez treści, czczymi wytworami ducha swego, pozbawionego wiary i sumienia. Anarchiści myśli i czynu, osobliwszego gatunku, bo również w nic nie wierzący, ziemni

i sceptyczni, gotowi jednak do wykonywania najgorszych gwałtów na ciałach i duszach ludzkich — w imię rozumu i wolności.

W rezultacie dyletantyzm uczuciowy i umysłowy, nieodpowiedzialny za nic i za nikogo, chaos i bezduszość życia, w którym wiarę żywą zastąpił fanatyzm rozumujący, siłę zaś istotną — gwałt i przeczenie.

Obraz współczesnej cywilizacji francuskiej, skreślony w książce Roland'a, może grzeszyć niekiedy zbytnią jaskrawością barw, gdy chodzi o szczegóły — w ogólnym wszakże swoim zarysie jest zgodny z rzeczywistością, w związku, nad wyraz wymownej postaci przedstawia tę prawdę o Francji dzisiejszej, którą różnorodność jej życia bieżącego aż nadto potwierdza.

Ale, czyż w tym opłakanym obrazie zawarta została cała Francja współczesna, czy wszelkie jej siły i czynniki życia narodowego są do tego stopnia znieprawione, wszelkie źródła tak zatrute? Tak nie jest. Jan Krzysztof, spotykając się wciąż na bruku paryskim z Francją kabotynów i dyletantów, aferzystów politycznych i anarchistów duchowych, nie chce uwierzyć, żeby nie było innej, lepszej Francji. „Francja, to my“ — zapewnia go międzynarodowy S. Kohn, Jan Krzysztof wszakże uparczywie przeczy temu i powiada: „to nie może być.“ Wierzy on w istnienie lepszej Francji, jak wierzy w nią autor „Targowiska“, jest ona jednak ukryta przed wzrokiem cudzoziemca, a przynajmniej nie rzuca się odrazu w oczy każdemu, jak ta, co króluje na targowisku współczesnej cywilizacji, którą się widzi zewsząd, z byle punktu globu ziemskiego, która też cywilizację swoją narzuca innym społeczeństwom. Głównie tę Francję odtwarzał w obrazie swoim R. Rolland. To samo, z małemi zmianami, można powiedzieć dzisiaj o wszelkiem innem społeczeństwie cywilizowanym, takie same bowiem „targowiska cywilizacji“, z taką samą próżnią i zgnilizną ducha oraz błyskotliwością zewnętrzną znajdują się poza Paryżem, tym wielkim Karawan-Serajem kultury kosmopolitycznej. Pomijając to, co się tyczy wyłącznie cywilizacji francuskiej w jej obecnym stanie, książka R. Rolland'a posiada znaczenie o wiele szersze, pozwala bowiem objąć jednym rzutem oka wogóle cywilizację współczesną, zdać sobie sprawę z jej znamienych właściwości, odczuć jej ton zasadniczy, jej kierunek i postać najbardziej rozpowszechnioną.

SZKOŁY POD BRONIA.

I.

W ostatnich dwudziestu pięciu latach w Anglii, dzięki inicyatywie osób prywatnych, przeważnie dawnych wojskowych, po opuszczeniu służby czynnej związanych ze szkolnictwem miejscowym w charakterze członków rad opiekuńczych poszczególnych zakładów naukowych, do większych szkół publicznych wprowadzoną została musztra, umięjętność robienia bronią i strzelanie do celu. Ćwiczenia te jednak nie były obowiązkowymi i, jako takie, odbywały się poza rozkładem godzin szkolnych dla życzących, w sali gimnastycznej zimą, a wiosną i w jesieni na podwórze szkolnem pod kierunkiem instruktorów, wybranych z pomiędzy pozasłużbowych podoficerów armii J. K. M. Oddziały takie, złożone z ochotników, nosiły nazwę korpusów kadeckich (*Cadet Corps*); niektóre z nich posiadały umundurowanie wojskowe i karabiny starego typu. Właściwego ich początku szukać należy w przymusowym odbywaniu ćwiczeń na komendę, stosowanem często w szkołach angielskich tytułem kary za mniejsze przekroczenia dyscypliny szkolnej¹⁾: z tych właśnie, że się tak wyrazić można, „oddziałów karnych“ (*defaulters'-drill squads*) powstały z czasem ochotnicze „korpusy kadetów“, zorganizowane na wzór wojskowy.

W jednej ze swoich najlepszych powieści z życia młodzieży i dla młodzieży pisanych (*Stalky and Co*), którą narówni z „*Kim'em*“ na pierwszym miejscu w twórczości autora postawić należy, skreślił Rudyard Kipling w żywych barwach powstanie i rozwój ta-

¹⁾ Por. B. Bouffal, *Szkolnictwo średnie w Anglii, 1908, str. 48.*

kiego „korpusu kadetów“ w jednej ze szkół na zachodnim wybrzeżu Irlandyi, a następnie doszczętne jego rozbicie skutkiem całego szeregu niewłaściwości, popełnionych przez tych, którzy w najlepszej wierze usiłovali popierać myśl pułkownika Collingtona, wcieloną w życie w porozumieniu się z przełożonym szkoły. I rzeczywiście, pozbawione legalnej podstawy istnienia tudzież wszelkiej egzekutywy i przymusu względem opornych, zależne w zupełności od kaprysu założycieli i od fantazyi samych chłopców, oddziały takie rozpadały się najczęściej w bardzo krótkim czasie po zawiązaniu się, i sprawa „uwojskowania“ młodzieży szkolnej stała przez czas dłuższy na martwym punkcie.

Znane słowa cesarza Wilhelma, że przyszłość Niemiec leży na wodzie, w związku z poważnem zbrojeniem się tego państwa na morzu, dzięki czemu nadwyrężoną została zasada, iż flota angielska musi być silniejszą od połączonych flot dwóch najsilniejszych po Anglii potęg morskich, a także obudzenie się i rozwój imperyalizmu po tamtej stronie kanału wywołały przewrót w zapatrywaniu się opinii publicznej w Anglii na sprawę ćwiczeń wojskowych dla młodzieży. W roku 1899 powstało w Londynie „Stowarzyszenie musztry wojskowej dla młodzieży“ (*Lads' Drill Association*), obecnie od roku 1906 wcielone do pozostającej pod przewodnictwem feldmarszałka lorda Roberta „Ligi Służby Narodowej“ (*National Service League*), założonej w celu propagowania w szerokich kołach społeczeństwa idei powszechnej obowiązkowej służby wojskowej. W tym zakresie program „Ligi“ zgadzał się w zupełności z celami, jakie sobie postawiło „Stowarzyszenie“, które przez siedem lat prowadziło skutecznie propagandę nieodzownego przygotowania do służby wojskowej całej młodzieży angielskiej w wieku szkolnym, w tem przekonaniu, że młodzież ta w razie niebezpieczeństwa dobrowolnie ofiaruje swoje usługi zagrożonej ojczyźnie. Właściwym kierownikiem stowarzyszenia i honorowym jego sekretarzem został pułkownik W. Elliot, dzisiaj jeden z najczynniejszych członków „Ligi“, maż niezwykłej energii i żelaznej pracowitości, którego piszący te słowa miał sposobność poznać osobiście podczas swego ostatniego pobytu w Londynie i obserwować przy robocie.¹⁾

¹⁾ Autor niniejszego artykułu podczas ostatniego pobytu swego w Anglii latem roku zeszłego badał organizację i działalność angielskich związków młodzieży (w tej liczbie i t. zw. *B-P. Scouts*ów) i miał sposobność zaznajomienia się na miejscu z reformami, jakie w ostatnich dwóch latach pod wpływem rozbudzonego ducha narodowego do organizacji szkolnictwa angielskiego wprowadzone zostały.

Bezpośredniem zadaniem „Ligi Służby Narodowej“ (*National Service League*) jest przekonanie opinii publicznej, że jak pierwszym obowiązkiem każdego obywatela powinna być obrona ojczyzny w razie niebezpieczeństwa narodowego, tak należyte spełnienie tego obowiązku wymaga koniecznie uprzedniego przygotowania fachowego podczas pokoju. Wynika stąd, jako cel ostateczny, nieodzowność zorganizowania w Anglii powszechnej służby wojskowej. Zanim to jednak nastąpi w drodze uchwały parlamentu, należy koniecznie pomyśleć o podniesieniu zarówno fizycznego, jak i moralnego zdrowia narodu, co, po pierwsze, pozwoli zwiększyć odpowiednio jego sprawność przemysłową, a po drugie, zapewni spokój i bezpieczeństwo całemu państwu przez odpowiednią organizację sił narodowych, uniemożliwiającą ewentualność najazdu nieprzyjacielskiego.

Organizacja taka wymaga poważnych ofiar ze strony społeczeństwa, ale jeszcze „wielki starzec“ (Gladstone) powiedział, że przywileje wolności nie dadzą się pomyśleć bez odpowiednich obowiązków, mających na celu przede wszystkim wytworzenie charakteru narodowego, stanowiącego najpiękniejszą ozdobę samej idei wolności.“ „Obrona kraju — zaznaczył słusznie dziesięć lat temu w Izbie gmin margrabia Salisbury — stanowi obowiązek nie ministerium wojny, ani też rządu, ale całego narodu,“ a myśl tę rozwinął w dalszym ciągu mr. Chamberlain, podkreślając na konferencji kolonialnej 1902 r., że „każda państwowość opierać się musi przede wszystkim na uświadomionej ofiarności całego narodu.“

Z tego więc względu Liga Służby Narodowej stawia dwa główne postulaty.

Po pierwsze, wszyscy młodzi ludzie w wieku od lat 18 do 21 bez różnicy pochodzenia i majątku, o ile tylko są zdolni pod względem fizycznym, winni być poddani jednorazowemu, nieprzerwanemu w przeciągu czterech miesięcy przygotowaniu wojskowemu do służby w piechocie z przedłużeniem tego terminu na dalsze dwa miesiące dla służby w innych rodzajach broni. To przygotowanie w przeciągu trzech lat następnych winno być uzupełnione odbyciem dwutygodniowych każdego roku ćwiczeń letnich w szeregach armii terytorialnej, stanowiącej obecnie, jak wiadomo, rezerwę czynnej armii angielskiej, i ukończeniem kursu strzelania do celu, uzupełnionego ćwiczeniami, przepisanimi przez odnośne ustawy wojskowe.

Po drugie, tak przygotowani do służby wojskowej obywatele, aż do ukończenia 30 lat życia, mogą być w razie potrzeby,

stwierdzonej przez uchwałę parlamentu, powołani do armii terytorjalnej i pozostawać w niej tak długo, jak tego wymagać będzie konieczność państwowa. A że w dodatku podług istniejących przepisów armia terytorjalna podlega mobilizacji tylko w razie wybuchu wojny, odbywanie zaś ćwiczeń podczas pokoju nie jest obowiązkiem, przeto Liga Służby Narodowej, uznając dzisiejszy stan rzeczy za niezadawalniący, dąży do tego, aby służba w szeregach armii terytorjalnej była powszechną i obowiązującą, co da możliwość odbywania ćwiczeń na większą skalę nie tylko po wybuchu wojny, ale także przed jej ogłoszeniem.

W związku z tym systemem i wobec tego, że skrócony termin służby w armii terytorjalnej możliwym jest o tyle, o ile chłopcy przed dojściem do lat 18 otrzymają już początki odpowiedniego przygotowania do oczekującej ich w późniejszym wieku służby wojskowej, Liga żąda również wprowadzenia do obowiązującego rozkładu zajęć w szkołach ćwiczeń fizycznych i wychowania wojskowego w możliwie szerokim zakresie. Nic więc dziwnego, że wobec wspólnych celów „Ligi“ i „Stowarzyszenia“ te dwie instytucje niebawem złąły się w jedną i dzięki odpowiednio rozwiniętej agitacji w tym kierunku w przeciągu ostatnich lat dziesięciu wprowadzenie do szkół angielskich komendy i musztry wojskowej w szeregu, plutonie i kompanii, względnie w batalionie, a także nauki robienia bronią i strzelania do celu zostało usankcjonowane na drodze prawnej.

Młodzież angielską w wieku szkolnym można podzielić na trzy odrębne grupy.

Do pierwszej grupy należą dzieci rodziców zamożnych, wychowujący się w wielkich, tak zwanych „publicznych“ szkołach, w znacznej części w internatach, i opuszczający szkołę w wieku lat 17 do 18 dla wstąpienia do uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych. Drugą kategorię stanowią uczniowie tak zw. szkół „dziennych“, t. j. dla przychodzących, i wychowawcy mniej zamożnych szkół z internatami, którzy, doszedłszy do lat 15-tu, przechodzą wprost z ławy szkolnej do zajęć praktycznych w handlu lub biurowości. Wreszcie trzecią i najliczniejszą kategorię stanowią uczniowie szkół elementarnych, ludowych, a więc chłopcy w wieku do lat 14, często nawet 13, idący wprost z ławy szkolnej do rzemiosła, warsztatu, sklepu lub kopalni. Grupy te, naturalnie, nie są ściśle zamknięte, gdyż dzięki umiejętnie przeprowadzonemu systemowi „wylławiania“ zdolniejszych uczniów ze szkół ludowych (t. zw. *capacity catching*), do szkół publicznych dostają się też często wychowawcy szkół elementarnych,

odznaczający się zdolnościami i pracowitością. Bądź co bądź przeważna liczba uczniów szkół ludowych musi już bardzo wczesnie myśleć o zarobkowaniu i dlatego też w młodym wieku kończy naukę.

Na początku bieżącego stulecia w Londynie i kilku większych miastach, dzięki staraniom *Lads' Drill Association*, zorganizowane zostały ze starszych wychowawców szkół ludowych t. zw. „bataliony kadetów“ (*Cadet battalions*), urządzone na wzór wojskowy i uzbrojone w stare karabiny, które im bezpłatnie dostarczyło ministerjum wojny, a dowodzący nimi oficerowie sprawili młodym szeregowcom umundurowanie wojskowe na własny koszt lub też za pieniądze, zebrane w drodze dobrowolnych składek i ofiar. Oczywiście, że organizacja tego rodzaju musiała przedstawiać szereg bardzo dotkliwych braków, a przede wszystkim nie mogła rozwijać się należycie ze względu na wysokie koszty, obciążające oficerów, poświęcających i tak swoją pracę i czas zupełnie bezinteresownie.

„Stowarzyszenie musztry wojskowej dla młodzieży“ zajęło się również pracą nad podniesieniem poziomu fizycznego wykształcenia w szkołach ludowych przez wprowadzenie specjalnych, wykwalifikowanych nauczycieli gimnastyki, a także przez opracowanie i przeprowadzenie w ministerjum oświaty nowego programu ćwiczeń fizycznych (*Model Course of Physical Training*), wprowadzonego do szkół ludowych w 1902 r., a zmienionego i uzupełnionego stosownie do najnowszych wymagań w 1904 r. Program ten obejmuje dziś zarówno musztrę wojskową, jak i robienie bronią, tak, że, zważywszy młody wiek chłopców i istnienie pozaszkolnych organizacyj dla starszych w rodzaju „Brygady chłopców“ (*Boys' Brigade*) lub „Brygady młodzieży chrześcijańskiej“ (*Church Lads' Brigade*), wybitni przedstawiciele Stowarzyszenia Służby Narodowej, jak np. pułkownik Elliot, uważają angielskich uczniów szkół ludowych za dostatecznie pod tym względem przygotowanych. Dla tego też zajęto się w ostatnich czasach bardzo gorliwie sprawą wprowadzenia do szkół elementarnych nauki strzelania do celu i, dzięki rozwiniętej pod tym względem agitacji w pismach i na zebraniach publicznych, liczne prywatne kluby strzeleckie i strzelnice wojskowe stanęły otworem dla uczniów szkół ludowych. W niektórych hrabstwach powstały nawet specjalne związki strzeleckie, jak np. *School Rifle Association* w Derbyshire i takie same stowarzyszenie w Lewisham w Surrey, niedaleko od Londynu.

Obecnie i nauka strzelania do celu została włączoną do obowiązkowego planu zajęć w szkołach ludowych, przyczem ze względu na trudność wynalezienia odpowiedniego terenu na strzelnicę, a także ze względu na słabsze mięśnie dzieci, wprowadzone zostały specjalne, miniaturowe sztucery, bijące tylko na dziesiątą część przepisanej ustawą wojskową odległości. Opinia publiczna wypowiada się jednak coraz bardziej za zorganizowaniem specjalnych oddziałów z uczniów szkół ludowych, na wzór owych założonych przed dziesięciu laty w Londynie batalionów kadetów, z tem jednak zastrzeżeniem, aby dowództwo nad nimi zostało powierzone nauczycielom, podoficerami zaś byli starsi chłopcy, którzy, już po opuszczeniu szkoły, pozostawaliby z korzyścią dla siebie jeszcze czas jakiś pod kierunkiem i kontrolą swoich dawnych zwierzchników.

Pozatem w wydawanem przez Ligę Służby Narodowej specjalnem piśmie *The Nation in Arms* (Naród pod bronią) podniesiono myśl wprowadzenia nauki strzelania do celu do szkół uzupełniających (*Continuation Schools*) wszelkiego typu, a to w ten sposób, aby na przyszłość subsydia rządowe były przyznawane tylko tym szkołom, które w rozkładzie zajęć zgodzą się na uwzględnienie pewnej ilości godzin na naukę strzelania.

Jeżeli w angielskich szkołach ludowych ćwiczenia wojskowe zostały już dziś wprowadzone w całym zakresie, a część młodzieży, przeważnie w większych miastach, zorganizowano nawet wojskowo w specjalne oddziały czy bataliony, to jeszcze więcej zrobiono pod tym względem dla wychowañców szkół publicznych, w których obecnie nie tylko istnieją dawne „korpusy kadetów“, złożone z chłopców od lat 12 do 18, lecz które same stały się poniekąd pepinjerami wielkich szkół wojskowych w Woolwich i Sandhurst.

Historya tej zamiany jest bardzo ciekawą i nauczającą. Pierwotne oddziały szkolne, noszące, jak wiadomo, nazwę korpusów kadetów, pozostawały w ścisłym związku z miejscowymi batalionami ochotniczymi (*Volunteer Corps*), a po rozwiązaniu tej organizacji (w dn. 1 kwietnia 1908 r.) i zamianie korpusu ochotniczego na armię terytoryalną (*Territorial Force*), stanowiącą w Anglii rodzaj kontynentalnej rezerwy, przyłączone zostały do jednostek bojowych tej nowej organizacji. Oficerów w korpusach kadetów mianuje minister wojny, amunicyę i karabiny daje rząd w stosunku 50% zapotrzebowania, druga zaś połowa wydatków tudzież kosztą kompletnego umundurowania wojskowego, urządzenia sali do ćwiczeń, utrzymania kadetów w obozie letnim i t. p.

obciążają te szkoły, przy których korpusy zostały zorganizowane. Ogólna liczba takich korpusów wynosi obecnie 126, dalszy ich rozwój odbywać się musi w powolnem tempie, albowiem ze względu na wysokie koszty założenia i utrzymania szkolnego korpusu kadetów na zbytek ten pozwolić sobie mogą tylko bardzo zamożne szkoły publiczne, a przede wszystkim historyczne „colleges“ w Eton, Harrow i Rugby.

II.

Już przed dziesięciu laty pułkownik Elliot, który całe życie poświęcił propagandzie idei „uwojskowania“ młodzieży angielskiej, nawoływał nie bez słuszności do oparcia systemu szkolnych korpusów kadetów na nowych podstawach. „Nie zapominajmy—pisał—że właśnie z wychowanców wielkich szkół publicznych rekrutuje się i rekrutować będzie większość przyszłych członków naszego korpusu oficerskiego. Trzeba więc myśleć o jaknajwcześniejszem przygotowaniu tych chłopców do ich przyszłego zawodu i nie dość uczyć ich tylko musztry w szeregu i plutonie, jak prostych żołnierzy.“

Nawoływanie do reformy nie pozostało bez echa. W lutym 1900 r. na dorocznej konferencji przełożonych wielkich szkół publicznych uchwalono większością 83 głosów przeciw 19 następującą wysoce znamiennej rezolucję. „W systematycznym dążeniu do stworzenia jednolitej organizacji obrony narodowej byłoby do życzenia, aby wszystkie jednostki *in statu pupillari* zarówno w uniwersytetach, jak i w publicznych szkołach średnich, starsze ponad lat 15 i zdolne do noszenia broni, mogły być odpowiednio zorganizowane dla nauki musztry wojskowej, taktyki i umiejętności obchodzenia się z bronią.“

W kilka miesięcy później na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Połączonej Służby Wojskowej (*Royal United Service Institution*) ówczesny przełożony największej i najznakomitszej szkoły publicznej w Eton pod Windsorem, dr. Warre, odczytał ciekawy referat „O stosunku publicznych szkół średnich do organizacji obrony narodowej.“ „Byłoby niewątpliwie pożądanem—pisał w nim—aby każdy wychowaniec publicznej szkoły średniej mógł w razie potrzeby zająć miejsce w szeregach armii. Na tem jednak nie można poprzestać. Trzeba iść jeszcze dalej, trzeba pomyśleć o przygotowaniu zawczasu kadrów kandydatów do sto-

pmi oficerskich z młodych ludzi, którzy nietylko byłiby do tego odpowiednio przygotowani, lecz w których od dzieciństwa wpajane byłyby moralne podstawy narodowej służby wojskowej.“

W uzupełnieniu swojego referatu dr. Warre przedstawił szczegółowo opracowany plan nauk z wprowadzeniem do obowiązującego rozkładu lekcji całego szeregu specjalnych przedmiotów, jak np. taktyki poszczególnych broni i ogólnej strategii, fortyfikacji i historii wojskowej, i plan ten po wyczerpującej dyskusji uzyskał aprobatę większości zebranych. W rok później wniosek d-ra Warre'a, odpowiednio zmodyfikowany, w redakcji „Stowarzyszenia musztry wojskowej dla młodzieży“, został złożony do Izby lordów przez lorda Frankfort de Montmorency w postaci t. zw. *Military Training (Schools and Cadets) Bill*, ale projekt ten nie zyskał uznania ówczesnego kierownika ministerium wojny i przez wnioskodawcę niebawem wycofany został. Wówczas dr. Warre, po porozumieniu się z feldmarszałkiem lordem Robertsem, i przełożonymi szkół w Bradfield (dr. Grey) i Clifton (dr. David) tudzież pułkownikiem Elliotem, jako sekretarzem *Lads' Drill Association*, przedstawił w 1906 r. nowemu ministrowi wojny W. Haldane, drugi referat w tej kwestyi, poczem dla rozpoznania sprawy została wybrana specjalna komisya parlamentarna pod przewodnictwem sir E. Ward'a. Dotychczas jeszcze rząd nie złożył odpowiedniego wniosku prawodawczego do Izby gmin, ale sprawa została załatwioną prowizorycznie w drodze rozporządzenia administracyjnego. W dn. 16 marca 1907 r. minister wojny ogłosił rozkaz do armii (*Army Order*), upoważniający do tworzenia, w myśl projektu d-ra Warre'a, zarówno w uniwersytetach, jak i w publicznych szkołach średnich, przygotowawczych korpusów oficerskich, czyli t. zw. *Officers training Corps*; rozkaz ten został uzupełniony specjalnymi przepisami, ogłoszonymi w dn. 1 października 1909 r.¹⁾

„Przygotowawczy korpus oficerski — czytamy w art. 1 tych przepisów — ma na celu dać młodzieży, uczącej się w szkołach i uniwersytetach, podstawy wykształcenia wojskowego dla przygotowania jej ewentualnie do otrzymania patentów oficerskich w specjalnej rezerwie oficerskiej albo też w Armii Terytoryalnej. Należy więc pamiętać o tem, że zadaniem każdego uniwersytetu i każdej szkoły, w których znajdzie się odpowiedni kontyngens

¹⁾ Zob. *Regulations for the Officers Training Corps issued with Army Orders dated 1st October 1909. London 1909.*

kadetów, powinno być dostarczenie jaknajwiększej ilości oficerów dla specjalnej rezerwy i Armii Terytoryalnej. Stopień przygotowania zawodowego będzie głównym względem miarodajnym przy rozstrzygnięciu kwestyi, czy przygotowawczy korpus oficerski, bądź jako całość, bądź w znaczeniu swych części składowych, przynosi odpowiednią korzyść ojczyźnie wzamian za koszta, które pociąga za sobą administracya i nauczanie.

„Młodzi ludzie, którzy przy staraniu się o patenty oficerskie w specjalnej rezerwie oficerów lub w Armii Terytoryalnej przedstawia odpowiednie świadectwa ze zdania egzaminów przygotowawczych, będą zwolnieni od odbywania niektórych ćwiczeń lub też egzaminów, obowiązkowych dla pozostałych kandydatów. Zapomocą ulg, stosowanych względem osób pragnących służyć ojczyźnie dobrowolnie z równoczesnem uwzględnieniem fachowych zajęć cywilnego życia, rząd J. K. M. spodziewa się powiększenia korpusu oficerskiego, tak, aby nietylko w razie mobilizacyi można było obsadzić bez trudności wszystkie stanowiska, lecz i aby prócz tego pozostała jeszcze pewna liczba młodszych oficerów do zastąpienia strat, które odrazu pociągnie za sobą wojna. Wartość wspomnianych świadectw polega na tem, że stanowiąc będą one dostateczną gwarancją odbycia ćwiczeń wojskowych w ciągu lat dwóch lub czterech, co daje możność przygotowania się do zajęcia młodszych stanowisk oficerskich.“

Przygotowawczy korpus oficerski składa się z dwóch oddziałów, młodszego (*junior Division*), w którego skład wchodzi oddziały, zorganizowane z wychowañców publicznych szkół średnich, i starszego (*senior Division*), złożonego z oddziałów młodzieży uniwersyteckiej. Zaznaczyć przytem należy, iż *Officers Training Corps* nie wchodzi w skład armii terytoryalnej, to jest rezerwy armii angielskiej, lecz tworzy w ministeryum wojny samodzielną organizacyę wojskową pod dowództwem specjalnie wyznaczonego oficera sztabu generalnego, który ma w swoim rozporządzeniu pewną ilość młodszych oficerów służby czynnej. Istniejące przy poszczególnych szkołach publicznych korpusy kadetów mogą przyłączyć się do młodszego oddziału przygotowawczego korpusu oficerskiego z zastrzeżeniem, aby ich wewnętrzna organizacya uległa jaknajmniejszej, o ile można, zmianie; korpus powinien posiadać jednakże conajmniej 30 kadetów w wieku nie mniej niż lat 15, którzy conajmniej od roku już odbywali ćwiczenia wojskowe. Kadet, zaliczony do przygotowawczego korpusu oficerskiego, może po dwóch latach służby przystąpić do zdawania egzaminów ze specjalnych przedmiotów woj-

skowych na tak zwane świadectwo A. Otrzymanie takiego świadectwa nie tylko uwalnia go od odbywania przedwstępnych ćwiczeń wojskowych dla otrzymania stopnia oficerskiego w armii terytoryalnej, lecz i przy zdawaniu egzaminu konkursowego do szkoły wojskowej w Woolwich i Sandhurst posiadacz świadectwa A otrzymuje 200 punktów dodatkowych i tym sposobem ma zapewnione starszeństwo przed innymi. Za każdego kadeta, który przesłuży w korpusie 12 miesięcy, rząd wypłaca szkole, z której pochodzi, sumę jednego funta (9 rb. 50 k.), za każdego zaś, który po otrzymaniu świadectwa A zostanie oficerem rezerwy lub armii terytoryalnej, szkoła otrzyma tytułem subsydyum 10 funtów, t. j. około stu rubli.

Te same prawidła stosują się i do oddziału starszego, w którego skład wchodzi wychowawcy uniwersytetów, przedewszystkiem studenci-kollegianci z Oxford i Cambridge. Różnica polega na tem, iż kadeci tacy mogą tworzyć oddziały innej broni, oprócz piechoty, a więc szwadrony konnicy,¹⁾ baterie artylerji, kompanie saperów i oddziały sanitarne, a po złożeniu odpowiednich egzaminów otrzymują t. zw. świadectwo B, dające im te same prawa wojskowe, co i poprzednie świadectwa, wydawane kadetom szkół średnich. Za każdą dobę, spędzoną w obozie, rząd wypłaca im po 3 szylingi (1 rb. 50 k.), a subsydyum, wypłacane uniwersytetom wynosi za służbę dwunastomiesięczną dwa funty, a w razie otrzymania patentu w rezerwie oficerskiej 20 funtów.

Broń i amunicję zarówno starszemu, jak i młodszemu oddziałowi, dostarcza bezpłatnie ministryum wojny; umundurowanie nie jest obowiązujące, w rzeczywistości zaś wszystkie korpusy posiadają własne mundury typu wojskowego, uważając za specjalny punkt honoru rywalizować pomiędzy sobą co do świetności zewnętrznego wyglądu. Każdy korpus prowadzi szczegółową kontrolę swoich wychowawców: przy opuszczeniu korpusu kadet otrzymuje wyciąg z listy stanu służby, kopia zaś tego wyciągu musi być przesłana do ministryum wojny, które tym sposobem utrzymuje ewidencję wszystkich kadetów w uniwersytetach i szkołach publicznych.

¹⁾ W czerwcu r. z. piszący te słowa miał sposobność być obecnym przy ćwiczeniach półszwadronu jazdy, złożonego ze studentów *Magdalen College* w Oxfordzie, i ćwiczenia te pod względem „zgrania się“ oddziału stały (z wyjątkiem zajazdów na ruchomej osi) mniej więcej na tym samym poziomie, co wzorowe ewolucje dwóch plutonów 21 pułku ułanów (cesarszowej Indji) na wielkim turnieju wojskowo-morskim w hippodromie Olympia w Londynie.

Zaznaczyć należy, że cała organizacja przygotowawczego korpusu oficerskiego w szkołach angielskich jest dobrowolną: ustawa zastrzega wyraźnie, że kadeci nie są obowiązani do odbywania służby i nie składają przysięgi. Nie wynika z tego bynajmniej, aby sam korpus nie posiadał podstawy prawnej, ale zależał od kaprysu czy fantazyi samych kadetów. Starsi kadeci, rekrutujący się ze studentów uniwersytetów, przy wstąpieniu do korpusu podpisują zobowiązanie, opracowane przez zwierzchność uniwersytecką, a zatwierdzone przez ministerium wojny. Zobowiązanie to zawiera warunki przyjęcia, określenie terminu służby, rodzaje kar dyscyplinarnych za przekroczenia służbowe i wszystko to, co okaże się koniecznem dla zapewnienia porządku i rozwoju samego kontyngensu, tudzież przepisy o subsydyach rządowych. Dla uczniów szkół publicznych warunki te układa zwierzchność szkolna, do której obowiązku należy przestrzeganie ułożonych przepisów. Do wstąpienia do korpusu wymaganiem jest przynajmniej ukończenie trzynastego roku życia.

Widzimy więc, że w publicznych szkołach średnich uwojskowanie młodzieży angielskiej trzeba uważać jako fakt dokonany. Uderza przytem fakt znamienny, że inicjatywa w tym kierunku wyszła, jak widzieliśmy, nie od rządu i nie ze sfer wojskowych, ale od ciała pedagogicznego, zorganizowanego od lat pięćdziesięciu w doroczne konferencye przełożonych szkół publicznych.

Traczej nieco przedstawia się sprawa wciągnięcia do organizacji wojskowej młodzieży, uczęszczającej do t. zw. szkół dziennych, czyli dla przychodzących, lub też kształcącej się w mniej zamożnych internatach: wychowawcy tych szkół opuszczają zakład naukowy bardzo wczesnie, bo zazwyczaj po ukończeniu lat 15 i przechodzą wprost z ławki szkolnej do biura lub do handlu. Jedną z poważnych trudności przy zaprowadzaniu korpusów kadetów w szkołach średnich stanowi związana ze stosunkowo bardzo wysokimi kosztami kwestya umundurowania i wyekwipowania oddziału. Praktyka dowiodła, że na zbytek taki pozwolić sobie mogą tylko bogate szkoły, w których koncentrują się dzieci zamożniejszych rodziców, i że wydatek ten stanowczo przechodzi możność olbrzymiej większości t. zw. szkół dziennych. Z tego względu na konferencyi przełożonych szkół tego typu w Cambridge w czerwcu 1900 r. poruszoną została sprawa porozumienia się z ministerium wojny co do wzięcia przez nie udziału w ogólnej organizacji obrony narodowej, wszakże bez obowiązkowego umundurowania wojskowego. W półtora roku później skutkiem wniosku specjalnej komisji, powołanej do zbadania tej sprawy, wy-

dany został w dniu 9 grudnia 1901 r. rozkaz dzienny (t. zw. *Cadet Gen. № 323*) do dowódców miejscowych oddziałów rezerwy armii (*Volunteer Corps*), upoważniający ich do peryodycznej inspekcji oddziałów kadetów w tych szkołach, które same o to do nich się zwróca, znoszący obowiązek umundurowania i wprowadzający pewne ułatwienia co do nabywania broni i amunicji od rządu. Pod tym ostatnim względem należy podkreślić rażącą niesprawiedliwość w traktowaniu szkół tego typu w porównaniu ze szkołami publicznymi. Podczas gdy tym ostatnim rząd dostarcza karabiny i amunicję w stosunku 50% rzeczywistej potrzeby, szkoły dzienne i nieuposażone otrzymują je tylko w stosunku 1 do 15, pomimo, że właśnie w tych szkołach kształcą się dzieci mniej zamożnych rodziców.

O ile w szkołach publicznych sprawa formowania oddziałów szkolnych stanęła odrazu na mocnych podstawach, o tyle w szkołach dziennych i nieuposażonych rzeczywistość nie odpowiedziała oczekiwaniom. Przyczyny tego zjawiska szukać wypada nietylko w słabem popieraniu tworzenia się oddziałów szkolnych przez rząd, ale i w pewnej obojętności, z jaką oddziały te traktują inspektorowie rezerwy, a to ze względu na to, że pomiędzy korpusem ochotników, to jest dzisiejszą armią terytoryalną a szkołami niema i nie może być ścisłego związku organicznego. W dodatku inspekcja wykonywana była niejednolicie, w każdej szkole przez innego oficera i bez ogólnej instrukcji. Dopiero w ostatnich czasach zaczęto myśleć o ujednostajnieniu inspekcji oddziałów wojskowych w szkołach tego typu, i na stanowisko głównego inspektora powołany został kilkakrotnie już wzmiankowany pułkownik Elliot. Zdaniem pułk. Elliot'a dla pomyślnego rozwoju korpusów kadetów w szkołach dziennych i nieuposażonych konieczną jest pomoc ze strony rządu w większym niż dotychczas zakresie, albowiem chociaż wszędzie daje się odczuć chęć i potrzeba tworzenia takich oddziałów, to jednak rzadko gdzie szkoły tego typu zdobyć się mogą na opędzenie własnymi siłami kosztów, związanych z ich organizacją i utrzymaniem.

Tak w ogólnych zarysach wygląda sprawa dzisiejszego „uwojskowania“ młodzieży szkolnej w Anglii. W przedstawieniu reform, jakie na tem polu po tamtej stronie kanału pod tym względem przeprowadzone zostały, staraliśmy się do końca pozostać w roli obiektywnego i bezstronnego sprawozdawcy, nie wdając się ani w podnoszenie, ani też w krytykę nowych prądów, naogół bardzo życzliwie, a nawet entuzjastycznie przyjętych przez poważny odłam angielskiej opinii publicznej.

Na takie stanowisko społeczeństwa angielskiego względem reform zainicjowanych i przeprowadzonych przez Ligę Służby Narodowej złożył się cały szereg czynników natury politycznej, a przede wszystkim zbliżająca się chwila nieuniknionego obrachunku z Niemcami, konieczność reorganizacji systemu obrony kraju przez wprowadzenie powszechnej służby wojskowej, niezbędne przygotowanie w tym kierunku opinii publicznej zapomocą odpowiedniej agitacji i stosowne urobienie przekonań i gustów młodego pokolenia.¹⁾ Dlatego też o ślepem naśladowaniu angielskich wzorów naturalnie nie może być mowy. Zamiarem naszym było tylko, wobec wzmoczonej ostatnimi czasy w prasie naszej agitacji pokojowej z nieustannem powoływaniem się na przykład Zachodu, zaznaczyć, że dążenia „pacyfistyczne“ w krajach kulturalnych nie są na szczęście tak ogólne i powszechne, za jakie je pragnęliby uważać nasi domorośli „twórcy pokoju.“

BRONISŁAW BOUFFAŁŁ.

¹⁾ W tym kierunku działa zresztą systematycznie współczesna szkoła angielska, wpajając w dzieci od kolebki niemal wzniosłe ideały patriotyczne i kult wojennej sławy Wielkiej Brytanii. Jako przykład niech świadczą wiersze, na których siedmioletnie dzieci uczą się poznawania liter. W elementarzu pod literą U widzimy narodową flagę angielską z biało-niebiesko-czerwonym krzyżem na czerwonym polu (t. zw. *Union Jack*), a obok niej wierszyk. „*U is our banner, which never shall lack—brave boys to defend it, our old Union Jack. Unconquered by foemen it sweeps with the breeze—the winds and the tempests o'er mightiest seas.*“ (U. to nasz sztandar, nasza stara flaga brytyjska, której nasi dzielni chłopcy zawsze bronąć będą. Niezwyciężona przez wrogów, powiewa na wietrze, wśród wichury i burz na pełnem morzu). Pod literą T widzimy portret Nelsona i czytamy wiersz następujący: „*T for Trafalgar, where Nelson was slain—a big British victory won on the main—T for our tars, who most gallantly gave—their lives, so that England's proud name might be safe.*“ (T to Trafalgar, gdzie zginął Nelson, wielkie zwycięstwo brytyjskie odniesione na morzu. T. to nasi marynarze, którzy dzielnie poświęcili swe życia dla ocalenia dumnego imienia Anglii). Jedną z najpopularniejszych książek dla dzieci w ubiegłym sezonie w Anglii był... podręcznik do bawienia się w ołowianych żołnierzy z uwzględnieniem zasadniczych prawideł taktyki wojskowej (*War Games for Boy Scouts. Gale and Polden Ltd. London*). A u nas—pewien odłam literatury stara się zożydzić w oczach dorastającego pokolenia wspomnienia naszej świetnej przeszłości bojowej, a „pedagogowie“ uważają za niepożądane dawanie dzieciom do rąk Sienkiewicza z obawy, aby chłopcy nie nabrali zamiłowania do „krwiożerczości.“

PIŚMIENNICTWO.

JÓZEF TRETIAK. *Bohdan Zaleski* do upadku powstania listopadowego 1802—1831. Życie i poezya. Karta z dziejów romantyzmu polskiego z 6-ciu rycinami. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej, 1911. Str. VIII + 500.

Autor monografii o Słowackim dał nam obecnie książkę o Zaleskim. Nie obejmuje ona wprawdzie całego życia i twórczości ukraińskiego słowika, kończy się bowiem na roku 1831, niemniej jednak zamyka najważniejszą i najistotniejszą epokę w twórczości Zaleskiego.

Poznajemy z tej książki dokładnie dzieciństwo i stosunki rodzinne poety, wpływ przyrody i pieśni ukraińskiej na umysł przyszłego twórcy „Rusalek“. Plastycznie występują tu lata szkolne, spędzone w towarzystwie Goszczyńskiego i Grabowskiego w szkole humańskiej. Autor nie zadowala się tylko rysowaniem portretu obranego poety, lecz podaje charakterystykę środowiska i maluje tło ówczesnego życia; taki naprzykład obraz szkoły humańskiej staje się bardzo ciekawym, interesującym ustępem z dziejów kultury i szkolnictwa polskiego na Ukrainie. Zainteresowanie czytelnika rośnie jeszcze bardziej w części II (Na Mazowszu 1820—1831). To już nie monografia Zaleskiego, ale prawdziwa, pełna treści „karta z dziejów romantyzmu polskiego.“ Poznajemy tutaj dokładnie nie tylko życie poety, jego stosunki z przyjaciółmi, jego miłość, jego marzenia na przyszłość, ale całe życie ówczesnej Warszawy w chwili dla historii literatury niezmiernie ważnej, w chwili, kiedy powstawał nieświadomy jeszcze ani siebie, ani swych celów romantyzm, kiedy krystalizowały się zwolna nowe pojęcia i sądy krytyczne, kiedy entuzjazm dla dzieł naj-

wybitniejszych romantyków ogarniał coraz szersze koła i w parze ze zwycięską krytyką romantyczną brał w niepodzielne władanie umysłowość polską z przed r. 1830. Ogarniamy cały prawie rozwój tej epoki, jesteśmy świadkami jej poczęcia i śledzić możemy w szczegółach pojedyncze ogniwa rozwojowe. Tyle co do części historycznej dzieła, jeszcze bardziej interesującą jest jej część literacka.

Pomimo monografij, poświęconych dotychczas Zaleskiemu, znaliśmy twórczość tego poety dość powierzchownie, wszelkie uogólnienia musiały się dlatego opierać na komunałach literackich. Tretiak pierwszy poddaje całą twórczość poety z tej epoki gruntownej i sumiennej analizie literackiej, przyczem nie cofa się przed ścisłym rozbiorem nawet drobnych wierszy, jeśli tylko zawierają coś godnego uwagi historyka literatury lub dostarczają rysów znamiennych dla charakterystyki poezyj Zaleskiego. Pod tym względem autor monografii, profesor literatury ruskiej w uniwersytecie jagiellońskim, posiada warunki dla tego rodzaju pracy wprost jedyne: doskonałą znajomość poezji ludowej małoruskiej i odnośnej literatury naukowej, co mu pozwala z wszelką ścisłością wyróżnić i oddzielić w poezji Zaleskiego pierwiastki czysto ludowe, ukraińskie od elementów napływowych, literacko-artystycznych. Dzięki temu, poznajemy, że na młodzieńczą twórczość Bohdana oddziaływa najpierw teoria i poezja Brodzińskiego, następnie utwory romantyczne obce, jak np. Schillera (*Des Mädchens Klage*, w „Ludmile“) Uhlanda (w „Luborze“), poety francuskiego K. H. Millevoye („Arab u mogiły konia“), które to utwory poznał poeta za pośrednictwem rosyjskiego przekładu Żukowskiego. Dowiadujemy się, że nawet tak głośna „Dumka hetmana Kosińskiego“ nie z dumy ukraińskiej wzięta, ale z historyi, że nie dla swego ukrainizmu zyskała rozgłos, ale dlatego, że „wysławiała współczesny ideał rycerza polskiego.“ „Specjalnie ukraińskiem w niej i kozackiem jest tylko tło krajobrazowe i historyczne, w pierwszej połowie dumki rozpostarte, a także pewna lotność i skoczność, które były wyrazem jednej ze stron temperamentu samego poety, ale naturze kozackiej dobrze odpowiadały.“ Prawdziwie ukraińskie pochodzenie posiada dopiero dumka „Nieszczęśliwa rodzina“, przerobiona z ukraińskiej dumy „Odjazd kozaka od rodziny“, którą poeta poznał prawdopodobnie ze zbioru Certelewa.

Przy tej sposobności dowiadujemy się poraz pierwszy, że forma dumek czy dum Bohdana niema nic wspólnego z właściwą dumą ukraińską, ale jest tem, co w poezji ludowej ukraińskiej

nazywa się pieśnią. „W pieśni melodya panuje nad myślą, w dumie myśl, słowo nad melodyą. Duma ukraińska nie ma podziału na strofy, lecz dzieli się na okresy logiczne, posiada w przeciwieństwie do pieśni melodyę mało rozwiniętą, a wiersze o rozmaitej długości i rzadko rymujące. Nowy, samodzielny okres w twórczości Zaleskiego zaczyna się, zdaniem autora, pod wpływem Mickiewicza. Dzięki niemu, Bohdan „poczuł dopiero siebie, swoją odrębność, swoje powołanie poetyckie“ i dał temu wyraz w swoim programowym niejako wierszu p. t. „Śpiew poety“ (1823). Teraz poeta, poczuwszy nowe skrzydła u ramion, poddaje artystycznej rewizji motywy dawniejsze lub tworzy rzeczy nawskroś oryginalne i nowe, jak „Wyjątek z rycerskiego rapsodu“ (Janusz Bieniawski), „Damian Wiśniowiecki“, a wreszcie przesłiczne „Rusałki“ (1828). W dłuższym rozbiorze tego utworu wykazuje autor, co jest w nim z kolorytu ukraińskiego, co z przeżyć własnej duszy, co z wpływów literackich. „Weszły tu i wspomnienia z czasów dzieciennych, i ukrainizm historyczny poety, i stosunek z Różą Żukowską, i wpływ pieśni ukraińskiej ludowej, a wreszcie romantyki niemieckiej“ (str. 397). „I tu spotykamy się z bardzo zajmującym faktem wpływu romantyki niemieckiej na poetę, który swój talent nazywał szczero-słowiańskim, który się chciał przejąć duchem mistycznego Bojana i być prawdziwym poetą słowiańskim. Romantyka niemiecka wobec tego Słowianina odegrała rolę prawdziwej rusałki, która go znęciła ku sobie powietrznością, lotnością swoich postaci, aby na jednym z najpiękniejszych utworów jego wycisnąć swoje piętno“ (str. 393). Z utworów romantyki niemieckiej, które wycisnęły na „Rusałkach“ piętno własne, wykazuje autor wpływ romansu Uhlanda „Die Elfe“ i romantycznego poematu Ernesta Schulzego „Die bezauberte Rose“, a pozatem pewne pokrewieństwo epilogu z utworem Schillera „Die Ideale“.

Praca prof. Tretiaka, pisana z dużą naukową sumiennością, choć nie pedantycznie, przynosi plon obfity i cenny, bardzo wiele kwestyj rozwiązuje ostatecznie i nazawsze, wiele rzeczy nie dostrzeżonych wydobywa na jaw, wiele mglistych i niejasnych należycie wyświeśla. Można by stawiać tylko pewne życzenia metodzie autora; chcielibyśmy widzieć w sposób bardziej zdecydowany zarysowane stanowisko i znaczenie Zaleskiego w rozwoju ówczesnej poezji, chcielibyśmy mieć wytłómaczenie tego względnie wielkiego rozgłosu, jakim jeszcze przed wyjściem „Rusałek“ cieszył się Zaleski, stawiany przez opinię ówczesną tuż obok Mickiewicza. Czy ta dobra opinia, czy ta sława były zupełnie zasłużone i uzasadnione, czy też źródła ich dopatrywać się należy

w tęsknocie za jakąś nową poezją, a w tem tak szybkim powodzeniu ukraińskiego słowika czy nie leży może coś z prawdziwości ukraińskiego przysłowia: „Ne rody sia krasnym, ale szczasnym?“ Chcielibyśmy następnie pewnego syntetycznego ujęcia przedstawionego okresu i śmielszej oceny estetycznej. Dzisiejsi historycy literatury pozostają jeszcze pod czarem „historycznej obiektywności“ z epoki pozytywizmu, sądy estetyczne wyrażają skapo i bardzo wstrzemięźliwie, nie chcąc podawać w podejrzenie swej przedmiotowości. Istoty rzeczy to nie zmienia, historyk literatury dokonywa subiektywnej oceny już przez sam wybór tematu. Przecież lichymi wierszokletami nikt dla celów historyczno-literackich się nie zajmuje!

Kompozycyi tego pod każdym względem wartościowego dzieła zarzucićby można brak skupienia około przedmiotu głównego i liczne dygresye historyczne. Podniósł to sam autor w przedmowie, mówiąc, że „szersze tło własną siłą wcisnęło się do pracy, rozsądziło pierwotnie nakreślone jej granice i rozmiary jej znacznie rozszerzyło.“ Zaszкодziło to kompozycyi i przejrzyścioci dzieła, ale znacznie pomnożyło nasze wiadomości o romantyzmie. Dzięki temu dowiadujemy się o wielu rzeczach ważnych i ciekawych (stosunki literackie w Warszawie, plany wydawnicze Grabowskiego i t. p.), dlatego też za ten świadomy błąd kompozycyjny możemy być tylko wdzięczni autorowi.

DR. E. KUCHARSKI.

JÓZEF BIELIŃSKI. *Szubrawcy w Wilnie* (1817 — 1822). Zarys historyczny. Wilno, 1910. Nakładem Korwina. Skład główny w księgarni „Kultura.“ Str. 242.

Dzieje „Towarzystwa Szubrawców“ stanowią ważną kartę w historii ziem litewsko-ruskich pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Lata, w których Towarzystwo rzeczzone rozwijało swą działalność, — to epoka największego rozbudzenia życia społecznego tej dzielnicy dawnej Rzplitej i najsilniejszego zarazem promieniowania górnego światła wiedzy, rozpalonego kochającymi dłońmi Czartoryskich i Śniadeckich. Po klęskach lat 1794 i 1795 i gorzkich zawodach stłumionej w zarodku myśli spiskowej na Litwie, po zgaszeniu ożywczego słońca napoleońskiego, co odtąd jeno w legendy tysiące rozpryśnięte żyć będzie w sercach tych biednych, lecz zawsze niedostępnych, zawsze dumnych świetnością dawną

i wielkich przeznaczeń wiarą; po całym tem burzliwym, bólem i zawodami nasiąkłem dwudziestoleciu, przyszły lata względnego spokoju, chwile rozrachowania wzajemnego błędów i przewinień. W tem społeczeństwie z gruntu zdrowem i w pełni sił żywotnych, obudziło się teraz naturalne pragnienie otrząśnięcia ze siebie namułu przesądów, fałszywych wyobrażeń, wszelakiego brudu, kałającego dusze obywateli, wszelkich poniżających godność ludzką śmieszności i szkodliwych manij.

Taką, właściwie mówiąc, była geneza „Towarzystwa Szubrawców“, z powodów mniej lub więcej przypadkowych zorganizowanego następnie w związek bardziej ściśły. Towarzystwo Szubrawców powstało w gronie najwybitniejszej inteligencji wileńskiej i litewskiej, ludzi dojrzałych o pewnym, wyrobionym już poglądzie na rzeczy publiczne i stąd przeważnie niechętnych nowym hasłom i prądom, nurtującym serca i umysły młodzieży. Opierając się wyłącznie na „szkiełku i oku“, wierzyli Szubrawcy w niezłomną potęgę rozumu, w nim jedynie upatrywali źródło odrodzenia duchowego. Orężem dla nich nie były też płomienne ody lub gorące odezwy do zerwania więzi owoczesnych przesądów, lecz jaskrawa karykatura, zapożyczona nieraz z Zachodu, a ukazująca całą brzydotę i śmieszność potępienia godnych objawów życia. Jak w zwierciadle wypukłym odbijają się w wydawanych przez Szubrawców „Wiadomościach Brukowych“ wszystkie wady i niedomagania społeczeństwa; jest też owo czasopismo ważnem dokumentem przeszłości, aczkolwiek nie może być oczywiście braniem całkiem na seryo. Skądinąd wszakże nie należy oskarżać Szubrawców za zbytnią karykaturalność przedstawienia; chciano leczyć środkami heroicznymi i jeśli ta metoda nie zawsze okazała się skuteczną, kto wie jednak czy nie była wówczas najwłaściwszą, skoro chodziło o naprawę zbroczeń społecznych i obyczajowych przez ostre, piekące tychże karcenie. Nie polegała przytem akcja Szubrawców wyłącznie na walce papierowej, były w ich działalności niektóre próby podjęcia zupełnie realnej pracy dla dobra kraju, próby, jak wiele innych poczynań obywatelskich, udaremnione przez czynniki zewnętrzne.

Towarzystwo Szubrawców, pomimo pewnych istotnych błędów, z których największym jest bodaj niedostateczne zrozumienie i odczucie ducha nowej epoki, zapisało się żywotnie i wyraziście w dziejach tych lat wyjątkowych dla literatury polskiej i życia litewskiego.

We wstępie do swej książki p. Bieliński ubolewa nad brakiem źródeł do dziejów Towarzystwa Szubrawców i wylicza prace

Chmielowskiego, Ottmanna i Hordyńskiego, które były temu przedmiotowi poświęcone i na których podstawie zamierza oprzeć swój zarys. Przyznając w zupełności słusznosc twierdzeniu o niedostateczności materyałów, dotyczących Szubrawców, winniśmy wszakże odrazu zauważyć, iż autor nie poczynił ze swej strony starań w celu pozyskania nowych przyczynków, pominął wiele rzeczy znanych powszechnie, a nadto, co wręcz jest szczególnem, nie zna niektórych *cytowanych* przez siebie opracowań i dokumentów.

Tak pominięte zostały w omawianej książce: dokumenty do historii Szubrawców przechowywane w Bibliotece Jagiellońskiej (korzystał z nich wprawdzie Hordyński, lecz wielu nie zużytkował, np. niektórych mów, korespondencji ze Stanisławem Worcellem w sprawie utworzenia filii Towarzystwa Szubrawców w Krzemieńcu i t. d. por. recenzję dziełka Hordyńskiego w „Tygodniku Illustr.“ z 1883 r. № 4); w Muzeum ks. Czartoryskich, w Bibliotece Ord. hr. Zamoyskich; akta śledcze w sprawie Towarzystwa Szubrawców z 1823—24 r.; papiery szubrawskie Michała Palińskiego (w posiadaniu rodziny), Jana Chodźki i Szymona Żukowskiego; obszerny, niezwykle z wielu względów interesujący pamiętnik Józefa Karczewskiego, sekretarza Towarzystwa; pamiętniki doktora Stanisława Morawskiego. Nie uwzględniono ważnego życiorysu Michała Balińskiego, skreślonego przez Leona Rogalskiego w „Tygodniku Ilustrowanym“ z 1864 r. №№ 227 i 228; artykułu o Szubrawcach przez Wincentego Korotyńskiego w „Kraju“ petersburskim z 1894 r.; korespondencji urzędowej z lat 1824—28 w sprawie należenia do Towarzystwa Szubrawców Bułharyna, Grecza, Lelewela, Kontryma, zawierającej przytem pogląd na to stowarzyszenie Nowosilcowa i sfer rządowych rosyjskich (N. Dubrowin: „Piśna główniejszych diejatielej w carstw. imp. Aleksandra I,“ Petersburg, 1883, str. 399 i nast., oraz „Russkaja Starina“ z 1903 r., t. 116). Opracowania kompilacyjne Kazimierza Bartoszewicza („Księgi humoru polskiego“) i Henryka Gallego („Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej“) pomijamy.

Że p. B. nie znał artykułu Ottmanna (w „Reformie“ krakowskiej z 1882 r. i „Tygodniku Ilustrowanym“ t. r.), aczkolwiek nieraz go cytuje, mamy dowód między innymi w tem, że szczegóły dostarczone przez Ottmanna p. B. przytacza nie bezpośrednio z „Reformy“ lub „Tygodnika,“ lecz z cytaty pomieszczonej u Hordyńskiego (por. np. str. 75 omawianej książki); tak samo, jak się to okaże w dalszym ciągu naszego wywodu, p. B. nie zna rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej № 3086 (papiery szubrawskie Balińskiego), chociaż również go cytuje, biorąc odpowiednie wiadomo-

ści z rękopisów po Balińskim od Hordyńskiego, który manuskrypty te badał.

O pobudkach do zawiązania Towarzystwa Szubrawców p. B. wie bardzo mało; oprócz relacyj znanych powszechnie, gdyż przez samych Szubrawców ogłoszonych, istnieje wiadomość zapisana przez doktora Stanisława Morawskiego, którą podamy na innem miejscu; oraz ciekawa wersja księdza Michała Bobrowskiego p. t. „Powód do wydawania Brukowych Wiadomości,“ pomieszczona na okładce egzemplarza tego czasopisma, znajdującego się w Bibliotece Ord. hr. Zamoyskich, a przedrukowana z drobnymi zmianami w artykule A. Kraushara p. t. „Znachor“ (Warszawa, 1903, str. 5—6).

Autor omawianej książki twierdzi na str. 6, że członkowie Towarzystwa „nazwali się Szubrawcami, co miało według nich oznaczać: ludzi skromnych i ubogich pod względem uzdolnienia literackiego i zasług społecznych“; zaraz wszakże na stronie następnej pisze, iż „nie wiadomo napewno, czy oni sami przybrali sobie ironiczną nazwę Szubrawców, czy też... nadane *ono (!)* zostało dla szykany,“ zresztą, konkluduje p. B., „rzecz to podrzędnej wagi.“ Nie godząc się zasadniczo na takie, zbyt łatwe rozstrzygnięcie tej kwestyi (podane zresztą najdosłowniej, nawet z zaznaczonym wyżej błędem gramatycznym za Chmielowskim, „Tyg. Ill.“ 1878, V, 19), zauważymy, iż w pismach szubrawskich, pomieszczonych w „Wiadomościach Brukowych“ i „Dzienniku Wileńskim“ niejednokrotnie znajdujemy odmienne i bliższe, jak się zdaje, prawdy objaśnienia wyrazu „Szubrawiec.“

Rozdział pierwszy książki p. B. ma zobrazować „stan polityczny, społeczny i umysłowy kraju za czasów Szubrawców.“ Jest to pobieżne streszczenie niektórych rozdziałów z dzieła prof. Askenazego o „Łukaszańskim,“ prof. Smolki o „Polityce Lubeckiej“ i ks. Załęskiego o „Masonii w Polsce,“ nie wolne przytem od błędów faktycznych. Zaraz na wstępie czytamy: „Przez pierwszy rozbiór Rzplitej dostały się pod panowanie Katarzyny województwa Białoruskie i Ruskie. Wcielając do swego państwa te prowincye, rozkazała Katarzyna, aby chłopci unicy powrócili do wiary swych ojców, to jest aby zostali prawosławnymi“ i t. d. Otóż na mocy traktatów podziałowych z 1772 r. zajęła Rosya z ziem Rzplitej województwo Inflanckie oraz w całości lub części województwa Białoruskie, województwo zaś Ruskie bynajmniej nie zostało objęte tym zaborem. Nie istnieje też z tego czasu żaden ukaz o przymusowem porzuceniu Unii przez chłopów, którzy dostali się wtedy pod berło Katarzyny.

W rozdziale drugim znajdujemy wyciągi z dzieła ks. Załęskiego o „Masonii w Polsce“ oraz niemal dosłowny przedruk „Kodeksu szubrawskiego.“ Wypisy z Załęskiego mają na celu uwydatnienie odrazu rzucającego się w oczy podobieństwa obrzędowości wolnomularskiej i szubrawskiej.

Autor pisze (str. 38), iż „przed 18 czerwca 1817 roku utworzył się Komitet pod prezydencją Kazimierza Strawińskiego, który (t. j. Komitet p. r.) się zajął ułożeniem Kodeksu Szubrawskiego,“ tymczasem dokładna data utworzenia tego Komitetu, 29 kwietnia 1817 r., powinna być znaną p. B., jeżeli istotnie badał rękopisy po Balińskim w Bibliotece Jagiellońskiej lub przeglądał prace Ottmanna. Jak się okazuje, nie znał p. B. ani interesującego brulionu Kodeksu, pisanego ręką Balińskiego (z poprawkami Kontryma, autora „największej części“ Kodeksu) i zawierającej w pierwotnej redakcyi nie XVI lecz XVII prawideł (prawidło XIV-te opuszczone następnie w ostatecznej redakcyi brzmi: „Towarzystwo pod żadnym pretekstem rozwiązać się nie może przed skończeniem roku prenumeratorskiego, chyba ważne będą temu przyczyny“), ani odpisów w archiwum ks. Czartoryskich; nadto mamy jeszcze wiadomość o istnieniu w prywatnem posiadaniu rękopiśmiennego Kodeksu z ciekawemi jakoby uwagami na marginesach. Mówiąc o przedrukach Kodeksu warto też było wymienić niektóre czasopisma, np. „Rozmaitości warszawskie“ z 1818 r. № 37 i dalsze, oraz w szczególności „Russkij Inwalid“ z 1818 r. № 186 i nast. Nie wspomina też p. B. o tem, że nazwiska bożków litewskich, które przybierane były przez członków Towarzystwa, czerpano z bałamutnej mitologii Jana Łasicckiego p. t. „De Diis Samogitarum,“ wydanej jeszcze w XVI wieku, a przekładanej podówczas przez Adama Rogalskiego, prawdopodobnie Szubrawca, późniejszego redaktora „Bałamuta“ petersburskiego, czasopisma satyrycznego zbliżonego do „Wiadomości Brukowych.“ Co do organu Szubrawców, to pomimo całego dlań szacunku nie możemy się zgodzić ze zdaniem p. B., że „Wiadomości Brukowe“ pod względem typograficznym i gramatycznym stanowią niedościgniony, dla dzisiejszych szczególnie wydawnictw, wzór doskonałości.“

Na pytanie: kto należał do Towarzystwa Szubrawców, odpowiada p. B. w rozdziale następnym. Jak wiadomo, członkowie Towarzystwa dzielili się na czynnych, w Wilnie zamieszkałych, t. zw. Urbanów, oraz t. zw. Rustykanów pierwszego rzędu czyli honorowych, wreszcie Rustykanów drugiego rzędu, „nie mieszkających w Wilnie, lecz znakomitych oświeceniem i upodobaniem w naukach; albo... w tem mieście mieszkających, a nie mających

lat dostatecznych na Urbanów, a czyniących już nie obojętną nadzieję odznaczenia się w przyszłym czasie przez prace literackie.“ Ułożenie dziś pełnego spisu członków jest niemożliwe, można co najwyżej podać mniej więcej kompletną listę Urbanów, których miało być według Kodeksu czterdziestu. „Naszą ambicyą—pisze p. B.—było zebranie spisu Urbanów, i to się nam udało. Z różnych pewnych źródeł zebraliśmy 40 osób, z których jednych znamy z nazwisk rodowych, innych tylko szubrawskie imiona są nam znane.“ Tu następuje spis Szubrawców Urbanów. Pewność, z jaką p. B. mówi o wynikach swoich poszukiwań, nie wydaje się nam całkiem uzasadnioną. Kodeks szubrawski zastrzega wprawdzie, iż liczba Urbanów „ogranicza się do 40-tu,“ lecz to nie znaczy bynajmniej, aby tylu tylko Urbanów było w ciągu całego istnienia Towarzystwa; ogólna liczba tej kategorii członków musiała być zapewne większą.

Nie wiemy dokładnie, na podstawie jakich „pewnych źródeł“ ułożony został spis Urbanów, źródeł tych bowiem p. B. nie wymienia. Niewątpliwie jednak najobfitszego w tym względzie materiału dostarczyła praca Hordyńskiego; wszakże autor omawianej książki z nadmierną pewnością nazywa i takich Szubrawców Urbanami, którzy przez Hordyńskiego uznani byli bądź za Rustykanów (np. Ignacy Chodźko), bądź za członków o niewiadomych rangach w Towarzystwie (np. Dąbrowski, A. Sakowicz, Jan Szantyr). Szczegółowe rozpatrzenie spisu pomienionego wykracza poza ramy niniejszego sprawozdania. Najważniejsze luki i błędy są następujące. Opuśczone nazwiska: jednego z najwybitniejszych Szubrawców, profesora uniwersytetu wileńskiego, Szymona Żukowskiego, oraz prof. Oczapowskiego (prawdopodobnie Michała); natomiast Józefa Karzewskiego podano w spisie dwukrotnie. „Patelo“ (nie „Patela“) jest przezwiskiem szubrawskim Antoniego Marcinowskiego, „Sejmi“ zaś—Jana Rychtera; przezwiskiem Antoniego Goreckiego było „Warpu II,“ którą to nazwę mylnie przypisuje p. B.—Chomińskiemu. „Dzidzi Lado“ nie jest prawdopodobnie imioniskiem Lachnickiego (zwracał na to uwagę jeszcze Chmielowski, por. „Tyg. Ill.“ 1878 r., t. V, 19), któremu Ottmann przypisuje nazwę „Chaurirari“; Porcyanko miał zapewne przezwisko „Eskulap“; przezwisko Zana brzmi „Goniglis,“ nie „Guniglis,“ Niemczewskiego—„Kielu,“ nie „Kielus“; „Litwanis“ mogło być przezwiskiem Prędcawskiego lub Bułharyna; jest tu wogóle obszerne pole do dociekań. Cały szereg imion szubrawskich czytamy np. w nieznanej p. B. a drukowanej częściowo przez Ottmanna „Pieśni Bachiecznej,“ napisanej przez Balińskiego ku czci prezydenta Towarzystwa,

Jędrzeja Śniadeckiego. Autor „Szubrawców w Wilnie“ nie wie również o należeniu do Towarzystwa, w charakterze Rustykanów, Tadeusza Bułharyna i co najciekawsze słynnego pisarza rosyjskiego, Mikołaja Grecza; twierdzi natomiast, że Lelewel był Szubrawcem, wiadomość ta jest błędna, gdyż, jak się okazuje z poufnej korespondencji urzędowej, znakomity historyk do stowarzyszenia tego nie wstąpił.

Fakt należenia Mickiewicza do Towarzystwa Szubrawców uznany został przez p. B. za nieulegający żadnej wątpliwości. Jedynym argumentem jest w danym wypadku wyjątek z listu Maryli, w którym ona wspomina o „rozdziałkach,“ rzekomo przez Adama napisanych w „Wiadomościach Brukowych.“ W wydanych przez prof. Kallenbacha z archiwum Filomatów „Pismach“ Mickiewicza (wydawnictwo to p. B. znanem nie jest) znajdujemy wzmianki (str. 212 i 316) o napisanych przez autora „Dziadów“ do „Wiadomości Brukowych“ dwóch artykułach, które wszakże nie były drukowane. Pozornie zdawałoby się zatem mogło, że Mickiewicz sympatyzował z Szubrawcami. Było atoli przeciwnie. Dzieliła go od nich olbrzymia różnica dążeń ideowych; dał też temu wyraz w jednym z listów do Zana (z maja 1820 r. „Nieznanne pisma,“ str. 287), pisząc z powodu projektu zawiązania nowego Towarzystwa młodzieży: „Z Szubrawstwem łączyć się nie życzę, bo potem zaczną nas za łby wodzić, i na swój kopyt przebiją.“ Cóż więc znaczył wspomniany wyżej list Maryli? Otóż pismo to, na które zresztą nieraz już się powoływano, wystosowane było 2 lutego 1822 r. (p. B. podaje mylną datę 20 lutego 1821 r.) nie do Mickiewicza, lecz do Zana, a przynajmniej ustęp o „rozdziałkach“ w „Brukowcach“ pomieszczonych tylko Arcypromienistego dotyczy. Wystarczy przejrzeć styczniowe numery „Wiadomości Brukowych“ z 1822 r., aby się o tem przekonać. W №№ 266 i 267 znajdujemy „rozdziałki“ z całości zatytułowanej „Świat i miłość, czyli życie i dzieło moje,“ a tego utworu autorem, jak wiadomo, był Zan, piszący sentymentalne „rozdziałki“ à la Wawrzyniec Stern i nawet z tego powodu Vice-Sternem nazywany. Nie Mickiewicza zatem, lecz Tomasza Zana miała na myśli Maryla. Powyższa uwaga nasza ustala fakt współpracownictwa Zana w „Wiadomościach Brukowych.“

Twierdzenie p. B., jakoby „wszyscy“ Filomaci i Filareci (str. 75) byli Szubrawcami, nie wymaga specjalnego rozważania, gdyż jest zupełnie nieuzasadnione.

W dalszym ciągu uwag o członkach Towarzystwa rozpatruje p. B. kolejno atrybucye poszczególnych urzędników i dygnitarzy.

Na str. 76 zapewnia, że t. zw. fundatorem był „niezawodnie“ Kontrym i dalej pisze (str. 77): „ponieważ przyjęliśmy za pewnik, że Kontrym był fundatorem, przeto nie pozostaje nam nic nadto, jak tego dowieść.“ Pewniki wogóle dowodzenia nie wymagają, w danym zaś razie cały długi i mozolny wywód p. B. był zgoła zbyteczny i do błędnego prowadzący wniosek, gdyż według wiarogodnej relacji Leona Rogalskiego fundatorem był nie Kontrym, lecz Kazimierz Strawiński, marszałek powiatu trockiego, prezes Komitetu do ułożenia Kodeksu szubrawskiego.

Na str. 86 czytamy, że Jędrzejowi Śniadeckiemu ofiarowano w dniu imienin: „zbiór „Wiadomości Brukowych“ pięknie oprawnych, dzwonek, jaki najpiękniejszy w Wilnie znaleźć można“ oraz „piękną karafkę z *aqua fontis*,“ jako jeden z nieodzownych symbolów szubrawstwa. Dar karafki zaproponowany został przez Sejmięgo, t. j. Jana Rychtera, którego własnoręczny list w tej sprawie opatrzony właściwem jego nazwiskiem znajduje się w papierach po Michale Balińskim. Warto zaznaczyć, że przedmioty powyższe („Karafka, szklanka i tacka kryształowa“) po rozwiązaniu Towarzystwa Szubrawców „używane były do zgonu“ przez Jędrzeja Śniadeckiego, a następnie przez syna jego, Józefa, były ofiarowane (około 1856 r.) do Muzeum starożytności w Wilnie, skąd je usunięto w czasie ogólnego „porządkowania“ Muzeum w 1865 r. i przewieziono do Moskwy; jako powód konfiskaty wymienienia protokół opinię osławionego duchownego Antoniego Pszczółki, który twierdził, że Towarzystwo Szubrawców miało między innemi na celu „ośmieszanie rozporządzeń rządowych.“ (Por. Kirkor: „Katalog przedmiotów znajdujących się w Muzeum staroż. w Wilnie“ № 2920; „Dziennik zasiedań Kommissii dla razbora przedmiotów nachod. w wilen. Muzieje drewn.“ Wilno, 1865 r., str. 34; „Istoriczeskij Wiestnik“ 1886 r., t. XXV, 616).

Sekretarzem Towarzystwa był Józef Karczewski; wiadomości o nim p. B. są niezmiernie skąpe, nie zużytkowano bowiem obszernej jego biografii podanej przez Cz. Jankowskiego w „Powiecie Oszmiańskim.“ O nader ważnym i do historii Szubrawców pamiątniku rękopiśmiennym Karczewskiego wspominaliśmy wyżej.

„Redaktorem całego zbioru „Wiadomości Brukowe“ był Sejmi vulgo Antoni Marcinowski,“ pisze p. B. na str. 96. Jest to błąd. Przewisko „Sejmi“ należało do Jana Rychtera, który też był redaktorem „Wiadomości.“ Bobrowski we wzmiankowanej przez nas notatce o Szubrawcach pisze: „redakcyę i cały dochód oddano Richterowi dla jego wsparcia, kiedy przy małym funduszu pojął żonę, siostrę Marcinowskiej.“ Potwierdza to i Rogalski.

Marcinowski był czynnym współpracownikiem „Wiadomości,” jego pióra jest głośny artykuł w № 8 p. t. „Machina do bicia chłopów,” który, jak twierdzi Bobrowski, „tak się podobał, że do 3,000 egzemplarzy odbito tego numerku,” i był przedrukowany w „Russkim Inwalidzie,” co też podało powód zagranicznym gazetom do wytknięcia okrutnego postępowania z chłopami w Rosyi.“

Druka połowa książki p. Bielińskiego poświęcona jest działalności Szubrawców oraz ma na celu zapoznanie z ich poglądami na sprawę włościańską, żydowską, na duchowieństwo, wreszcie na stosunki i niedomagania szlachty. Ten najobszerniejszy dział książki nie jest wszakże opracowany przez autora samodzielnie, lecz składa się z dosłownych odpisów z prac Hordyńskiego i Chmielowskiego („Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi“ Warszawa, 1898, „Bibl. dzieł wybor.“ tom 21-y).

P. B. przepisuje całe strony z dzieł powyższych, daje te same cytaty, te same nawet powtarza przypisy i co najdziwniejsze, nie uważa za właściwe ani opatrzyć cudzysłowem ustępów *dosłownie* odpisanych, ani nawet wskazać źródeł podanych wiadomości. Tego rodzaju metoda pisarska niedopuszczalną jest w dziełach naukowych, jako obniżająca ich wartość i powagę. Nie możemy tu wchodzić w szczegółowe uzasadnienie niniejszej naszej uwagi, proste zresztą zestawienie odpowiednich stron u p. B. z dziełami powołanych pisarzy będzie zupełnem jej potwierdzeniem (por. np. u Bielińskiego str. 101—2, 105, 108—113, 118, 122, 180 i nast. i u Chmielowskiego str. 109—10, 112, 95—99, 129, 133—4, 82 i nast.; u Biel. str. 121—2, 131—144, 193—199 i u Hordyńskiego str. 55—6, 56—62, 69—73 i t. d.).

Cały ten dział książki, poza luźnemi uwagami drugo i trzeciorzędnego znaczenia, nie przynosi nic takiego, czegośmy nie znali z prac dotychczasowych. W rozdziale, poświęconym sprawie włościańskiej, nie uwzględniono też wielce ciekawego materiału „o zbieraniu przez Szubrawców chleba włościańskiego“ (niektóre dokumenty w tej kwestyi ogłosił niedawno Adam Wrzosek w dziele p. t. „Jędrzej Śniadecki“ Kraków, 1910, t. I, str. 271 i nast.); do sprawy tej, okazującej działalność Towarzystwa Szubrawców ze strony dotąd nieznaney, istnieją interesujące a niewyzyskane dotychczas źródła rękopiśmienne (Arch. ks. Czartoryskich i gdzieindziej). Mówiąc o stosunku Szubrawców do włościan, ani słowem p. B. nie wspomina o wielce charakterystycznym zapisie testamentowym dla włościan przez pierwszego prezydenta Towarzystwa, d-ra Jakóba Szymkiewicza. Do oryginalnych natomiast rozumowań autora na temat „sprawy włościańskiej“ nale-

żą następujące (str. 106—107): „Usiłowania ze strony szlachty polskiej, aby włościan uczynić obywatelami tej ziemi, którą uprawiali i której bronili od nieprzyjaciół—były bardzo nikłe... Cóż więc zrobił rząd polski (dla włościan *p. r.*)? Nic, absolutnie nic. Ci panowie (!), którzy układali ustawę 1791 roku... zapomnieli o istnieniu milionów niewolnych ludzi; a gdy na Ratuszu warszawskim zapisali się do księgi mieszczan, sądzili, że ich patryotyczna wycieczka (!) jest dostateczną ofiarą na ołtarzu ojczyzny... Ci wielcy politycy, o których rozumie szeroko się rozpisują i dawniej i dzisiaj, nie umieli skorzystać z ówczesnych okoliczności dzięki krótkowidztwu politycznemu i sobkowstwu. Przecież mieli przykład na Francyi bardzo wymowny, że chłopci francuscy, wolni, obronili swą ojczyznę od napaści całej Europy... Konstytucya 3-go maja zapomniiała o istnieniu chłopów...” i t. d.

Nie podejmujemy łatwego zadania obalenia wszystkich fałszów powyżej wyrażonych. Do podobnych sądów przyzwyczajeni dotychczas byliśmy jedynie w elukubracyach historyograficznych pruskich i rosyjskich, w dziele polskiem poraz pierwszy bodaj z podobnem spotykamy się rozumowaniem. I czujemy się dotknięci nie tylko sądem fałszywym i bałamutnym, krańcowo przeciwnym wynikom poważnych badań uczonych tej miary i zasługi, co prof. Balzer i prof. Korzon, ale nadewszystko razi nas niewymownie wysoce niewłaściwa, niby ironiczna forma w jakiej p. B. się odzywa o „tych panach“, ich „rozumie“ etc. „Ci panowie“ to Kołłątaj, Małachowski, Ignacy Potocki... Sądzić ich możemy najsurowiej, lecz lekceważyć nie wolno.

Nie zamierzamy też usprawiedliwiać czynów tych ludzi wobec potępień p. B., na jedną tylko pozwolimy sobie uwagę. „Ci panowie“ nie mogli mieć przykładu na Francyi i chłopach francuskich, obraniających ojczyznę, dla tej prostej przyczyny, że w chwili, gdy uchwalano w Polsce Konstytucyę majową, jeszcze się były nie rozpoczęły wojny koalicyjne; stanowisko wreszcie włościaństwa francuskiego wobec Rewolucyi jest kwestyą nader złożoną i nie może być rozstrzygnięte przez frazes wyjęty z broszury politycznej.

Ostatnie rozdziały książki mówią o klubie pijackim w Telszach (wiedzieliśmy już o nim z pamiętników Andrzeja Przytułowskiego, podobne stowarzyszenie istniało też w Wilnie pod nazwą bractwa Trębaczów, założone jakoby przez piwowara Hołubowicza, niegdyś trębacza pułkowego), o poglądach ludzi współczesnych na Szubrawców, wreszcie o zamknięciu Towarzystwa.

P. B. doszukuje się w ostatnim numerze „Wiadomości Brukowych“ aluzji do Platona Zubowa, które jakoby miały spowodować zawieszenie pisma i rozwiązanie Towarzystwa. Przypuszczenie to nie jest prawdopodobne, ponieważ ostatni numer „Wiadomości“ wyszedł 3 czerwca 1822 r., w parę miesięcy po śmierci Zubowa, nie mógł przeto zawierać wycieczek pod jego adresem. Rogalski twierdzi, że „Wiadomości“ przestały wychodzić „skutkiem pokątnych zabiegów ze strony ludzi mylnie upatrujących w nich pociski jakoby przeciw nim wymierzone.“ Władze rządowe z początku dość przychylnie zapatrywały się na Szubrawców; „Wiadomości Brukowe“ lubił czytywać gubernator Rymskij-Korsakow i „zaszczycał protekcją Szubrawców, przeciw którym powstawali panowie litewscy, urażeni za to, że niektóre artykuły wytykały ich nadużycia. Sam Arakczew kazał sobie po dwa numera przysyłać, a imperator Aleksander I w treści kazał (je) sobie komunikować dla rozerwania myśli i odpoczynku po ważnych interesach“ (Bobrowski). O samem zamknięciu czytamy w liście księgarza wileńskiego Ferdynanda Moritza do Franciszka Malewskiego z 22 czerwca 1822 r. co następuje: „Autentyczna wiadomość jest, że od 15-go tego miesiąca nie wychodzą więcej na świat *Brukowe Wiadomości*. Z góry zakazano!“

Do ostatecznego upadku Szubrawców przyczynił się bezpośrednio Nowosilcow, który w ich działalności upatrywał rzekome dążenia antypaństwowe. Towarzystwo Szubrawców, jak twierdzi Karczewski w swym pamiętniku, z którego obszerniejsze wyjątki na innem ogłosimy miejscu, „razem z Towarzystwem wspierania niedostatnich uczniów zostało zakryte, z tą różnicą, że tu nie znaleźli pieniędzy (kasę Tow. wspier. niedost. uczniów, któremu Nowosilcow „wmawiał tajemne cele kierowania młodzieżą uniwersytecką,“—skonfiskowano), tylko takie w protokółach koncepta i farse, że nie mieli śmiałości wdawać się w śledzenie, żeby się nie wystawić na pośmiewisko.“ Powoływano wszakże do badań niektórych Szubrawców; obszerne, blisko sto stron liczące akta w tej sprawie, zawierające nieznanne szczegóły o Towarzystwie i powodach jego zamknięcia, postaramy się z czasem ogłosić drukiem.

W dodatkach do omówionej książki znajdujemy krótką wiadomość o księdze szubrawskiej p. t. „Ordo Rusticanorum“ oraz kilka utworów wierszowanych bez poważniejszej wartości, przystem „mowa Pana Gurcho... miana na przyjęcie... Antoniego Goreckiego,“ ogłoszona tu jako nieznaną, w całości była drukowaną w „Dzienniku wileńskim“ z 1818 r., t. II, str. 382 i nast., wszystkie zaś inne wiersze częściowo zużytkował już Ottmann; nie ro-

zumiemy wreszcie w jakim celu umieszczono wypisy z papierów służbowych Strawińskiego z 1812 r., tej wagi bowiem dokumentów sporoby można przytoczyć i o innych Szubrawcach; jeśli zaś autorowi zależało specjalnie na dostarczeniu wiadomości o Strawińskim, w takim razie bardziej odpowiednim na tem miejscu, jako wyraz współczesnej opinii publicznej, byłby przedruk z „Kuryera Litewskiego“ podziękowania wyrażonego przez szlachtę trocką w 1820 r. Strawińskiemu „za jego gorliwe trudy w pełnieniu obowiązków swego urzędu... za jego staranną usilność jednoczenia umysłów... za jego wszystkie obywatelskie cnoty.“

Kończąc niniejsze uwagi krytyczne o książce p. B., musimy szczerze wyrazić ubolewanie, że dzieło to, powstałe ze szlachetnej inicjatywy i szczodrej ofiarności prywatnej, zarówno pod względem metody opracowania, jako też z powodu nader poważnych braków i niedokładności, nie stoi na poziomie dzisiejszych wymagań naukowych.

HENRYK MOŚCICKI.

ALEKSANDER WÓYCICKI. *Związek chłopski w Belgii i Holandyi.* Warszawa 1906. Księgarnia nakładowa M. Szczepkowskiego.

Autor opisuje zdumiewające wyniki, do których doszedł ruch ludowy rolny w Belgii i Holandyi. Przed kilkunastu laty jeszcze nieznanymi, dziś wytworzył on w dwóch silnych stowarzyszeniach, noszących jednakową nazwę—Boevenbund'u, czyli związku chłopskiego, potęgę ekonomiczną, z którą liczą się nie tylko rynki miejscowe, lecz nawet rządy obu państw. Przemysłowe te zrzeszenia noszą charakter chrześcijański, gdyż do powstania ich przyczynili się katolicy belgijscy i holenderscy.

W słowach, pełnych entuzjazmu, kreśli autor historię działalności księdza Mellaerts'a, twórcy belgijskiego Boevenbundu. Związek ten obejmuje wszystkie dziedziny życia włościańskiego. Zajmuje się kupnem i sprzedażą, ma szereg kas pożyczkowo-oszczędnościowych, obejmuje ubezpieczenie od ognia i na życie, posiada związki eksploatacyi bydła, zajmuje się wreszcie organizacją porad, odczytów i pogadanek. Obecnie Związek chłopski w Belgii liczy przeszło 480 stowarzyszeń parafialnych, które obejmują z górną 40 tysięcy członków.

Do podobnego rozkwitu doszedł również i holenderski Boevenbund, założony także przez duchownego, zakonnika ojca Van

den Elzena. Związek holenderski zajmuje się głównie mleczarniami współdzielczymi oraz związkami hodowców.

Przykład bardziej posuniętych społeczeństw zachodnich jest dla nas wielce nauczającym, to też książka p. Wóycickiego niewątpliwie pożytek przyniesie.

W. D.

O kościół w Opolu. Rozprawy w Izbie Państwowej petersburskiej nad interpelacją Koła Polskiego. Wydane staraniem Bronisława Szlubowskiego. Przemówienia z rosyjskiego przełożył S. A. Warszawa, 1910.

Walka o kościół w Opolu, jaka się rozegrała w Izbie Państwowej na tle interpelacji, wniesionej przez Koło Polskie, była jednym z najważniejszych dla nas momentów w działalności parlamentarnej naszych posłów. Walka ta była przedsmakiem tego, co nas czeka w sprawie Chełmszczyzny. Stosunek przedstawicielstwa rosyjskiego do katolicyzmu i polskości uwydatnił się przytem nader jaskrawo. Dlatego też sprawa opolska wybiega daleko poza ramy zagadnienia ściśle lokalnego. Dla charakterystyki dzisiejszych czasów epizod opolski posiada poważne znaczenie.

Dobrze też uczynił wydawca niniejszej książki, p. Bronisław Szlubowski, iż nie pożałował trudu i kosztów, aby dać dokładny opis dziejów kościoła opolskiego i dyskusyi, jaka się nad nim toczyła w Izbie Państwowej. Silna jest wymowa faktów, przytoczonych w tej książce, i wdzięczność się należy p. Szlubowskiemu, że w ten sposób do publiczności przemówił.

Książkę poprzedza słowo wstępne, które zawiera krótki opis przebiegu sprawy opolskiej, poczem następuje dokładne tłumaczenie wszystkich przemówień w Izbie. Jest to bardzo nauczający dokument historyczny.

W. D.

Generał Zamoyski 1803—1868. T. I. 1803—1830. Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1910.

Zmarły w Paryżu 11 stycznia 1868 r. generał Władysław Zamoyski pozostawił po sobie materyały do pamiętników, dokumenty, korespondencję obszerną, a jak ważną—pojmie łatwo każ-

dy, kto przywiedzie sobie na pamięć szerokie stosunki, jakie miał i czynności, które na polu politycznym prowadził. Świeżo, choć z datą przeszłego roku, pod tytułem wyżej podanym, wyszła książka, przez zgrupowanie i ułożenie owych materyałów, przedstawiająca życie i prace hr. Zamoyskiego. „Generał Zamoyski—piszą wydawcy w przedmowie—nie zostawił wykończonych pamiętników. Pozostały tylko wspomnienia, dorywczo, najczęściej w podróżach, w latach 1858—1867, przez niego dyktowane lub spisywane, współczesne jego zapiski o ludziach i wypadkach, obszerna korespondencya i pisma urzędowe. Na tych materyałach, przytaczanych tu w oryginale lub w tłumaczeniu, oparta jest ta praca.“ Tak pomyślane wydawnictwo, gdy ukończone zostanie, wzbogaci literaturę historyczną w sposób pierwszorzędny, dla poznania Emigracyi po r. 1831 może mieć znaczenie takie, jakie „Pamiętniki“ Prądzyńskiego mają dla listopadowego powstania. Władysław Zamoyski bowiem był szefem, powiedzielibyśmy pierwszym ministrem, stronnictwa monarchicznego—być może był nawet jego twórcą. Jeśli Mochnacki o stronnictwie tem pierwszy pomyślał lub myśl przez Zamoyskiego podaną rozwijać począł, to Zamoyski stronnictwo to, po śmierci Mochnackiego, zorganizował i niem kierował. Sam wysuwał się zawsze na pierwszy plan, sam brał na siebie odpowiedzialność za wiele rzeczy, księcia Adama jaknajbardziej oszczędzać się starając, dlatego że każde niepowodzenie, jak słusznie rozumował, w któremby Czartoryskiego widziano, ideę osłabiało samą, o powodzenia zaś przy tych warunkach i przy tych siłach—łatwo nie było. Na takiej pozycji stojąc, Zamoyski skierował przeciw sobie, osobiście niemal, walkę wszystkich stronnictw demokratycznych, w kraju zaś stronnictwa nie demokratyczne, stronnictwa trzeźwości politycznej, miały go ze fantastę, za marzyciela, co odczuwa się nawet w nekrologach, w organach tych stronnictw, po śmierci jego pomieszczonech. Nie mogę w tem miejscu o stronnictwie Czartoryskiego się rozpisywać, zauważyć jednak trzeba, że wszystko, co o królu *de facto* pisano, nie przekracza granic banalności i powierzchownego sądu. Stronnictwo to miało swoją chwilę—była nią wojna krymska, gdy ks. Adam, dzięki działalności i zabiegom Zamoyskiego, został, przez sprzymierzonych przeciw Rosyi, uznany za przedstawiciela Polski i naczelnika Emigracyi. Wojna krymska namnożyła wrogów Zamoyskiemu. Czaykowski przyczynił się do tego niemało, być może, iż zaważył także na sądzie Mickiewicza. W każdym razie Mickiewicz, jadąc na wschód, z uznaniem najwyższym o Zamoyskim mówił, nazywał go „wielkim człowiekiem,“ czyniącym

więcej, niż mu środki i zdrowie pozwalają, mówił, że go rozumie.

Bądź co bądź nieznanne jeszcze i niejasne jeszcze czynności stronnictwa monarchicznego w wielkim stopniu przez „Pamiętniki“ generała Zamoyskiego wyjaśnione zostaną.

Od pamiętników właściwie rozpocząć się winno wydawnictwo źródeł emigracyjnych. Gdyby obok dzieła o generale Zamoyskim ogłoszone zostały: „Pamiętniki“ Jana Bartkowskiego, w rękach jego córki, panny Bartkowskiej, w Paryżu się znajdujące, „Dziennik“ Kopczyńskiego (Biblioteka Polska w Paryżu), „Dziennik“ Karola Hofmana wreszcie (Akademia Umiejętności), Emigracya byłaby lepiej znaną i interes dla niej by tak wzrósł, że może aktualnym by się stało wydawanie protokółów i korespondencyj.

Pierwszy tom książki, o której piszę, doprowadzony jest do powstania, kończy się mianowicie na 3 grudnia 1830 r., dniu, kiedy Władysław Zamoyski ze służby adjutanta, którą przy boku W. Ks. Konstantego pełnił, został uwolniony przez niego samego i przez wypadki. Dla charakterystyki W. Ks. Konstantego tom ten wiele ciekawych przynosi szczegółów, wiele także przynosi dla sądu sejmowego i dla Warszawy przed powstaniem. Ważnem dla zrozumienia późniejszego życia i późniejszej działalności Zamoyskiego jest to, co o wuju swoim, ks. Adamie Czartoryskim, pisze, ważnym jest ten wpływ, który na tworzenie się jego pojęć politycznych ks. Adam Czartoryski wywierał. Adam Czartoryski, nie ordynat Stanisław Zamoyski—wuj, nie ojciec. Dla ojca miał Władysław Zamoyski gorącą miłość i szacunek, dla działalności jego i patryotyzmu uznanie, ale ze strony politycznej więcej mu odpowiadał Czartoryski. Kto wie, czy w książce nie widzimy nawet cienia jakiejś, może niewielkiej, pełnej nawet szacunku opozycji przeciw ordynatowi. Podczas koronacji cesarza Mikołaja w Warszawie, gdy cesarz chorego ordynata odwiedził, ten skorzystał, aby powiedzieć mu o wszystkim złem, które się w Warszawie działo.

„Nie szczędził mu prawdy mój ojciec. Umiał mu ją podawać oględnie i z należnem uszanowaniem.“

„Mój ojciec zwierzał się przed synami ze swych rozmów z cesarzem. Był z nich widocznie zadowolony, pragnął, byśmy to zadowolenie podzielali. Wiedząc najwięcej przez nas, jakie było rozjątrzenie powszechnie, chciał je w nas naprzód uśmierzać! Z przyciskiem więc opowiadał nam, co cesarz pozwolił sobie powiedzieć, jak badał o wszystko, jak cierpliwie słuchał, jak dziękował za otwartość, jak ubolewał, że do panujących tak rzadko dochodzi prawda. Nie widząc w nas odpowiedniego zachwytu,

pytał nas ojciec: Czegóż chcecie? Nie jest że to wiele, że cesarz takie rzeczy powiedzieć sobie pozwolił? Ja na to: Dobrze, że wysłuchał, ale co odpowiedział, czy dał jaką nadzieję naprawy złego? Nie mógł nas ojciec w tej mierze niczem zaspokoić.“

Ciekawym, choć znanym zresztą szczegółem jest, że Zamoyski, kiedy obowiązki adjutanta pełnił, wiedząc, jak W. Ks. Konstanty na opinię Zachodu jest wrażliwy, o nadużyciach jego do gazet francuskich wiadomości podawał.

Jako adjutant, odegrał Zamoyski ważną rolę w pierwszych dniach powstania, będąc pośrednikiem między W. Ks. Konstantym a Radą Administracyjną, rolę znaną z „Historii“ Mochmackiego i z jego własnego pamiętnika, zaraz po upadku powstania spisane. Wyszedł on w Poznaniu w r. 1866 w tłumaczeniu polskiem p. t. „Pamiętnik posłużyć mający do historii pierwszych dni Powstania Polski 1830 r. przez Oficera Sztabu polskiego (tłumaczony z rękopisu francuskiego, spisane w listopadzie 1831 r. w górach Karpackich).“

Jednakowo brzmiące ustępy w pamiętniku owym i w książce teraz wydanej wskazywałyby, że pamiętnik sam generał tłumaczył, jednak między jednym i drugim są pewne różnice w samym nawet przedstawieniu faktów.

I tak, w pamiętniku pierwotnym, o którym w książce teraz nie wspomniano, jest powiedziane, że Zamoyski ze spiskowymi żadnymi nie miał stosunków bliższych, od nich zwierzeń nie otrzymał, o zamiarach powstania wiedział z pogłosek, jak wszyscy, teraz zaś, że wiedział niejedno od samych spiskowych.

Porównajmy dosłownie:

„O spiskowaniu w samej Warszawie wiedziałem nie jedno, po części przez samych spiskowych, którzy zwierzeniami chcieli mnie wciągnąć, a przynajmniej wybadać...“ („Generał Zamoyski,“ str. 357).

„Nie należałem do tych, którzy przygotowywali wybuch 29 XI, ani mnie żadne od nich nie spotkało zwierzenie“ („Pamiętnik,“ str. 2).

Jest to właściwie różnica najważniejsza, pewne rozszerzenie wspomnień późniejszych tłumaczy się pominięciem wiadomości, których narazie Zamoyski nie miał.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

Kronika miesięczna.

19 lutego 1861 r. — Znaczenie reformy włościańskiej. — Stanowisko opinii polskiej ówczesnej. — Z powodu *Mercuryusza* o prasie polskiej i obcej słów kilka. — Sprawy polskie w Izbie. — Zabójstwa policyantów, a podróż Nakonecznego. — Deklaracya Koła. — Memoriał posła Grabskiego. — Związek stowarzyszeń współdzielczych.

Z wielką uroczystością święciła urzędowa Rosya półwiekową rocznicę oswobodzenia włościan. Umyślnie używamy przymiotnika „urzędowa,” społeczeństwo rosyjskie bowiem, a zwłaszcza najbardziej zainteresowani w danej sprawie włościanie, dawno już rozczarowali się co do pomyslnych skutków i następstw reformy. Słusznie wprawdzie nazywa hr. Witte wielkie reformy panowania Aleksandra II moralnym tryumfem absolutyzmu; słusznie dlatego, że tylko absolutna forma rządu pozwala na dokonywanie radykalnych przekształceń niemal jednym pociągnięciem pióra, bez uwzględniania interesów uprzywilejowanych, a w danym razie poszkodowanych; wszakże radykalizm jest tu równoważony krótkotrwałością i połowicznością reform. Nikt zaprzeczyć nie może, że oswobodzenie włościan jest teoretycznie najznakomitszą, najdonioślejszą reformą w dziejach państwa rosyjskiego, gdy inne reformy tegoż panowania, jak wprowadzenie samorządu ziemskiego i miejskiego, sądów przysięgłych, nowej procedury, pozostają jedynie najwybitniejszymi w życiu państwowem jednego stulecia. Wszystkie wszakże osłabia połowiczność, a zwłaszcza ograniczenia za panowania następnego. Oswobodzenie włościan miałoby doniosłość nieskończenie większą, gdyby było przeprowadzone łącznie ze zniesieniem ustroju stanowego

i takich przeżytków, jak wspólne władanie ziemią. Tak, jak zostało dokonane, było tylko zamianą jednego poddaństwa przez drugie; zamiast władzy pana, wystąpiła władza gromady, oparta na wspólnej odpowiedzialności podatkowej i wspólnem władaniu ziemią. Teoretycznie możnaby się sprzeczać o to, czy nieznośniejszą jest władza jedno- czy wieloosobowa; w praktyce niewola gromady prześladowała przez całe życie te jednostki, które przenosiły się na zarobki ze wsi do miast, a liczba ich wzrastała coraz to więcej w miarę nędznienia wsi rosyjskiej skutkiem władania wspólnego; w praktyce, wyzwolenie z tej niewoli było nie raz cięższe, niż wyjście z poddaństwa pańskiego. Następne panowanie, które pozostanie w historii, jako szereg ograniczeń rzeczy dokonanych przez Aleksandra II, obok zredukowania działalności samorządu ziemskiego i miejskiego, wzmogło jeszcze nadzór państwa nad rzekomo oswobodzonymi chłopami. Wynikało to z pojęcia ustroju stanowego; ciemni włościanie rosyjscy, zamknięci w ciasne i nieprzekraczalne ramy gospodarki gromadzkiej i odrębnego własnego sądownictwa, nie umieli rządzić się jak należy; więc zamiast dawnych, dziedzicznych panów, szlachty, u której poddaństwo zostało zniesione, nadano im panów nowych, panów z urzędu, t. zw. „naczelników ziemskich,“ których zadaniem był nadzór nad samorządem i sądownictwem chłopskim, z bardzo szerokimi prawami i pełnomocnictwami, między innymi, z prawem bicia włościan. Tu znowu nasuwa się dość sceptyczne porównanie między tem pamiętnem dla włościan trzydziestoleciem reformy—„naczelników ziemskich“ stworzył ukaz z r. 1861. Korrelatywą i uzupełnieniem oswobodzenia włościan była dopiero reforma przeszłoroczna, uchwalone przez Izby i zatwierdzone prawo o zniesieniu wspólnego władania ziemią, reforma także połowiczna, nie znosząca bowiem przymusowo gminowładztwa i poddaństwa włościan wobec gromad i naczelników ziemskich, lecz tylko zezwalająca na zmianę organizacyi w zależności od woli włościan, ułatwiająca jednostkom wychodzenie z gromad, ale nie znosząca ustroju stanowego. Prawodawca obawiał się w danym wypadku opustoszenia wsi rosyjskiej, proletaryzacyi całego stanu włościańskiego, nie bacząc, że najlepszym środkiem wzmoczenia sprawności gospodarskiej wsi rosyjskiej jest pozostawienie swobody osobistej i inicjatywy ekonomicznej jednostkom. Rosya nie rozwija się według innych praw, niż społeczeństwa europejskie wogóle, jest tylko w rozwoju opóźniona; a drogą postępu wykreślą jej nie rewolucye z góry, czy z dołu, czarne, czy czerwone, lecz pozostawienie swobodnej gry czynnikiem życia, oswo-

bodzenie społeczeństwa z pod przemocy i nadzoru państwa. Na tę najradykałniejszą reformę czas jeszcze nie nadszedł — niema poczucia jej potrzeby w samem społeczeństwie, które trzyma się w opinii starych, wypróbowanych, jako złe, środków gwałtu, czarnego czy czerwonego. Ale są w niem coraz liczniejsze jednostki, które podpisałyby bez zastrzeżeń te uwagi Polaka o wielkiej reformie rosyjskiej w półwiekową jej rocznicę.

Cichutko, zaledwie przez prasę zanotowane, przeszły dwa jubileusze, ze stanowiskiem społeczeństwa polskiego wobec reformy włościańskiej związane. Jeden z nich przypadł już właściwie cztery lata temu, a jeżeli o nim dziś wspominamy, to dlatego, że jest ściśle z reformą w państwie rosyjskiem połączony. W okresie prac przygotowawczych wyszedł reskrypt Aleksandra II do generał-gubernatora Nazimowa, z d. 20 listopada 1857 r., wzywający szlachtę Litwy do obmyślenia środków i sposobów polepszenia bytu włościan. Na to wezwanie odpowiedziała szlachta polska gorącym oświadczeniem się za zmesieniem poddaństwa, a nie tak było w innych okolicach państwa.

Dnia 25 lutego 1861 r. tysiąc z górą członków Towarzystwa Rolniczego, zebranych w Warszawie, zatwierdziło uchwały Sekcyi ogólnej, dotyczące uregulowania sprawy włościańskiej w Królestwie drogą „dopuszczenia włościan do własności posiadanych gruntów.“ Uchwały brzmiały, jak następuje: 1) pośpiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju; 2) w dobrowolności umów widzi Ogólne Zebranie najwłaściwszą podstawę działania w przemianie stosunków włościańskich, dopóki nie będą wyczerpane wszystkie środki w zakresie tej zasady będące, a obmyślenie i stosowanie tych środków za obowiązek obywatelski poczytuje; 3) objawia życzenie, ażeby przez właściwą operacyę kredytową, skup czynszów na celu mającą, włościanie dopuszczeni zostali do własności posiadanych gruntów.

Cały przebieg obrad świadczy, że zebrani w Warszawie członkowie Towarzystwa Rolniczego zdawali sobie dokładnie sprawę z doniosłości swych postanowień, iż rozumieli, że zgodzili się na zrobienie włościan właścicielami uprawianych przez nich gruntów, do tego bowiem prowadził skup czynszów. Dalsze zarządzenia komitetu Towarzystwa i powołanie do życia delegacyi czynszowej potwierdzają to bardzo stanowczo.

Towarzystwo Rolnicze wkrótce potem zostało zamknięte, a wypadki w kraju innymi potoczyły się torami, nie doszło więc do wykonania powziętych przed laty pięćdziesięciu uchwał. Po-

zostaną one wszakże na zawsze w historii, jako chlubne świadectwo panującej wówczas w kraju opinii.

A przytaczamy na tem miejscu dwie uchwały znamienne nie przez chępliwość niewczesną. Podlegający od lat wielu innym wpływom kulturalnym, ściśle związani duchowo z zasadniczymi pojęciami i ideałami cywilizacji zachodnio-europejskiej, upodobnieni typem gospodarki ekonomicznej, musieliśmy z konieczności inaczej reagować na zamiary reformy, niż społeczeństwo rosyjskie. Stwierdzać i przypominać uchwały takie trzeba i dlatego, że w tem społeczeństwie pokutuje obłudna opinia o arystokratyzmie, szlacheckości społeczeństwa polskiego w przeciwstawieniu do rzekomego demokratyzmu rosyjskiego, że, co gorsza, za pośrednictwem źródeł rosyjskich przenika nieraz w umysły i serca młodzieży naszej, która wiedzieć powinna o dziadach i ojcach, którzy górnie życie swoje przeżywali.

*

*

*

Minęło dwieście pięćdziesiąt lat od czasu, kiedy imci pan Jan Aleksander Gorczyn począł wydawać pierwsze pismo polskie „Merkuriusz Polski ordynaryiny dzieie wszystkiego świata w sobie zamykający, dla informacji popolitey.“ Wzór, wzięty z zagranicy rozwinął się u nas w efemerydę jedynie, czemu się nie dziwić, wobec braku potrzeby istotnej pisma, wobec braku możliwości regularnej komunikacji wydawcy z czytelnikami. Był to zresztą początek, pierwszy posiew, który z przerwami plonował już ciągle i aż do dzisiejszego rozwoju prasy polskiej doprowadził. Posiew, rzucony na ziemi polskiej, wydał plony o wiele mniejsze i inne, niż wkrótce przedtem dokonany w Europie zachodniej, a fakt ten nasuwa szereg spostrzeżeń, porównań i uwag ogólnych, szerszego interesu nie pozbawionych.

Głównymi czynnikami rozwoju prasy peryodycznej są: rozpowszechnienie oświaty, czyli klucza do korzystania z pism, rozwój życia politycznego, czyli zainteresowania sprawami ogólnymi otoczenia bliższego i dalszego, wreszcie rozwój komunikacji, innymi słowy, udostępnienie techniczne pisma czytelnikowi. Jeżeli

powyższe czynniki uwzględnimy, to dziwić się nie będziemy, że najmniej rozwinięta jest prasa w ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskiem, najbardziej pod panowaniem Prus; Galicya zajmuje stanowisko pośrednie: rozwój życia politycznego powołuje do życia znaczną względnie ilość pism, ale niedostateczne rozpowszechnienie oświaty sprawia, że poczytność ich jest względnie niewielka; brak też tych udogodnień technicznych, pocztowych, które tak bardzo ułatwiają prenumeratę pism w Prusach.

Rozpowszechnienie literatury peryodycznej jest w odwrotnym stosunku do wysokości jej poziomu. Jeżeli na wszystkie pisma warszawskie przyjmiemy suto sto tysięcy przedpłatników, co czyni jednego na każdych osiemdziesięciu mieszkańców, na Prusy przypadnie najmniej dwieście tysięcy, czyli jeden przedpłatnik pisma polskiego przypadnie tam na piętnastu mieszkańców. I tylko w Prusach znajdziemy pisma w znaczeniu europejskiem poczytne, to jest bijące około, a nawet przeszło pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Natomiast poziom literacki tych pism, nawet dla inteligencji przeznaczonych, jest o wiele niższy, niż w pismach warszawskich; widzimy to nie tylko w działach czysto literackich, ale w języku, w tonie polemik, w sposobach oddziaływania na dusze i umysły czytelników, bardziej jaskrawych, bardziej pierwotnych.

Rozpowszechnienie pism peryodycznych jest w prostym stosunku do ich rentowności, jako przedsiębiorstwa. W Prusach i na Ślązku znamy wszyscy redaktorów i wydawców, którzy nie tylko zdobyli zasługę obywatelską, że nauczyli lud polski czytać po polsku, że rozwinęli jego uświadomienie polityczne i narodowe, że przyczyniali się do zwycięstw wyborczych, ale w dodatku jeszcze dorobili się na pracy wydawniczej znacznych majątków. W Królestwie i w Galicyi na palcach wyliczyć można pisma, istniejące o własnych siłach i przedstawiające się rentownie, jako przedsiębiorstwa; znaczna większość zawdzięcza swoje istnienie jedynie subwencyom. W zamian za to nie obserwujemy w tych dzielnicach, jak w Prusach, gorszących walk ekonomicznych redaktorów i wydawców o przedpłatników, walk tembardziej gorszących, o ile ci redaktorowie i wydawcy zasiadają w Kołach Polskich, jako mandataryusze narodu. Wogóle zaś pod względem stosunku powodzenia materyalnego do reprezentacji idei prasa peryodyczna polska podlega mniej więcej tyn samym prawom, temu samemu zróżniczkowaniu, któremu podlega prasa na Zachodzie mianowicie ściśtemu rozgraniczeniu pism, służących określonym poglądom i stronnictwom, posiadających poczytność mniej-

szą i żyjących z zapomóg tych stronnictw, od pism bezbarwnych, dlatego właśnie najbardziej poczytnych, jak i dlatego również, że posiadają najszybsze informacje. Mamy tu do czynienia z kołem zamkniętym: informacja jest w prasie wydatkiem najkosztowniejszym; warunkuje więc poczytność, która z kolei rzeczy daje powodzenie materialne, przede wszystkim na ogłoszeniach oparte, pozwalając właśnie na kosztowną informację. Porównania pomiędzy pismami z zachodu Europy a naszymi nie można zresztą zbyt rozszerzać; granicę stawia mu nie tylko względny poziom oświaty i czytelnictwa ale i absolutny obszar językowy; język polski nie może się oczywiście równać z angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim; dlatego ilość czytelników i sprawność informacyjna pism polskich nawet przy innych warunkach ewentualnie równych nigdy nie będzie taką, jak pism innych narodowości; niemożliwe byłoby istnienie u nas, jak w Paryżu np., pism, bijących przeszło milion egzemplarzy, w czym zresztą Francja światu przoduje, nigdzie indziej bowiem nie jest tak rozpowszechniony zwyczaj kupowania na ulicy kilku pism odrazu. Z tych względów utyskiwania czytelników polskich, otartych o zagranicę i domagających się w Warszawie pism, zupełnie do tamtych upodobnionych, można uznać tylko za naiwne i nie tylko dziś, ale nigdy zapewne nierzeczywistne.

Rozpowszechnienie i znaczenie prasy peryodycznej prowadzi bezpośrednio do zagadnienia jej stosunku do moralności publicznej. Stosunek ten uzewnętrznia się w dwóch kierunkach: zamilczania lub rozmyzywania faktów niemoralnych, zbrodniczych oraz służenia pewnym interesom za odpowiednią opłatą. Co do pierwszego, wobec naturalnego współzawodnictwa informacyjnego nie można się łudzić, aby względy moralne mogły kiedykolwiek odgrywać bardziej decydującą rolę; czytelnik chce wiedzieć, co się na świecie dzieje; tej strawy pismo dostarczyć mu musi za cenę swego istnienia; że zaś, niestety, występki i zbrodnie są głośniejsze i bardziej zajmujące, niż cicha cnota, więc będą bardziej uwzględniane przez prasę i chętniej przez czytelników czytane; tu należy szukać źródła t. zw. sensacyj dziennikarskich. Bardziej skomplikowane jest oddziaływanie niemoralne w kierunku drugim, za pośrednictwem przekupstwa. Zaznaczmy tu odrazu, że pod tym względem prasa polska stoi do pewnego stopnia wyżej od koleżanki z zachodu, ale złagodźmy ten optymizm doskonałym dowcipem polskim z czasów skandalu panamskiego we Francji: „ludzie, toby się u nas znaleźli, tylko... kanału niema.“

„Niema kanału“—to znaczy, że głos prasy niema tej doniosłości, nie wpływa w tym stopniu na bieg życia, żeby opłacało się głos ten za pomocą przekupstwa inspirować. Już w Galicyi jest inaczej: za pomocą ogłoszeń rząd, kompanie kolejowe, instytucje finansowe oddziaływają na opinię pism; rząd prócz tego udziela niektórym zapomogi z t. zw. tajnych funduszków dyspozycyjnych i nie widać z tego powodu protestów opinii publicznej.

Niema zresztą mowy o tem, aby przekupstwo dochodziło u nas do tych rozmiarów, jak na zachodzie. Pod tym względem przoduje prasa francuska. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej były pisma subwencyonowane przez jedną i drugą ze stron walczących, urabiające opinię w dwóch przeciwnych kierunkach; Panama, sprawa Dreyfusa, różne mniej więcej ciemne afery finansowe, powoływały do życia dzienniki w imię ich obrony; dział finansowy w każdym z pism poczytniejszych jest dzierzawiony przez jakiś syndykat grynderski; płatna jest recenzja teatralna, recenzja o nowej książce, wzmianka kronikarska, wiadomości towarzyskie — wszystko musi służyć za źródło dochodu dla wydawcy. Tego rodzaju merkantylne traktowanie otaczającego życia płynie z pojęcia pisma jedynie jako warsztatu handlowego, jako sklepiku detalicznego z informacjami, rządzącego się zatem jedynie etyką handlową, która jest wogóle etyką nie najwyższej, owszem, jak w danych wypadkach, bardzo niskiej próby. Opinia oświecona, wyższa, inteligentna, szuka coraz bardziej źródła orientacyj czy to politycznych, czy społecznych, ekonomicznych, czy literackich, artystycznych w organach codziennych, ideowych, czystych, ale stronniczych, bądź też w tygodnikach i miesięcznikach. W tej samej Francyi powstaje coraz więcej takich organów peryodyczności rzadszej, nie codziennej, które nie wymagają takich kosztów prowadzenia, nie ulegają zatem pokusom materialnym, z drugiej strony zaś mają ambicję szlachetną powagi i czystości moralnej. Znajduje tam czytelnik wszechstronne i spokojne oświetlenie najwybitniejszych jedynie objawów życia, dokonywane o ile możności wedle recepty kantowskiej, *sub spaciae aeternitatis*, albo też zapisanie poprostu tych objawów ku wiecznej rzeczy pamięci. Bo pismo codzienne jest efemerydą, która żyje tak długo, jak dzień, gdy miesięcznik np. trwa i zostaje w bibliotekach, jako świadectwo przeszłości. I przyszły historyk, w braku listów, pamiętników, na które gorączkowe życie współczesne nie ma czasu, zrażony biegunowo sprzecznym przedstawieniem życia w organach codziennych, w innych będzie musiał szukać informacji spokojnej i bezstronnej. To zapewnia pismom

owym, tygodnikiem, a zwłaszcza miesięcznikiem, znaczenie i to zaczyna oceniać coraz bardziej światła opinia na Zachodzie, w kolebce korupcyi prasy.

*

*

*

W Izbie państwowej znowu poruszono kilkakrotnie sprawy polskie, oczywiście zawsze ze stanowiska dla nas nieprzychylnego. W sprawie ziemstw dla Królestwa, o których projekcie, złożonym przez październikowców, pisaliśmy w ubiegłym miesiącu, Izba większością głosów przeciw nacjonalistom i prawicy przyjęła w zasadzie projekt ziemstw dla Królestwa; przy tej sposobności rząd poczynił pewne zastrzeżenia co do podstaw projektu. Szkopuły co do wprowadzenia ziemstw widzi rząd przede wszystkim w konieczności zreformowania powinności ziemskich w Królestwie i ujednostajnienia odpowiednich podatków; dalej uważa, że obecna gmina nasza nie jest wyrazicielką wszystkich interesów, lecz tylko interesów posiadaczy rolnych, nie może być zatem uważana za właściwą najniższą jednostkę ziemską, a odpowiednia reforma może nastąpić jedynie równocześnie z zamierzoną reformą gminy w całym państwie; wreszcie trzeci szkopuł stanowi brak samorządu miejskiego, koniecznego wobec tego, że projekt wyodrębnia miasta Warszawę i Łódź w odrębne jednostki ziemskie. Z całej odpowiedzi rządowej wynika wyraźnie, że chodzi tu poprostu o odłożenie urzeczywistnienia projektu *ad calendas*; zarzuty żadnej krytyki nie wytrzymują, zwłaszcza ten, który dotyczy rzekomej nieodpowiedniości gminy naszej, jako najdrobniejszej jednostki samorządnej, gdy tymczasem taż sama gmina uważana jest za najodpowiedniejszą przez znawców samorządu miejskiego, jako—w przeciwieństwie do rosyjskiej—wszechstanowa; pozornie demokratyczna troska rządu o brak reprezentacyi w zarządach gminnych ludności bezrolnej, jak również zamieszkałych na terytoryum gminy handlarzy i procederzystów, może znaleźć swój wyraz w odpowiedniem przekształceniu prawa o gminach; nie widzimy zresztą podobnej troski w ustroju gmin rosyjskich, co dowodzi, że demokratyzm rządu wyraża się, jak zwykle, naszym wyłącznie kosztem.

Sprawa ziemstw w Królestwie miała tę dobrą stronę, że dała sposobność takiemu znakomitemu znawcy naszych spraw gospodarczych, jakim jest niewątpliwie poseł Grabski, do poddania gospodarki miejscowej władz solidnej krytyce przy sposobności polemiki z przeciwnikami projektu. Zwyczajem już ustalonym poruszono wdzięczny zawsze dla nacyonalistów rosyjskich temat gospodarki polskiej w Galicyi. Niespodziewanie, po raz drugi jeszcze zajmowała się Izba Galicya, tym razem, przy sposobności... zabójstw policyantów w Królestwie i... podróży posła Nakoniecznego do Galicyi. Jakiby związek zachodził pomiędzy tymi faktami, rozsądny człowiek nie odgadnie nigdy—to się może mieścić tylko w głowach członków prawicy.

Rzecz w tem, że poseł Nakonieczny, zaproszony z odczytami do Lwowa, odczyty swe tam wygłosił, nic więcej. Urzędowy organ *Rossija* zarzuciła mu niesłusznie, że nawoływał do aktów przeciwności, na co poseł lubelski zmusił redakcyę tego pisma do odpowiedniego sprostowania. Ale tego było mało. Chodziło o to, aby na Nakoniecznego w Izbie napaść. W tym celu wymyślono interpelacyę z powodu rzekomego zwiększenia ilości zabójstw policyantów w Królestwie w ostatnich czasach.

Potępiając zawsze gwałt, bez względu na to, skąd by pochodził i przeciw komu byłby skierowany, mamy tembardziej prawo powiedzieć, że *meritum* interpelacyi jest zupełnie nieuzasadnione, a porównywanie w rozprawach chwili obecnej z latami t. zw. rewolucyi w r. 1905 i 1906 jest świadomem kłamstwem posła od ludności rosyjskiej Warszawy, tak samo, jak twierdzenie, że liczba Rosyan, ofiar tych dwóch lat, była większa, niż liczba Polaków — ofiar powstania ostatniego. Nie o prawdę też chodziło autorom interpelacyi, odrzuconej zresztą przez Izbę, ale poprostu o to, żeby w pełnej Izbie wypowiedzieć taki mniej więcej frazes: „nie może być inaczej w Królestwie, skoro jego urzędowi przedstawiciele, posłowie, jeżdżą zagranicę, aby tam prowadzić agitacyę przeciwności,“ skąd już było przejście do bezpośredniej napaści osobistej na Nakoniecznego ze zwykłemi ordynarnemi wyzwiskami i nawet niesmacznemi przekręceniami nazwiska posła lubelskiego, który nie pozostał zresztą dłużnym w odpowiedzi i idąc za danym przez Puryszkiewicza przykładem, przerobił odpowiednio nazwisko posła besarabskiego.

Na zakończenie tej kroniki Izby wspomnieć jeszcze trzeba o gruntownym memoryale posła Grabskiego, złożonym komisji budżetowej w sprawie wydatków skarbu państwa na Kościół i duchowieństwo rzymsko-katolickie. Brak miejsca nie pozwala nam

na tak obszerne streszczenie, na jakie by ta gruntowna i zawierająca masę nowych szczegółów praca zasługiwała; poprzestaniemy tylko na danych najważniejszych.

Punktem wyjścia memoriału jest uzasadnienie wydatków, ponoszonych przez skarż państwa na utrzymanie duchowieństwa i Kościoła rzymsko-katolickiego. Uzasadnienie jest dwojakie: prawne, wynikające z ukazów, regulujących stosunek państwa do Kościoła katolickiego oraz finansowe, wynikające z zobowiązań państwa, płynących z przejścia majątków Kościoła i duchowieństwa do rozporządzenia skarbu. Powtarzamy za autorem „przejścia“ nie „konfiskaty“, ponieważ takie jest brzmienie odnośnych aktów i ponieważ Rosya, jako państwo współczesne, nie mogła dopuszczać się konfiskaty majątków zbiorowych, o przeznaczeniu specjalnem, chociażby nawet przedstawiciele danego wyznania jaknajliczniej dopuszczali się przestępstw przeciwpaństwowych.

Zadań tych państwo wobec Kościoła nie spełnia. Mimo brzmienia odnośnych aktów prawodawczych o zabezpieczeniu potrzeb duchowieństwa, według stanowiska i osób, duchowni, zarówno jak profesorowie seminaryów, konsystorze i t. d. uposażeni są niedostatecznie. I tak np. gdy wydatki skarbu państwa na konsystorze i zarządy dyecezyalne prawosławne wynoszą 7 rb. 2 k. na tysiąc głów ludności prawosławnej, odpowiednio obliczone wydatki na katolików wynoszą 2 rb. 77 kop.; na tysiąc głów danego wyznania rozłożone wydatki na utrzymanie seminaryów wynoszą 28 rb. 98 k. (praw.) i 7 rb. 24 k. (kat.), wydatki na utrzymanie ogółu duchowieństwa danego wyznania 154 rb. 25 k. (praw.) i 96 rb. 83 k. (kat.); podczas gdy wszystkie seminarya katolickie w Królestwie otrzymują ogółem od skarbu 24,445 rb., rząd asygnuje na utrzymanie samego tylko chełmskiego seminaryum prawosławnego 27,530 rb.

Taka różnica traktowania finansowego nie jest bynajmniej uzasadniona stanem funduszków Kościoła, które przeszły do rozporządzenia skarbu. Wedle obliczeń autora Kościół na zasadzie wartości i dochodowości odebranych mu oraz duchowieństwu majątków może rościć sobie prawo do corocznego wydatkowania ze skarbu na potrzeby jego w Królestwie i Cesarstwie sumy 2,149,946 rb. 35 kop., gdy wydatkowana obecnie nie dochodzi półtora miliona rb., a nadto z funduszków Kościoła pokrywane są pensye i emerytury wydziału wyznań obcych w ministeryum spraw wewnętrznych.

Asygnowanie wydatków na Kościół rzymsko-katolicki nie-słusznie odbywa się za pośrednictwem etatów rzeczonego ministerjum. Byłoby ono słuszne jedynie wtedy, gdyby to istotnie był zasilek skarbu dla Kościoła rzymsko-katolickiego i jego wyznawców udzielany przez państwo w miarę potrzeb Kościoła i zasobności skarbu. Tymczasem wcale tak nie jest i dlatego wydatki te powinny być wykazywane w budżecie kasy państwowej, jako wynagrodzenie Kościoła rzymsko-katolickiego za zabrane mu w r. 1841—1843 i w r. 1864—65 olbrzymie majątki. Kościół powinien być postawiony narówni z innymi wyznaniem chrześcijańskimi i narówni z niemi posiadać prawo rozporządzania swoim majątkiem, który niejako znajduje się jedynie pod opieką skarbu państwa.

Co zaś do pozostałości, oszczędności z funduszków przeznaczonych na Kościół i należnych mu, to te są wydatkowane przez ministerjum spraw wewnętrznych. Tymczasem kwestya ta może być rozwiązana dwojako: jeżeli wydatki na utrzymanie Kościoła rzymsko-katolickiego będą miały taki sam charakter, jak wydatki na Cerkiew prawosławną według budżetu św. Synodu — to pozostałości mogą przechodzić na rzecz skarbu. Jeżeli zaś wydatki na Kościół rzymsko-katolicki będą i nadal wydawane tytułem wynagrodzenia, to o pozostałościach nie może być nawet mowy; należy tylko otwarcie przyznać je za takie, jakimi są one już od pół wieku, t. j. za wynagrodzenie z powodu przelania do skarbu majątków Kościoła i wykazać przynajmniej pod tym względem konsekwencyę, wnosząc do budżetu skarbu państwa odpowiednią, raz na zawsze określoną sumę.

Taka jest w najogólniejszych zarysach treść ciekawego memoriału posła Grabskiego, pracy, która wymagała bardzo ciężkich poszukiwań archiwalnych, a której celem jest rewindykacja sum, Kościołowi od skarbu słusznie należnych.

*

*

*

Ruch współdzielczy rozwija się różnie w dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej zależnie od różnych warunków, w jakich się znalazły. W Prusach i Księstwie idzie szczególnie w kierunku kredytowym, ponieważ wyrobił i wyrabia się tam po miastach mocny

kupiecki stan średni, któremu stowarzyszenia spożywcze niepożądaną czyniłyby mogły konkurencyę; u nas spółki kredytowe nie odgrywają tej roli, co poza kordonem, natomiast bardzo bujnie krzewią się stowarzyszenia spożywcze, tu i owdzie zakładane bywają nawet sklepy bławatne, wyzwalając z wolna ale pewnie ludność z pod przewagi ekonomicznej żydowskiej.

Przyszłość i rozwój kooperacyi leży w uniejętnej centralizacyi, w uniejętnem kierownictwie z góry, w prowadzeniu należytej polityki współdzielczej. Objawem takiej pożądanej centralizacyi w dziedzinie kredytowej było założenie przed paru laty bardzo pomyślnie rozwijającego się akcyjnego Banku Towarzystw Współdzielczych. Obecnie w dziedzinie kooperatywy spożywczej mamy do zanotowania nowy fakt pomyślny, zatwierdzenie ustawy Związku stowarzyszeń spożywczych.

Projekt utworzenia takiego związku poruszony został na zjeździe delegatów stowarzyszeń spożywczych w r. 1908. Opracowaniem ustawy zajęło się biuro informacyjne, istniejące przy towarzystwie kooperatystów; projekt ten, przejrany w r. z. przez pełnomocników stowarzyszeń i po przejściu przez różne instancje uzyskał zatwierdzenie ministeryum w ubiegłym miesiącu.

Centralizacya spraw stowarzyszeń spożywczych musiała iść z konieczności w dwóch kierunkach: wyrobienia i nadzoru czyli instrukcyjno-rewizyjnym i wspólnych zakupów, czyli stworzenia hurtowni centralnej; wobec niemożności założenia dwóch odrębnych instytucyj, obu wymienionym celom służącym, obydwą zadania włożone zostały na świeżo zatwierdzony Związek; będzie to zatem równocześnie i patronat stowarzyszeń i hurtownia, jak to widzimy np. w organizacyi stowarzyszeń spożywczych szwajcarskich. A zadania główne płyną z dwóch potrzeb zasadniczych. Prowadzenie towarzystwa spożywczego nie jest rzeczą łatwą i wymaga wiedzy fachowej; z konieczności zaś do kierownictwa biorą się najczęściej ludzie niefachowi, lecz poprostu ożywieni chęcią służenia sprawie publicznej; tych ludzi wyrabiać i uczyć trzeba za pośrednictwem ścisłych instrukcyj z jednej i peryodycznych rewizyj z drugiej strony. Dalej — przy rozszerzaniu sieci stowarzyszeń spożywczych występuje konieczność czynienia wspólnych zakupów; dlatego, aby w ten sposób jeszcze bardziej obniżyć ceny czyli zwiększyć zyski członków stowarzyszeń, a także dlatego, by dokonać tem skuteczniej emancypacyi z pod przewagi handlu żydowskiego, gdyż wobec dotychczasowego braku hurtowni stowarzyszenia często były zmuszone do uciekania się do pośrednictwa hurtowników żydowskich.

W myśl zasad powyższych, według § 1 ustawy Związek ma prawo: *a)* wspólnie obradować nad sprawami, wynikającymi z życia stowarzyszeń spożywczych; *b)* udzielać pomocy prawnej, rad i instrukcyj w celu udoskonalenia i ujednostajnienia gospodarki stowarzyszeń spożywczych; *c)* urządzać, z zachowaniem obowiązujących przepisów, odczyty, kursy, wystawy, konferencje i zjazdy w sprawach, dotyczących stowarzyszeń spożywczych; *d)* dokonywać peryodycznych i nadzwyczajnych lustracji stowarzyszeń, należących do Związku; *e)* zbierać i ogłaszać dane statystyczne, dotyczące działalności stowarzyszeń spożywczych, jak również wydawać, z zachowaniem obowiązujących przepisów, pismo, poświęcone sprawom kooperacji spożywczej; *f)* utrzymywać biuro pośrednictwa pracy oficjalistów, potrzebnych stowarzyszeniom spożywczym i tworzyć specjalny fundusz w celu zabezpieczenia ich bytu; *g)* przyjmować ofiary i zapisy na cele w punktach *b*, *c*, *d*, *e* i *f* wymienione; *h)* organizować wspólne zakupy stowarzyszeń spożywczych, kupować na własny rachunek, brać w komis i sprzedawać wszelkiego rodzaju towary, w razie potrzeby i osobom trzecim; *i)* urządzać własne magazyny, filie i zakłady dla wytwarzania, przechowywania, kupna i sprzedaży towarów; *j)* najmować, dzierżawić i nabywać na własność, na zasadach ogólnych, wszelkie nieruchomości; *k)* organizować wzajemne ubezpieczenie od ognia sklepów stowarzyszeń spożywczych; *l)* zaciągać pożyczki, brać udział w innych przedsiębiorstwach i wogóle zawierać wszelkiego rodzaju zobowiązania i umowy, odpowiadające celom Związku; *m)* utrzymywać własne agentury i kantory w całym państwie dla dokonywania zakupów towarów, potrzebnych stowarzyszeniom związkowym.

Nie trzeba tracić czasu i słów, aby uzasadniać doniosłe znaczenie nowej instytucji; bije ono w oczy. A znając fachowe doświadczenie, ostrożność i umiejętność prowadzenia dzisiejszych kierowników biura informacyjnego, którzy zostaną z pewnością kierownikami nowego Związku, z p. Stanisławem Wojciechowskim na czele, ufać można śmiało, że Związek będzie prowadzony sumiennie, z wielką korzyścią dla kraju i dla społeczeństwa. Jeden bodaj dezyderat wypowiedzieć można, jedyny, a płynący z właściwych zadań polityki ekonomicznej ruchu współdzielczego u nas. Poza znanymi i jednakiemi wszędzie zadaniami ma on u nas jedno jeszcze, przeważne, którego nigdy dość podkreślać nie można: wyzwolenie w handlu z pod panowania żywiołu obcego. A zadania tego dokona tem lepiej, im w polityce swojej liczyć się będzie z handlem detalicznym polskim, bardzo dziś słabym, któ-

rego rozwój jednak jedynie może nam zapewnić panowanie w miastach. Objaśnijmy myśl naszą przykładem realnym i parabolą. Nieodżałowanej pamięci ks. Wawrzyniak sprzeciwiał się zawsze zakładaniu „Rolników“ i „Kupców“ czyli współdzielczych sklepów rolniczych i spożywczo-bławatnych tam, gdzie istniały już odpowiednie prywatne sklepy polskie, uważał bowiem, że korzyści, wypływające z zakładania tam sklepów współdzielczych byłyby przeważone przez straty, spowodowane osłabieniem miejskiego, polskiego stanu średniego. Życzymy u nas jaknajwiększego powodzenia i rozwoju ruchowi współdzielczemu. Ale przyszły Związek wyobrażamy sobie w postaci olbrzymiego drzewa, którego cień niszczy szkodliwe chwasty, natomiast w pobliżu jego istnieć i kwitnąć i rosnąć mogą rośliny pożyteczne; bez paraboli — prywatne sklepy polskie. Ten dezyderat składamy na powitanie nowej instytucji.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Józef Montwiłł.

Kosi żniwo śmierci, kosi coraz to najpotrzebniejszych ludzi na ziemiach polskich. Po Wielkopolsce — Królestwo, po Królestwie — Litwa okrywa się żałobą, a każda żałoba o wiele przekracza granice dzielnicy, w której zmarły działacz snuł nić pracy pożytecznej. Po Wawrzyniak — Brzeziński; po Brzezińskim — Józef Montwiłł kładzie się do grobu, ten sam Montwiłł, którego nazwisko tak zespolone jest z dziejami Wilna, z dziejami Litwy popowstaniowej, że, chcąc pracę jego przedstawić, trzeba by napisać historię pracy społecznej w Wilnie i na Litwie wogóle.

Rozpoczął on działalność swoją w okresie najsmutniejszym, najstraszniejszym; wyludniły się wsie i zaścianki, niektóre z ziemią zrównane, ledwie porosły trawą mogiły, ludność była zdziesiątkowana... Pozostali zamknęli się w sobie, by tylko trwać i przetrwać. Zamknięta bezpowrotnie była epoka romantycznych snów i marzeń, a brakło innych podstaw snucia dalej pracy kultury polskiej na Litwie, brakło wskazań. Noc, zdawało się, zapanowała, nie do przebycia, wieczna...

Zasługą zmarłego było, że drogę odnalazł i wskazał; że nie założył rąk, lecz zakasał rękawy i jął się jedynej pracy, dostępnej i możliwej, ekonomicznej i filantropijnej, a była to właśnie praca trwania. Młodzieniec kończy szkoły średnie nazajutrz prawie po powstaniu, uczy się jeszcze pracować na różnych uniwersytetach i osiada w Wilnie, gdzie pracę wielostronną rozpoczyna. Jest do końca żywota dyrektorem wileńskiego Banku Ziemińskiego, przez dwanaście lat radnym miejskim Wilna, w r. 1897 na prezydenta wybrany, ale nie zatwierdzony, powołuje do życia dwa-

dzieścia dwie instytucje społeczne, zarówno w rodzinnej Żmudzi, jak i Wilnie. Jest stałym, zasłużonym, powszechnie szanowanym gospodarzem tego kraju, który ciągnie się od Żmudzi do granic Mińszczyzny.

Józef Montwiłł urodził się w dn. 18 marca 1850 r. w majątności ojczyściej Mitjaniskach, w pow. wilkomierskim, z ojca Stanisława i matki Aleksandry z Dowgiałłów. Po ukończeniu w roku 1866 gimnazjum wileńskiego wstąpił do akademii rolniczej Piotrkowsko-Razumowskiej, skąd już po roku przeniósł się na wydział prawny uniwersytetu petersburskiego, który ukończył w r. 1872 ze stopniem kandydata praw. Dalsze studia odbywał w Berlinie, Wiedniu i Krakowie, gdzie słuchał wykładów najwybitniejszych naówczas ekonomistów: prof. Adolfa Wagnera we wszechnicy berlińskiej i prof. Wawrzyńca Steina i Mengera w uniwersytecie wiedeńskim. Po powrocie do kraju powołany zostaje na kierownika założonego w 1872 r. Banku Ziemińskiego, którego aż do śmierci był głównym dyrektorem. W Szatach założył w r. 1896 szkołę tkacką „Biruta.“ Zawdzięczając jej, okolice Szat posiadały przemysł ludowy tkacki, dostarczający ludności znacznego zarobku.

Nie wielu znajdzie się zapewne ludzi w Polsce, którzyby mu dorównali w rzutkości, przedsiębiorczości, inicjatywie i w ustawicznej obywatelskiej trosce o wzmożenie tętna życia kulturalnego i społecznego. Większość stowarzyszeń przypada na przełomowy okres po 1905 roku, gdy prawo o związkach i stowarzyszeniach rozwiązało rwące się do czynu dłonie. Powstaje wówczas Lutnia, nieco wcześniej towarzystwo opieki nad dziećmi, z licznymi oddziałami, stanowiącymi zamkniętą w sobie całość, jak kolonie letnie, kropla mleka, bezpłatne obiady, warsztaty rzemieślnicze, patronat dla chłopców oraz liczne ochronki. Miejskie kuratorium nad biednymi rozwija się nie mniej pomyślnie pod troskliwym okiem Montwiłła. Widzimy dalej, jak powstają towarzystwa popierania pracy, tow. urzędzeń mieszkań, tow. służb św. Zyty, szkoła organistów obok dawniej istniejącej szkoły rysunkowej. Niemało zdziałał również zmarły dla rozwoju Wilna; naprz. dzięki jego staraniom zorganizowano wystawy „Dziecko“ i „Urządzenia mieszkań.“ W ostatnim roku, jakby przeczuwając zbliżający się zgon, ś. p. Montwiłł gorączkowo obmyślał sposoby realizacji niektórych swych projektów, zwłaszcza schroniska dla służb.

Wszystkie jego poczynania miały charakter i cel wybitnie demokratyczny. A nie wychodził on tu z założeń politycznych, bynajmniej, programy te niewiele go obchodziły, lecz wyłącznie

z przekonania narodowego, że troska o upośledzonych, o wydziedziczonych, że zajęcie się nimi wzmocni i obroni polskość tego kraju, z przekonania wreszcie chrześcijańskiego, że biednym bliźnim pomagać należy.

Z temperamentu i usposobienia był to działacz społeczny, idący do wyraźnie osiągalnych, realnych celów, nie polityk, pracujący dla dalekiej przyszłości, pełniący smutny nieraz obowiązek bez widocznych rezultatów. Mimo to, nęciła go polityka, widział w niej bowiem dziedzinę, w której dla kraju wiele dokonać można. Kandydował do Izby w Kowieńskim dwukrotnie, ale lista polska nie utrzymała się; wreszcie w r. 1907 ofiarowano mu mandat wileński. Wstąpił na arenę polityczną w okresie najgorszym. Co gorsza, praca i pobyt nad Newą podkopały zdrowie działacza, tak potrzebne na różnych polach pracy rodzinnej Litwy, aż padł na tym nowym posterunku, na którym pierwsze w gronie swoich najbliższych kolegów miejsce zajmował. Powaga jego osobista była taka, że powołano go na prezesa Koła posłów polskich Litwy i Rusi. Stanowisko to z godnością piastował, służąc zawsze za łącznik ideowy między wszystkimi posłami polskimi, bez względu na to, skąd byli wybrani, łagodząc różnice poglądów, zdań, metod, na tle różnych warunków życia powstałe.

Zeszedł do grobu człowiek dzielny, szermierz niestrudzony, jeden z wielkich Polaków współczesnych, jeden z tych, którzy budzą smutne myśli o ludziach niezastąpionych. Tłunny pogrzeb, na którym wymownemi słowy sławiono zasługi zmarłego, był należnym hołdem, prawdziwej zasłudze oddanym. A żal, przedwczesnym zgonem wywołany, odezwał się szerokiem echem wszędzie, gdzie oceniają i kochają pracę przez Polskę i dla Polski, gdzie serca polskie jednoznacznie biją.

ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki.

Zmarły w ubiegłym miesiącu ks. Wł. M. Dębicki urodził się w Smardzewie pod Zgierzem w roku 1853. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Piotrkowie wstąpił na wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu warszawskiego, który ukończył z medalem złotym za rozprawę kandydacką p. t. „O historyku greckim Filo-

chorze.“ Potem pracował przez czas jakiś, jako nauczyciel języków starożytnych w III gimnazjum w Warszawie, ale głębokie powołanie do stanu duchownego sprawiło, że w r. 1885 porzucił pedagogikę i wstąpił do seminarium duchownego, by po dwóch latach święcenia kapłańskie otrzymać. Mógłby na tej nowej drodze zmierzać do zaszczytów i karyery, ale ś. p. ks. Dębicki był człowiekiem cichym i skromnym, pracy publicystycznej i naukowej przede wszystkim oddanym. W tym kierunku też całe życie pracował. Niektóre jego utwory poetyckie, zamieszczane w pismach, odznaczały się piękną formą i głęboką myślą religijną. Inne prace ukazywały się bądź w pismach, bądź też odrazu w osobnych broszurach. Wymieniamy tu najważniejsze: „O zasadniczych różnicach psychicznych między człowiekiem a zwierzęciem“, „Nieśmiertelność człowieka, jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa“, „Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki“, „Postęp, szczęście i przemoty społeczne“, „Wielkie bankructwo umysłowe; rzecz o nowoczesnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym“, „Koniec wieku XIX-go pod względem umysłowym“, „Filozofia nicości.“ Wszystkie te prace odznaczały się gruntowną znajomością filozofii, wysokim polotem, dobrą formą i dowodzeniem logicznym. Zmarły, zacny kapłan i uczyony, pozostawia szczery żal w sercach wszystkich tych, którzy go znali i mogli ocenić wielkie zalety jego umysłu i charakteru.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 2 marca odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym wygłoszono komunikaty: p. Z. Wóycicki: „Z badań nad malwotatami“; p. B. Możejko (przedstawił p. J. Eismund): „Przyczynki do anatomii *Elobius talpinus*“; p. J. Tur: „Doświadczenia nad wpływem promieni radu na barwy aksolotla (*Siredon pisciformis*)“; p. A. Czartkowski (przedstawił p. Z. Wóycicki): „O powstawaniu chwytników u mchów liściastych“; p. St. J. Thugutt: „Przyczynek do mikromiu *dreagonitu*.“

Na posiedzeniu Wydziału I-go, odbytem w dniu 15 marca, p. F. Pułaski w komunikacie p. t. „Nowe szczegóły o życiu i pismach Biernata z Lublina“ przedstawił wyniki swoich poszukiwań, dotyczących Biernata z Lublina, ojca polskiej poezji świeckiej. Wywody te referent oparł: popierwsze, na polemice, prowadzonej w roku 1529 między Janem z Pilzna a Biernatem z Lublina, w sprawie kary śmierci, ustanowionej na nowatorów religijnych edyktem z roku 1523; powtóre, na rękopiśmiennych dopiskach Biernata, odnalezionych w jednym z inkunabułów biblioteki Jagiellońskiej. Kwestyę, czy Biernat był profesorem prawa w Krakowie, referent dla braku dowodów pozostawił otwartą.

N O W E K S I A Ż K I.

— PIERWSZE WYDANIE POEZYJ MICKIEWICZA.

Wydanie pierwsze Poezji Adama Mickiewicza (Wilno, t. I 1822 r., t. II 1823) należy już dzisiaj do osobliwości bibliograficznych. Nie każda nawet z wielkich naszych bibliotek publicznych może się poszczycić egzemplarzem tego wydania wileńskiego; niektóre biblioteki mają egzemplarz niekompletny, np. bez tytułu lub z dorobionym tytułem.

Znaczenie pierwszego wydania jest ogromne. Pozostanie ono epokowym w dziejach poezji polskiej, która od ukazania się pierwszego tomiku Mickiewicza datuje narodziny romantyzmu swojskiego. Żleby to świadczyło o nas przed potomnymi, gdybyśmy dali zupełnie zaginać pierwszemu wydaniu wileńskiemu, które przyniosło nam Romantyczność, Lilie, Żeglarza, Grażynę, Dziadów część drugą i czwartą. Ratujmy te cenne pamiątki od zagłady, która im niechybnie grozi po latach. Odtwórzmy wiernie w dokładnej podobiznie oba tomiki wileńskie. Wysły one nakładem prenumeratorów, więc i pod tym względem idźmy śladem Filomatów, gorliwie prenumeratę zbierających. Nie będzie to przedsięwzięcie księgarskie, ale hołd ludzi, wielbiących poezję Mickiewicza i czczących jej pierwotne kształty.

Zarząd Towarzystwa im. Mickiewicza w myśl inicjatywy, danej przez prof. J. Kallenbacha (ob. Pamiętnik Literacki, r. 1910, str. 305), postanowił na posiedzeniu z dnia 8 marca 1910 r. ogłosić prenumeratę na wierną podobiznę dwu tomików wileńskich Poezji Mickiewicza. Spis prenumeratorów będzie wydrukowany przy drugim tomie podobizny. Wobec niemożności obliczenia na razie szczegółowo kosztów wydawnictwa, ustanowiono tymczasowo jako minimalną cenę obu tomików na zwykłym papierze koron trzy, na czerpanym kor. dziesięć, z tem zastrzeżeniem, że cena egzemplarza na zwykłym papierze może przekroczyć kwotę trzech koron.

Prenumeratę nadsyłać należy z dokładnym adresem prenumeratora wprost do Administracji Pamiętnika Literackiego (Lwów, Ossolineum). Po zebraniu kwoty, dostatecznej na pokrycie kosztów papieru, druku i t. d., prof. Kallenbach przystąpi niezwłocznie do drukowania podobizny wydania wileńskiego.

— JAN KASPROWICZ. *Miłość*. Wydanie trzecie. Lwów, 1911. Nakład księgarni polskiej B. Połonieckiego. Str. 147.

Strofy potężne, nacechowane niezwykłą siłą wyrazu i napięciem uczucia bożkowi miłości w bogatej sładzie poeta dani. Z kart tych bije przedziwne rozumienie przyrody i na czarownem jej tle głębokie, choć nieraz bardzo subtelne przeżycia serc kochających. A myśli swe ujmuje Kasprowicz w spiżowe kształty kunsztownego wiersza.

— *Dzieje myśli. Historia rozwoju nauk*. Tom I, zeszyt 2-gi, z 33 rysunkami. Wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego. Warszawa, 1911. Str. 279.

Jako № XIV-ty ogólnego zbioru „Poradnika dla samouków,” wydawanego z zapomogi Kasy pomocy nakowej im. Mianowskiego, ukazał się zeszyt II-gi tomu pierwszego historii rozwoju nauki; obejmuje artykuły następujące: Leona Marehlewskiego „Rozwój historyczny pojęć chemicznych,” Józefa Siomy „Szkic ewolucji pojęć w mineralogii,” wreszcie „Zarys rozwoju matematyki“ w opracowaniu Michała Feldbluma, Władysława Smosarskiego i Stefana Kwietniewskiego.

— *Pamiętnik zjazdu historyczno-literackiego im. J. Słowackiego we Lwowie*, urządzonego na pamiątkę setnej rocznicy urodzin poety w dniach 29 i 30 października 1909 r. Zestawił d-r Wiktor Hahn. Lwów, 1910, str. 205.

Oprócz mów powitalnych, telegramów i t. p., „Pamiętnik“ zawiera szereg referatów, wygłoszonych na zjeździe: B. Gubrynowicza „Stan dotychczasowych badań nad Słowackim,“ T. Grabowskiego „Charakterystyka twórczości J. Słowackiego,“ J. Kleinera „Najważniejsze problemy estetyczne w „Królu Duchu,“ W. Hahna „O bluszczowości Słowackiego,“ ks. J. Ciemnińskiego „Pisma J. Słowackiego pod względem religijnym,“ W. Lutosławskiego „Dogmatyka Słowackiego,“ M. Szyjkowskiego „Porównanie w poezjach młodzieńczych Słowackiego,“ J. Tennera „O pierwiastkach muzycznych w poezji Słowackiego,“ T. S. Grabowskiego „Romantyzm polski wśród Słowian,“ W. Hahna „O potrzebie wydawania pamiętnika im. J. Słowackiego,“ M. Janika „Słowacki jako człowiek,“ T. Grabowskiego „Krytyka literacka a historia literatury dawniej a dzisiaj.“ Czysty dochód ze sprzedaży „Pamiętnika“ zjazdu przeznaczony jest na budowę pomnika Słowackiego we Lwowie.

— *Pod znakiem poetów*. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Kraków-Warszawa, 1910 — 1911.

W wytwornych, acz tchnących prostotą w szlachetnym stylu, tomikach wydane zostały „Pod znakiem poetów“ antologie utworów Słowackiego, Krasińskiego i liryków francuskich w precyzyjnych przekładach Bronisławy Ostrowskiej; tejsze autorki tom p. t. „Chusty ofiarne,“ wreszcie lśniące formą kunsztowną wiersze Wincentego i Stanisława Korab Brzozowskich p. t. „Nim serce ucichło“ i „Dusza mówiąca.“ Wydawnictwo niniejsze, podjęte w myśli służenia prawdziwej Poezji i Pięknu, zasługuje na poparcie.

— KORNEL MAKUSZYŃSKI. *Dusze z papieru*. Dwa tomy. Lwów, 1911. Nakładem Tow. wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Jest to zbiór recenzji teatralnych pomieszczonych w swoim czasie w lwowskim „Słowie polskim.“ Lekka forma feljetonowa, zaprawna właściwą autorowi „Rzeczy wesołych“ dowcipną ironią, sprawia, iż „dusze z papieru“ wydają się nam żywe i interesujące. Książkę czytamy z zajęciem, chociaż niezawsze godzimy się na sądy jej autora.

— WIKTOR KUŹNIAR. *Z przyrody Tatr*. Z 11 rycinami w tekście i 16 tablicami. Kraków, 1911.

Tatrom, ich właściwościom geograficznym, klimatycznym, wreszcie faunie i florze poświęcony został niniejszy tom „Popularnej biblioteki przyrodniczej,“ wydawanej pod redakcją prof. L. Brunera. Nader jasny i dostępny wykład, sumienność badań oraz piękna forma zewnętrzna zaleca dziełko niniejsze tym wszystkim, którzy pragną poznać „Szwajcaryę polską“ nietylko ze stanowiska turystycznego, lecz i ich znaczenia ze względu na odrębności geograficzne i przyrodnicze.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Marzec, 1911. Treść: Stanisław Brzozowski: Idee, wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej. Krytyka: Ambroziewicz St.: Stanisław Staszic, jego życie i czyny; — Antoniewicz Jan Bołoz: Grottgger, Antoszka, Dobre przykłady; — Archutowski Józef ks.: Patryarchat, czy matryarchat; — Baytel Franciszek: Hygiena i zdrowie; — Bączek Jan ks. prof.: Zarys Historii Filozofii; — Cederbaum Henryk: Adwokatura w Królestwie Polskiem; — Charszewski J. ks.: Moderniści, modernizanci, antymoderniści nasi i obcy; — Chrząszczewska Jadwiga: Promyki, opowiadania dla dzieci; — Garfein-Garski Stanisław: Zagadnienie polskiej filozofii narodowej; — Gensówna Franciszka: Świt; — Glatman Ludwik: Wielka Wojna, szkic historyczny; — Hameczyk S. B. ks.: Historia Biblijna; — Handelsman Marcei: Studya historyczne; — Jaskłowski Wacław Józef: Żarnowiec i jego okolice; — Karpiński Czesław: Główne zasady uprawy roli; — Kopczyński H. d-r: Szkice higieniczno-wychowawcze; — Krehowiecki Adam: Prawdy i bajki; — Kwieciński A. ks.: Katechizm rzymsko-katolicki dla dzieci od lat siedmiu; — Mieczysław Karłowicz w Tatrach; — Milowicz Wanda: Bajki; — Morzycka F.: Grecya; — Muthesius H.: Sztuka stosowana i architektura; — Nowaczyński Adolf: Wielki Fryderyk, powieść dramatyczna; — Omańkowska Jadwiga: W chacie wielkopolskiej; — Sadowska Antonina: Obrazki dla dzieci od lat pięciu do siedmiu; — Saryusz-Zaleska: Krystyna; — Poezye; — Sempołowski Antoni: Uprawa roli; — Sienkiewicz Henryk: Wiry, powieść; — Szczodrowski Henryk: Teorye przyrodnicze o powstaniu życia na ziemi; — Talko-Hryncewicz I. prof.: Materiały do etnologii i antropologii ludów Azji środkowej; — Urbanowska Zofia: Księżniczka, powieść; — Waškowski Antoni: Sąd, tragedia; — Weryho Marya: Co mi powiesz? Nacia na pensyi, opowiadanie; — Wierzbowski Theodorus: Matricularum Regni Poloniae summaria, pars IV; — Włodek Ludwik: Polacy w Paranie; — Tenże: Polskie kolonie rolnicze w Paranie; — Wydźga Marya: Krótki zarys początkowego nauczania; — Zaleski Z. L.: Kobieta i kobiecość w poezyi J. Słowackiego; — Zieliński Marcin d-r: Zagadnienia uczucia; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ANTOLOGIA współczesnych poetów ukraińskich. Przełożył S. Twerdochlib, wstępem zaopatrzył Wł Orkan. Rzeźbą ozdobił I. Kurczyński. Lwów, 1911. Księgarnia J. Maniszewskiego,

APULEIUS: Amor i Psyche. Przekład L. Rydla. Kraków, 1911. S. A. Krzyżanowski.

BARTKIEWICZ ZYGMUNT: Słabe serca. Wydanie drugie. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

BARTOSZEWICZ WITOLD: Pojedynek, jego zasady i reguły. Lwów, 1911. H. Altenberg. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka.

BELMONT LEO: Genialny wróg kobiety i genialny antysemita—Otto Veininger. Warszawa, 1911. Nakładem redakcyi „Wolnego Słowa.“

— Pomędzy sądem i sumieniem. Rozwiązanie zagadki psychologicznej „Sprawy przy drzwiach zamkniętych.“ Z portretem autora. Warszawa, 1911. Skład główny w Księgarni Powszechnej.

BIRMY DRÓBECKI STANISŁAW: Erotyki. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów.

BOLESŁAWITA B.: Tułacze. Opowiadanie historyczne. Wydawnictwo „Biesiady Literackiej.“

BONIECKI: Herbarz polski. Tom XIII. Zeszyt 9 i 10.

BOY ET TAPER: Szopka krakowska „Zielonego Balonika.“ Kraków, S. A. Krzyżanowski. Warszawa, E. Wende.

GAJKOWSKI JAN, KS.: Świątobliwe życie przewielebnej Jej Mości Panny Zofiej z Granowa Siemawskiej, fundatorki i pierwszej Xieniej Klasztoru Sandomirskiego reguły św. Benedykta z Kassynu reformacyej chełmińskiej, według rękopisu z roku 1630, wydał ... Kraków, 1911. Warszawa, Gebethner i Wolff.

GENERAL ZAMOYSKI, 1803—1868. Tom I. 1803—1830. Poznań 1910. Nakładem Biblioteki Kórnickiej.

GOSTOMSKI WALERY: W kaplicy Sykstyńskiej. Odbitka ze „Sfinksa.“ Warszawa, 1911.

GRABOWSKI TAD. STAN.: Romantyzm polski wśród Słowian. Wpływy i pokrewieństwa (Szkic do studyum porównawczego). Lwów, 1910. Księgarnia H. Altenberga.

GRUSZECKI ARTUR: Litwackie mrowie. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

GUY DE MAUPASSANT: Wybór pism. Tom IV. W gabinecie, i inne nowele. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka.

HEINE HENRYK: Niemcy (baśń zimowa) w przekładzie Józefa Jankowskiego. Wydawnictwo „Sfinksa.“ Warszawa, 1911.

JACKOWSKI ALEKSANDER, Adw. przys.: O spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością. Odbitka z „Gazety Sądowej.“ Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

JELLENTA CEZARY: Druid Juliusz Słowacki. Brody, 1911. Lwów. Skład główny E. Wende i Sp. Warszawa.

JAWORSKI FRANCISZEK: Lwów stary i wczorajszy. Szkice i opowiadania z ilustracyami. Wydanie drugie, poprawione. Lwów, 1911. Nakładem Tow. wydawniczego.

KANT IMMANUEL: Krytyka praktycznego rozumu (Kritik praktischen Vernunft). Przekładu dokonał Feliks Kierski. Przekład przejrzał i wstępem opatrzył prof. d-r M. Wartenberg. Lwów, 1911. Nakład i wydawnictwo Polskiego Tow. Filozoficznego. Skład główny H. Altenberg. Lwów.

KATALOG Literatury Naukowej Polskiej, wydawany przez Komisję bibliograficzną Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X, rok 1910. Zeszyt I i II. Kraków, 1910.

KISIELEWSKI ZYGMUNT: Świty. Warszawa, 1911. Nakł. „Społeczeństwa.“

KONCZYŃSKI TADEUSZ: Demostenes. Tragedya. Warszawa-Kraków, 1911. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda Synów.

KORBUT GABRYEL: Początki wpływu Boileau'a w Polsce. Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wydział językoznawstwa i literatury. Posiedzenie z dnia 16 listopada 1910 r. Rok III. Zesz. 8. Warszawa, 1910.

KWIETNIEWSKI JAN: Prawda o Szczupaku. Warszawa, 1911.

LA BRUYÈRE: Charaktery czyli obyczaje tego wieku. Podług pierwotnego tekstu przełożył Antoni Potocki. Wydawnictwo „Symposion.“ Lwów, 1911. B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i S-ka.

LEMAŃSKI JAN: Kamień filozoficzny. Nowele, satyry, groteski. Lwów, 1911. B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i S-ka.

LORENTOWICZ JAN: Nowa Francya literacka. Portrety i wrażenia. Warszawa, 1911. Wydawnictwo Wł. Okręta. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

MAKUSZYŃSKI KORNEL: Dusze z papieru. Tom I i II. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

MATERIAŁY ANTROPOLOGICZNE, Archeologiczne i Etnograficzne. Wydane staraniem Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom XI (z 35 tablicami ilustracyjnymi i 75 rycinami w tekście). Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

MELLEROWA ZOFIA: Komedia i Dyalogi. Z przedmową Cecylii Walewskiej. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

MOCHNACKI MAURYCY: O literaturze polskiej w wieku XIX. Z przedmową A. Drogoszewskiego. Warszawa, 1911. Tom I. Biblioteka „Sfinksa.“

MOSZCZEŃSKA IZA: Postęp na rozdrożu. Warszawa, 1911.

NITSCH KAZIMIERZ, PROF.: Mowa ludu polskiego. Kraków, 1911. E. Wende i Sp.

PLÖHN ROBERT, D-R: Księga mądrości życia. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1911.

PRENTICE MULFORD: Moc ducha. Zasady wzmacniania ducha i ciała, kształcenia siły woli i osiągnięcia prawdziwego szczęścia. Tłómaczył z oryginału angielskiego Z. Raszycki. Lwów, 1911. Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: Zmierzch. „Synów ziemi“ część trzecia i ostatnia. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

ROLLAND ROMAIN: Jan Krzysztof I. Świt. Przełożyła z upoważnienia autora Jadwiga Sienkiewiczówna. Warszawa, 1911. Biblioteka „Sfinksa.“ Tom II.

ROZPRAWY Akademii Umiejętności. Wydział Filologiczny. Serya II. Tom XX. Zeszyt II. Kraków, 1910.

SAITSCHICK ROBERT PROF.: Ludzie i sztuka Odrodzenia włoskiego. Przekład z upoważnienia autora Maryi Kreczowskiej. „Książnica naukowa i artystyczna.“ Kraków-Warszawa, 1911. G. Gebethner i Sp.

SIEDLECKI-GRZYMAŁA A.: Galeryja moich bliźnich. Nowele i fraszki. Kraków, 1911. Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

SKAŁKOWSKI ADAM: En marge de la correspondance de Napoleon I. Pièces inédites concernant la Pologne 1801—1815. Varsovie, 1911. Gebethner & Wolff. Paris, H. Le Soudier.

SŁOŃSKI EDWARD: Partya. Romans rewolucyjny. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

SMOLARSKI MIECZYŚLAW: Poezja powstania listopadowego. Kraków, 1911. G. Gebethner i Sp.

SOKÓŁ HALSZKA: Z braku serca! Dramat w IV aktach i II odsłonach. Wilno, 1910. Odbito w drukarni Józefa Zawadzkiego.

SPRAWOZDANIE z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Listopad 1910 r. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

SPRAWOZDANIE z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Grudzień, 1910. Warszawa. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

SROKOWSKI MIECZYŚLAW: Anachroniści. Romans. Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów.

STAGIEŃSKA MARYA: 120 wolt. Opowieść współczesna. Warszawa, 1911. Skład główny w administracyi miesięcznika „Prąd.“

STRENGER HENRYK: O życiu Chopina, geniuszu i duchu jego muzyki. Próba syntezy. Słowo wstępne Ludomira Różyckiego. Nakładem autora.

STRUVE HENRYK: Historia logiki jako teorii poznania w Polsce. Poprzedzona zarysem jej rozwoju u obcych. Wydanie drugie, w dwójnasób pomnożone. Warszawa, 1911. Nakładem autora. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

STULECIE „GAZETY LWOWSKIEJ“ 1811—1911. Tom pierwszy, część I—II z czterema portretami i podobizną. Napisał: Ludwik Bernacki, Wilhelm

Bruchnalski, Ludwik Finkel, Bronisław Gubrynowicz, Franciszek Jaworski, Kazimierz Ostaszewski - Barański, Michał Rolle, Stanisław Wasylewski, pod redakcją Wilhema Bruchnalskiego. Lwów, 1911. Nakładem redakcyi „Gazety lwowskiej.“

SVENDSEN OLE: Bornholmskie baśnie. Wolny przekład Lesława Jaworskiego. Kraków, 1911. S. A. Krzyżanowski.

SZAMOTA ALICJA: W płomieniu życia. Powieść. Warszawa, 1911. Wydawnictwo Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

SZPOTAŃSKI STANISŁAW: Mochnacki. Profil historyczny. Kraków, 1910. G. Gebethner i Sp.

SZPYRKÓWNA MARYA: Zwrotki jesienne. Kraków, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

SZYSZŁO WITOLD: Pod zwrotnikami. Porto Rico. Wydawnictwo „Biblioteki Dziel Wyborowych.“

TILL ERNEST, D-R: Nauki ogólne austriackiego prawa prywatnego. Wydanie trzecie, nowo opracowane. Lwów, 1911. Nakładem księgarni H. Altenberga.

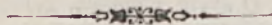
TRETER MIECZYŚLAW, D-R: Typy ludowe Franciszka Tepy, z sześcioma reprodukcjami. Lwów, 1911. Nakładem Gubrynowicza i Syna.

TRETIAK JÓZEF: Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego 1802—1831. Życie i poezya. Kartka z dziejów romantyzmu polskiego. Z 6-iu rycinami. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

WIERZBIŃSKI R. MACIEJ: Książ i Księżna. Romans z XVIII wieku. Tom I i II z portretem autora. „Nowości literackie.“ Warszawa, 1911. Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

WILLY COLETTE: Siedem dyalogów zwierzęcych. Z oryginału francuskiego przełożył i wstępem opatrzył K. W. Woźnicki. Z portretem autorki. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

WYPISY HISTORYCZNE ilustrowane dla użytku młodzieży przy nauczaniu dziejów powszechnych, pod redakcją Kazimierza Wachowskiego. Zeszyt II, z 6 tablicami. Historia starożytna: Babilon, Chaldea i Assyrya (dokończ.), Fenicya, Persya, Indye i Grecya. Opracowała D-r Justyna Jastrzębska. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.
